

STARSHIP:PIRAT

Jedna z najlepszych powieści najwybitniejszego pisarza science-fiction — Robert J. Sawyer autor Flashforward



RESNICK
MIKE

02 STARSHIP: **PIRAT**

MIKE
RESNICK

02 STARSHIP: PIRAT

PRZEŁOŻYL
ROBERT J. SZMIDT

fabryka słów LUBLIN 2009

SERIA „STARSHIP”:

1. *Bunt*
2. *Pirat*
3. *Najemnik*
4. *Buntownik*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Masywny, przysadzisty, trójnogi kosmita przemierzał podniszczone korytarze „Teodora Roosevelta”, kręcąc się dostojnie i wydając raz po raz ciche pomruki. Tu warknął na podoficera, który nie zdążył zejść mu na czas z drogi, tam spojrzął groźnie na drugiego, zmuszając go do cofnięcia się w zacisze kabiny i odblokowania wąskiego przejścia, ale doczłapał w końcu do niewielkiej, choć mocno zatłoczonej mesy. Rozejrzał się i w odległym kącie dostrzegł kapitana siedzącego z piwem w ręce przy mocno sfatygowanym stoliku. Zadziwiająco zręcznie przecisnął się na drugą stronę sali, aby zająć miejsce obok niego.

- Jak ja nie cierpię tych krzesel - wymamrotał, wydając głębokie, gardłowe dźwięki.

- Też się cieszę, że cię widzę, Cztery Oczy - odparł dowódca z uśmiechem na ustach.

- Musimy zafasować więcej mebli przystosowanych dla Molarian, jeśli mam nadal służyć na tej krypie.

- A może prościej będzie wystrzelić cię w próżnię? - zasugerował Wilson Cole. - To będzie o wiele tańsze od zakupu nowych krzesel, no i zaoszczędzi ludziom kupę nerwów.

- Beze mnie zaraz się zgubicie.

- Naprawdę myślisz, że potrzebujemy cię tutaj do czegoś? Wedle mojej wiedzy zgubiliśmy się już trzy dni temu. - Cole pociągnął łyk piwa. - W końcu znajdujemy się w głębi dziewiczych terytoriów.

- Niech cię szlag, Wilsonie! - syknął kosmita. - Co my tu, do cholery, robimy?

- Nie wiem jak ty - odparł kapitan - ale ja rozkoszuję się zimnym piwem i czekam, aż się pochwalisz, jakie to jeszcze nowe słowa przyswoiłeś z terrańskiego... - zamilkł na moment i obrzucił uważnym spojrzeniem Molarianina. - Masz zamiar dalej pieprzyć

bez sensu czy powiesz wprost, co cię gryzie?

- Sam nie wiem - przyznał kosmita. - Kiedy zdecydowaliśmy się przejść na piractwo, spodziewałem się romantycznego życia z mnóstwem przygód.

- Chcesz przygód? - zapytał Cole z uśmiechem na ustach. - Zatem wracaj do Republiki. Tam zapewnią ci takie atrakcje, że zaraz będziesz miał dość. Nie zapomniałeś chyba, dlaczego wylądowaliśmy na tym zadupiu?

- Wiem, wiem. Ostatnim razem, gdy sprawdzałem, dawali za twoją plugawą główkę dziesięć milionów kredytów.

- Mam nadzieję, że nie poczułeś się zignorowany - powiedział kapitan. - W zeszłym tygodniu oferowali też trzy miliony kredytów za niejakiego komandora Forrice'a.

- Nie potrafię opisać, jak mnie tym podniosłeś na duchu - mruknął Cztery Oczy.

Cole roześmiał się na głos.

- Mówiłem ci to już, ale jeszcze raz powtórzę. Najbardziej cenię w was, Molarianach, to, że jesteście jedyną obcą rasą, która potrafiła przyswoić nie tylko wzorce ludzkiej mowy, ale i nasze poczucie humoru.

- Tylko jeden z nas stara się być teraz zabawny - wypalił Forrice. - Opuściliśmy terytorium Republiki i wałęsamy się po bezdrożach Wewnętrznej Granicy już od trzech tygodni. Nie uważasz, że powinniśmy w końcu zająć się jakąś robotą i popiracić troszkę?

- Niedługo zaczniemy.

- Na co jeszcze czekasz?

- Na poczucie bezpieczeństwa.

- Mamy je od niemal trzech tygodni - zapewnił go Molarianin. - Nikt nas nie ścigał.

- Akurat co do tego nie mam pewności i ty też jej nie możesz mieć - odparł Cole. - Słuchaj, jestem pierwszym

buntownikiem w naszej flocie od ponad sześciuset lat. I nikogo nie obchodziło, że ocalałem pięć milionów istnień, przejmując dowodzenie nad tym okrętem. Jak tylko prasa zwąchała temat, nie miałem najmniejszych szans na odparcie zarzutów, a potem załoga „Teddy’ego R” ośmieszyła resztę floty, odbijając mnie z więzienia. Czy na miejscu Republiki odpuściłbyś tak szybko tę zniewagę?

- Republika jest w stanie wojny, Wilsonie - przypomniał mu kosmita. - My należymy do jej najmniejszych problemów.

- Zgoda. Ale gdyby admiralicja postępowwała racjonalnie, nie musiałbym przejmować dowodzenia. Fakt, że nie dostrzegliśmy śladów pościgu podczas minionych trzech tygodni, nie oznacza wcale, iż go odwołano. I dlatego tkwimy w najbardziej pustym sektorze Granicy, jaki zdołaliśmy znaleźć. Tutaj najłatwiej sprawdzić, czy mamy kogoś na ogonie. A jak tylko zyskam pewność, natychmiast kupię ci kordelas. Będiesz mógł łupić i rabować, aż uraduje się twoje serce. O ile wy, Molarianie, posiadacie coś takiego jak serce.

- Naprawdę uważasz, że wciąż za nami ganiają? - zapytał Forrice.

- Gdybym zabił admirała Garcię albo wysadził przez pomyłkę jakąś planetę, pewnie już by dali spokój. - Cole uśmiechnął się ponuro. - Ale nigdy mi nie wybaczą tego, że zwiąłem im z Timosa tuż przed procesem, na oczach całej zgromadzonej prasy.

- Ta niekończąca się ucieczka zaczyna mi działać na nerwy.

- To ty masz coś takiego jak nerwy?

Molarianin spojrzał na niego z politowaniem.

- Tak mi się nudzi, że zaczynam próbować tych świństw, które pijasz.

- Masz na myśli piwo? - zapytał Cole. - Wydawało mi się, że system trawienny waszej rasy nie przyswaja takich trunków.

Forrice zrobił minę, która wszystkim nieznojącym mimiki jego

gatunku musiała wydać się odrażająca.

- Prawdę powiedziawszy, nasz układ trawienny w ogóle ich nie przyjmuje - przyznał. - Odchorowywałem to przez cały dzień.

- Przecież my tu nie mamy dni - przypomniał mu Cole - tylko trzy ośmiogodzinne nocne zmiany... - Przerwał na chwilę. -

Co jeszcze cię dręczy, Cztery Oczy?

- Kończy nam się żywność.

- Zsyntetyzujemy następną partię.

- I paliwo.

- Nie potrzebujemy paliwa, o ile nie będziemy przyspieszali albo hamowali - wyjaśnił ze spokojem kapitan,

- No i wszystkie Molarianki opuściły pokład! - wybuchnął w końcu Forrice.

- No - powiedział Cole i uśmiechnął się. - W końcu doszliśmy do sedna sprawy.

- Wiedziałbyś, o czym mówię, gdyby nie to, że połowa waszych samic walczy ze sobą o prawo do spółkowania z bohaterem galaktyki!

- Czyżbym słyszał w twoim głosie nutę zazdrości?

- Zazdrości, zawiści, a nawet frustracji, czyli wszystkiego, czego można się spodziewać, jeśli utkniesz na pokładzie bez pici przeciwnej,

- Trafne określenie. Z tego, co pamiętam, wasze samice zawsze wydają się wszystkiemu przeciwne - zauważył Cole.

- Dość tego - burknął Forrice. - Rzucanie kalumnii na samice mojej rasy należy do moich obowiązków!

- Tak na marginesie, wydawało mi się też, że samice Molarian zmieniają co jakiś czas płęć.

- One tak! - wrzasnął Cztery Oczy. - Ja nie!

- Na pokładzie mamy jeszcze dwóch innych Molarian - powiedział Cole. - Idź, opowiedzcie sobie kilka sprośnych dowcipów, a jak już ci przejdzie chandra, wróć, mamy kilka

spraw do obgadania.

- Mamy? - zapytał szybko Forrice. - To znaczy kto, ty i ja?

Kapitan pokręcił głową.

- Wszyscy. Ale zaczniemy od najstarszych stopniem, czyli od ciebie, mnie i Sharon Blacksmith.

- Chodzi o sprawy bezpieczeństwa?

- Nie.

- W takim razie po co ci obecność szefowej sekcji bezpieczeństwa?

- Cenię sobie jej opinię.

- I dzielis z nią łóżko - dodał ponuro Molarianin.

- Raczej ona dzieli je ze mną - odparł Cole bez śladu zażenowania. - Moje jest większe. Spotkajmy się w mojej kabynie o godzinie dwudziestej drugiej czasu pokładowego.

Forrice skinął szeroką głową.

- Będę na czas.

Gdy Molarianin oddalił się, Cole spokojnie dopił piwo, wstał, przeciągnął się, a potem wyszedł na korytarz. *Musimy zrobić coś, aby zmodernizować ten okręt*, pomyślał. *Idę o zakład, że przez ostatnie pięćdziesiąt lat nikt niczego tutaj nie tknął. Większość sprzętu wygląda jak ekwipunek ubogiego nurka z największego zadupia, a reszta jest w jeszcze gorszym stanie.*

Zamierzał wrócić do kabiny, aby się odprężyć, kto wie, może nawet dokończyć książkę, którą właśnie czytał, ale po chwili zastanowienia uznał, że rozsądniej będzie podtrzymać w załodze iluzję kapitana, który nie zrezygnował z nudnej, codziennej rutyny dowodzenia statkiem. Skierował się więc na mostek.

Za konsolami komputerów siedziała porucznik Christine Mboya, dobiegająca trzydziestki, wysoka, szczupła i niesamowicie atrakcyjna kobieta. Spoglądała na ekrany i wydawała szeptem rozkazy, których Cole ani nikt inny z obecnych nie mógł usłyszeć.

Malcolm Briggs, atletycznie zbudowany młodzieniec także

noszący mundur porucznika, zasiadał przy stanowisku uzbrojenia. Na ekranie przed nim leciał jakiś program rozrywkowy, bez wątplenia pobierany z pojemnych bibliotek pokładowych „Teddy’ego R.”.

Wysoko w górze, w kapsule przytwierdzonej do ściany, unosił się Wxakgini, jedyny pilot, jaki zasiadał za sterami tego okrętu na przestrzeni ostatnich siedmiu lat. Należał do rasy Bdxeni, istot przypominających kształtem pocisk ale posiadających także wiele cech insektoidalnych. Tkwił tam skulony w embrionalnej pozycji, z szeroko otwartymi, nigdy niemrugającymi, wielokomórkowymi oczami, połączony z komputerami okrętu sześcioma grubymi kablami, które wychodziły z jego głowy i nikięły w masywnej grodzi. Bdxeni nie znali pojęcia snu, co czyniło z nich idealnych pilotów i trwali w tak idealnej symbiozie z komputerami okrętów, że trudno było określić, gdzie przebiega granica pomiędzy nimi.

- Kapitan na mostku! - wrzasnęła Christine, stając na baczność i oddając przepisowy salut w tej samej chwili, gdy zauważyła obecność dowódcy. Briggs zareagował podobnie, ale kilka sekund później.

- Dajcie spokój - poprosił Cole. - Ile razy mam powtarzać, że nie należymy już do floty?

- To nie ma znaczenia, jest pan nadal naszym kapitanem - odparła z uporem Mboya.

- Jestem banitą - poprawił ją cierpliwie. - Pani zresztą też. A banici nie muszą sobie salutować.

- Ale ten banita będzie panu salutował - nie ustąpiła.

- Też jestem tego zdania, sir - dodał Briggs i powtórzył salut.

- Wydaje mi się, że pierwszą rzeczą, jaką każę zainstalować na tym okręcie po remoncie, będzie maszt, do którego da się przywiązywać niesubordynowanych oficerów, aby ich publicznie wychłostać - oświadczył oschle Cole. - Dziękuję, pilocie.

- Za co? - zapytał Wxakgini, wpatrując się bez końca w tajemniczy punkt czasoprzestrzeni, który tylko on i komputer nawigacyjny mogli dostrzec, a nawet w ogóle pojąć.

- Za niezwracanie szczególnej uwagi na fakt mojego pojawienia się na mostku.

- Aha - odparł Bdxeni i natychmiast zapomniał o Cole'u i reszcie ludzi znajdujących się w pomieszczeniu poniżej jego kapsuły.

- Świetnie, skoro już się przywitaliśmy i okazaliśmy przy okazji brak szacunku dla życzeń kapitana - Wilson odwrócił się do Christine - czy mamy może coś do zaraportowanta?

- Nadal nie zaobserwowaliśmy żadnych śladów pościgu, sir - odparła porucznik. - Podczas ostatniego dnia standardowego minęliśmy jedenaście zamieszkałych planet, na żadnej jednak nie zauważyliśmy śladów kolonizacji ani podwyższonej aktywności neutrino, świadczących o istnieniu cywilizacji przemysłowych.

- Świetnie - odparł Cole. - Cztery Oczy chyba miał rację. Nie cierpię przyznawać mu racji, ale rzeczywiście wygląda na to, że Republika zdecydowała, iż nie jesteśmy warci jej uwagi, przynajmniej w tej chwili Admiralicja potrzebuje każdego okrętu na frontach walki z Federacją Teroni.

- Co pan zamierza, sir? - zapytał Briggs.

- Wydaje mi się, że nadeszła pora, aby przywdziać przepaski na oczy i uczyć się pirackiej gwary. Potrenujcie takie zwroty jak: „rączki do góry” albo „niech mnie kule biją”

Christine nie potrafiła powstrzymać chichotu, ale Briggs nie przejął się tym wcale.

- Pytałem poważnie, sir, co teraz będziemy robili.

- Poważnie to nie wiem - odparł Cole. - Ale mam wrażenie, że piractwo nie jest wcale taką łatwą profesją, jak wam się wydaje.

- Dla mnie zawsze było bardzo proste - stwierdził porucznik.
- Świetnie - odparł kapitan. - Proszę wybrać cel.
- Słucham, sir?
- Kiedy pan albo Christine widzieliście w okolicy jakiś luksusowy liniowiec? - zapytał Cole. - Albo choćby frachtowiec?
- Jedenaście dni temu, sir - odparła natychmiast Mboya.
- A planetę wartą splądrowania?
- Na dwóch światach, które wczoraj minęliśmy, znajdowały się pokłady diamentów. Na trzech innych wykryliśmy materiały rozszczepialne.
- Ale nie znaleźliście żadnej rozwiniętej cywilizacji - dodał Cole.
- Nie, sir - odparł Briggs.
- Wydawało mi się, że chciał pan być piratem - stwierdził kapitan. - Skoro jednak wyraża pan chęć zostania górnikiem, nie widzę problemów. Zrucimy pana na powierzchnię którejś z tych planet i wrócimy za kilka lat, żeby sprawdzić, co udało się panu wydobyć.
- Chyba zostanę przy piractwie, sir - oświadczył porucznik.
- Skoro pan nalega, panie Briggs... - odparł kapitan, nie potrafiąc ukryć rozbawienia. - A wracając do statków - dodał - sporo z nich będzie o wiele lepiej uzbrojonych niż my, do tego niektóre mogą mieć eskortę jednostek Republiki.
- Jest pan najczęściej odznaczanym oficerem floty republikańskiej, sir - powiedział porucznik. - Na pewno znajdzie pan sposób na ich pokonanie.
- Nie jestem już oficerem floty - przypomniał mu Cole. - Nie dostałem też medalu za doskonałe osiągnięcia na polu piractwa. To dla mnie zupełnie nowa sytuacja i mam nadzieję, że dla was też.
- Ale myślał pan o tym od momentu naszej ucieczki - stwierdził z absolutną pewnością Briggs. - Jestem pewien, że ma

pan już jakiś plan na tę okazję.

- Pańska wiara bardzo mi się podoba - przyznał kapitan. *Choć w życiu nie posłuchałbym pańskiej rady*, dodał w myślach, odwracając się do Christine. - Sądzę, że powinna pani rozpocząć mapowanie najbardziej zaludnionych planet Wewnętrznej Granicy i namierzanie najbardziej uczęszczanych szlaków handlowych. Nie ma jednak pośpiechu. Znajdujemy się najprawdopodobniej o wiele dni lotu od najbliższego z nich i prawdę powiedziawszy, nie wiem jeszcze, czy kiedykolwiek skorzystam z tych danych, które pani dla mnie przygotowuje. Ale jeśli przyjmujemy, że takie informacje będą dla nas przydatne w przyszłości, myślę, iż nie od rzeczy będzie rozpocząć ich zbieranie już teraz.

- Czy ma pan jakieś zadanie dla mnie, sir? - zapytał Briggs.

- Proszę sprawdzić rozkłady jazdy i trasy największych liniowców pasażerskich kursujących w okolicach Wewnętrznej Granicy. Nie sądzą, żeby odwiedzały więcej niż dziesięć planet w tej okolicy. Może Bindera X, Roosevelta III i kilka im podobnych. Zobaczymy, co pan znajdzie na ten temat. Tylko proszę robić to dyskretnie.

- Dyskretnie, sir?

- Jesteśmy banitami, za których głowy wyznaczono nagrody - wyjaśnił Cole po raz kolejny z całkowitym spokojem, zastanawiając się jednocześnie, ile czasu musi jeszcze upłynąć, zanim załoga przyjmie ten fakt do wiadomości. - Proszę uważać, żeby nie namierzono nas zwrrotnie.

- Tak jest! - odparł porucznik i znów sprężyście zsalutował.

Wilson spojrział na niego, zastanawiając się, czy nie zafundować mu kolejnego wykładu o niestosowności salutowania, ale zrozumiał, że byłby to jedynie bezcelowy wysiłek i bez słowa opuścił mostek.

- Jeszcze trochę, a złamiesz tego biednego, młodego wielbiciela twojego heroizmu - w jego uchu rozbrzmiał kobiecy głos.

- Monitorowałaś rozmowę? - Cole rzucił to pytanie w stronę pustego korytarza, którym zmierzał ku najbliższej windzie.

- Uwielbiam podsłuchiwać - odparł bezcielesny głos Sharon Blacksmith. - Na tym polega moja praca.

- Jeśli podsłuchiwałaś też wcześniej, wiesz już zapewne, że chcę cię widzieć w mojej kabinie o dwudziestej drugiej - powiedział Wilson.

- Codziennie chcesz mnie widzieć w swojej kabinie o dwudziestej drugiej - odparł głos.

- Ale tym razem masz być ubrana.

- To nie jest zabawne - stwierdziła Sharon.

- Czas zabawy już się skończył - odparł Cole. - Nadszedł moment, w którym zabierzemy się do poważnego plądrowania galaktyki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sharon Blacksmith pojawiła się w kabinie Cole'a równo o dwudziestej drugiej. Była niska i żylasta, a luźny mundur skutecznie krył te krągłości, które posiadała.

- To musi być cholernie ważne spotkanie - stwierdziła. - Po raz pierwszy od ogłoszenia buntu zaścieliłaś łóżko.

- Miałem nadzieję, że krytykowanie mojego bałaganiarstwa zajmie cię na tyle, że nie będziesz zwracała uwagi na inne niedostatki - odparł i nagle roześmiał się. - Poza tym, w moim biurze panuje niezły burdel.

- Wiem.

Forrice przybył chwilę później. Ludzkie krzesła nie odpowiadały jego budowie, więc rozgościł się na łożu.

- No to jesteśmy w komplecie - zagaił. - I co teraz?

- Teraz porozmawiamy o naszej przyszłości - poinformował

go Cole, siadając za biurkiem. - Tej najbliższej.

- A o czym tu gadać? - zapytał Cztery Oczy. - Nie możemy wrócić na terytorium Republiki. Mamy do dyspozycji okręt i załogę. Czas zabrać się do roboty.

- To prawda - przyznał kapitan. - Ale powinniśmy w końcu zdecydować, jakiego rodzaju piratami zostaniemy.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Forrice. - Pirat to pirat.

- Zanim zaczniemy - wtrąciła Sharon - chciałabym wiedzieć, czy czekamy na kogoś jeszcze?

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. będziemy tu tylko my troje, czyli najstarsi stopniem oficerowie.

- W takim razie nie powinnam uczestniczyć w tej rozmowie. Nie mam tak wysokiej rangi.

- Opowiedziałaś się po mojej stronie, kiedy przejmowałem okręt - wyjaśnił kapitan. - Zostałaś oskarżona o sprzyjanie buntowi. Jak na moje oko, zasłużyłaś na ten przywilej.

- Ale go nie otrzymałam - sprostowała. - Jestem tylko szefem sekcji bezpieczeństwa.

- A ja ci mówię jako kapitan, że go otrzymałaś - przerwał jej Wilson. - Nie służymy już we flocie. Nie przebywamy na terytorium Republiki. Jesteśmy okrętem pełnym banitów, na którym nie obowiązują stare przepisy... - Zamilkł na moment. - A kto w takich sytuacjach stanowi prawo?

- Ty - odparła Sharon.

- Przynajmniej do momentu, w którym ktoś inny nie pozbawi cię głowy - dodał Forrice. - W końcu jesteśmy piratami

- Ufam, że szef bezpieczeństwa ochroni mnie przed czymś podobnym - stwierdził Cole.

- Skoro zeszliśmy na temat starszeństwa - powiedziała Sharon - mam nadzieję, że Cztery Oczy otrzymał w końcu awans z trzeciego na pierwszego oficera. Jeśli tak, musisz teraz

wyznaczyć kogoś na drugiego i trzeciego.

- Nie potrzebowaliśmy ich do tej pory - odparł Cole. - Po prostu uciekaliśmy, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś nas nie ściga. Pilot, którego imienia chyba nigdy nie nauczę się wymawiać, zdołał tego dokonać bez niczyjej pomocy. Zajmę się promocjami, kiedy rozpoczniemy realizację konkretnych zadań.

- Czy możemy zająć się sprawami, dla których nas wezwwałś? - zapytał Molarianin.

Cole przytaknął.

- Musimy podjąć szereg decyzji, a jedną z najważniejszych jest określenie, jakiego rodzaju piractwem zamierzamy się zajmować.

- Takim, które szybko uczyni nas bogatymi - zaproponował Forrice.

Cole przyłożył dłoń do blatu biurka i nawiązał połączenie z mostkiem. W tym samym momencie nad blatem pojawił się hologram ślicznej dziewczyny.

- Chorąży Marcos, proszę o przestanie podglądu na najbliższą zamieszkaną planetę.

- Zamieszkaną przez ludzi, sir? - zapytała Rachel.

- Przez ludzi.

W tej samej chwili nad głową Sharon zaczął wirować błękitno-złoty glob.

- Dziękuję wam, chorąży - powiedział Cole, a dziewczyna uśmiechnęła się i zniknęła. - Oto i ona, Cztery Oczy. Dojrzała do zerwania.

- No i dobrze, może to i ona - zgodził się Forrice. - Ale co dalej?

- Powiedzmy, że żyje na niej sześć rodów. Kiedyś było ich tam trzydzieści, ale osiem zostało wybitych przez miejscowych drapieżców, a szesnaście opuściło glob po niedawnym trzyletnim okresie suszy. W chwili obecnej mieszka tam jedenastu dorosłych i

czternaścioro dzieci w wieku od trzech miesięcy do szesnastu lat. Wszyscy zajmują się uprawami. Co możemy z nimi zrobić?

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Powiedzmy, że dzięki nim uzupełnimy nasze zapasy żywności. Powiedzmy też, że dzięki skuteczności podwładnych Sharon ustaliliśmy, iż ludzie ci zgromadzili aktywa rządu osiemnastu tysięcy kredytów i posiadają pewną ilość złota oraz platyny w klejnotach rodowych. Wystanie wahadłowca z ekipą, która obrabuje ich ze wszystkiego nie zajmie więcej niż dziesięć minut. Musimy jednak pamiętać, aby zniszczyć wszystkie nadajniki podprzestrzenne jakimi ci ludzie dysponują, i to nawet w przypadku, kiedy poddadzą się bez walki i nie zajdzie konieczność ich zabicia. Nie mogą przecież donieść na nas...

- Człowieku, jesteśmy na Granicy - przypomniała mu Sharon. - Nie mają komu o nas donosić.

- Niech ci będzie - zgodził się Cole. - W takim razie zmiana planu. Zabieramy im nadajniki, one także mają jakąś rynkową wartość, a potem niszczymy wszystkie statki, jakimi dysponują, żeby nie mogli podjąć za nami pościgu. - Spojrzał na Forrice'a. - Czy to akcja, o jakiej cały czas marzyłeś?

- Dobrze wiesz, że nie - warknął Molarianin.

- Dobrze, zatem przedstawię drugi wariant. Republikański okręt leci wzdłuż Granicy. Porucznik Mboya i chorąży Braxyta sprawdzili jego kurs i obliczyli, że możemy go przejąć za około pięć godzin. Ta jednostka posiada uzbrojenie, ale nie tak dobre jak nasze. Mogę powiedzieć o niej jeszcze jedno. W jej ładowniach znajduje się towar wart dziesięć milionów kredytów.

- To wszystko? - zapytał Cztery Oczy.

- To wszystko - zapewnił go Cole. - Frachtowiec znieawidzonej Republiki, słabo uzbrojony i na dodatek wiozący cholernie wartościowy ładunek. Co powinniśmy zrobić?

- Zaatakować go, unieszkodliwić i zrabować wszystko.
- Zabijamy załogę?
- Nie, jeśli zgodzi się poddać - zaproponował Forrice. - W takim przypadku odeślemy ją na najbliższą planetę posiadającą atmosferę tlenową.

- Jeśli przeżyją, będą mogli nas zidentyfikować.

Obco wyglądający uśmiech pojawił się na obliczu Molarianina.

- Czy Republika może cię bardziej znienawidzić?
- Racj a - przyznał Cole. - Zatem unieszkodliwiamy tę j ednostkę i rabujemy j ej ładunek.

- Zgadza się.

- Chcesz wiedzieć, co on przewozi? - zapytał kapitan.

Forrice wzruszył ramionami.

- Dawaj.

- Bardzo rzadką i jeszcze bardziej niestabilną szczepionkę wartą dziesięć milionów kredytów. Wyślano ją do kolonii, w której wybuchła epidemia nowej choroby. Jeśli nie dotrze na miejsce w ciągu trzech standardowych dni, umrze na nią kilka milionów jej mieszkańców. Żeby dopełnić obrazu, nie chodzi tutaj o ludzi ani Molarian. To kolonia Polonoi. I każdy z nich jest równie uparty i głupi jak kapitan tej rasy, którą musiałem usunąć ze stanowiska.

- Nie możesz pozwolić, aby miliony niewinnych istot zginęły w taki sposób - powiedział Forrice. - Nawet jeśli są to tylko Polonoi.

- Jestem pewien, że trzej członkowie naszej załogi należący do tej rasy zgodzą się z twoją opinią - przyznał Cole. - Opanujemy statek, zamkniemy załogę, zabezpieczymy szczepionki i zaoferujemy Republice dostarczenie ich na miejsce, zanim zrobi się tam gorąco, tyle że zrobimy to za trzydzieści milionów kredytów. Ale zaraz, dlaczego mamy się tak

ograniczać? Za dwieście milionów. I tak wypadnie tylko po sto kredytów za jednego kolonistę, a jeśli nam nie zapłacą, będziemy mogli zrzucić całą winę na Republikę. A teraz wyobraź sobie, że ginę podczas ataku na ten frachtowiec, a ty zostajesz nowym dowódcą. Jakie byłyby twoje rozkazy?

- Przecież wiesz - odparł Forrice.

- Wiem i dlatego trafiłeś na tę krypę - powiedział Cole. - Teraz rozumiesz, dlaczego musimy omówić kwestię rodzaju piractwa, jakim mamy się zajmować? Wiem, że to zabrzmia dwuznacznie, ale powinniśmy opracować coś na kształt pirackiego kodeksu etycznego, nawet jeśli jego zastosowanie ograniczy się tylko do pokładu „Teddy’ego R.”.

- Wiesz - rzucił nagle Cztery Oczy - jesteś dokładnie tym rodzajem bohatera, którego najbardziej nie cierpię. - Coś mu zagulgotało w głębi ciała. - Co się stało z tymi wszystkimi zuchami, którzy nie przemyśleli sobie zawczasu wszystkiego, tylko biegali z rozgrzanymi blasterami w dłoniach?

- Zapelniają cmentarze w całej galaktyce - odparł Cole.

- Mam jedno pytanko - wtrąciła Sharon.

- Wal śmiało.

- Zadałam je już wcześniej. Co ja tutaj robię? Przecież wiesz doskonale, o jaki kodeks postępowania ci chodzi.

- Właśnie przedstawiłem Forrice’owi kilka ciekawych przykładów - odparł Cole. - Ale stwierdzenie, że nie zabijemy kilku rodzin dla fistaszków, czy też odmowa wzięcia dwóch milionów zakładników nie są wcale równoznaczne z określeniem tego, co będziemy robili, a właśnie o tym powinniśmy teraz dyskutować. Kiedy zagrywamy fair, a kiedy wręcz przeciwnie? W jakich warunkach możemy użyć siły, a w jakich nie powinniśmy? Czy pozostaniemy w obrębie Granicy, czy będziemy robili wypadki na terytorium Republiki? Co zrobimy, jeśli natrafimy

ruch frachtów ku Federacji Teroni; odpuścimy sobie, czy go przejmujemy?

Forrice westchnął głośno.

- Wiesz, piractwo wydaje się znacznie prostsze, kiedy o nim się tylko marzy.

- Cóż mogę dodać? - powiedziała Sharon. - Znaleźliśmy się tutaj przez Republikę. Na pewno nie przez tutejszych obywateli albo Federację Teroni. Dlatego uważam, że dopóki warunki nie ulegną poważnej zmianie, powinniśmy ograniczać się do ataków na jednostki należące do Republiki.

- To na początek - wtrącił Cole.

- A jak postąpiłbyś w przypadku twojego hipotetycznego frachtowca z medykamentami?

- Na pewno nie zaatakowałbym okrętu medycznego - zapewnił kapitan. - Niemniej wciąż jeszcze nie zdecydowaliśmy, jaki atak uznamy za uczciwy i uzasadniony. Ktoś ma jakieś sugestie?

- Taki, który wart będzie ponoszonego ryzyka - odparła Sharon - ale zarazem nie przysporzy cierpień niewinnym ludziom, bez względu na to, czy są obywatelami Republiki czy nie.

- Zatem wracamy do pierwszego przykładu - powiedział kapitan. - Czy utrata klejnotów rodowych może przysporzyć komuś cierpień? A jeśli osoba, której je odbierzemy, nie będzie członkiem władz Republiki albo jej sił militarnych, czy wtedy nie przekroczymy takiej granicy?

- Jeśli dalej będziesz nakładał na siebie kolejne ograniczenia, wkrótce dojdziemy do tego, że usprawiedliwione są jedynie ataki na potężnie opancerzone siedziby banków na Delurosie VIII - zauważyła Sharon. - Musimy mieć sporo swobody. Skąd mamy dzisiaj wiedzieć, jaki efekt osiągniemy, atakując jakąś jednostkę za dziewiętnaście dni? Jaką klasę będzie miała? Kto będzie na

jej pokładzie? I jaki ładunek będzie przewoziła?

- Dam ci coś jeszcze pod rozwagę - dodał Forrice, który przez ostatnie kilka chwil nie wypowiedział nawet słowa. - Załóżmy, że to będzie okręt wojenny. Taki jak nasz, zanim się zbuntowaliśmy. Załóżmy też, że jego załoga będzie się bronić przed bandą wyrzutków, bo tak nas teraz postrzegają. My bronilibyśmy się w takiej sytuacji... - Zamilkł. - Naprawdę chcesz zabijać marynarzy, którzy bronią okrętu, wykonując rozkazy i spełniając obowiązek, jak my do niedawna?

- To rzecz warta przemyślenia - odparł Cole takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Aż tyle czasu zajęło ci dojście do tej prawdy?”

- To rzecz warta uniknięcia - dodała Sharon.

- Wicie - odezwał się Molarianin - że „Teddy R” powinien pójść na złom ponad pół wieku temu? Prawda jest taka, że każdy okręt Republiki albo Federacji Teroni, na jaki trafimy, będzie miał nad nami miażdżącą przewagę ogniową.

- Tego nie wiemy - zaproponował Cole. - Znajdujemy się na terenach granicznych. Nowoczesny okręt wojenny może dotrzeć tutaj jedynie w pogoni za inną jednostką. Wydaje mi się, że napotkamy w okolicy wyłącznie okręty podobnej klasy co „Teddy R”.

Co nie zmienia faktu, że będziemy musieli zabijać młodych oficerów i marynarzy, których jedynym przewinieniem będzie walka w obronie własnych okrętów - powiedziała Sharon.

- Racja - zgodził się kapitan. - Co nam zatem pozostaje?

- Może - zaczął Forrice.

- Zamknij się wreszcie! - wrzasnęła Sharon i odwróciła się do Cole'a. - Dlaczego po prostu nie poinformujesz nas o tym, do czego doszedłeś przed zwołaniem tego irytującego spotkania?

- Dlatego, że doprowadzenie na te same wnioski ludzi, z

którymi się współpracuje, wcale nie musi boleć - odparł, nie starając się nawet usprawiedliwić

- Zatem słucham - dodała.

- Wydawało mi się, że to jest oczywiste - zaczął Cole. Nie chcemy zabijać ani rabować niewinnej ludności cywilnej. Nie chcemy zabijać wojskowych, którzy tylko wykonują rozkazy i bronią własnych jednostek. Nie chcemy też wdawać się w walki z okrętami Republiki albo Federacji Teroni, bo te mogą mieć nad nami sporą przewagę ogniową. Nie chcemy nawet walczyć z jednostkami, które bez problemu moglibyśmy pokonać. W końcu niszczenie obiektów wojskowych nie jest specjalnie dochodowym zajęciem, a trzeba się przy tym liczyć ze stratami w ludziach i zużyciem amunicji.

- Co nam zatem zostaje? - zapytał Forrice.

Cole uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- O mój Boże! - zawołała Sharon. - Że też sama na to nie wpadłam!

- Ja na nic jeszcze nie wpadłem! - pożalił się Cztery Oczy.

- Piraci! - zawołała Blacksmith. - Będziemy okradali piratów!

Moment później kabina wypełniła się głośnymi gwizdami będącymi molariańskim ekwiwalentem śmiechu.

- To mi się podoba.

- Nie zabijemy ani nie obrabujemy niewinnych ludzi - wyjaśnił Cole. - Żaden pirat nie może określić się tym mianem. A przy okazji unikniemy starć z okrętami wojennymi obu stron konfliktu. Bo tutejsi piraci, o ile istnieją, nie mogą posiadać okrętów wojennych. Chcieliście zdobyć kompensującą ryzyko. W przypadku piratów łupy powinny być spore... - zamilkł na chwilę. - Od czasu ucieczki z terytoriów Republiki mamy zbyt mało ludzi na pokładzie. Myślę, że powinniśmy zamustrować kilku tutejszych oprychów, którzy znają tereny działania i

odpoczynku naszych potencjalnych ofiar.

- To mi się podoba - powiedział Forrice. - Kiedy zaczynamy?

Nagle nad powierzchnią komputera Cole'a pojawił się hologram Rachel Marcos.

- Proszę o wybaczenie, sir - powiedziała chorąży. - Powinien pan wiedzieć, że dostrześliśmy w pobliżu nowy okręt.

- Republikański? - zapytał natychmiast kapitan.

- Nie, sir - odparła Rachel. - Taboriański frachtowiec klasy OO, nieuzbrojony. Jego załoga oddycha chlorową atmosferą. Wydaje mi się, że jest to jednostka kolonizacyjna.

- Dziękuję za informację. Namierzajcie go dalej, ale nie wysyłajcie żadnych komunikatów ani nie zmieniajcie kursu. Jeśli odezwą się do nas przez radio, dajcie mi znać.

- Tak jest! - odparła, obdarzając go szybkim salutem i szerokim uśmiechem, a potem zniknęła.

- Nadal dostaje palpacji serca na twój widok - zauważyła oschle Sharon.

- Wolalabyś, żeby dostawała palpacji serca na widok Forrice'a? - zapytał Cole z rozbawieniem.

- W każdym razie na widok kogoś, kto nie mógłby być jej ojcem.

- Nie cierpię przerywać takich pogawędek - odezwał się Cztery Oczy - ale czy nie powinniśmy teraz zająć się okrętem, który zauważyła Rachel?

- We wszechświecie żyje około czterystu pięćdziesięciu miliardów istot rozumnych - odparł kapitan. - Przynajmniej o tylu wiemy. Nie dziwny się zatem, że od czasu do czasu stajemy sobie na drodze.

- Nie obawiasz się, że doniosą o naszej obecności w tym sektorze? - upierał się Molarianin.

- Niby komu? - zdziwił się kapitan. - Znajdujemy się w samym środku ogromnej ziemi niczyjej. A oni szukają jakiejś

chlorowej planety do zasiedlenia. Jeśli nawet mylę się co do ich intencji, będziemy wiele tysięcy lat świetlnych od tego miejsca, kiedy Republika zareaguje.

- Wydawało mi się, że skończyliśmy już z uciekaniem.

- Bo skończyliśmy - odparł Cole. - Ale nie zamierzam tkwić na tym bezludziu. Jutro rozpoczynamy poszukiwania.

- Poszukiwania? - powtórzył Molarianin. - Pirackich statków?

Kapitan zaprzeczył ruchem głowy.

- Tego wszystkiego, co jest nam potrzebne - odparł. - Nie mamy lekarza pokładowego od chwili ucieczki. A potrzebujemy przynajmniej jednego, najlepiej dwóch. Kogoś, kto zna się na ziemskiej medycynie, i drugiego, który zajmie się pacjentami obcych ras z naszej załogi. Potrzebujemy też bezpiecznej przystani. Portu, który będzie nam służył za bazę.

- Dlaczego nie możemy po prostu operować z pokładu? - zapytał Forrice.

- Bo żaden konkretny paser nie będzie w stanie odnaleźć nas pomiędzy kolejnymi misjami. A ponieważ będzie to niemal na pewno ktoś operujący na terenach Republiki, nie możemy kręcić się w pobliżu jego planety ani tym bardziej na niej lądować.

- Fajnie by było, gdyby udało się wymienić pierwsze łupy na nowsze uzbrojenie - odpowiedziała Sharon.

- To może chwilę potrwać - odparł kapitan. - Kto dziś handluje działami pulsacyjnymi i laserowymi, których potrzebujemy?

- Rozpuścisz pogłoski, pokażesz odpowiednią sumę w gotówce, a na pewno znajdzie się ktoś taki - powiedział z przekonaniem Forrice.

- To możliwe - przyznał Cole. - Ale na twoim miejscu uzbroiłbym się najpierw w cierpliwość.

- Przejdźmy do rzeczy - wtrąciła się Sharon. - Zakładamy zatem, że ten kodeks etyki pirackiej można między bajki włożyć?

- Niezupełnie - uspokoił ją kapitan. - Każdy członek załogi tego okrętu zaryzykował dla mnie życiem i karierą zawodową. Sądzę, że zasłużył także na poznanie treści tych przepisów, skoro będzie się musiał do nich stosować.

Następnego ranka na wszystkich komputerach „Teodora Roosevelta”, nie tylko publicznych, ale i osobistych, pojawiła się ta sama wiadomość:

KODEKS ETYKI:

1. „Teodor Roosevelt” nigdy nie zaatakuje niewinnych przedstawicieli żadnej rasy.

2. „Teodor Roosevelt” nigdy nie zaatakuje niewinnej jednostki cywilnej, a nawet wojskowej, o ile ta nie podejmie wcześniej wrogich działań.

3. „Teodor Roosevelt” nie obrabuje niewinnej osoby ani społeczności z własności legalnie zdobytej.

4. Piraci nie zaliczają się do kategorii istot niewinnych.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cole stanął w przejściu prowadzącym do przedziału bojowego. Eric Pampas, jedyny członek załogi, jaki stacjonował w pomieszczeniu wypełnionym gigantycznymi laserami i działami pulsacyjnymi, wysoki, doskonale umięśniony mężczyzna, poderwał się na równe nogi i zasalutował.

- Dzień dobry, sir!

- Witaj, Byku - odparł kapitan. - Ile razy mam ci powtarzać, że nie musisz mi już salutować i dodawać za każdym razem „sir”.

- To dla mnie takie naturalne, sir - odparł Pampas. - Przy okazji, sir, widziałem kodeks, który rozesał pan załodze.

- I co ty na to?

- Nigdy nie podobała mi się myśl, że będziemy brali na muszkę cywili i kolonistów. Ta wersja jest bliższa temu, do czego nas zawsze szkolono. Nasz okręt przeciw jednostce piratów.

- Czy to odczucie dominuje w szeregach naszej załogi? - zapytał Cole.

- Na pewno w szeregach załogi przedziału bojowego, sir - zapewnił go Pampas. - Dzisiaj nie miałem jeszcze okazji rozmawiać z nikim innym.

- To mi nasunęło kolejne pytanie - dodał zaraz kapitan. - Ilu ludzi zdolacie przeszkolić do obsługi broni, jeśli komandor Forrice ci pomoże?

- Ośmiu, może nawet dziewięciu.

- To znacznie więcej, niż mieliśmy ich w momencie, gdy mustrowałem się na „Teddygo R.” - powiedział Cole. - Od jutra zaczynasz nową robotę. Zwalniam cię z dotychczasowych obowiązków.

- Sir? - odparł pytająco sierżant, robiąc poważną minę.

- Możesz wybrać swojego następcę na stanowisku szefa przedziału bojowego - kontynuował Cole. - Znasz swoich ludzi lepiej niż ja. Tylko, proszę, wybierz jakiegoś kosmitę. Zbyt wielu ludzi zajmuje stanowiska dowódcze w innych sekcjach.

- Z całym szacunkiem, sir - odezwał się Pampas. - Nikt nie zna lepiej tej broni niż ja.

- W to nie wątpię.

- Czy ja znowu zrobiłem coś nie tak, sir? Albo złamałem jakieś przepisy?

- Służysz na pirackim okręcie - pouczył go kapitan. - Regulamin już nas nie obowiązuje. Przynajmniej dopóki nie napiszę nowego.

- Zatem, dlaczego...?

- Nie zdegradowałem cię, Byku. Mam dla ciebie ważniejszą robotę.

- Ważniejszą od nadzorowania systemów uzbrojenia? - zdziwił się Pampas.

- Pomyśl tylko - kontynuował Cole. - Mamy teraz plądrować pirackie jednostki, prawda?

- Zgadza się.

- A co z nich zostanie, jak przywalimy im z tego kalibru? - kapitan zadał kolejne pytanie. - Od tej pory będziemy używać tej broni wyłącznie w samoobronie, co oznacza zero ataków, a zadaniem załogi przedziału bojowego będzie wyłącznie upewnienie się, że nasza artyleria jest sprawna. Christine albo ktoś inny z obsady mostka zaprogramuje ją na nowe cele.

- O tym nie pomyślałem, sir - przyznał sierżant. - To jasne, że nie możemy unicestwiać jednostek, które mamy zamiar obrabować.

- Cieszę się, że doszliśmy w tym punkcie do porozumienia - oświadczył oschle Cole.

- Ale ja opiekowałem się bronią od czasu, kiedy wstąpiłem w szeregi floty, a było to z siedem lat temu - powiedział Pampas. - Tylko na tym się znam.

- Znasz się też na paru innych rzeczach, Byku. Pamiętasz, że wysłałeś czterech członków załogi do izolatki za używanie narkotyków?

- Kazał mi pan ich powstrzymać - zastrzegł się sierżant.

- Ja cię nie ganię, tylko przypominam fakt - wyjaśnił Cole. - Jednym z nich był Polonoi, do tego członek ich kasty wojowników. A ty go o mało nie zabiłeś.

- Stwarzał zagrożenie dla całego okrętu. Nie mogłem pozwolić, aby zbliżył się w takim stanie do broni.

- Nie mówię, że nie miałeś racji. Twierdzę za to, że człowiek, który pokonuje gołymi rękami wojownika Polonoi, musi sporo wiedzieć o walce.

- Oni różnią się trochę od zwykłych Polonoi - przyznał

skromnie Pampas.

Cole po chwili zastanowienia przyznał mu rację. Wszyscy Polonoj byli potężni i muskularni, ale wojowników wyróżniało umiejscowienie organów płciowych, a także wszystkich otworów służących do oddychania i jedzenia, nie mówiąc już o narządach narażonych na ataki - odpowiedników ludzkiego podbrzusza - które zostały genetycznie zmodyfikowane i przemieszczone na plecy. Te istoty mogły albo zwyciężyć, albo ginąć. Jeśli wojownik Polonoj odwracał się tyłem do wroga, jednocześnie wystawiał się na największe niebezpieczeństwo, odsłaniając swoje najczulsze punkty. Z przodu, chroniony płytami kostnymi, był za to praktycznie niezniszczalny, nie odczuwał też bólu.

- Miałem po prostu wiele szczęścia, sir - ciągnął dalej Pampas.

- Mam nadzieję, że jesteś ze mną szczerzy - odparł Cole - ponieważ chciałbym widzieć człowieka o twojej sile i umiejętnościach w naszej grupie uderzeniowej podczas abordażu.

- W grupie uderzeniowej?

- Skoro nie mamy zamiaru rozwalać na atomy pirackich jednostek i interesuje nas zawartość ich ładowni, prędzej czy później będziemy musieli wkroczyć na ich pokłady. - Cole powiedział to tonem, jakim wyjaśnia się dziecku proste sprawy. *Przecież oni nie mogą być aż tak głupi*, pocieszył się w duchu. *Po prostu nie zaczęli jeszcze myśleć jak prawdziwi piraci.* - Czy miałbyś jakiś problem z zabiciem zbira gołymi rękami albo przy użyciu broni?

- Gdyby nastawał na moje życie, nie miałbym żadnych oporów.

- A gdyby ważył zaledwie sto dziesięć funtów i był równie śliczny jak nasza Rachel Marcos?

- Jeśli da pan chorążej Marcos broń do ręki, naciśnie spust z

równą łatwością jak pięćsetfuntowy Torqual, sir. Nie będę się zastanawiał nad takimi szczegółami, kiedy chodzi o obronę życia.

- Świetnie, w takim razie masz tę robotę - powiedział Cole.

- Czy mogę zostać na dotychczasowym stanowisku do momentu, w którym dostrzeżemy okręt piratów, sir? - spytał sierżant.

Cole rozważył tę propozycję i pokręcił głową.

- Nie wiemy przecież, kiedy do tego dojdzie. Wolałbym, żebyś był wtedy wypoczęty. Poza tym, jeśli nasza broń jest sprawna teraz, będzie też działała, kiedy spotkamy piratów. Wierzę też, że ludzie, których wyszkolisz, dadzą sobie znakomicie radę w przypadku pomniejszych awarii... - Zamilkł na moment. - Chciałbym mieć tutaj jakąś siłownię, w której mógłbyś ćwiczyć i strzelnicę do kompletu. Ale na pokładzie „Teddy’ego R.” nie można się swobodnie obrócić, dlatego oddaję ci do dyspozycji tylko tę niewielką salkę rekreacyjną, jaką dysponujemy.

- Tak jest! - ryknął Pampas, wyczuwając, że rozmowa z przełożonym dobiegła końca i znów wyprężył się w salucie.

- I postaraj się pozbyć tego nawyku salutowania.

- Jak już wspomniałem, sir...

- Mam poważne powody, aby cię o to prosić, Byku - dodał kapitan. - Usunęliśmy z okrętu wszystkie oznaczenia Republiki. Wywaliliśmy w kosmos nasze mundury. Jeśli wejdziemy na pokład pirackiego okrętu, a wróg zachowa sobie jakiegoś asa w rękawie, który będzie nas obserwował z ukrycia, aby w odpowiednim momencie uderzyć, będzie miał tylko jeden sposób na ustalenie, kogo pierwszego odstrzelić - wypali do tego, komu oddacie w taki sposób honory.

- Nie pomyślałem o tym, sir - przyznał sierżant. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby odzwyczaić się od salutowania, sir.

- Inną metodą zidentyfikowania dowódcy jest zwracanie się do niego, per „sir” - dodał Cole. - Poprosiłem personel mostka, aby z tego zrezygnował, ale nie doczekałem się reakcji. Dlatego zażądam tego kategorycznie od członków grupy abordażowej.

- Tak... - Pampas powstrzymał się w pół słowa.

- Doskonale. Wybierz zatem następcę, przedstaw jego nazwisko mnie i Forrice'owi, a potem pocałuj sobie któreś działo na do widzenia i kończ wachtę - Ale upewnij się najpierw, że wszystkie systemy uzbrojenia są w pełni sprawne.

Cole odwrócił się tak szybko, że nie zauważył, czy sierżant salutuje mu ponownie i ruszył w stronę wind. Wjechał na samą górę, na mostek, gdzie przejęli wachtę Molarianin Braxyta i wysoki blondyn nazwiskiem Władimir Sokołow.

- Kapitan na mostku! - wydarł się Braxyta, stając na baczność. Sokołow, pracujący przy konsolach, także się wyprostował i zsalutował.

- Dajcie temu spokój - poprosił Cole. - Czy ktoś ma coś do zaraportowania?

- Porucznik Mboya poleciła mi, abym kontynuował mapowanie sektora, nad którym pracowała - powiedział Sokołow, a potem wydał krótki rozkaz jednemu z komputerów w języku, który z pozoru składał się wyłącznie z cyfr i wzorów. Zaraz potem nad jego konsolą pojawiła się trójwymiarowa mapa upstrzona licznymi gwiazdami. Kolejny rozkaz i siedemnaście gwiazd rozbłysło intensywną żółcią, a potem zaczęło szybko mrugać.

- Każdy z tych systemów posiada najgęściej zaludnione planety Wewnętrznej Granicy. Czternaście ma planety z atmosferą tlenową, w dwu kolejnych znajdują się światy chlorowe, w ostatnim można oddychać amoniakiem. Od najdalszych dzieli nas odległość około trzech tysięcy lat świetlnych.

- Niewiele, zważywszy na rozmiary Granicy - zauważył Cole.
- Ludzie mają tendencję do gromadzenia się na niewielkich przestrzeniach, sir - wyjaśnił Sokołow. - Zwłaszcza tutaj, na pograniczu, gdzie jest ich tak mało.

- A co ze szlakami handlowymi?

Kolejna niezrozumiała komenda z ust porucznika sprawiła, że w powietrzu pojawiło się siedemdziesiąt pięć purpurowych linii łączących poszczególne globy. Więcej niż połowa z nich wiodła z planet-kopalni prosto do niewidocznych sektorów leżących już na terytorium Republiki.

- Czy dowiedzieliście się czegoś o trasach i lotach liniowców?

- Tylko tyle, ile znajduje się na ogólnodostępnych stronach informacyjnych - odparł Molarianin. - Ale znalazłem przy okazji dane o tym, które z nich latają w eskorcie okrętów wojennych Republiki. Niestety, każdy z tych luksusowych statków ma tak wiele pokładów, że nie sposób określić, na którym umieszczono najbogatszych pasażerów. Te najbardziej luksusowe, posiadające kasyna i lokale rozrywkowe, nigdy nie opuszczają granic Republiki i chociaż nie posiadają eskorty składającej się z okrętów wojennych, każdy z nich chroniony jest przez flotyllę najemników. Na większości pracują też byli żołnierze i policjanci, którzy strzegą jednostek od środka. Oczywiście incognito.

- Oczywiście - powtórzył Cole. - I tak nie zamierzaliśmy napadać na jednostki cywilne.

- Czy mogę coś dodać, sir? - zapytał Sokołow.

- Tak?

- Dlaczego uważa pan, że ci ludzie są niewinni, skoro podczas wojny zabawiają się hazardem?

- Nie mam pojęcia, czy ci ludzie są niewinni, poruczniku - odparł kapitan. - Ale skoro mają flotyllę najemników i oddziały własnej policji do obrony wewnętrznej, są zbyt dobrze chronieni, aby stać się naszym celem. Lepiej zajmijmy się statkami piratów.

- Według naszych danych na tym terenie znajduje się aktualnie kilka tysięcy jednostek przestrzennych. - Sokołów wskazał ręką na siedemnaście systemów i połowę szlaków handlowych. - Jak mamy wyłowić spośród nich statki należące do piratów?

- Nie musimy tego robić.
- Jak zatem zamierza pan...?
- Pozwolimy im znaleźć nas - odparł Cole. - Powiedzcie Śliskiemu, że chcę z nim pogadać.

- Osobiście, sir?
- Nie, to nie będzie konieczne.
- Chce pan z nim porozmawiać na osobności? Mogę przesłać jego holo do pańskiej kabiny.

- Może je pan przesłać tutaj - powiedział kapitan.
- Już się robi - odparł Sokołów i nagle Cole znalazł się na wprost hologramu „Teddy’ego R.” i Tolobity. Była to przysadzista, lśniaca, dwunożna istota. Jej skóra, gładka i oleista, opalizowała w ciemności. Górne kończyny były masywne i mackowate, bardziej przypominały trąby słoni niż odnóża ośmiornic. Stworzenie to nie miało karku, głowa wyrastała wprost z ramion, co sugerowało, że Tolobita nie mógł jej odwracać. W ustach nie miał zębów, w ogóle wyglądały jak narząd przystosowany wyłącznie do ssania. Oczy były bardzo ciemne i szeroko rozstawione. Na twarzy nie dało się dostrzec ani śladu nozdrzy, a szczeliny po bokach głowy pełniły funkcję uszu. Patrząc na niego, zauważało się brak wielu tak powszechnych cech, ale posiadał w zamian coś niezwykłego: Goriba - żywego, inteligentnego symbionta, który tworzył coś na kształt drugiej skóry, chroniącej nosiciela przed wszelkimi zarazkami i wirusami. Cole nie potrafił wymówić jego prawdziwego imienia - ten kłopot miał zresztą z większością obcych członków załogi - nazwał go więc dla uproszczenia „Śliskim”, ze względu na oleistą, fałszywą skórę. Z

tego, co kapitan mógł do tej pory zaobserwować, Tolobita był najcenniejszym członkiem załogi „Teddy’ego R”. Dzięki Goribowi mógł bowiem przebywać, choć tylko przez krótki czas, w pustce kosmicznej albo na powierzchniach planet z atmosferą chlorową czy metanową. Nie musiał obawiać się przy tym żadnych awarii sprzętu albo skafandra, ponieważ nie musiał z niego korzystać dzięki obecności Goriba na skórze.

- Chciał pan ze mną rozmawiać, sir? - zapytał Śliski, silnie akcentując terrańskie słowa.

- Tak. Pamiętasz, jak niedługo po ucieczce kazałem ci wyjść w przestrzeń i zastąpić wszystkie symbole Republiki czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami?

- Tak jest, sir!

- Świątowaliśmy i trochę mnie wtedy poniosło - ciągnął dalej Cole. - Po zastanowieniu uznałem, że manifestowanie wszem i wobec przynależności do pirackiej braci nie będzie najlepszym pomysłem.

- Chce pan, żebym usunął wszystkie czaszki i piszczele, czy mam je zastąpić innymi symbolami? - zapytał Śliski.

- Chciałbym, żebyś je zastąpił czymś innym.

- Co to ma być, sir?

- Poczekaj chwilę. - Kapitan odwrócił się do Sokołowa. - Pan chyba miał rosyjskich przodków?

- Bóg jeden wie, ile stuleci temu, sir.

- Może mi pan podsunąć jakieś rosyjskie nazwisko albo nazwę?

- Może być Stalin?

- Nie. Nowy Stalin jest jedną z największych planet Republiki - odparł Cole. - Proszę wymyślić coś innego.

- Może Samarkanda?

- Może być - kapitan odwrócił się do hologramu Tolobity. - Na miejscu wszystkich usuniętych czaszek i piszczeli umieścisz

logo Linii Przewozowych „Samarkanda”.

- Logo, sir? - zdziwił się Śliski.
- Porucznik Sokołów przygotowuje dla ciebie kilka wzorów. Chcę je mieć na dziobie i rufie okrętu. Możesz także ozdobić nimi nasze cztery wahadłowce. Dasz radę wykonać to zadanie jeszcze dzisiaj?

- Chyba tak, sir - odparł Tolobita.
- Jeśli to może stanowić jakieś zagrożenie dla twojego Goriba, dam ci nawet dwa dni - dodał Cole.

- Gorib da sobie z tym radę, sir. Czas pracy będzie zależał wyłącznie od tego, ile zajmie mi usuwanie czaszek i piszczeli. Stare symbole Republiki były mocno zatarte ze względu na częste wchodzenie okrętu w atmosfery podczas lądowań na planetach, ale te nowe nigdy nie miały styczności z tak mocnym tarciem i wysoką temperaturą.

- Bierz się od razu do roboty i nie zapomnij powiadomić mostka, kiedy skończysz.

- Tak jest - powiedział Tolobita i przerwał połączenie.

- Co za niezwykła istota z tego Śliskiego - powiedział kapitan z podziwem. - Dajcie mi pięćdziesięciu takich jak on, a podbiję każdą chlorową planetę Federacji Teroni.

- Albo Republiki - dodał Braxyta.

- Albo Republiki - zgodził się Cole. - Jest ich więcej niż ziaren w korcu maku.

- Bez względu na to, czym jest mak - powiedział Braxyta. - I korzec.

- Z tego, co zrozumiałem - wtrącił się Sokołów - chce pan, żebym zaprojektował logo czy też symbol Linii Przewozowych „Samarkanda”?

- Tak - przyznał kapitan. - A jak już pan to zrobi, proszę przygotować tuzin szablonów różnej wielkości, takich, którymi da się zakryć wszystkie czaszki i piszczele na wypadek, gdyby

jednak nie dały się całkowicie usunąć. Śliski rozmieści je na kadłubie. Tylko upewnijcie się, że wytrzymają wpływ wysokiej temperatury i tarcia podczas wielokrotnego wchodzenia w atmosferę.

- Chodzi panu o atmosfery tlenowe?

- O wszystkie - sprecyzował Cole. - Nie zawsze będziemy mieli wolny wybór.

- Już się za to zabieram, sir - zapewnił go Sokołow. - Czy mam panu pokazać projekty, zanim zacznę wykonywać szablony dla Śliskiego?

- A czy ja się znam na projektowaniu? - zapytał kapitan. - Pokażcie je porucznik Mboyi. Ona ma chyba najlepiej rozwinięty zmysł estetyczny.

- Tak jest.

Sokołow powrócił do pracy z komputerem, a Braxyta odezwał się do dowódcy:

- Czy ja dobrze zrozumiałem, że zamierzamy udawać frachtowiec, aby ściągnąć na siebie uwagę piratów?

- Frachtowiec w niebezpieczeństwie - uściślił Cole. - Gdybyśmy udawali normalną jednostkę handlową lecącą do kolejnego portu, musieliby unieszkodliwić nasze silniki, aby mieć pewność, że im nie uciekniemy. A przy tych prędkościach i dystansach różnie może wyjść. Wystarczy odchylenie o dwie sekundy i to, co wydawało się strzałem ostrzegawczym, wyśle nas razem z tą krypą prosto do piekła. Lepiej więc udawać frachtowiec, który już jest unieruchomiony.

- Obawiam się, że nie jesteśmy pierwszą jednostką, która stosuje podobną taktykę - powiedział Braxyta. - Idę o zakład, że okręty floty robią to od dawna na terytoriach pomiędzy Republiką a Federacją Teroni.

- Wątpię - odparł Cole. - Piraci nie mają powodów do wchodzenia na pokłady okrętów wojennych. Już raczej niszczą je

z bezpiecznej odległości.

- A korporacje handlowe, które mają już dość ataków na swoje frachtowce...

- Słuchaj - powiedział kapitan, starając się opanować rozdrażnienie. - Wewnętrzna Granica zajmuje niemal ćwierć obszaru naszej galaktyki. Wlecieliśmy tutaj i podróżowaliśmy z prędkością światła ponad dwadzieścia dni standardowych, napotykając zaledwie trzy obce jednostki. Nie mam pojęcia, gdzie siedzą tutejsi piraci. Forrice także tego nie wie. Jeśli więc ty nie znasz ich zwyczajów, pozwól, że zastosujemy najsensowniejszą taktykę, która polega na zwabieniu ich do nas, zamiast ganiać po całym sektorze.

- Przepraszam, sir - Braxyta spuścił z tonu. - Nie chciałem, by potraktował pan moje słowa jak zaczepkę.

- Nie ma niczego złego w kwestionowaniu rozkazów, które wydają się bezsensowne - odparł kapitan. - O ile nie znajdziemy się pod ostrzałem, nie musicie okazywać mi ślepego posłuszeństwa... - przerwał na moment. - Zgłodniałem. Przekażcie panu Odomowi, że chcę się z nim zobaczyć w mesie.

- Tak jest.

Cole opuścił mostek, przeszedł do windy i zjechał nią na dół, na poziom mieszczący mesę. Minął trzy zajęte stoliki i usiadł przy czwartym, pustym, na końcu sali. Chwilę później Mustafa Odom, mechanik pokładowy i jedyny członek załogi, który miał dostęp do reaktora atomowego, pojawił się w drzwiach, dostrzegł Cole'a i przysiadł się do niego.

- Chciał mnie pan widzieć, sir?

- Tak - mruknął kapitan, zamawiając kanapkę i kubek kawy z menu, które zmaterializowało się tuż przed nim w powietrzu i zniknęło w chwili, gdy zamówienie zostało zrealizowane. Cole znów widział przed sobą twarz Odoma. - Z pewnych względów już jutro, a na pewno w ciągu kilku

najbliższych dni będziemy musieli przekonać załogę innej jednostki o tym, że siadł nam napęd. Zakładam, że nie będziemy mieli do czynienia z idiotami, i każdy milimetr „Teddyego R.” zostanie przeskanowany, zanim piraci dokonają abordażu. Musimy jednak utrzymać wszystkie systemy podtrzymywania życia. Czy to możliwe po awarii napędu nadświetlnego, czy będzie wyglądało zbyt podejrzanie?

- Nie powinno. Mamy zapasowe źródła zasilania dla systemów podtrzymywania życia i ambulatorium. Wydaje mi się, że na wszystkich jednostkach wygląda to podobnie.

- Nie chcę, żebyśmy unieruchomili okręt w przestrzeni i czekali na czyjeś podejście. To by na lata świetlne cuchnęło pułapką. Czy po awarii napędu nadświetlnego możemy poruszać się z mniejszymi prędkościami?

- Możemy osiągać prędkość światła nawet bez głównego napędu - odparł Odom. - Potrzebujemy go jedynie do przyspieszania i hamowania. Po osiągnięciu wymaganej prędkości okręt utrzymuje ją bez dodatkowej pomocy, ponieważ w próżni nie ma tarcia ani grawitacji, które mogłyby spowolnić ruch.

- To mi nie pasuje - mruknął kapitan. - Gdyby zbyt długo zwlekali, moglibyśmy dotrzeć w pobliże jakiejś planety. Cholera, jeśli będziemy szybsi od nich, mogą nas nigdy nie dogonić, nawet w przypadku, gdy utracimy napęd nadprzestrzenny. Musimy wydawać się łatwym celem, tkwiącym w miejscu i totalnie bezbronnym.

- Pomyślę nad takim rozwiązaniem, sir - uspokoił go Odom.
- Czy to już wszystko?

- Czy możemy ukryć przed przeciwnikiem fakt, że nasze systemy uzbrojenia są aktywne?

- Nie.

- Chwileczkę - mruknął Cole. - Chyba wyrażam się nieprecyzyjnie.

- Tak?

- Jeśli odetniemy zasilanie systemom uzbrojenia, wróg może je uznać za nieczynne?

- Tak - przyznał Odom, uśmiechając się szeroko. - Chociaż wcale nie będą zepsute. Można je włączyć w okamgnieniu.

- To powinno zadziałać - ucieszył się kapitan. - Mam nadzieję, że nie będą nam do niczego potrzebne, ale cholera wie, co może się stać podczas takiej akcji. Idźmy dalej: czy komunikacja może działać bez przeszkód, jeśli padło wszystko oprócz systemów podtrzymywania życia?

- Wewnętrzna? Bez problemu.

- A radio podprzestrzenne?

- W tej chwili jest zasilane bezpośrednio z reaktora, ale w razie problemów mogę je przełączyć na zapasowe źródła energii... - Mechanik przerwał na moment. - Jest pan pewien, że będzie go potrzebował?

- A jak mamy nadawać sos? - zapytał Cole.

- Jasne, zajmę się tym.

- Czy możemy jakoś ukryć fakt, że nasza broń ręczna jest aktywna?

- Na pewno nie ukryjemy palników i puszczalek, sir - odparł Odom, odnosząc się gwarowo do blasterów i broni sonicznej. - Są zasilane z wewnętrznych akumulatorów i awaria reaktora w żaden sposób nie może im zaszkodzić. W przypadku broni pulsacyjnej można by coś pokombinować. Nie mamy na pokładzie zwykłej broni kinetycznej, takiej, która strzela metalowymi pociskami?

- Wątpię, żebyśmy dysponowali czymś takim.

- Szkoda. A co z nożami?

- Nie ma ich w standardowym wyposażeniu marynarki -

powiedział Cole. - Możemy wprawdzie zarekwirować je z mesy, ale wolałbym nie atakować nożem kuchennym kogoś, kto jest uzbrojony w palnik.

- Jak już wspomniałem, proszę dać mi trochę czasu. Może wpadnę na jakiś dobry pomysł.

- Jestem otwarty na wszelkie sugestie - stwierdził kapitan. - Ale proszę nie zapominać o jednym: zakładamy, że nasze ofiary nie należą do kategorii głupców, więc nie możemy im wcisnąć kitu, że nagle wszyscy zachorowaliśmy na nową, nieznaną nauce chorobę albo inne paskudztwo. Musi pan wymyślić coś takiego, co zdarza się na tyle często, aby nie nabrali podejrzeń i nie odlecieli, rezygnując z ataku.

- Dobrze - powiedział Odom. - Proszę mi dać kilka godzin na przemyślenie problemu.

- Gdzie się spotkamy? - zapytał Cole.

- Może tutaj.

- Nie będzie pan potrzebował dostępu do swojego komputera?

- A po co? - zdziwił się mechanik. - Wiem tyle, co i on. Poza tym prosi pan o improwizowanie, a komputery nigdy nie były w tym dobre.

Mam tylko nadzieję, że jesteśmy w tym choć odrobinę lepsi niż one, pomyślał Wilson, kiedy opuszczał mesę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cole leżał na swojej koi, czytając książkę z ekranu unoszącego się tuż przed jego oczami, starając się ignorować odbarwienia sufitu przebijające przez holo, gdy nagle tekst zniknął, a jego miejsce zajęła twarz Sharon Blacksmith.

- O co chodzi? - zapytał.

- Rozmawiałeś dzisiaj chyba ze wszystkimi na pokładzie - pożałowała się. - Wydawać by się mogło, że powinieneś powiadomić o swoich planach przede wszystkim szefa sekcji

bezpieczeństwa.

- Przecież i tak nagrywasz mnie bez przerwy, więc wiesz o wszystkim - stwierdził Cole. - O co tak naprawdę chodzi?

- Nudzi mi się.

- Zapamiętaj to uczucie - poradził. - Gdy wkroczymy do akcji, z radością będziesz wracała myślami do tych chwil.

- Wiem o tym - powiedziała i westchnęła głośno. - Ale to już nie to samo, co wojna z Teroni. Nikt nie otwiera do nas ognia tylko dlatego, że jesteśmy okrętem floty. Od momentu zastawienia pułapki do pojawienia się ofiary mogą upłynąć dni, jeśli nie całe tygodnie.

- Zakładam, że czatowanie nie potrwa dłużej niż jeden dzień - pocieszył ją. - Jeśli nie przylecą piraci, na pewno pojawi się jakiś litościwy samarytanin i nas uratuje.

- Co oznacza, że nadal będę się tak nudziła.

- Jeśli twoje słowa nie są zachętą do kolejnych uciech seksualnych, mogę ci znaleźć jakieś zajęcie.

- Jakie?

- Będziemy potrzebowali sześciu członków załogi do grupy abordażowej. Mogłabyś przygotować mi wstępną listę kandydatów nadających się do tej roboty. Jak tylko przyciągniemy piracką jednostkę i pokonamy jej oddziały uderzeniowe, będziemy musieli wkroczyć na wrogi pokład i zrabować stamtąd wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Żeby nie wiem jak wielu ludzi posłali do abordażu i tak jeszcze więcej pozostanie na własnym okręcie. Pokonanie ich i wyniesienie łupów nie będzie łatwe.

- A nie przyszło ci do głowy, że nie będą mieli na pokładzie niczego wartościowego? - zapytała Sharon. - Nie sądzisz, że po obrabowaniu innego okrętu albo kolonii, raczej pozbędą się towaru u pasera, niż będą go taszczyć na następną robotę?

- To też jest możliwe.
- A jeśli tak będzie?
- Wtedy wyciągniemy od pirackiej załogi kilka informacji, które mogą okazać się cenniejsze, niż zwykła zdobycz. - Uśmiechnął się. - Mam nadzieję, że moja szefowa sekcji bezpieczeństwa zna się na takiej robocie.
- Twoja szefowa sekcji bezpieczeństwa posiada pół tuzina specyfików, które pozwalają na wyciągnięcie każdej informacji, jakiej zapragniesz.
- Świetnie - ucieszył się Cole. - Bo już myślałem, że najlepszym sposobem na zorientowanie się w sytuacji byłoby zamustrowanie kilku piratów do naszej załogi, ale szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy można by zaufać tak zdradzieckim szumowinom...
- Zatem zakładasz, że nie tylko przeżyjemy, ale jeszcze schwytemy kilku piratów - zauważyła.
- Sądzisz, że planowanie wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach ma sens, jeśli z góry zakładasz porażkę? - odparł Cole. - Wracając do grupy abordażowej, potrzebuję jeszcze czterech nazwisk i chcę mieć w tym zespole Erka Pampasa.
- Dzikiego Byka? Dobry wybór. Ale to razem daje pięć osób. Myślałam, że chcesz ich mieć sześć.
- Ja będę szósty.
- Nie możesz opuszczać pokładu! - stwierdziła stanowczo Sharon. - Jesteś kapitanem.
- I co z tego?
- To wbrew regulaminowi.
- Nie wiedziałem, że na pirackich okrętach obowiązują jakieś regulaminy - oświadczył oschle Cole.
- Niech cię wszyscy diabli, Wilsonie! Jesteś naszym przywódcą. Wszyscy pozostali członkowie załogi złamali przysięgę daną Republice, aby pójść za tobą. Nie możemy

pozwolić, żebyś został zabity już w pierwszym starciu.

- Wcale nie zamierzam dać się zabić.

- A znasz kogoś, kto zamierzał dać się zabić? - wypaliła w odpowiedzi. - Wilsonie, nie zdobyłeś tych wszystkich medali ze względu na imponującą tężyznę fizyczną. Pozwól, że zaproponuję grupę abordażową w składzie: Erie Pampas, Luthor Chadwick, i ten Mollutei, jak mu tam było, Jaxtaboxl...

- Ja na niego czasem mówię Jabol - przerwał jej Cole. - Albo Jack.

- Wisi mi, jak na niego mówisz! - wrzasnęła. - Pozwól mi dołączyć do tej listy trzech podobnych im zabijaków, a ty siedź na fotelu dowódcy, tam gdzie twoje miejsce.

- Kapitan powinien prowadzić załogę, a nie podążać jej śladem.

- Kapitan powinien mieć autorytet i dowodzić okrętem - skontrowała Sharon. - Do cholery, Wilsonie, przecież wiesz, że mam rację.

- Zastanowię się nad tym.

- Ciekawe, co byś powiedział, gdyby Fujiana i Podok opuścili pokład „Teddy’ego R”? - zapytała, odnosząc się do dwojga poprzednich dowódców.

- Gdyby Podok raczyła to zrobić, świętowałbym cały dzień - odparł kapitan. - A Fujiana, jeśli jeszcze pamiętasz, opuścił pokład okrętu.

- I zaraz został zabity - nie omieszkała mu wytknąć.

- Ja nie nazywam się Fujiana.

- Wilsonie, jeśli poprowadzisz grupę abordażową, możesz sobie poszukać nowej kochanki.

- Jakoś to przeżyję - stwierdził. - Rachel wprawdzie strasznie ciamka przy jedzeniu, ale poza tym jest o dziesięć lat młodsza od ciebie i dwa razy ładniejsza...

- I trzy razy głupsza! - wpadła mu w słowo Sharon.

- Co w łóżku wcale nie musi być wadą.
- W takim razie przypatrz się jej dokładnie i dokładnie sobie zapamiętaj - poradziła mu. - Jeśli położysz na niej te lubieżne łapska, osobiście wydrapię ci oczy.
- Z wielką radością odnotowuję fakt, że nie zaangażowaliśmy się zbyt w nasz przelotny związek - zauważył kapitan, złośliwie się przy tym uśmiechając.
- Nie opuścisz tego pokładu - powtórzyła.
- Czy mogę już wrócić do przerwanej lektury?
- Pieprz się, Wilsonie Cole! - wrzasnęła i przerwała połączenie.
- Domyślam się, że to miało znaczyć „tak” - mruknął do siebie.

Sharon miała rację, doskonale o tym wiedział. Był nieco niższy, niż trzeba i trochę za stary. I raczej nie przeżyłby kilku pierwszych lat służby, gdyby polegał na swoich mięśniach bardziej niż na umyśle. Ten sam umysł podpowiadał mu teraz, że powinien pozostać na pokładzie „Teddyego R.” a nie uganiać się po zajmowanych jednostkach, na których może się czaić pięćdziesięciu uzbrojonych przeciwników, nie mówiąc już o całym realnym zagrożeniu wysadzeniem atakowanego okrętu.

Problem tkwił w tym, że ufał sobie bardziej niż komukolwiek innemu. Zawsze unikał bezsensownego przelewania krwi, nawet gdy chodziło o wroga. Zdołał oswobodzić Roszponkę bez oddania jednego strzału. Zdobył dowodzenie „Teddyem R”, nie tylko nie zabijając wrogów, ale jeszcze ratując pięć milionów niewinnych ludzi, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu i czasie. Wiedział bez cienia wątpliwości, że Erie Pampas, Jabol i pozostali członkowie grupy abordażowej poradzą sobie z walką wręcz o wiele lepiej niż on, ale jednocześnie miał pełną świadomość, że tylko on jeden może zapobiec wybuchowi

niepotrzebnych starć.

Wciąż zastanawiał się nad rozwiązaniem tego problemu, gdy skontaktował się z nim Mustafa Odom.

- Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam, sir - powiedział mechanik.

- Nie - uspokoił go Cole. - Właśnie czekałem na wiadomość od pana. Doszedł pan do czegoś sensownego?

- Znalazłem kilka sposobów na osiągnięcie zakładanego przez pana celu, ale najlepsze wydaje mi się wyłączenie zewnętrznego stabilizatora.

- Czy może mi pan to wyłożyć słowami, które będę mógł zrozumieć? - poprosił kapitan.

- Zewnętrzny stabilizator chroni okręt przed rotacjami i obracaniem się wokół własnej osi, kiedy wysiądzie jedna z dysz. Jeśli odłączę go i upozoruję awarię reaktora, będziemy kręcili się w kółko albo, jeśli mogę to tak określić, będziemy wykonywali niekończące się salta w przestrzeni. - Odom roześmiał się. - To powinno przekonać postronnych obserwatorów o naszej całkowitej bezradności.

- Dlaczego uważa pan, że to będzie bardziej przekonujące niż odłączenie napędu nadświatlnego?

- Wszyscy wiedzą, że można wyłączyć reaktory i restartować je, jak tylko sytuacja zacznie wymykać się spod kontroli - wyjaśnił Odom. - Ale jeśli ktoś spróbuje wejść w nadprzestrzeń, kiedy okręt wykręca salta, ryzykuje zniszczeniem go w ułamku sekundy.

- Czy to kręcenie nie będzie miało jakiegoś wpływu na załogę? - zapytał Cole. - Czy nie powinniśmy się jakoś przed tym zabezpieczyć?

Odom zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Jeśli będziemy zataczali kręgi, zamiast robić becзки, nic

złego nie powinno się wydarzyć. Sztuczne ciążenie jest istotną częścią systemów podtrzymywania życia.

- Racja - przyznał kapitan. - Nie można przecież dopuścić, żeby czyjeś organy porozlatywały się podczas przeprowadzania operacji... - Zamilkł na chwilę. - Zatem jest pan pewien, że nikt nie zacznie lewitować i nie zaczniemy zwracać obiadów?

- Jestem pewien, sir.

- Ile czasu zajmie panu odłączenie tego stabilizatora? - zapytał Cole.

- Kiedy dotrzemy do wyznaczonego celu i zejdziemy poniżej prędkości światła, będę potrzebował od jednej minuty nawet do dziesięciu, aby zatrzymać okręt. To wszystko zależy od tego, z jaką prędkością będziemy się poruszali przed rozpoczęciem hamowania. Potem to już kwestia kilku sekund i zaczniemy wywijać młynka.

- Gdybym był kapitanem pirackiej jednostki, która podchodzi do „Teddy’ego R”, pewnie chciałbym wiedzieć, w jaki sposób nasz okręt zaczął wirować, skoro jego napęd padł.

- Allah nie był zbyt dokładnym majstrem. Cały wszechświat pełen jest dowodów na Jego niedbalstwo. Mały kosmiczny śmieć mógłby pozbawić nas stabilizatora. Ale już taki meteor albo mała asteroida raczej rozwaliby nas na kawałki albo zmiażdżyły. Zakładam jednak, że nie zamierza pan wykonywać tego manewru wewnątrz jakiegoś układu planetarnego, więc spotkanie z tego rodzaju niespodziankami raczej nam nie grozi.

- Rozumiem. Jak tylko miejsce na zastawienie pułapki zostanie wybrane, skontaktuję pana z Christine Mboyą i powie jej pan, jakich cząstek materii powinna szukać, potem pilot ustawi nas w pobliżu ich skupiska. Mam tylko nadzieję, że te śmieci nie zniechęcą innych jednostek do podejścia.

- Dopóki będą miały sprawne reaktory, nic im nie będzie groziło, sir - zapewnił Odom.

- A jeśli nie będą miały sprawnych reaktorów, to po nas nie polecą - podsumował Cole. - Dziękuję Panu, panie Odom. Był pan bardzo pomocny.

Kapitan przerwał połączenie, uznał, że nie ma już ochoty na dalszą lekturę, wstał, wyszedł na korytarz, starając się nie krzywić na widok marnej kondycji wewnątrz okrętu, i pierwszą windą pojechał na mostek. Zastał tam Forrice'a, wojowniczkę Polonoj zwaną Domak i Christine Mboję.

- Tylko nic nie mów... - mruknął pod nosem, gdy porucznik zerwała się na równe nogi, ledwie go ujrzała, a potem wrzasnęła:

- Kapitan na mostku!

Forrice nie drgnął nawet, ale Domak i Christine wykonały pokazowy salut. Było jednak pewne, że nie doczekają się tego samego gestu ze strony dowódcy, więc natychmiast usiadły przy swoich stanowiskach.

Cole podszedł do konsoli, przy której siedziała Mboya, wpatrując się z uwagą w niezrozumiałe wzory pojawiające się co rusz na ekranach.

- Mamy jakieś postępy? - zapytał.

- Oczywiście, sir - zapewniła go porucznik. - Najbliższym ze szlaków handlowych jest trasa łącząca Bindera X z Dalekim Londynem, który leży na skraju Republiki, zaledwie dwa parseki od Wewnętrznej Granicy. Możemy dotrzeć do niego w niespełna dzień, zakładając, że rozwiniemy maksymalną prędkość albo szybciej, jeśli Wxakgini znajdzie jakiś tunel nadprzestrzenny.

- Szukajcie dalej - poleci kapitan. - To zbyt blisko granic tej cholernej Republiki. Chociaż nie posiadamy już oznaczeń na kadłubie, każdy, kto zobaczy niezidentyfikowany okręt tej klasy, którego nie produkuje się już od prawie wieku, szybko odgadnie, z kim ma do czynienia i zaraz będziemy mieli na karku pół floty.

- Za pozwoleniem, sir - powiedziała Christine. - Flota Teroni

zaatakowała ostatnio sektor Terrazane, z czego wnoszę, że wszystkie rezerwy stacjonujące w tych okolicach już zostały tam przerzucone. Zostawiono kilka okrętów, żeby chroniły pobliskie planety przed nagłym atakiem, ale one nie opuszczają pozycji, żeby ścigać okręt, który może, ale wcale nie musi być „Teodorem Rooseveltem”.

- Nie wiedziałem o ataku na Terrazane - przyznał Cole.
- Wcale mnie to nie dziwi - odparła z uśmiechem. - Siedział pan w więzieniu, oczekując na sąd wojenny, kiedy Teroni uderzyli.
- Dobrze, w takim razie zasadzimy się na tym szlaku. Jak tylko wybierze pani odpowiednie miejsce, proszę pozwolić Mustafie Odomowi porozmawiać z pilotem, aby przekazał mu dokładnie, czego tam szukamy.
- Tak jest.
- Zatem wszystko już ustalone - wtrącił się Forrice.
- Niemal wszystko - odparł Cole. - Sharon pracuje właśnie nad składem grupy abordażowej.
- Ty, ja i kto jeszcze? - zapytał Molarianin.
- Dowódca i pierwszy oficer nie mogą opuścić pokładu w tym samym czasie - przypomniał mu kapitan. - To najgłupsza rzecz, jaką powiedziałem od wielu miesięcy - dodał zaraz.
- No dobrze. Ja i kto jeszcze?
- Dlaczego ty, a nie ja?
- Mógłbym zacząć od tego, że jestem silniejszy, szybszy i młodszy od ciebie. No i lepiej widzę w ciemnościach. A poza tym kapitan nie może opuszczać pokładu na terytorium wroga.
- Od kiedy to Wewnętrzna Granica należy do wrogich terytoriów? - zapytał Cole.
- Od momentu, w którym zostaliśmy piratami - oświadczył zdecydowanym tonem Forrice. - Musisz zostać na pokładzie.
- *Et tu, Brute?* - westchnął kapitan.

- Nie znam tego języka ani nie kojarzę cytatu - przyznał Cztery Oczy - ale wy czuwam sens tej wypowiedzi.

- Sir? - wtrąciła się Christine.

- Tak? - Cole odwrócił się do niej, ciesząc się przy okazji ze zmiany tematu.

- Zgłaszam się na ochotnika do grupy abordażowej.

- Kategorycznie odmawiam - powiedział kapitan. - Potrzebuję pani na pokładzie.

- Ale...

- Jeśli Cztery Oczy zamierza iść, będę potrzebował tutaj kogoś zaufanego... - Zamilkł i zmierzył ją uważnie wzrokiem, a potem pokiwał głową z uznaniem, jakby wpadła mu do głowy naprawdę dobra myśl. - Jest pani moim drugim oficerem.

Porucznik otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Ja?

_ Woląaby pani, abym uznał ją za niegodną zaufania?

- Ależ skąd, sir.

- Zatem ustalone. Proszę sobie wybrać wachtę: czerwona, biała, czy niebieska? Będę mógł odpocząć, kiedy pani zasiądzie na mostku.

- Będziesz też potrzebował trzeciego oficera, kiedy ja zejdem z pokładu - przypomniał mu Forrice.

- Pracuję i nad tym - zapewnił go Cole. - Ale wystarczy już tych promocji podczas jednej wizyty na mostku.

- Pan to mówił poważnie, sir? - wydukała wciąż zaskoczona Christine.

- A niby dlaczego miałbym żartować? Przecież pani zna ten okręt lepiej niż Cztery Oczy albo ja.

- Postaram się nie zawieść pokładanego we mnie zaufania, sir - powiedziała zaraz.

- Tylko bez przemówień! - zastrzegł Cole. - Już pani zdążyła dowieść swojej przydatności, w innym wypadku nie

awansowałbym pani na to stanowisko. A teraz, im szybciej zdecyduje pani o miejscu akcji, tym prędzej pan Odom i pilot zdołają znaleźć odpowiednie koordynaty.

- Tak jest! - zawołała, zasalutowowała i skupiła się na powrót na komputerach.

Cole pokręcił się jeszcze kilka minut po mostku. Potem zdecydował, że nie ma tu już nic do roboty i wrócił do kabiny, w której zastał Sharon.

- Pomyślałam, że nie możesz być aż tak zimnym draniem - powiedziała na powitanie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Sir? - to był głos Christine Mboyi.

Cole rozbudził się w jednej chwili.

- O co chodzi?

- Wydaje mi się, że znalazłam odpowiednią lokalizację. Wokół można znaleźć całą masę drobnego kosmicznego śmiecia, dokładnie takiego, jakie według opinii pana Odoma może spowodować uszkodzenie stabilizatora... - Umilkła na moment. - Sir, chyba szwankuje nasz system komunikacyjny. Słyszę pana, ale nie mam podglądu.

- Proszę dać mi minutkę, a naprawię tę usterkę - powiedział Cole.

Szturchnięciem obudził Sharon, uciszył ją, przykładając palec do jej ust, zanim zdążyła wydać jakiś dźwięk i wskazał drugą ręką na drzwi od łazienki. Natychmiast wstała z łóżka, zabierając ze sobą mundur i wyszła z pola widzenia kamery. Wilson ubrał się szybko i przełączył nadajnik holo, zezwalając na transmisję obrazu i dźwięku.

- Ile czasu potrzebujemy, aby dotrzeć do wskazanego przez panią miejsca? - zapytał.

- Wxągini twierdzi, że nie więcej niż dwie godziny, sir - odparła Christine.

- Dwie godziny? - zdziwił się Cole. - Myślałem, że to zajmie nam przynajmniej dzień.

- Pilot znalazł tunel czasoprzestrzenny, który zaoszczędzi około osiemnastu godzin lotu, sir.

- Świetnie - powiedział kapitan. - Jeśli Cztery Oczy jest gdzieś pod ręką, proszę mu kazać iść spać. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy czuwali w tym samym czasie. Zmienię panią za około dziewięćdziesiąt minut, pod warunkiem, że natychmiast uda się pani do swojej kabiny i prześpi przynajmniej osiem godzin.

- Nie wiem, czy dam radę - przyznała Christine. - Będę za bardzo spięta.

- Proszę coś wymyślić - dodał stanowczo. - Jeśli jednostka, którą zamierzamy zwabić, pojawi się po dziewiętnastu godzinach zamiast oczekiwanych dziewięciu, na mostku „Teddy’ego R.” musi być świeży i wypoczęty dowódca.

- Dowódca? - Oczy Christine zrobiły się okrągłe. - Jeszcze nigdy nie robiłam czegoś podobnego, sir.

- Ja też nie - zapewnił ją Cole. - Pewnie to panią zdziwi, ale w akademii floty niewiele można się nauczyć o działaniach pirackich w przestrzeni.

- Chodziło mi o...

- Wiem, o co pani chodziło - przerwał jej. - Wybrałem panią do tej roboty i musi pani jakoś z tym żyć.

Kapitan przerwał połączenie, zanim Sharon, już w mundurze, opuściła łazienkę.

- Czas zebrać naszą grupę abordażową - powiedział.

- Słyszałam. Mamy dwie godziny?

- Dwie godziny do przybycia na miejsce. Do czasu kiedy pojawi się towarzystwo, minie pewnie kolejnych dziesięć, jeśli nie dwadzieścia.

- Dostaniesz dane wybranych członków załogi najdalej za

godzinę.

- Nie potrzebujesz na to aż tak wiele czasu. Wybraliśmy już trzy osoby, a ja nie zdołam trzymać Forrice'a z dala od tej zabawy, więc potrzebujemy jedynie dwóch nazwisk.

- Co powiesz na Śliskiego? - zapytała. - Masz o nim bardzo dobre zdanie. O ile on, to nie ona albo ono.

- Nie sądzę, żeby nasze rozróżnienie płci miało zastosowanie przy Tolobitach - odparł Cole. - Ale on nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego?

- Mam dla niego bardziej odpowiedzialne zadanie.

- Dobrze - powiedziała Sharon. - Wybiorę dwóch następnych i dam ci znać.

- Dałem ci swobodę wyboru, ale... na twoim miejscu pomyślałbym o Domak. Wojownicy Polonoi bez względu na płeć są cholernie trudni do zabicia.

Sharon pokręciła głową.

- Zbyt dobrze zna się na zarządzaniu systemami okrętu. Jeśli znajdziesz się na mostku, a Christine będzie miała w tym czasie wolne, możesz jej potrzebować.

- Dobrze. Jak już wspomniałem, to twój wybór. Skompletuj mi tę grupę najdalej za godzinę.

- Lepiej będzie, jeśli skontaktuję się z nimi ze stanowiska bezpieczeństwa - stwierdziła, podchodząc do drzwi. - Zobaczymy się później. I nie zapomnij zaścielić łóżka, straszny masz tu burdel.

- Tylko nie ślódź im za bardzo i nie romansuj - zawołał za nią Cole. - Ja też tak potrafię, ale nie widziałas nigdy, żebym odnosił się w ten sposób do członków załogi.

- Coś mi się wydaje, że powinnam cię zamknąć na kilka dni z Rachel Marcos - powiedziała Sharon. - Te żałosne resztki, które by z ciebie zostały po dłuższym kontakcie z nią, byłyby z pewnością o wiele bardziej uległe.

Drzwi zatrzasnęły się, jak tylko wyszła na korytarz.

Cole raz jeszcze przeleciał w pamięci kolejne punkty planu, czując rosnący niepokój. Operacja nie była skomplikowana, ale mógł przecież coś przeoczyć, choć teraz wydawało mu się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Znaleźli idealne miejsce, niezbyt odległe od szlaku handlowego, miejsce, w którym „Teddy R.” mógł zostać uszkodzony po awarii reaktora napędzającego silniki. Miał też kamery zewnętrzne, dzięki którym mógł widzieć wszystkie symbole i napisy na kadłubie mówiące o tym, że jednostka należy do Linii Przewozowych „Samarkanda”. Christine przygotowała wiadomość sos ściśle według jego wskazówek i lada moment zostanie ona nadana na dwóch milionach częstotliwości jednocześnie. Dotrze do każdego obiektu znajdującego się w promieniu czterdziestu lat świetlnych. Kapitan będzie miał własną grupę abordażową ukrytą w pobliżu głównego wjazdu, ale nie wyśle jej poza okręt aż do momentu, kiedy reszta załogi pokona atakujących piratów. Obsada mostka przeskanuje skład atmosfery na pirackiej jednostce oraz panującą tam grawitację. Grupa abordażowa będzie miała pod ręką skafandry próżniowe, na wypadek gdyby okazało się, że nie jest to pojazd przystosowany dla istot białkowych oddychających tlenem. Istniały trzy rasy podróżników międzygwiazdnych, które w ogóle nie posiadały oczu i korzystały z nieznanych jeszcze zmysłów przy manewrowaniu, ale żadna z nich nie zamieszkiwała w okolicach Wewnętrznej Granicy. Niemniej Cole zadbał też o to, żeby Forrice i pozostali zostali wyposażeni w noktowizory, dzięki którym tak czy inaczej będą lepiej widzieli wewnątrz pirackiego statku.

Została mu tylko jedna rzecz, którą powinien zrobić przed wyjściem na mostek. Włączył komunikator i skontaktował się ze Śliskim.

- Tak, sir? - powiedział hologram Tolobity.
- Przerwij prace i zejdź natychmiast do przedziału bojowego.

Musimy porozmawiać - powiedział kapitan.

Zakończył połączenie, zanim Śliski zdążył odpowiedzieć, potem wywołał Pampasa i przekazał mu identyczne polecenie. Opuścił kabinę, wszedł do windy, zjechał na sam dół i przeszedł do przedziału bojowego, gdzie zastał Tolobitę. Sierżant dotarł na miejsce spotkania chwilę później.

- Byku - najpierw Cole zwrócił się do Pampasa. - Byłeś oficerem dowodzącym przedziałem bojowym. Chciałbym wysłuchać twojej opinii.

- Zabrzmiało to lepiej niż „sierżancie” - wtrącił z uśmiechem Pampas.

- Od czasu, gdy zostaliśmy piratami, wszyscy jesteśmy oficerami - odparł Cole. - Tak czy inaczej, znasz ten przedział lepiej niż ktokolwiek inny, dlatego od tej chwili mianuję cię tymczasowym oficerem komunikacyjnym.

- Co mam robić w ramach nowych obowiązków, sir?

- Jest mi obojętne, czy będziesz coś robił osobiście czy zlecisz tę robotę komuś - odparł kapitan. - Chcę, żebyś załatwił bezpośrednio i stałe wizyjne połączenie pomiędzy mostkiem a tym miejscem. Jednostronne. Śliski ma widzieć stąd mostek, ale tak, aby nikt z tamtej strony nie mógł obserwować przedziału bojowego.

- To łatwizna.

- Jeszcze nie skończyłem - dodał Cole. - Chcę też, żeby Śliski miał podgląd na główny właz. Żeby Wiedział, kiedy piraci wkroczą na nasz pokład.

- Tu też ma być łączność w jedną stronę?

- Tak.

- Skoro wszystkie systemy uzbrojenia są sterowane z mostka, nie będziemy potrzebowali większości tych ekranów. - Pampas

wskazał monitor przytwierdzony do działa pulsacyjnego. - Podepnę do niego kamerę przy włazie. Czy to już wszystko, sir?

- Niezupenie - powiedział Cole. - Chcę także, żebyś wykonał tuzin ładunków wybuchowych, które Śliski będzie mógł odpalić bez względu na to, czy znajdzie się wewnątrz czy na zewnątrz kadłuba.

- Jak mocne mają być?

- Nie na tyle, żeby uszkodzić integralną strukturę poszycia, ale wystarczająco silne, aby zniszczyć dowolny system uzbrojenia.

- Chodzi panu o zewnętrzne systemy uzbrojenia, sir - stwierdził Pampas.

- Zgadza się.

- Czyli pirackie?

- A możesz mi wskazać jakieś inne systemy uzbrojenia, które chcielibyśmy dzisiaj unieszkodliwić?

Pampas roześmiał się.

- Nie, sir. A skoro o tym mowa, mam nadzieję, że nie zmieniał pan decyzji o moim wcieleniu do grupy abordażowej?

- Mam nadzieję, że będzie pan równie sprawnie obezwładniał piratów, jak swego czasu kolegów z załogi - powiedział Wilson. Zanim sierżant zaprotestował, Cole podniósł rękę. - Powiedziałem to z nieukrywanym podziwem, Byku. W końcu zrobiłeś to na mój rozkaz.

- Tak jest! - Pampas nie potrafił ukryć zmieszania.

- A teraz bierz się lepiej do roboty. Proś, o co zechcesz, ale masz skończyć najdalej za dwie godziny. - Cole odwrócił się do Śliskiego. - Domyślasz się już, czego od ciebie oczekuję?

- Chce pan, abym przymocował ładunki wybuchowe do systemów uzbrojenia pirackiego okrętu - odparł Tolobita.

- Oraz do wszystkich ich wahadłowców oprócz jednego - dodał kapitan. - Zakładając oczywiście, że posiadają jakieś wahadłowce, do których można dostać się od zewnątrz.

- A po co te ekrany, sir? - zapytał Śliski.
- Dlatego, że możemy trafić najpierw na jakąś jednostkę ratunkową albo okręt pełen niewinnych ludzi, którzy pospieszą nam z pomocą. Nie chcę, żebyś opuszczał pokład „Teddy’ego R”, zanim uzyskasz wizualne potwierdzenie, że mamy do czynienia z prawdziwymi piratami. Jeśli zastrzelą kogoś zaraz po otwarciu włazu, będziesz miał oczywiście pewność. Jeśli zaczekają z atakiem i ujawnią się dopiero po dotarciu na mostek, też się o tym dowiesz. A wtedy opuścisz pokład, ale nie głównym włazem, tylko jedną ze śluz dla wahadłowców i zaczniesz rozmieszczać ładunki wybuchowe.
- A kiedy mam je zdetonować, sir?
- Najpierw musisz bezpiecznie wrócić na pokład - powiedział Cole.
- Na zewnątrz też będę zupełnie bezpieczny - stwierdził Śliski. - W kosmosie nie ma fali uderzeniowej.
- Wiem, ale wokół może latać zbyt dużo fragmentów zniszczonej broni. Jeśli twój symbiont nie jest odporny także i na takie zagrożenia, mógłby odnieść poważne rany, a gdyby został zabity albo rozcięty, zginąłbyś w przestrzeni równie szybko jak ja.
- Ma pan rację, sir - powiedział Tolobita. - Nie pomyśleliśmy o tym.
- My? - zdziwił się Cole.
- Ja i mój Gorib, sir.
- On rozumie, co ja mówię? - zapytał kapitan. - Z tego, co widziałem, to tylko rodzaj naskórka. Nie wiedziałem, że ma jakieś receptory.
- Jesteśmy połączeni telepatycznie. Nie musi posiadać własnych zmysłów, skoro może korzystać z moich.
- Wiesz, jest taka sprawa, o którą nigdy wcześniej cię nie pytałem. Czy ty i on... czasami się kłócicie?

- Jesteśmy symbiontami, sir - odparł Śliski, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Dobrze, jak już wspomniałem, chciałbym, żebyś wrócił jak najszybciej na pokład „Teddy’ego R”, aby żaden z was nie odniósł obrażeń podczas eksplozji ładunków. Jak wrócisz, masz czekać na mój sygnał.

- Tak jest. Czy to już wszystko, sir?

- Tak - odparł Cole i zaraz dodał: - Nie.

- Słucham?

- Czy twój Gorib ma jakieś imię?

- I tak by go pan nie wymówił, sir.

- Jesteś tego pewien?

- Nie potrafi pan przecież wymówić mojego imienia, a jest ono dla nas wspólne. Jeśli chce pan zwracać się bezpośrednio do mojego Goriba, proszę nazywać go Śliski.

- Ale to na ciebie mówię Śliski!

- W końcu jesteśmy symbiontami.

Cole zaczął podejrzewać, że na każde pytanie o Goriba otrzyma podobną, jeśli nie identyczną, odpowiedź, bez słowa opuścić więc przedział bojowy i udał się do mesy. Tylko dwa stoliki były zajęte, usiadł więc jak zwykle w kącie i zamówił kawę oraz kanapkę. Jeden z jedzących, Luthor Chadwick, wysoki, szczupły, młody i krótko ostrzyżony blondyn wstał zaraz i podszedł z kubkiem i talerzykiem, na którym spoczywały resztki czegoś, co musiało być deserem.

- Nie będzie miał pan nic przeciw, jeśli się dosiadę? - zapytał.

- Człowiek, który uwolnił mnie z więzienia, może się do mnie przysiąść, kiedy zechce - odparł Cole.

- Cała załoga brała udział w tamtej akcji, sir.

- Ale to pan był strażnikiem posiadającym kody do zamka mojej celi. Czym mogę panu służyć, panie Chadwick?

- Chciałem panu podziękować za danie mi szansy - powiedział blondyn.

- Szansy na zostanie członkiem załogi okrętu ściganego przez Federację Teroni i Republikę? - zapytał kapitan i uśmiechnął się szeroko. - Łatwo pana zadowolić, jak widzę.

- Nie, sir - odparł z powagą Luthor. - Chodziło mi o włączenie do grupy abordażowej.

- To żaden honor. Może pan zginąć jako pierwszy, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Do tej pory czułem się, jakbym nie zasługiwał na żołd... - zaczął Chadwick.

- Przecież my nie dostajemy żołdu - przerwał mu Cole.

- Chodziło mi o utrzymanie, sir - poprawił się Luthor. - Mamy na pokładzie trzydziestu dwóch członków załogi, więc asystent szefa sekcji bezpieczeństwa niewiele ma do roboty, zwłaszcza gdy pani Blacksmith jest na służbie. Ona jest tak dobra w tej robocie i kontroluje tak wiele rzeczy, że czasami czuję się bezużyteczny. Dlatego ciesz się, że w końcu będę miał coś konkretnego do zrobienia.

- Poczuj się pan coś zupełnie innego, ledwie zacznie się strzelanina - zapewnił go kapitan.

- Wątpię, sir.

- Proszę uważać na siebie, panie Chadwick - powiedział Cole. - Mamy teraz na pokładzie połowę normalnej obsady. Na pirackich statkach nie znajdziemy niczego, co warte byłoby waszego życia. Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli wyczuje pan pułapkę, jeśli z jakiegokolwiek powodu uzna pan, że ugryźliśmy większy kawałek, niż możemy przełknąć, musi pan rozkazać ludziom z grupy abordażowej natychmiastowy powrót. Jeśli przeżyjecie, wkrótce trafi się kolejna okazja do walki.

Chadwick roześmiał się.

- Komandor Forrice pół godziny temu powiedział mi

dokładnie to samo.

- Jak widać nawet taki twardogłowy, uparty i sarkastyczny Molarianin potrafi się w końcu czegoś nauczyć - stwierdził kapitan.

- Podobno służycie razem od długiego czasu? - zapytał Chadwick.

- Ale z przerwami - odparł Cole. - Znamy się od wielu lat. Myślę, że to najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałem. Nie potrafię zrozumieć osiemdziesięciu procent kosmitów, których spotykam na swojej drodze, są tacy nawet na tym pokładzie, ale Cztery Oczy jest dla mnie jak brat. Do cholery, wszyscy Molarianie są tacy. Czasami potrafią być bardziej ludzcy niż my sami.

- Też to zauważyłem, sir - powiedział Chadwick. - Tylko ludzie i Molarianie potrafią się śmiać.

- Miejmy więc nadzieję, że jutro wszyscy ludzie i Molarianie z załogi „Teddy’ego R” też będą się zaśmiewać do łez.

- Nie wątpię, że będą. W końcu służymy pod Wilsonem Cole’em.

- Proszę mnie zastrzelić, gdybym kiedykolwiek uznał, że to wystarcza do zdobycia absolutnego zaufania załogi - stwierdził kapitan, przełknął ostatni kęs kanapki i dopił kawę. - Wracam na mostek, a panu dobrze radzę, niech pan się chociaż zdrzemnie. Od rozpoczęcia operacji dzieli nas kilka godzin, a może nawet dni.

- Tak jest - odparł Chadwick, podrywając się i salutując. - I jeszcze raz dziękuję, sir.

Odwrócił się i opuścił małą mesę, a Cole zrozumiał, że ten młodzieniec z pewnością nie zaśnie i z każdą chwilą będzie w nim rosło napięcie oraz ekscytacja nadchodzącymi wydarzeniami. Po chwili kapitan również wstał, udał się do najbliższej windy i wjechał na mostek.

- Ile nam jeszcze zostało? - zapytał Christine Mboję.
- Może dziesięć minut - odparła. - Wxakgini poinformował mnie, że rozpoczęliśmy hamowanie do podświetlonej przed dwiema minutami.
- Wcale tego nie czuję - powiedział Cole.
- I nie poczuje pan, dopóki ja tu jestem odpowiedzialny za pilotowanie - odezwał się Wxakgini z wiszącej wysoko nad ich głowami kapsuły.
- I to mi się zawsze podobało w pilotach - oświadczył kapitan. - Ta skromność. - Odwrócił się do Christine. - Przejmuję od pani stanowisko dowodzenia. Proszę iść spać.
- Ale moja zmiana jeszcze się nie skończyła, sir - zaprotestowała.
- Niemniej przejmuję pani obowiązki. - Kapitan odwrócił się do interkomu. - Chorąży Marcos stawi się na mostku - powiedział i spojrzał na Domak. - Wytrzyma pani kolejne sześć albo siedem godzin, poruczniku? A może potrzebuje pani pożywienia albo snu?
- Bez najmniejszego problemu mogę pełnić obowiązki przez kolejne siedem godzin - zapewniła Polonoi.
- Nie wątpię, że pani może... Ale wszystko wskazuje na to, że w tym czasie nie wydarzy się nic interesującego. Proszę może jednak skorzystać z okazji i odpocząć.
- Skorzystać? - powtórzyła Domak, robiąc taką minę, jakby nie znała tego słowa.
- Nieważne - zbył ją Cole. - Może pani zostać na stanowisku.
- Nagle podniósł głos. - Sekcja bezpieczeństwa, czy monitorujecie mostek?
- Nie musisz się tak wydzierać - oznajmił hologram Sharon, który w tym samym momencie pojawił się przed nim.
- Jak tam nasza grupa abordażowa? - zapytał kapitan, gdy Rachel Marcos zameldowała się na mostku. - Mamy komplet?

- Mamy komplet.
- Ile ras wchodzi w jej skład?

Domak, Christine i Rachel odwróciły się w jego stronę jak na komendę.

- Trzy - odparła Sharon. - Mamy czterech ludzi, Forrice'a i Jabola.

- Proszę zwolnić jednego z ludzi i włączyć w jej skład kolejnego obcego.

- Wybrałam członków załogi, którzy najlepiej nadają się do tej roboty - stwierdziła Sharon.

- Nie wątpię i wcale nie chodzi tutaj o poprawność rasową - zapewnił ją Cole. - Nie wiemy jednak, jakiej rasy będą istoty, które nas zaatakują. Najprawdopodobniej napotkamy ludzi, bo oni są najliczniej reprezentowani w sektorach Wewnętrznej Granicy, ale jeśli będziemy walczyli z innymi rasami, wydaje mi się, że powinniśmy zwiększyć szansę na posiadanie po naszej stronie przedstawicieli tych cywilizacji. Może dzięki temu tamci będą bardziej skłonni do negocjacji.

- Wątpię - burknęła Sharon.

- Prawdę powiedziawszy, ja również - przyznał kapitan - ale nic nas to nie kosztuje, a może pomóc w ostatecznym rozrachunku.

- Dobrze - zgodziła się. - Może pan sobie zabrać porucznika Sokołowa, skoro panu tak na tym zależy.

- Ale jeszcze nie teraz. Proszę mu przekazać, że zastąpi porucznik Domak za sześć godzin. W tym czasie, jeśli jeszcze nie zasnął, ma stawić się w przedziale bojowym i pomóc sierżantowi Pampasowi. Chcę, żeby to Byk prowadził naszą grupę abordażową. Jeśli Sokołow wie, jak wykonać zadanie powierzone Ericowi, niech go zastąpi, a nie pomaga. To samo dotyczy Braxyty, jeśli nie ma nic do roboty, niech zasuwa do przedziału bojowego.

- Rozumiem - powiedziała Sharon i przerwała połączenie.
- Rachel, stawaj za konsolą komputera - rozkazał Cole. - A ty, Christine, opuszczasz mostek i maszerujesz do łóżka.

Chorąży Marcos usiadła przed komputerami, a porucznik Mboya skrzywiła się, westchnąwszy ciężko, jakby odesłanie na odpoczynek było dla niej karą, a nie ulgą i ruszyła w stronę wind.

- Sharon, czy Śliski ma już podgląd na mostek i właz? - zapytał kapitan, ponownie podnosząc głos.

- Mógłbyś tak nie wrzeszczeć? - poprosił hologram Blacksmith, znów pojawiając się przed nim. - Mieliśmy taki podgląd od bardzo dawna, nawet w czasach, kiedy nie myśleliśmy o podobnych akcjach. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Śliski może obserwować wszystko, co dzieje się na mostku i przy włazie.

- W pewnym momencie opuści nasz pokład - powiedział Cole - ale kiedy wróci, musi mnie słyszeć, gdziekolwiek by wtedy był.

- Nie ma sprawy.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie.
- Dobra, możesz znowu zniknąć.

Hologram Sharon rozplynął się w powietrzu. Kilka minut później Wxakgini poinformował, że „Teddy R” właśnie się zatrzymał.

- Wprowadzić okręt w ruch obrotowy - powiedział Cole i odwrócił się do Rachel. - Rozpocznij wysyłanie wiadomości sos, którą przygotowała Christine, tej mówiącej o awarii reaktora, uszkodzeniu stabilizatora i naszej beznadziejnej sytuacji. A potem Połącz mnie z Odomem.

Hologram mechanika pojawił się przed kapitanem w tej samej sekundzie.

- Świetnie, panie Odom - ucieszył się Cole. -

Wyhamowaliśmy i wchodzimy w rotację. Wydaje mi się że nadszedł najwyższy czas na wyłączenie napędu i przejście na systemy podtrzymywania życia.

- Potrzebuję trzech minut na wyłączenie wszystkiego - poinformował go mechanik.

- A ile czasu będzie pan potrzebował, żeby wszystko uruchomić, jeśli zajdzie nagła potrzeba? - zapytał kapitan.

- Około minuty, ale proszę pamiętać, nie możemy ruszyć, jeśli okręt nie wyjdzie z rotacji.

- Wiem. Proszę wyłączyć napęd, panie Odom.

Po przejściu na systemy podtrzymywania życia na pokładzie „Teodora Roosevelta” nie zaszła żadna widoczna zmiana. Gdyby nie lekkie zawroty głowy, jakich Cole doznał, obserwując jeden z ekranów, mógłby przysiąc, że nadal mkną przed siebie przez sektory Granicy.

- Jak pan sądzi, ile to może potrwać? - zapytała Rachel Marcos.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Dłużej niż godzinę, ale krócej niż standardowy dzień.

- Ciekawa jestem, jacy oni będą? - zastanawiała się na głos.

- Na pewno chciwi.

- To zupełnie jak my - wtrąciła Domak. - W tej materii niczym się od nich nie różnimy.

- A może jednak - zaprotestował Cole.

- Na przykład czym, sir?

- Gdybyśmy natrafili w przestrzeni na jednostkę kręcącą się w kółko - powiedział kapitan - i do tego nadającą sygnał sos, zatrzymalibyśmy się, aby jej pomóc. A oni zamierzają ją obrabować.

- W takim razie marni z nas piraci - podsumowała Domak, ale jej surowe oblicze pozostało nadal beznamiętne.

- Jesteśmy nowi w tej branży - odparł z uśmiechem Cole. - I

wciąż się uczymy... - A potem zamilkł na moment i dodał już poważniejszym tonem: - Ale gdy nadejdzie taki moment, że obrabujemy jednostkę nadającą sygnały sos, nie będziemy lepsi od tych, na których się dzisiaj zasadzamy. I tego dnia „Teddy R” będzie musiał znaleźć sobie nowego kapitana.

Domak nie odpowiedziała, Rachel wbiła wzrok w ekrany komputerów, Wxakgini pozostawał w błogiej nieświadomości wszystkiego, co nie przeszło przez obwody komputera nawigacyjnego podłączonego bezpośrednio do jego mózgu, więc Cole doszedł po kilku minutach do wniosku, że czas odwiedzić niewielką oficerską mesę i odprężyć się trochę. Wybrał jakiś program muzyczny i dooglądał go mniej więcej do połowy, zanim widok tancerzy i muzyków zastąpiło holograficzne odwzorowanie twarzy Sharon Blacksmith.

- Czy pan kapitan raczyłby zatargać swoje dupsko na mostek? - zapytała.
- Coś się dzieje? - odparł pytaniem na pytanie Cole.
- Zaraz będziemy mieli towarzystwo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co to za jednostka? - zapytał Cole, gdy tylko wszedł na mostek.

- Klasa LJD, sir - zameldowała Rachel.

- Uzbrojenie?

- LJD to klasa luksusowych jachtów, sir. Nie montuje się na nich żadnego uzbrojenia, ale ten egzemplarz posiada dwa dosztukowane działa pulsacyjne ułożone po obu stronach dzioba.

- Mogą nimi obracać?

- Jestem pewna, że potrafią prowadzić ogień w różnych kierunkach - odparła Rachel. - Ale nie potrafię odpowiedzieć, czy zdołają je odwrócić o sto osiemdziesiąt stopni i strzelać za własną rufę.

- Mają tylko dwa działa? - upewnił się Cole. - Na pewno nie więcej?

- Na pewno, sir.

- Luksusowy jacht? Ci chłopcy lubią komfort, muszę przyznać - powiedział kapitan. - Gdyby to ode mnie zależało, pewnie kupiłbym jakiś potężny okręt wojenny z demobilu, może od którejś z pokonanych potęg, jak choćby Settów, i przerobiłbym go na potrzeby załogi. - Odwrócił się do Domak. - Wiemy już, z kogo składa się załoga?

- Sensory wykryły czternaście form życia na pokładzie jachtu - zameldowała natychmiast Polonoi - ale na razie nie mogę określić... Zaraz! Na pewno oddychają tlenem.

- Ludzie?

Wzruszyła ramionami.

- Istoty dwunożne. Nie określe ich rasy, dopóki nie podejną bliżej.

- Czy ich działa zostały uaktywnione?

- Tak, sir.

Nagle na mostku pojawiła się Christine Mboya.

- Dowiedziałam się, że już tu są. Proszę o pozwolenie zajęcia stanowiska.

- Pani nie ma już stanowiska. Została pani awansowana na drugiego oficera.

- W takim razie proszę o pozwolenie na zajęcie mojego poprzedniego stanowiska - nie ustępowała.

Cole stał nieruchomo przez kilka sekund, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, potem skinął w stronę konsoli.

- Jest pani wolna - powiedział do Rachel.

- Ale, sir... - zaczęła chorąży Marcos.

- Nie mam czasu na dyplomatyczne podchody - przerwał jej Cole. - Christine jest najlepsza w swoim fachu, a w tej grze idzie o nasze życie. Ale pani też może nam się przydać. Śliski przenosi pewne rzeczy do doków, proszę mu w tym pomóc. - Rachel wyglądała, jakby za moment miała się rozplakać, a tego akurat najmniej mu było teraz trzeba. - To naprawdę ważne zadanie - zapewnił ją. - Wystarczy, że jedna z tych przesyłek wam upadnie, i piraci nie będą już musieli nas rozwalać.

Marcos zasalutowała i opuściła mostek, a Cole mógł się ponownie skupić na Domak.

- Czy już wiemy, do jakiej rasy należą?

Polonoi pokręciła głową.

- Jeszcze chwilę.

- Christine, zerknij, czy te działa faktycznie są obrotowe, czy mogą tylko prowadzić ogień przed dziobem jachtu?

- Niewiele można powiedzieć tak na oko - odparła Mboya - ale logicznie rzecz biorąc, powinny się obracać. Pirackie okręty częściej strzelają do pościgu niż do ofiar. Przecież nie da się okraść kompletnie zniszczonego wraku.

- Tak, to ma sens. - *Tak*, pomyślał jednocześnie - *w*

podobnych chwilach lepiej mieć cię na mostku.

- Sir? - tuż przed nim pojawił się hologram Śliskiego. - Dlaczego pan tak wypytuje o możliwość obracania tych dział, skoro i tak mam je wysadzić?

- Nie chcę wpędzać cię w konsternację - odparł kapitan - ale w czasie, gdy będziemy odwracali ich uwagę od twojej osoby, któryś z nich może się zorientować, co robisz, i dzięki tym działom rozpylić ciebie i Goriba na cholerne atomy. Inaczej mówiąc jeśli te działa mogą się obracać, wysyłanie kogokolwiek, aby dokończył twoją robotę, może okazać się bezcelowe.

- Dziękuję za wyjaśnienia, sir - powiedział Śliski, który prawdę mówiąc, nie wyglądał na specjalnie zdenerwowanego. - Byłem ciekawy i to wszystko.

- Postaraj się powściągnąć na razie swoją ciekawość - poprosił Cole. - Przez kilka najbliższych minut wszyscy będziemy bardzo zajęci.

Następnym razem odezwał się dopiero, gdy Christine dała mu znać o wiadomości nadanej ze zbliżającej się jednostki.

- Daj ją na holo - rozkazał - i módl się, żeby to nie był okręt ratowniczy wysłany nam na pomoc.

Na mostku pojawił się hologram człowieka - wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny z brodą. Miał na sobie coś, co mogło być mundurem z demobilu, tyle że bez rękawów, które zostały równo odcięte. Niewielki pornograficzny tatuaż poruszał się nieustannie na jego lewym przedramieniu, ale wyglądał bardziej śmiesznie niż erotycznie. Facet miał przy sobie palnik, piszczałkę i broń pulsacyjną, ale trzymał cały ten sprzęt nie w kaburach, lecz za paskiem.

- Uwaga tam na frachtowcu - powiedział. - Nazywam się Montegue Windsail i jestem kapitanem „Achillesa”. Odebraliśmy

wasz sygnał ratunkowy i przybyliśmy najszybciej, jak się dało. Jaki macie problem?

- Tutaj frachtowiec Linii Przewozowych „Samarkanda” numer czterdzieści osiem - odparł Cole. - Nazywam się kapitan Jordan Baker - ciągnął dalej przedstawiając się nazwiskiem swojego obrońcy z urzędu, którego przydzielono mu podczas procesu, ponieważ uznał, że użycie własnego mogłoby ich zbyt szybko zdemaskować. - Padł nam napęd nadprzestrzenny, a przynajmniej jeden z zewnętrznych stabilizatorów uległ uszkodzeniu. Przeszliśmy już na zasilanie rezerwowe, ale nie potrafimy powstrzymać rotacji. Dziękujemy za przyście nam z pomocą.

Montegue Windsail pozwolił sobie na luksus uśmiechu.

- Prawdę powiedziawszy, nie wspominałem nic o przychodzeniu na ratunek. Raczej chodziło mi o zrobienie z wami pewnego rodzaju wymiany.

- Wymiany?

- Da mi pan te cztery piękne działa laserowe, które macie na pokładzie, a ja w zamian przetransportuję pańską załogę do najbliższej kolonii.

- To szantaż!

- Raczej interes - odparł ze spokojem Windsail. - A jeśli nie podoba się panu moja oferta, może pan tu poczekać, aż pojawi się ktoś z lepszą.

- A może powinniśmy panu pokazać, jak sprawne są nasze działa - zaproponował Cole.

- To bardzo uczciwa propozycja - ucieszył się Windsail. - Proszę wycelować w nas swoją artylerię, zobaczymy, czy podczas tej rotacji będzie strzelała celniej niż moje stacjonarne działa pulsacyjne.

- Chwileczkę! - zawołał Wilson, mając nadzieję, że w jego głosie jest wystarczająca doza desperacji. - Potrzebuję chwili na

rozważenie pańskiej propozycji.

- Dam panu dwie minuty, kapitanie Baker - zaproponował Windsail. - Ale po upływie tego czasu albo przyjmie pan moje warunki, albo od razu otworzymy ogień. Nie będziecie mieli trzeciego rozwiązania.

„Achilles” przerwał połączenie.

- Widzieliście tego gościa? - zapytał Cole, z trudem powstrzymując śmiech. - Wyglądał jak postać pirata żywcem wyjęta z kreskówki. Ten tatuaż... I ta broń! Ciekaw jestem, czy on zdaje sobie sprawę, że wygląda idiotycznie?

- Co teraz zrobimy, sir? - zapytała Christine.

- To zależy, czy prześlą swoją grupę abordażową na pokładzie wahadłowca, czy raczej przycumują „Achillesa” do „Teddy’ego R” - oparł kapitan. - Za dziewięćdziesiąt sekund połączcie mnie z nim ponownie.

- Mamy ich załatwić zaraz po wejściu na pokład? - zapytał hologram Forrice’a.

- Nie - odparł Cole. - Zostańcie w okolicach wjazdu i nie zwracajcie na siebie uwagi. Przygotujcie się do zajęcia „Achillesa”.

- Wilsonie - powiedział Cztery Oczy. - Będziemy mieli tutaj bandę uzbrojonych piratów. Jeśli my ich nie załatwimy, nie będzie nikogo, kto powstrzyma ich przed dotarciem na mostek.

- Może zostawisz ten problem mnie? - poprosił kapitan.

- Dobrze... Ale mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Skoro nasze sensory potrafią wykryć ich pozycję na tamtym okręcie, oni także wiedzą, gdzie my jesteśmy - powiedział Cole. - Jeśli zobaczą, że grupujemy się przy wjeździe albo na mostku, odpuszczą sobie wchodzenie na pokład.

Christine dała mu znak, że minęło dokładnie dziewięćdziesiąt sekund. Przerwał połączenie z Forrice’em, skinął ręką i znów stanął twarzą w twarz z Windsailem.

- I co pan ma mi do powiedzenia? - zagaił pirat.
- Zanim wyrażę zgodę, proszę obiecać, że nikomu z mojej załogi nie stanie się krzywda - powiedział Cole.
- Interesują nas wyłącznie wasze działa i ładunek - odparł Windsail. - A skoro już o tym mowa, co macie w ładowniach?
- Nic - powiedział kapitan. - Wracamy właśnie na Daleki Londyn.
- Lepiej, żeby to była prawda, kapitanie Baker - ostrzegł go pirat. - Jeśli pan mnie okłamał, ja też nie dotrzymam warunków.
- Chwileczkę - poprosił Cole, udając naprawdę zdruzgotanego.
- Tak?
- Przewozimy sto sześćdziesiąt trzy dzieła sztuki obcych ras dla galerii Odyseusz z Dalekiego Londynu.
- Dziękuję za informację, kapitanie Baker. Zapewne utraci pan ładunek, ale za to ocali pan załogę. Spotkamy się z wami za około trzy minuty. Poprowadzę osobiście grupę abordażową na wasz mostek, gdzie rozkaże pan w mojej obecności, aby oddano nam cały ładunek i przysięgnie w imieniu swoich ludzi, że nie dojdzie do żadnych ataków w czasie demontażu dział. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?
- Cole spoglądał na niego w milczeniu.
- Czy to jasne? - powtórzył złowieszczo Windsail.
- Tak - odparł kapitan.
- Świetnie. Zatem do zobaczenia za kilka minut.
- Pirat przerwał połączenie.
- Dawać mi Odoma! - wrzasnął Cole. Hologram mechanika stanął przed nim kilka sekund później.
- Panie Odom, chcę, żeby pan na mój sygnał odciął całe zasilanie w jednym z szybów wind.
- Mam ją pozbawić poduszki grawitacyjnej? - zapytał

mechanik.

- Ma pan ją pozbawić wszystkiego, nawet tlenu.
- Nie ma sprawy. O który szyb chodzi?
- O ten, który wybiorą piraci, żeby dostać się na mostek.
- Upadek z tej wysokości zabije ich, zanim zdążą się podusić - zauważył Odom.

- Cóż mogę na to odpowiedzieć? Decydując się na piractwo, trzeba też liczyć się z podobnym końcem... - Zamilkł na krótką chwilę. - Przyszło mi na myśl, że będziemy musieli wysłać z nimi kogoś, żeby nie wywęszyli pułapki. Śliski byłby idealny do wykonania tego zadania. Dzięki Goribowi może wytrzymać bez tlenu nawet kilka godzin. Czy możemy mu zorganizować coś, czego będzie się mógł przytrzymać, gdy zniknie grawitacja? Jak tylko spadną na dół, może pan ponownie wszystko włączyć. Oczywiście oprócz tlenu.

- Nie dam rady umieścić tam czegoś, czego oni nie zauważą - powiedział Odom.

- Mogę zaryzykować, sir - wtrącił Śliski. Jego hologram pojawił się po drugiej stronie mostka. - Jeśli będę gotowy na ten moment, powinienem wylądować na nich i tym sposobem zamortyzować upadek.

- Nie podejmę takiego ryzyka - powiedział Cole. - Masz do wykonania inne zadanie. Jesteś jedynym członkiem tej załogi, którego nie mogę poświęcić.

- Sir - odezwał się Sokołow, jego hologram pojawił się obok Tolobity. - Pracowałem ze Śliskim w przedziale bojowym i słyszałem, co pan powiedział. Mogę się tym zająć.

- Ma pan dzisiaj wyjątkowo samobójcze zacięcie, poruczniku? - zapytał Cole. - Wybrałem Śliskiego, ponieważ potrafi wytrzymać bez tlenu nawet do kilku godzin. Pan nie

może się pochwalić podobną umiejętnością.

- Nie, sir - przyznał Sokołow - ale zamiast tego mogę tak namieszać po drodze, że jestem gotów iść o zakład, iż sami mnie wykopią z tej windy.

- Stawką w tym zakładzie będzie pańskie życie - powiedział kapitan. - Jest pan pewien, że chce to zrobić? Możemy im przygotować naprawdę gorące przyjęcie na mostku, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale wówczas mamy na to najwyżej półtorej minuty.

- Proszę pozwolić mi spróbować, sir. Oni wejdą na mostek z odbezpieczoną bronią. Ryzykuje pan większą ilość ofiar.

- Jeśli nawet przeżyje pan upadek, w szybie nie będzie powietrza - przypomniał mu Cole. - Możemy nie zdążyć na czas z pomocą.

- W końcu jesteśmy na wojnie, sir - odparł Sokołow. - Może nie na tej samej, na którą się pisałem, ale jej zasady niewiele się zmieniły. Piraci są naszym wrogiem i muszę zrobić wszystko, żebyśmy z nimi wygrali.

- Dobrze, czas mi się skończył - oświadczył kapitan zdecydowanym tonem. - Proszę zaczekać na nich przy władze i miejmy wszyscy nadzieję, że jest pan tak dobrym aktorem, za jakiego się uważa.

Pół minuty później „Achilles” dobił do „Teodora Roosevelta”. Wysunięto rękaw łączący władze i obie jednostki zaczęły wspólnie wykonywać kolejne kręgi. Nawet Cole musiał przyznać, że piraci wykonali kawał dobrej roboty manewrowej.

Po chwili Montegue Windsail, wyglądający dokładnie jak statysta z tanich produkcji holo, wkroczył dumnie na pokład okrętu-pułapki, prowadząc ze sobą siedmiu członków załogi, wyłącznie ludzi.

- Witam, kapitanie Windsail - pozdrowił go hologram Cole'a zaraz po tym, jak pojawił się na przeciwnym końcu krótkiego

korytarza. - Człowiek, którego wysłałem, aby was powitał przy władzie, nazywa się Władimir Sokołow. Zaprowadzi was do windy uczącej ten pokład z mostkiem.

- Dlaczego on jest uzbrojony? - zapytał dowódca Piratów. - Zawarliśmy umowę. Nikomu z pańskich ludzi nie spadnie włos z głowy, jeśli dotrzycie jej ze swojej strony.

- Piraci zabili mi brata i żonę - wycharczał porucznik. - Nie ufam wam, cholerne gnoje.

- Może zostali zabici, ponieważ nie zechcieli oddać na czas broni? - zasugerował mu Windsail. - Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli natychmiast odłożysz swoją.

- Nie liczcie na to - odparł hardo Sokołow. - Otrzymałem rozkaz zaprowadzenia was do windy. Ruszajcie.

- Za tobą - stwierdził Windsail.

- Nie odwrócę się plecami do piratów - odparł porucznik. - Władźcie do windy i trzymajcie ręce na widoku.

- To jest winda? - zapytał kapitan piratów, wskazując na najbliższy szyb.

- Tak.

- Zatem wydaje mi się, że nie skorzystamy z twoich usług.

- Otrzymałem rozkaz, aby iść z wami - oświadczył chłodno Sokołow. - Kapitan Baker kazał mi dostarczyć was prosto na mostek i mam zamiar to zrobić.

Nie przeginaj chłopie, pomyślał Cole. Już ci powiedzieli, żebyś nie wchodził. Trzymaj się tego.

Ale Sokołow najwyraźniej nie zamierzał go słuchać.

- Ja tu teraz dowodzę - oświadczył tymczasem Windsail. - I rozkazuję ci zostać. Nie potrzebuję uzbrojonego wroga stojącego pomiędzy mną a mostkiem.

- Pieprz się! - ryknął nienawistnie porucznik. - Nie przyjmuję rozkazów od piratów!

- Władimir - Wilson uznał, że musi się wtrącić I w tym

momencie - zrób, co ci każe kapitan Windsail.

- Ale, sir...
- Słyszałeś, co powiedziałem - dodał Cole.
- Tak jest - burknął porucznik, obrzucając hardym spojrzeniem piratów.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział Windsail, wprowadzając siedmiu podwładnych do kabiny. Gdy poduszka grawitacyjna uniosła się do połowy szybu, Cole zawołał: „Teraz!” i ośmiu mężczyzn spadło z wysokości czterech pięter. Ich krzyki umilkły wraz z wypompowywanym z szybu powietrzem.

- Nie byli najbystrzejszymi adeptami tego zawodu - stwierdził Cole. - Christine, włącz wszystkie sensory i sprawdźcie razem z Domak, ilu ich jeszcze pozostało na pokładzie „Achillesa” i gdzie się teraz znajdują. Śliski! - zawołał zaraz potem. - Czas zaczynać robotę.

Przed jego twarzą pojawiło się w powietrzu oblicze Forrice'a.

- Możemy już przystąpić do abordażu? - zapytał Molarianin.

- Za moment - odparł kapitan. - Musimy najpierw zlokalizować wszystkich brzydkich chłopców. Lada chwila zrozumieją, że ich ludzie nie żyją.

- Chyba powinniśmy się pospieszyć - zasugerował Cztery Oczy. - Mogą się wystraszyć i prysnąć.

- Nic im z tego nie przyjdzie - stwierdził Cole. - Nasze okręty są teraz j ednością.

- Sir? - wtrąciła się Christine.

- Tak?

- Jest ich jeszcze sześciu na pokładzie. Zgromadzili się w sterowni.

- Masz na myśli mostek?

- Luksusowe jachty nie posiadają mostków, tylko coś, co przypomina z grubsza sterownię.

- Słyszaleś, Cztery Oczy. Są w sterowni. Christine, rzuć przekrój tego jachtu na wszystkie ekrany prywatne i publiczne. Forrice, Luthor, Jabol i reszta grupy, przestudujcie je uważnie, żebyście wiedzieli, gdzie się udać.

- To za mała jednostka, żeby zdołali się przed nami ukryć - uspokoił go Molarianin. - Albo się poddadzą, albo ich pozabijamy.

- Daj im chociaż szansę na dokonanie wyboru - poprosił Cole. - Christine, połącz mnie z „Achillesem”, przekaz audio i wideo na wszystkich częstotliwościach.

- Jest pan na wizji - powiadomiła go kilka sekund później.

- Do załogi „Achillesa”, mówi Wilson Cole, kapitan „Teodora Roosevelta”, którego wasz dowódca wziął omyłkowo za uszkodzony frachtowiec. Tylko was sześciu pozostało przy życiu. Za chwilę wysyłamy na wasz pokład grupę abordażową... - Zamilkł na moment. - Macie trzy wyjścia. Możecie skorzystać z okazji i przyłączyć się do załogi „Teodora Roosevelta”, do niedawna okrętu wojennego floty Republiki, a obecnie... - przez chwilę szukał odpowiedniego określenia - jednostki operującej na własną rękę. Możecie się też poddać, nie przystępując do nas. W tym wypadku skonfiskujemy waszą broń i wysadzimy was na najbliższej planecie posiadającej atmosferę tlenową i pożądaną grawitację. Możecie też odmówić oddania się w nasze ręce i ponieść surowe konsekwencje tej decyzji. Daję wam pięć minut do namysłu. Ten kanał komunikacyjny pozostanie do tego czasu otwarty.

Na mostku zapanowała cisza. Po mniej więcej trzech minutach pojawił się na nim hologram Śliskiego.

- Zadanie wykonane, sir - zameldował.

- Wróciłeś już na pokład? - zapytał Cole.

- Tak jest - odparł Tolobita. - Udaję się właśnie do przedziału bojowego.

- Wysadzaj ładunki.

Chwila przerwy.

- Zrobione, sir.

- Do załogi „Achillesa” - powiedział Cole. - Jeśli to pomoże wam w podjęciu decyzji,

informuję was, że właśnie wysadziliśmy wasze działa pulsacyjne.

Minęły kolejne dwie minuty, ale z pokładu „Achillesa” nie nadeszła żadna odpowiedź. Wilson przesunął dłonią po szyi i Christine natychmiast przerwała połączenie.

- Możemy ruszać? - zapytał Forrice.

- Coś jest nie tak - odparł Cole. - Jest ich sześciu i nie posiadają żadnej ciężkiej broni, którą mogliby pokonać załogę regularnego okrętu wojennego. Pozwólmy im się jeszcze podenerwować przez chwilę.

- Jak pan sądzi, co tam się teraz dzieje? - zapytała Christine.

- Nie mam pojęcia - odparł kapitan. - To nie są działania wojenne. Ci ludzie mogą zechcieć wysadzić swój jacht w przypiływie patriotyzmu albo złości. Łupy, które mają w ładowniach, nie są warte poświęcania naszych ludzi. Coś przeoczyłem i nie pošlę tam nikogo, dopóki nie zrozumie, na czym polega mój błąd.

- Sir! - zawołała Christine, wpatrując się w sensory i marszcząc brwi. - Tam dzieje się coś bardzo dziwnego.

- Co takiego? - zapytał natychmiast Cole.

- W sterowni zostało tylko trzech ludzi. Pozostali kierują się właśnie w dolne partie kadłuba.

- Cholera! - wrzasnął Cole. - Już wiem. Cztery Oczy, bierz chłopaków i zasuwaszcie migiem na pokład „Achillesa”! Nie sądzę, żeby piraci w sterowni stawiali zacięty opór, ale to nie ona będzie waszym celem. Musicie jak najszybciej dotrzeć do doków wahadłowców. I powstrzymać drani.

- Już lecimy! - odparł Molarianin, pokonując właz wirującym

krokiem, niczym obcy derwisz.

- To właśnie przeoczyłem - powiedział Cole do Christine. - Kazałem Śliskiemu wysadzić wszystkie wahadłowce prócz jednego. Zakładałem, że odeślemy nim wszystkich piratów, którzy przeżyją, na najbliższą kolonię. Ale oni pierwsi wpadli na to, o czym ja nie powinienem zapomnieć: że posiadają w pełni sprawny prom do dyspozycji. Domyślam się, że właśnie ładują wszystkie łupy na jego pokład. Pewnie zostawią też jednego albo dwóch najgłupszych kompanów na pokładzie, żeby robili raban i spowolnili naszych.

- Przecież muszą zdawać sobie sprawę, że możemy ich zniszczyć nawet z odległości roku świetlnego - stwierdziła Christine. - Ich postępowanie nie ma najmniejszego sensu.

- Ma sens, i to ogromny - odparł kapitan. - Będą liczyli na to, że nie odważymy się zniszczyć wahadłowca, w którym znajdują się wszystkie łupy. Mają nadzieję, że zdołają dotrzeć do jakiejś przyjaźnie nastawionej planety, zanim ich dopadniemy.

- Tutaj są jakieś przyjaźnie nastawione kolonie? - zdziwiła się Mboya.

- Powiedziałem im, kim jesteśmy. Dodaj do siebie nagrody oferowane za mnie, ciebie, Sharon, Cztery Oczy i za sam okręt, a szybko zrozumiesz, że każda społeczność w tej okolicy powita z otwartymi rękami ludzi mogących pomóc w zdobyciu tak wielkiej forsy.

- To prawda - przyznała. - Zapomniałam o tym.

- Sir! - zawołała Domak, obserwująca przez sensory przebieg wydarzeń na drugiej jednostce. - Przynajmniej jeden z naszych oberwał. Sądząc z odczytów, w sterowni trwa teraz walka. Jeden z przedstawicieli załogi, najprawdopodobniej Forrice albo Jaxtaboxl, dotarł właśnie do doków wahadłowców. Teraz dołączył do niego człowiek.

- To moja wina - żołądkował się Cole. - Nie powinienem

oszczędzać wahadłowców. Nie powinienem wydawać Śliskiemu rozkazu pozostawienia jednego!

- Bitwa w sterowni została zakończona. Dwóch członków załogi „Achillesa” i dwóch naszych zostało zabitych albo rannych.

- A my nie mamy nawet doktora na pokładzie! - pieklił się Wilson. - Całe szczęście nie jestem już oficerem floty. Na pewno znowu straciłbym dowództwo za coś takiego!

- A niech mnie! - zawołała Christine, wpatrując się w ekrany. - Punkt dla ciebie, Forrice!

- Co tam się dzieje? - zapytał Cole.

- Jeden z naszych, albo Forrice, albo Jaxtaboxl, wysadził mechanizm zwalniający wahadłowce. Teraz już nie odlecą tym ptaszkiem!

- To powinno wystarczyć - powiedział kapitan. - Nie mają już drogi odwrotu. Powinni się poddać, a my zyskamy szansę uratowania chłopaków, którzy przeżyli tę rzeźnię.

Nagle nad konsolami komputerów Christine pojawił się hologram Forrice'a. Po jednej z rąk ciekła mu struga purpurowej krwi, a na karku miał paskudne oparzenie po strzale z palnika. Przycupnął za kadłubem uszkodzonego promu z pistoletem pulsacyjnym w dłoni.

- Jesteście tam? - zapytał. - Czy ten przekaz dociera na mostek? Muszę pogadać z Wilsonem!

- Słyszę cię - odparł Cole. - Co się dzieje, Cztery Oczy? Z tego, co słyszę, strzelanina umilkła.

- I tak, i nie - odparł Molarianin, krzywiąc się z bólu, gdy zmienił pozycję.

- To znaczy?

- Mamy tu chyba cholerny problem - powiedział Forrice.

- Już do ciebie idę. - Cole ruszył w stronę wind.

- Podobno kapitan i pierwszy oficer nigdy nie opuszczają pokładu w tym samym czasie, jeśli znajdują się na obcym

terytorium - stwierdził Cztery Oczy.

- Jesteśmy na neutralnym terenie - odparł Wilson. - Dopóki „Achilles” jest połączony z „Teddym R.” możemy go traktować jako część naszego okrętu.

- I za to cię lubię - mruknął Molarianin.
- Będę tam za niecałą minutę.
- Jeszcze jedna rzecz, Wilsonie - zawołał Forrice.
- Co takiego?
- Nie wbiegaj tu jak szalony.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cole wślizgnął się ostrożnie do sterowni jachtu, z palnikiem w dłoni, ale zaraz zrozumiał, że niepotrzebnie podejmował takie środki ostrożności. Na podłodze leżało dwóch martwych członków pirackiej załogi i jeden z trzech służących na „Ted-dym R” Bedalian. Luthor Chadwick siedział oparty o grodzień, z uszu ciekła mu krew, a oczy bez powodzenia próbowały zogniskować się na jakimś przedmiocie.

- Muszę jak najszybciej dostać się do doków - powiedział kapitan. - Pomożemy ci, jak tylko to będzie możliwe.

- Nie słyszę pana, kapitanie - wyszeptał Chadwick.

- Powiedziałem, że muszę się teraz dostać do doków! - powtórzył znacznie głośniej Cole.

Luthor wskazał palcem na ucho.

- Oberwałem paskudnie z piszczałki, sir - powiedział. - Widzę, że pan porusza ustami, ale nie słyszę ani jednego słowa. Wydaje mi się, że reszta chłopaków jest teraz przy dokach.

Wilson skinął głową i ruszył bez słowa w stronę wyjścia. Gdy dotarł do doków, panowała w nich kompletna cisza, ale kiedy zbliżał się do pozycji Forrice'a, zauważył kątem oka jakiś ruch i rzucił się na pokład, z trudem unikając strumienia energii, który osmalił grodzień za miejscem, w którym przed chwilą znajdowała się jego głowa.

- Co tu się dzieje, do diabła? - zapytał, czołgając się w stronę Molarianina pomiędzy ciałami dwóch ludzi ze swojej załogi.

- Nie uwierzy pan, sir - odparł Pampas kryjący się za kadłubem uszkodzonego wahadłowca.

- A może jednak - zachęcił go Cole. - Ci faceci nie mają szans na ucieczkę, zostali przez nas otoczeni, wybiliśmy większość ich załogi łącznie z kapitanem i zaproponowaliśmy możliwość przyłączenia się do nas. Dlaczego wciąż walczą?

- Koleś, któremu nieodżałowanej pamięci kapitan Windsail pozostawił dowodzenie statkiem, powiedział im, że jesteśmy handlarzami niewolników - wyjaśnił Forrice. - Okazało się, że ten ograny chwyt propagandowy zadziałał w ich przypadku, i to bezbłędnie. Myślą, że zostaną sprzedani, jeśli nam się poddadzą.

- Co za bzdura! - syknął Cole.

- Pampas mówił, że nie uwierzysz - przypomniał mu Cztery Oczy, zanosząc się molariańskim odpowiednikiem śmiechu.

- Czy na Wewnętrznej Granicy naprawdę istnieje niewolnictwo? - zapytał Wilson. - Dlaczego oni to kupili? Wydawało mi się, że ten proceder został wykorzeniony całe stulecia temu.

- A mnie się zdaje, że niewolnictwo przetrwało - wtrącił Pampas. - Tutaj, na Wewnętrznej Granicy, nie ma skodyfikowanego prawa, stanowią je tylko nieliczne planetarne rządy i pracujący na ich zlecenie łowcy nagród. Zdziwiłbym się, gdyby wiele tutejszych światów nie zajmowało się handlem niewolnikami.

- A „Teddy R” ma wystarczająco wielką ładownię, aby transportować niewolników - dodał Forrice.

- To niedorzeczne - mruknął kapitan. - Czas zakończyć ten burdel.

- Mają bardzo dobrą osłonę, sir - ostrzegł go Pampas.

- Przecież nie powiedziałem, że zamierzam ich powystrzelać - zachnął się Cole. - Chcę tylko zakończyć walkę... - Zamilkł na moment, zatapiając się w rozmyślaniach, a potem spojrzał na Molarianina. - Cztery Oczy, jak twoja matka miała na imię?

Forrice spojrzał na niego jak na szaleńca.

- Daj spokój - poprosił Cole - nie mam na to czasu.

- Cóż, gdyby tłumaczyć je bezpośrednio...

- Żadnego tłumaczenia. Powiedz jej imię po molariańsku.

- Chorinszloblen.

- Dzięki... - szepnął i zaraz podniósł głos. - Do ludzi z załogi „Achillesa” mówi kapitan Wilson Cole, dowódca „Teodora Roosevelta”. Słyszycie mnie?

- Nie zamierzam się poddać! - odkrzyknął ktoś.

Zamierzam, pomyślał Cole. Zatem jesteś tam sam jeden, i zawołał:

- Posłuchaj mnie uważnie, bo nie będę tego powtarzał. Nie jesteśmy handlarzami niewolników. Nie sprzedajemy schwytanych inteligentnych istot. Moja oferta pozostaje w mocy. Jeśli się poddasz, możesz dołączyć do mojej załogi na równych prawach i włos ci z głowy nie spadnie za to, co się tutaj stało, albo odeślemy cię na którąś z pobliskich kolonii. Tak czy inaczej, krzywda ci się nie stanie. Niemniej nie zamierzam dłużej zwlekać i narażać życia moich ludzi. Mam tutaj pojemnik chorinszloblenu, cholernie zabójczego gazu nerwowego. Moja załoga otrzymała środki zabezpieczające przed jego działaniem. Ten gaz cię nie zabije, jedynie unieszkodliwi, przy okazji wypalając większość twoich neuronów.

Albo poddasz się teraz, albo przerobimy cię na warzywo. Wybór należy do ciebie. Walczyłeś dzielnie, ale to już finał zabawy. Czas ci się kończy.

Cole zamilkł. Trzydzieści sekund później na pokład poleciał palnik, a zaraz za nim pistolet pulsacyjny. Potem młody chłopak podniósł się bardzo powoli zza osłony i ruszył w ich stronę.

- Jestem waszym jeńcem - oświadczył.

- Przecież to dzieciak! - powiedział z niedowierzaniem Pampas.

- Nawet dzieci potrafią zabijać - stwierdził Cole. - Cztery Oczy, upewnij się, czy na pewno nie jest już uzbrojony. Byku, miej na niego oko.

Forrice szybko przeszukał więźnia.

- W porządku! - zawołał. - Jest czysty.
- Dobrze. Byku, sprawdź jego kompanów.
- Oni nie żyją - oświadczył ponuro jeniec.
- Zatem jesteś jedynym członkiem załogi „Achillesa”, który ocalał z pogromu - stwierdził Wilson i odwrócił się do Pampasa. - Byku, w sterowni znajdziesz Luthora Chadwicka. Facet mocno oberwał. Zanieście go z Jabolem na pokład „Teddyego R” i sprawdźcie, czy komuś z naszych nie uda się powstrzymać krwawienia. Dajcie mu też jakieś prochy, żeby wytrzymał, dopóki nie znajdziemy lekarza.

- Pułkownik Blacksmith skonfiskowała nam wszystkie narkotyki, sir - przypomniał mu Pampas.

- Wyda wam kilka działek. Wystarczy, że jej go pokażecie.
- Rozumiem, sir. - Sierżant i Jaxtaboxl opuścili doki, udając się do sterowni.

Cole znów mógł skupić uwagę na jeńcu.

- Jak się nazywasz, synu?
- Nie musicie tego wiedzieć - odparł wyzywająco młodzieniec.

- Nie musimy - zgodził się kapitan. - Ale to będzie znaczyło, że do czasu odtransportowania cię na jakąś planetę będziesz musiał reagować na odżywki typu „synu” albo „ej, ty”.

- Naprawdę zamierzacie mnie wypuścić? - zapytał jeniec.
- Przecież powiedziałem.
- Ale kapitan Windsail mówił...
- Kapitan Windsail kłamał - przerwał mu Cole. Chłopak wbił w niego przerażone oczy.

- Może kłamał, a może nie kłamał. W końcu zabiliście wszystkich ludzi z mojej załogi.

- Wasza załoga zamierzała obrabować naszą załogę - przypomniał mu Cole. - Nie zapominaj o tym drobnym szczególe. A teraz oszczędź mi czasu i powiedz, gdzie trzymacie

swój ładunek. Im szybciej go przejmujemy, tym szybciej sam odzyskasz wolność.

- Tego nie było w naszej umowie - zauważył młodzieniec.

- Walkę mamy już za sobą - stwierdził kapitan. - Dlaczego starasz się utrudnić nam życie?

- Jeśli użyjecie na mnie tego chori... chori-cośtam-cośtam, wypalicie mi mózg - oświadczył wojowniczo chłopak, starając się ukryć rosnące zdenerwowanie - i niczego się nie dowiecie.

- Nigdy bym nie użył na tobie chorinszloblenu - odparł Cole.

- Obawiam się, że mój pierwszy oficer nigdy by mi na to nie pozwolił. - Forrice wydał w tym momencie kilka przeciągłych gwizdów, które u Molarian pełniły rolę śmiechu. - Znajdziemy wasze skarby z twoją pomocą albo i bez niej. Ja to wiem i ty to wiesz, dlaczego więc nie powiesz, gdzie je ukryliście?

- A skąd mam wiedzieć, że nie zabijecie mnie, jak tylko wskażę wam kryjówkę?

- To tylko jacht, nie żaden pancernik - oświadczył zirytowany Cole. - Ile skrytek można na nim zrobić? Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to już dawno, żeby nie tracić czasu potrzebnego na przetrząśnięcie tej krypy.

- Racja - przyznał młodzieniec. - Przewozimy około czterystu nieoszlifowanych diamentów z kopalni na Blantyre IV. No i trochę biżuterii, którą kapitan Windsail zrabował podczas ostatniego pobytu na Binderze X.

- Gdzie ją trzyma?

- Nigdy nam tego nie powiedział, ale jestem pewien, że ukrył ją w kambuzie.

- Dlaczego?

- W kabinie nie trzymał niczego cennego. Mówił, że wszyscy będą ją chcieli przetrząsnąć.

- Pytałem, dlaczego sądzisz, że są w kambuzie? - sprecyzował kapitan.

- Bo tylko tam jeszcze nie szukaliśmy - odparł jeniec. - Baliśmy się, że któraś z tych cholernych maszyn syntetyzujących jedzenie może nam poucinać ręce.

- Dobrze, zaczniemy poszukiwania od kambuza. Jeśli nie kłamałeś, dostaniesz garść kamieni jako zaliczkę na otwarcie jakiegoś interesu.

Chłopak spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę da mi pan te kamienie?

- Skoro tak powiedziałem... - odparł Cole.

- Esteban Morales.

- Słucham?

- Nazywam się Esteban Morales... - Zamilkł na moment. - Czy pańska oferta nadal jest aktualna?

- Która?

- Wstąpienia do pańskiej załogi - uściślił Moraes. - Mogę panu dowieść, że potrafię być użyteczny.

- Mów dalej.

- Znam wszystkie miejsca, do których latał „Achilles”, wszystkie planety, na których znajdowaliśmy schronienie i wszystkich ludzi robiących interesy z kapitanem Windsailem.

- Zatem witam pana w szeregach naszej załogi, panie Morales - oświadczył Cole. Sięgnął do komunikatora przytroczonego do ramienia i powiedział: - Christine, walkę mamy już za sobą. Niech Briggs zbierze sześciu albo siedmiu ludzi i zejdzie tu do nas.

- Chce pan pozbyć się ciał, sir? - zapytała porucznik Mboya.

- Chcę, żeby zabrali naszych poległych - odparł kapitan. - Niech wezmą ze sobą ślizgacze i worki na ciała. Wyprawimy im pogrzeb, jak tylko wrócę na pokład. Przekaż też Briggsowi, żeby zaczęli przeszukiwanie jachtu od kambuza. Ma tam szukać nieoszlifowanych diamentów, około czterystu sztuk, i biżuterii, niestety, nie potrafię opisać jej wyglądu.

- Czterysta diamentów? - zapytała. - Niezła zapłata za jeden dzień pracy.

- Zyskaliśmy także nowego członka załogi. To człowiek, mężczyzna, nazywa się Esteban Morales. Przydziel mu kabinę i przekaz Sharon, żeby upewniła się, że w komputerze znajdzie się komplet jego danych: zapis głosu, siatkówki oka, odciski palców, żeby mógł swobodnie otwierać i zamykać te cholerne drzwi.

- Przyjęłam.

- Na koniec znajdź mi najbliższą planetę z porządną placówką medyczną, zezwól Sokołowowi na dowodzenie wahadłowcem i każ mu tam przewieźć Chadwicka.

- Ma tam z nim zostać? - zapytała.

- Wrócimy na pokład „Teddy’ego R”, zanim on zdąży dotrzeć na powierzchnię. Każ mu skontaktować się ze mną, jak tylko lekarze postawią diagnozę.

- Tak jest. Czy to już wszystko?

- Nic więcej nie przychodzi mi na myśl. Każ się pośpieszyć Briggsowi i jego ludziom. „Achilles” nie był zapewne jedynym pirackim statkiem, który odebrał nasz sygnał sos, a dopóki jesteśmy z nim połączeni, stanowimy łatwy cel.

Skończył rozmowę i spojrzał na Moralesa.

- Sprawdzimy teraz twoich kompanów.

- Przecież oni już nie żyją.

- Prawdopodobnie, ale sprawdzenie nic nie kosztuje. Jeśli któryś z nich wykazuje jeszcze jakiegokolwiek oznaki życia, możemy go zapakować na wahadłowiec odwożący naszego człowieka do szpitala.

- Dziwny z pana pirat, sir.

- Przyjmuję twoje słowa jako komplement - powiedział Cole i podszedł do ciał leżących na pokładzie doku. Szybko stwierdził, że cała trójka piratów jest martwa. Potem, w towarzystwie

Moralesa, udał się do sterowni. Tam znalazł dwóch kolejnych piratów i chorążego Andersa z własnej załogi. Wszyscy byli martwi.

Moment później pojawił się Malcolm Briggs, prowadząc pięciu ludzi z „Teddy’ego R”.

- Panie Briggs, to pan Morales, nowy członek naszej załogi. Panie Morales, proszę pokazać tym ludziom, gdzie jest kambuz - powiedział Cole. - Panie Braxyta, proszę zapakować naszych poległych w worki na ciała.

Morales zaprowadził kilku chłopaków do kambuza, potem już samotnie wrócił do sterowni.

Po pięciu minutach Christine Mboya skontaktowała się z kapitanem i powiadomiła go, że wahadłowiec wyruszył właśnie w kierunku szpitala na Sofoklesie, rolniczej planecie znajdującej się w odległości dziewięciu lat świetlnych. Dziesięć minut później radosny okrzyk Briggsa uświadomił Cole’owi, że kamienie i klejnoty zostały odnalezione.

- To już koniec - powiedział kapitan. - Zabierajcie te skarby i naszych zabitych na pokład „Ted-dyego R”.

- Nie chce pan obejrzeć tych diamentów? - zdziwił się Morales.

- Będę miał na to mnóstwo czasu, jak już uwolnimy się od wraku „Achillesa” - odparł Cole. - Ty też masz sporo roboty.

- Ja?

Wilson skinął głową.

- Chcę wszystkie nazwy i namiary planet, na których nikt nas nie będzie zaczepiał, kiedy wylądujemy. No i nazwisko pasera pracującego dla Windsaila.

- Pasera, sir?

- Te diamenty kosztowały nas życie dwóch ludzi, a trzeciego posłały do szpitala - stwierdził kapitan. - Wolałbym dostać za nie cenę, która usprawiedliwiłaby tak wielką stratę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Przeliczyliśmy diamenty, sir - zameldowała Christine Mboya.

- Ile ich jest?

- Czteryście szesnaście, wszystkie nieoszlifowane. Większość kamieni to naprawdę duże sztuki. Zupełnie jakby ktoś wybierał tylko te, które dojrzały do ścięcia... - zamilkła na moment. - Mamy też pierścień z rubinem, kolczyki do kompletu, złoty naszyjnik wysadzany brylantami, tiarę ze złota z siedemdziesięcioma pięcioma klejnotami, bransoletkę z kamieniami, których nie potrafimy zidentyfikować, i pierścionek z brylantem, większym nawet od tych nieoszlifowanych kamieni.

- No proszę, a to dopiero początek - powiedział Cole. - Nie wydaje mi się, żebyśmy się lepiej obłowili, napadając na któryś z liniowców, albo jednego z bogatszych jubilerów w Republice, a na dodatek obeszło się bez strat w ludności cywilnej i zabiliśmy wyłącznie tych, którzy do nas strzelali.

- Nie chcę przesadzać, ale być może najcenniejszą zdobyczą okaże się ten Morales - stwierdziła Christine. - Rachel Marcos prowadzi przesłuchanie. Chłopak gada bez przerwy od dwóch godzin. Pułkownik Blacksmith nagrywa każde jego słowo. Jak tylko opracuje materiał, wrzucę wszystkie dane dotyczące bezpiecznych planet i najwartościowszych szlaków handlowych do naszego systemu nawigacyjnego.

- Rachel Marcos? - powtórzył zaskoczony Cole. - Wiem, że mamy na pokładzie tylko trzydziestu dwóch, przepraszam, teraz dwudziestu dziewięciu członków załogi, ale ona była dwudziesta piąta w kolejności rang.

Christine roześmiała się głośno.

- Zapomniał pan, że faceci w jej towarzystwie strasznie lubią gadać?

- Słyszałem, że faceci często się na nią rzucali - przyznał kapitan - ale o rozmawianiu nie wiedziałem.

- Ma dobrą ochronę - zapewniła go Christine. - Daliśmy jej do pomocy pana Pampasa.

- Tak, to może zadziałać - zgodził się Cole - pod warunkiem, że on sam się na nią nie rzuci.

- Spokojna głowa - wtrąciła Sharon Blacksmith. - Spoglądam na nich sokolim okiem.

- Ostatnie sokoły wyginęły gdzieś dwa tysiące lat temu - przypomniał jej kapitan.

- Niech ci będzie - odparła Sharon. - Obserwuję ich jak najlepszy szef sekcji bezpieczeństwa w branży. Gwoli przypomnienia, od dzisiejszego ranka nasza załoga liczy dwadzieścia osiem osób. Dwóch naszych zginęło. Luthor jest w szpitalu.

- Poprosiłem, aby zapewniono mi najlepszą możliwą opiekę medyczną - powiedział Cole. - W końcu to facet, który wypuścił mnie z celi, chociaż miał mnie w niej trzymać. A tak na marginesie - dodał zaraz - dopisaliśmy Estebana Moralesa do listy, więc stan osobowy wzrósł do dwudziestu dziewięciu osób.

- Esteban Morales jeszcze się nie zaczął porządnie golić - zauważyła Sharon. - Wystarczy, że opowie nam wszystko, co wie o pirackim fachu w tych okolicach, i przestanie być potrzebny.

- To się jeszcze okaże - odparł kapitan. - Czy my w jego wieku też nie nadawaliśmy się do niczego? Jeśli brakuje mu wykształcenia, możemy szybko nadrobić zaległości.

- Może zamkniemy go w jednej kajucie z Rachel Marcos i sprawdzimy, kto pierwszy poprosi o litość?

- A może powinniśmy poszczuć go na szefa bezpieczeństwa, kiedy kapitan będzie chciał odpocząć? - odparł Cole z uśmiechem.

- On ma dopiero osiemnaście lat - zaprotestowała Sharon. -
Prędeż dożyje starości, niż doczeka takiego szczęścia.

- Chyba nie powinnam tego słuchać - wtrąciła Christine.

- Dlaczego, jesteś przecież drugim oficerem? - Powiedział kapitan. - Nigdy ci nie obiecywałem, że ta robota będzie polegała wyłącznie na zabijaniu złych ludzi i wydawaniu ich pieniędzy. Musisz też przywyknąć do radzenia sobie w znacznie trudniejszych sytuacjach.

Wyglądała tak, jakby chciała odpowiedzieć, i to na serio, ale najwidoczniej uznała, że lepiej będzie zamilczeć, i wróciła do studiowania obrazów na ekranach.

- Poczekaj chwilę - powiedziała tymczasem Sharon i na moment zapanowała cisza. - Christine, czy możesz znaleźć oficjalną nazwę świata, na który mówią potocznie Kręta Rzeka, umieścić go w naszym systemie nawigacyjnym i przekazać pilotowi, że to nasz następny cel?

- Czy to planeta, na której mieszka paser Windsaila? - zainteresował się Cole.

- Tak - odparła Sharon. - Zgodnie ze słowami pana Moralesa: „To nie tylko paser Windsaila, ale i największy gracz w tym biznesie na obszarze całej Wewnętrznej Granicy”.

- Czy on ma jakieś nazwisko?

- Zważywszy na uprawiany zawód, pewnie ma ich ze dwadzieścia, ale pan Morales twierdzi, że znali go pod przydomkiem Węgorz.

- Daj spokój - zachnął się kapitan. - Nikt nie nadałby sobie przydomku Węgorz.

- Czekaj moment - poprosiła Sharon. - Tak, Rachel i Pampas też to zauważyli. Windsail mówił tak o nim do załogi, ale nigdy nie powtarzał tego w jego obecności. Jego prawdziwe nazwisko, przynajmniej według Moralesa, brzmiało Dawid Copperfield. Przestań się śmiać.

- Dlaczego to nazwisko wydaje się panu zabawne? - zapytała Christine, obserwując, jak Cole bez powodzenia próbuje powstrzymać atak śmiechu.

- To postać literacka.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Pochodzi z książki napisanej prawie tysiąc lat przed Erą Galaktyczną - wyjaśnił kapitan. - Mogło być gorzej. Przynajmniej trafiliśmy na kogoś, kto umie i lubi czytać.

- Ja też lubię czytać, sir! - stwierdziła zapalczywie Christine.

- Pozwól, że skoryguję nieco tę wypowiedź - poprosił Cole. - Przynajmniej trafiliśmy na kogoś, kto czyta klasykę z okresu, gdy ludzie żyli tylko na Ziemi. A niewielu takich już zostało. Czy teraz wyraziłem się jaśniej?

- Nie miałam prawa kwestionować tego, co pan powiedział na początku - przyznała porucznik Mboya.

- Nie służymy już w marynarce i jeszcze nie dorobiliśmy się pirackiego regulaminu.

- A co z zapisem: „piraci nie są niewinni”? - zapytał głos Sharon.

- Ten punkt dotyczy wszystkich piratów prócz nas - odparł kapitan. - A poza tym to deklaracja, a nie prawo.

- Sir? - odezwała się nagle Christine.

- Co się dzieje?

- Komputer twierdzi, że istnieją dwie planety o nazwie Kręta Rzeka - odparła, marszcząc brwi. - Obie należą do typu ziemskiego.

- To chyba oczywiste - powiedział Cole. - Jaka obca rasa nadawałaby swoim planetom terrańskie nazwy? Dobrze, włączmy się do przesłuchania pana Moralesa, na fonii i na wizji.

Nagle pojawił się przed nim hologram, na którym Morales, Rachel i Pampas siedzieli przy małym stoliku.

- Wybaczcie, że przeszkadzam - powiedział Wilson - ale

potrzebujemy pewnych wyjaśnień. Istnieją dwie planety noszące nazwę Kręta Rzeka. Panie Morales, może nam pan pomóc w ustaleniu, która jest właściwa?

- Ta, która ma czapę lodową na biegunie - odparł chłopak.
- Widziałem ją, kiedy podchodziliśmy do lądowania.

- Co ty na to, Christine? - zapytał kapitan. Sprawdziła i pokręciła głową.

- Obie mają czapy polarne, sir.

- Co jeszcze może nam pan o niej powiedzieć, panie Morales? - zapytał Cole. - Zna pan może nazwę systemu, w którym ta planeta się znajduje?

- Nie - odparł chłopak i opuścił głowę, jakby głęboko się zamyślił. Nagle znów podniósł wzrok na Cole'a. - Pamiętam, że miała cztery księżyce. Czy to pomoże w identyfikacji?

- Powinno pomóc - przyznał kapitan i odwrócił się do Christine. - Pomoże?

- Tak jest - odparła. - Ta druga Kręta Rzeka ma tylko jeden księżyc. Planeta, która nas interesuje, nosi nazwę Beta Gambanelli...

- Świetnie. Rachel, Byku, kolega jest znowu wyłącznie do waszej dyspozycji. - Cole skinął na Christine, aby przerwała połączenie. - Beta Gambanelli - zadumał się. - Kilkaset lat temu w Korpusie Pionierów był oficer, który nazywał się Gambanelli. Nie pamiętam za cholere, czego dokonał, ale na Spice II stał jego pomnik. Ciekawe, czy ta nazwa pochodzi od niego?

- Mogę to ustalić, sir.

- Nie ma potrzeby. Proszę sprawdzić koordynaty, wprowadzić je do systemu i powiedzieć pilotowi, że ma nas tam zabrać.

- Z maksymalną prędkością, sir?

- Proszę skontrolować poziom paliwa i dokonać własnej

oceny. A potem proszę się skontaktować ze szpitalem, w którym przebywa Chadwick i zapytać, jak długo potrwa kuracja i kiedy mogą go wypisać.

- Był w strasznym stanie, sir - powiedziała Christine. - Być może będą mu musieli wszczepiać nowe bębenki, albo sztuczne, albo sklonowane z resztek jego własnych.

- To chyba będzie boleśnie kosztowne? - mruknął kapitan.

- Odniósł rany podczas służby - stwierdziła Christine. - „Teddy R” powinien za to zapłacić, sir.

- Poruczniku, „Teddy R” jest teraz najbardziej poszukiwanym okrętem w galaktyce - odparł Cole. - Oczywiście, że zapłacimy za leczenie Chadwicka, ale nie bezpośrednio. Republika nie będzie tropiła nas na ślepo, ganiając po całym terytorium Wewnętrznej Granicy, ale jeśli dowiedzą się, gdzie jesteśmy, gotowi są wysłać pancernik, albo i dwa.

- O tym nie pomyślałam, sir - przyznała Christine i zaraz dodała: - Chce pan, żebym sprawdziła, kim może być ten Dawid Copperfield, po tym jak pilot otrzyma koordynaty celu?

- Nie musi się pani fatygować - odparł kapitan. - Nie powinno nas obchodzić, kim był ten człowiek dziesięć albo dwadzieścia lat temu. Teraz nazywają go Dawid Copperfield i tylko to się liczy. - Wstał i ruszył w stronę wind. - Gdyby ktoś chciał czegoś ode mnie, wyszedłem do mesy na kubek kawy.

- Możemy dostarczyć panu kawę tutaj, na mostek, sir - zaproponowała Mboya.

Pokręcił głową.

- Nie. I tak nie mam tu nic do roboty. Jest już, niech sprawdzę, czternasta. A to oznacza, że nadal mamy białą zmianę i pani będzie dowodzić okrętem jeszcze przez dwie godziny. Wrócę i zwolnię panią ze stanowiska, kiedy rozpocznie się niebieska zmiana.

Zjechał windą na dół, na poziom mesy i zobaczył w niej Forrice'a popijającego zielonkawy, musujący wywar. Postanowił przyłączyć się do przyjaciela.

- Jak ci leci? - zapytał.

- Nastawiłem reaktor „Achillesa” na samozniszczenie. Powinien wybuchnąć za jakieś dziesięć minut. Znajdujemy się o wiele lat świetlnych od niego, więc raczej nie zauważymy tej eksplozji. Ale na pewno zadowoli ona każdego z dobroczyńców, którzy pojawią się na miejscu zwabieni naszym sygnałem sos. Tam, skąd nadawane były wezwania, znajdą tylko chmurę szczątków. Idę o zakład, że nie będą się zatrzymywać, żeby sprawdzić, czy to resztki „Samarkandy” czy jak nas tam nazwałeś... - Zamilkł na chwilę. - Nie sądzę, aby ktokolwiek się domyślił, że wysadziliśmy jacht, który moglibyśmy sprzedać za nieliczne pieniądze, aby zatrzeć za sobą ślady, ale wysłałem na wszelki wypadek Śliskiego, żeby pousuwał z „Achillesa” wszystkie numery, logo i oznaczenia, które mogłyby zdradzić jego pochodzenie.

- Świetnie - stwierdził Cole. - Czasami myślę, że na pokładzie tego okrętu jest tylko jeden kompetentny oficer. Oprócz mnie, rzecz jasna.

Przed jego oczami, w powietrzu pojawiła się wiadomość tekstowa:

Mam nadzieję, że spodoba ci się perspektywa spania w samotności przez kolejne siedem tysięcy sto osiemdziesiąt trzy lata.

- Tak, Forrice i ty jesteście jedynymi kompetentnymi oficerami na tym pokładzie.

Za późno. Ta zniewaga będzie cię kosztowała dziewięćset nieoszlifowanych diamentów. Zatrzymam dzisiejszą zdobycz jako zadatek. Oczywiście po tym, jak już je oszlifujesz, wypolerujesz i osadzisz.

- Jeśli czegoś nienawidzę - dodał Cole - to z pewnością zadzierających nosa szefów sekcji bezpieczeństwa.

Wczoraj w łóżku mówiłeś coś zupełnie przeciwnego. Chcesz, żebym to zacytowała?

- Proszę, nie - powiedział Forrice. - Dopiero co skończyłem jeść.

- Dość tych żartów, Sharon - powiedział poważnym głosem Wilson. - Mamy parę ważnych spraw do omówienia. Słuchaj albo się wyłącz, ale nie przerywaj nam więcej. -

Wiadomość z odpowiedzią nie pojawiła się nad stolikiem, więc odwrócił się do Molarianina. - Zająłeś się ciałami załogi „Achillesa” tak, jak ci mówiłem?

Cztery Oczy pokiwał wielką głową.

- Wsadziliśmy ich do wahadłowca i wystrzeliliśmy prosto w serce najbliższej gwiazdy. Do tej pory powinny już spłonąć.

- Zadbaleś, aby nikt się do nich nie dostał, zanim przestaną istnieć?

- Oczywiście.

- Świetnie. Broniliśmy się przed atakiem kryminalistów, ale bądźmy szczerzy, nikt nam wiary nie da - powiedział kapitan. - Zostawmy to jednak na razie - dodał. - Ile mogą być warte te nieoszlifowane diamenty?

- Mnie się pytasz? - zdziwił się Molarianin. - Skąd mam wiedzieć?

- Też prawda.

- Ale? - zapytał Forrice. - Wyczuwam w tym stwierdzeniu jakieś „ale”.

- Ale dowiesz się.

- Jak?

- Cofam, co powiedziałem. Na pokładzie „Teddy’ego R.” jest o jednego kompetentnego oficera mniej, niż mi się wydawało... - przerwał. - Zjrzyj do walizki, w której trzymamy te kamienie.

Wybierz jeden z nich, taki reprezentatywny, nie za duży, ale i nie za mały, nie za mocno błyszczący, ale i nie za matowy. Skontaktuj się z kilkoma legalnymi jubilerami. Powiedz, że to klejnot rodzinny, który właśnie odziedziczyłeś. Chciałbyś go ubezpieczyć, ale nie wiesz, na jaką kwotę powinno opiewać to ubezpieczenie.

- A co z biżuterią?

Cole pokręcił głową.

- Mam przeczucie, że ta tiara została od razu rozpoznana przez jubilerów.

- Jesteś pewien? - zapytał Forrice. - W końcu mieszkamy w wielkiej galaktyce.

- Nie, nie jestem pewien - odparł Cole. - Ale pozwól, że zadam ci pytanie: czy twoim zdaniem warta jest takiego ryzyka?

- Nie - przyznał Cztery Oczy. - Prawdopodobnie nie. Niech ci będzie, zapytam tylko o diament. I co dalej?

- Wiem, że to przekracza pojemność twojego mikrogo molariańskiego mózgowia - stwierdził sardonicznie Cole - ale powinieneś pomnożyć jego wartość przez czterysta szesnaście.

- Chodziło mi o to, czy wylądujemy potem gdzieś i zaniemiemy go do przynajmniej jednego jubilera, który organoleptycznie potwierdzi jego wartość?

- Nie widzę potrzeby takiego ruchu. A co będzie, jeśli jeden z jubilerów określi wartość kamienia na pięćdziesiąt tysięcy kredytów, a drugi na sześćdziesiąt pięć tysięcy? Musimy poznać orientacyjną wartość tych kamieni, ich ostateczna cena i tak będzie zależała od oferty Dawida Copperfielda.

- Po co mam dokonywać tej wyceny, skoro i tak jesteśmy zdani tylko na niego?

- Ponieważ jeśli zaoferuje mi cenę, która mi się nie spodoba, wolałbym wiedzieć, kto się myli, on czy ja - odparł Cole.

- Cóż - stwierdził Forrice. - Chyba najlepiej będzie, jeśli

pójdę wybrać kamień i od razu zacznę sprawdzać jego wartość.
Gdzie je schowałeś?

- W laboratorium naukowym. Nikt tam nie zagląda od czasu, gdy Sharon usunęła wszystkie akcesoria potrzebne do produkcji narkotyków.

Molarianin wstał od stolika.

- To nie powinno zająć wiele czasu. Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś konkretnego.

Cole oparł się wygodniej i wolno sączył kawę, rozmyślając nad wydarzeniami ostatnich kilku godzin - co zrobiła załoga „Achillesa”, czego nie zrobiła i co powinna zrobić. Sztuczka z wzywaniem pomocy bardzo rzadko się udawała. Cole sądził więc, że „Teddy R” będzie raczej jednostką atakującą. Co ciekawe, był przygotowany na taką okoliczność. W końcu wszyscy członkowie załogi - prócz Moralesa - jeszcze kilka tygodni temu służyli w marynarce wojennej i bez najmniejszych wątpliwości potrafiliby się zachować odpowiednio w warunkach kontaktu bojowego. Ale w pewnym momencie - a musiał on nieuchronnie nastąpić - gdy wkraczali na pokład obcej jednostki, aby ją splądrować, przestawali być wojskowymi i zmieniali się w najzwyklejszych piratów, a ci, jak powszechnie wiadomo, posiadają inne cele i reagują zupełnie inaczej. Ponieważ nie miał jak na razie ochoty na szybką śmierć, w każdym razie na tak szybką i bolesną, jaka spotkała Windsaila i jego ludzi, musiał rozważyć każdą możliwość i okoliczność, na jaką mógł trafić w przyszłości.

Nie wiedział, jak długo siedział w kompletnym bezruchu, ale nagle poczuł, że kawa, którą trzyma w rękach, jest zupełnie zimna. Odstawił ją, wywołał raz jeszcze menu, poczekał, aż karta zmaterializuje się w powietrzu i przesunął palec nad ikonkę „kawa”. Nacisnął ją i napar znalazł się niemal w tej

samej chwili na blacie, ale nie zdążył po niego sięgnąć, gdyż w drzwiach mesy pojawił się Forrice i wkrótce potem, kręcąc się wokół własnej osi, na trzech nogach dotarł do stolika.

- I co tam słysząc? - zapytał Wilson, gdy Molarianin sadowił się po drugiej stronie stolika.

- Rozmawiałem z pięcioma jubilerami. Każdy z nich stwierdził, że muszę mu dostarczyć kamień, zanim zrobi wiążącą wycenę dla ubezpieczyciela, ale trzech wyraziło nieformalną opinię, że może być wart od dwudziestu siedmiu do czterdziestu pięciu tysięcy kredytów. Wśród nich była całkiem miła samica Mollutei, która zaoferowała, że może go oszlifować zupełnie za darmo, jeśli zrzeknę się roszczeń z tytułu utraty jego wartości, jeśli w trakcie pracy dojdzie do przypadkowego porysowania albo pęknięcia kamienia. Nie mam pojęcia, co trzeba zrobić, żeby uszkodzić diament, ale na wszelki wypadek podziękowałem jej i zapewniłem, że rozważę taką opcję. To właśnie ona oferowała mi za niego dwadzieścia siedem tysięcy...

- Zamilkł na moment. - Zmierzam do tego, że średnia cena takiego kamienia to trzydzieści siedem do trzydziestu ośmiu tysięcy kredytów. Człowieku, siedzimy na diamentach wartych na rynku jakieś piętnaście milionów albo i więcej, jeśli opchniemy je za dolary Marii Teresy albo funty z Dalekiego Londynu.

- Piętnaście milionów? - powtórzył Cole. - Za to można kupić bębenek uszny albo i dwa.

- Masz jakieś wiadomości o Chadwicku? - zapytał Molarianin.

- Jeszcze nie. Ale jest w szpitalu dopiero od kilku godzin. Będą mieli przy nim sporo roboty, ale dobra wiadomość jest taka, że wszystkie nielegalne transakcje załatwia się w gotówce, więc nikt nas przy okazji nie wyśledzi.

- Nawet jeśli komuś się to uda i tak dowie się, że pochodzimy z frachtowca, który nosi nazwę „Samarkanda”, a Śliski na twój rozkaz zmieni ją w pół dnia standardowego.

- To prawda, ale ja wolę czuć się bardzo bezpiecznie, a nie tylko bezpiecznie.

- Nie sposób nie przyznać ci racji - przyznał Forrice. - Czy mamy jeszcze jakąś sprawę do przedyskutowania?

- Nic mi nie przychodzi na myśl.

- Mam za sobą ciężki dzień wypełniony rozlewem krwi i plądrowaniem - powiedział Molarianin, wstając. - Dlatego lepiej będzie, jeśli utnę sobie drzemkę przed rozpoczęciem czerwonej zmiany.

Wytoczył się z mesy, a Cole, nadal niespokojny, wrócił na mostek.

- Kapitan na mostku! - wrzasnęła Christine, stając na baczność, podobnie jak Malcolm Briggs i Domak.

Wilson odpowiedział im niedbałym machnięciem ręki i usiadł.

- Sir - odezwała się Christine - lecimy już kursem na Krętą Rzekę i zejdziemy poniżej prędkości światła za około trzy godziny.

- A to pech - mruknął Cole.

- Słucham?

- Dolecimy tam w samym środku niebieskiej wachty. Cztery Oczy będzie spał, a pani stała na tym stanowisku niemal cały standardowy dzień, co oznacza, że nie będę mógł polecieć od razu na spotkanie z Dawidem Copperfieldem, ponieważ nie mamy jeszcze trzeciego oficera, który mógłby przejąć w tym czasie dowodzenie. Będę musiał poczekać, aż Forrice się wyśpi. Może uda mi się ściągnąć go tutaj trochę wcześniej.

- Mogę zostać na posterunku, sir - zapewniła go Christine.

- Czy pani przypadkiem nie szła spać, kiedy

skontaktowaliśmy się z „Achillesem”? - przypomniał jej kapitan.
- Od tamtej pory nie opuściła pani mostka nawet na chwilę. Możemy poczekać kolejne osiem godzin na sprzedanie tych diamentów.

- Nic mi nie będzie, sir. To na pewno nie potrwa długo, a poza tym, nic nam tam nie grozi. Po co czekać?

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, rozważając w myślach tę propozycję. W końcu wzruszył ramionami.

- A co mi tam. Jeśli lubi pani kawę, proszę napić się jej do woli. Jeśli nie, proszę zajrzeć do ambulatorium i wziąć coś na pobudzenie. Zobaczymy, jak się pani będzie czuła, gdy dolecimy do Krętej Rzeki. Nie powinniśmy mieć z tym większych kłopotów.

Te słowa dowodziły, że marny byłby z niego jasnowidz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z orbity ciężko było dostrzec jakikolwiek powód, dla którego Kręta Rzeka otrzymała taką nazwę. Cztery piąte powierzchni planety pokrywał ocean, resztę zajmowały dwa oddzielne kontynenty. Była jeszcze lodowa czapa i setki wysp rozsypanych po oceanie, ale jedyne dwie rzeki, jakie można było dostrzec z tej wysokości, biegły z północy na południe prosto jak strzała, bez żadnych zakoli. Po jednej na każdy kontynent.

- Nie wylądujemy tam - oznajmił Cole. - Wcale nie dlatego, że wszyscy od razu zorientowaliby się, iż mają do czynienia z okrętem naszej floty, chodzi mi raczej o to, żeby nie dawać im dodatkowych okazji do odkrycia, kim jesteśmy. Wiem, że Śliski zamalował dokładnie wszystkie znaki, ale nie tylko one służą do identyfikacji jednostek.

- Z którego wahadłowca zamierza pan skorzystać, sir? - zapytał Briggs.

- Jedynym, z którego do tej pory korzystałem, jest „Kermit”. - Trzy promy, w które wyposażony był okręt nosiły, nazwy: „Kermit”, „Archie” i „Alice”, nazwane tak po dzieciach Teodora Roosevelta. Czwarty, „Quentin”, został bezpowrotnie utracony podczas starcia kilka miesięcy wcześniej. - Myślę, że i tym razem mogę go użyć. Zakładam, że Śliski zdążył usunąć z niego wszystkie oznaczenia?

- Tak, sir. Przekazano mi, że to zrobił - potwierdził Briggs. - Polecą pan sam?

- Nie. To mogłoby wyrzucić niekorzystne wrażenie na naszym kliencie. Proszę przekazać Bykowi Pampasowi, Estebanowi Moralesowi i Domak, żeby spotkali się ze mną przy „Kermicie” za pięć minut.

- Tylko ta trójka, sir?

- Mam wrażenie, że w razie problemów przeciwnik miałby przewagę ogniową nawet nad całą naszą załogą. A jeśli się

myślę, troje towarzyszy powinno mi wystarczyć. Ktoś musi przecież zostać na pokładzie, aby prowadzić „Teddy’ego R”.

- Braxyta również prosi o pozwolenie na towarzyszenie panu, sir - odezwała się Christine.

- Odmawiam.

- Obawiam się, że będzie chciał wiedzieć, jaki był powód tej odmowy.

- Wszyscy wiecie, że Cztery Oczy i ja jesteśmy najstarszymi oficerami na pokładzie. Jeśli ktoś na dole zacznie mieć podejrzenia co do tego, kim jestem, towarzyszący mi Molarianin może rozwiać jego wątpliwości. - Podniósł rękę. - Tak, wiem, że oni mają gdzieś, czy jestem Cole Wilson czy też nie. Nie musicie mi tego powtarzać. Tam na dole mieszkają pewnie sami buntownicy i uciekinierzy. Ale są też przestępcami i nic ich nie powstrzyma przed wyciągnięciem z nas dodatkowej kasy, na przykład za trzymanie języka za zębami. - Odwrócił się do Briggsa. - Pampas, Morales, Domak. Za pięć minut.

- Wprowadziłam koordynaty lądowiska do komputerów „Kermita” i nadałam mu fałszywe numery identyfikacyjne - powiedziała Christine. - Pewnie nie przetrzymają dokładnej kontroli, ale szczerze powiedziawszy, wątpię, żeby ten Dawid Copperfield utrzymał się w branży, pozwalając sobie na takie prześwietlanie klientów.

- Zgadzam się. Zaraz po wylądowaniu wynajmę jakiś środek transportu i pojadę z Moralesem do jego siedziby.

- Nie zamierza pan powiadomić go o swoim przybyciu, sir? - zapytał Briggs.

- Nie - odparł Cole. - Pan to zrobi.

- Ja, sir? - zdziwił się Malcolm.

- Jeśli nie usłyszę żadnych warunków, nie będę musiał ich spełniać. Proszę się z nim skontaktować na minutę przed

lądowniem wahadłowca i powiedziec, że siadła nam łączność, więc zgłasza się pan w moim imieniu.

- Nie chce pan, żebym poczekał, aż maszyna znajdzie się na lądowisku, sir?

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeśli to facet, który załatwia interesy tylko po swojemu albo strzela, wolę się o tym przekonać, zanim opuścimy pancierz wahadłowca i stracę kontakt z panem. - Kapitan ruszył w stronę śluzy. - Aha, i proszę przekazać Bykowi, żeby przytaszczył tu nasze łupy. Zastanawiałem się, czy nie wydębić od Sharon jednej z tych nieprzepuszczalnych walizeczek, ale potem pomyślałem sobie, że Copperfield nie mógłby prowadzić interesu, gdyby na tutaj szym lądowisku prowadzono tak skrupulatne kontrole. Dlatego zabierzemy te kamienie w opakowaniu, w którym teraz spoczywają i nie będziemy tracili więcej czasu.

Wszedł do śluzy i chwilę później dołączył do Domak w dokach wahadłowców. Dźwigający ciężką walizkę Pampas dołączył do nich minutę później. Ostatni pojawił się Morales.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - usprawiedliwił się. - Wiedziałem, że czekacie na mnie przy „Kermicie”, ale nikt nie powiedział mi, czym on jest i gdzie się znajduje.

- Nic się nie stało - uspokoił go Cole. - To już nie jest „Kermit”, chociaż wszyscy tak o nim myślimy. Przedstawiam wam „Kwiat Samarkandy”. Pakujcie się do środka. Domak, jest pani najlepszym pilotem spośród naszej czwórki. Proszę dostarczyć nas do tego kosmoportu. System nawigacyjny został już zaprogramowany, więc większość funkcji wykona autopilot. Ja zajmę się komunikacją z powierzchnią i innymi miejscami.

- Tak jest - odparła Domak, salutując i znikając we włazie. Trzej ludzie podążyli za nią i zajęli miejsca w czasie, gdy ona poprosiła o otwarcie drzwi hangaru, odpaliła silniki i

wyprowadziła wahadłowiec w przestrzeń kosmiczną.

- Opowiedz mi o tym Dawidzie Copperfieldzie - poprosił Cole, gdy zbliżali się do stratosfery.

- Nigdy nie spotkałem go osobiście - odparł chłopak. - Nikt z nas go nie widział.

- Zatem nie wiesz, jak dostać się do jego kwatery, magazynów czy gdzie tam prowadzi te swoje szemrane interesy? - zapytał kapitan.

- To akurat wiem, sir - powiedział Morales. - Ale kapitan Windsail znał go długo wcześniej przed otwarciem interesu na Krętej Rzece. Byli starymi przyjaciółmi, a my zawsze czekaliśmy na zewnątrz. Prawdę powiedziawszy, nigdy w życiu nie widzieliśmy go na własne oczy.

- Jaką ma ochronę?

- Nie widziałem żadnej ochrony - zapewnił go chłopak. - Ale kapitan zabraniał nam wysiadać z pojazdu, bo dziesięciu albo dwunastu strzelców miało go na muszce.

- Dobrze wiedzieć - mruknął Cole.

- A co jest dobrego w świadomości, że dziesięciu albo dwunastu strzelców mierzy do naszego pojazdu? - zapytała Domak.

- Skoro aż tak wielu ludzi obserwuje teren od zewnątrz, w środku musi mieć przynajmniej drugie tyle ochroniarzy do pilnowania towaru. Dobrze wiedzieć, że stać go na wynajęcie dwudziestu czterech zawodowców. Wynika z tego bowiem, że wie, jak się prowadzi ten interes i potrafi sprzedać to, co kupił. A to z kolei może znaczyć, że opchniemy mu naszą zdobycz.

- Ciekawy tok rozumowania - stwierdziła wymijająco Domak.

W tym momencie radio ożyło.

- Mówi kosmoport wschodniego kontynentu. Wasza jednostka podała dane identyfikacyjne i poprosiła o pozwolenie

na lądowanie. Przylatujecie do nas w interesach czy turystycznie?

- W interesach - odparł Cole.
- Jakiego rodzaju?
- Czy wasze prawo zmusza mnie do odpowiedzi na to pytanie?
 - Tylko wtedy, gdy występuje pan o wizę na pobyt dłuższy niż dwadzieścia cztery godziny - odparł głos z radia.
 - Nie występujemy o nią. Wydaje mi się, że ośmiogodzinna wiza wystarczy zarówno mnie, jak i moim współpracownikom.
 - Wasz okręt przesłał wszystkie dane. Wizy będą czekały na was po przylocie.
 - Dziękuję - powiedział Cole i rozłączył się.
 - Coś za łatwo nam to poszło, sir - zauważył Pampas.
 - Największy paser na terenach granicznych musi być łatwo dostępny - uspokoił go kapitan. - W przeciwnym wypadku klienci szukaliby innych miejsc. Pozostali piraci nie cierpią kontroli jeszcze bardziej, niż my, chociaż z innych powodów. A może jednak z tych samych, jak się dobrze zastanowić.

Na tle grodzi pojawił się hologram twarzy Briggsa.

- Skontaktowałem się z nimi, sir. Już na pana czekają. Jedynym ograniczeniem, o jakim wspomnieli, było pozostawienie całej broni na terenie kosmoportu albo w pojeździe, którym przylecicie.

- Dziękuję, panie Briggs. Zostawimy broń w wahadłowcu. Proszę wyliczyć przewidywany czas przybycia i przekazać go panu Copperfieldowi.

Briggs zasalutował i hologram zniknął.

- Ciekawe, dlaczego nie mieliśmy przekazu wizyjnego z kosmoportu? - zapytał Pampas.

- To proste. Jeśli my nie widzimy ich, oni także nie widzą nas, a wielu z gości Copperfielda woli być niewidzianych i nieidentyfikowanych. Nasze zbrodnie, o ile mamy jakieś na

koncie, zostały popełnione na szkodę Republiki, co prawdę powiedziawszy, powinno nam zapewnić spory rozgłos na terenach Wewnętrznej Granicy, ale ich przestępstwa są popełniane tutaj, więc mieszkańcy tej planety mogą mieć większą chęć na doniesienie o takich wizytach łowcom nagród czy innym instancjom zajmującym się pilnowaniem prawa.

Wylądowali po pięciu minutach i chwilę później podchodzili do trzech kiosków, w których mieściły się biura celne i imigracyjne. Przed każdym stała krótka kolejka, składająca się przeważnie z ludzi, ale posuwała się do przodu niezwykle szybko.

- Lepiej daj mi tę walizkę - powiedział Cole do Pampasa.
- Jest dość ciężka, sir.
- Nie szkodzi. Jeśli zaczną nam zadawać pytania, ja będę na nie odpowiadał. Oddam ci ją, jak tylko przejdziemy przez kontrolę celną.

Pampas podał mu walizkę i Cole podszedł z nią do robota celnego, który stanowił integralną część kiosku.

- Nazwisko? - zapytał robot.
- Kapitan rzucił dysk paszportu na ladę.
- Tam są wszystkie moje dane - powiedział. - Moi współnicy i ja wystąpiliśmy o ośmiogodzinne wize. Proszę wbić je do paszportu i przepuścić nas.

Oczy robota wysunęły się na długich, metalowych szypułkach. Intensywny strumień światła wystrzelił z nich, gdy automat odczytywał dane z dysku paszportowego Cole'a. Kolor promienia zmienił się nieco, gdy dopisywał do nich wizę.

- Wiza zniknie z pańskiego paszportu dokładnie po ośmiu godzinach. Jeśli do tego czasu nie opuści pan powierzchni Krętej Rzeki, będzie pan musiał zgłosić się ponownie do biura celnego i

imigracyjnego, panie...

- Dziękuję! - kapitan przerwał robotowi, zanim ten zdążył wymówić jego nazwisko.

- Co pan ma w walizce?

- Sprawdź w przepisach, czy gość, który występuje o ośmiogodzinną wizę, musi odpowiadać na to pytanie.

- Nie, proszę pana. Nie musi pan odpowiadać na to pytanie, chyba że zamierza pan zostać u nas dłużej niż dobę.

- A ty wiesz, że nie zostaniemy tutaj tak długo, ponieważ wystąpiliśmy o wizę ośmiogodzinną - powiedział Cole.

- Zgadza się, proszę pana - odparł robot. - Może pan przejść do otwartej części kosmoportu.

Wilson minął stanowiska celne, zaczekał, aż członkowie jego załogi przejdą przez odprawę, oddał Pampasowi walizkę i ruszył w stronę wyjścia.

- Czy to był pański oryginalny paszport, sir? - zapytał Byk.

- Tak.

- Nie powinien pan korzystać z fałszywki?

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- W tak krótkim czasie, jaki mieliśmy od momentu przejścia „Achillesa”, Sharon nie dała rady sfabrykować egzemplarza, który mógł przejść dokładną kontrolę. W końcu to Wewnętrzna Granica, nie Republika. Nie jestem ścigany na tych terytoriach, więc robot na pewno nie przekaże moich danych tutejszej administracji. Nie chciałem jedynie, żeby wymienił moje nazwisko przy tylu przypadkowych przechodniach, bo ci mogliby sprzedać informację o miejscu naszego pobytu komuś, kto jest tym zainteresowany.

Dotarli do wyjścia. Cole zabierał się właśnie do szukania jakiejś wypożyczalni pojazdów, ale zanim zdołał zadać pytanie przy budce informacyjnej, podszedł do niego wielki, tłusty mężczyzna, przy którym nawet Pampas wyglądał na karzełka.

- Pan Smith? - zapytał wielkolud, stając przed Wilsonem. - Pan Copperfield przesyła pozdrowienia. Proszę za mną.

- Świetnie - powiedział Cole, a gdy ruszyli za wielkoludem, odwrócił się do niego i zadał pytanie: - Skąd pan wiedział, że nazywam się Smith?

- Dla mnie wszyscy goście nazywają się Smith - odparł człowiek Copperfielda.

- Rozumiem - powiedział kapitan. - A pan ma jakieś nazwisko?

- Jestem pan Jones - przedstawił się wielkolud, zatrzymując się przy drzwiczkach sporego, luksusowego autolotu. - Proszę wsiadać.

Cała czwórka dołączyła do wystannika Copperfielda i kierujący pojazdem robot włączył się płynnie do ruchu, lecąc może stopę nad powierzchnią jezdni. Nie zajechali daleko, nie dalej niż milę od kosmoportu, i zatrzymali się na terenie miasta. Soczewkowate drzwi otworzyły się jednocześnie, pozwalając im wsiąść.

Cole nie dostrzegł magazynów, których się spodziewał. Nie była to też niechlujna podziemna kryjówka. Stał przed drzwiami eleganckiego dworku, przypominającego wyglądem klasyczne budowle starożytnej Anglii. Z czasów, kiedy nad Imperium nigdy nie zachodziło słońce. Po obu stronach wejścia stało dwóch mężczyzn w liberiach, pod pachami wyraźnie było widać olstra na broń.

- Czy to ten sam budynek? - zapytał szeptem Cole.

- Tak - odparł Morales. - Ale nigdy nie byłem aż tak blisko. Kapitan posiadał własny autolot i nigdy nie pozwalał nam z niego wsiadać.

- Zapraszam do środka - powiedział jeden ze strażników, gdy drugi otwierał masywne drewniane odrzwia.

Cole i jego ludzie weszli do środka i zobaczyli, że wewnątrz domu nie ustępuje przepychem elewacji. Wystrój również był niczego sobie, wokół stały wyłącznie odtworzone po prawie trzech tysiącach lat kopie dziewiętnastowiecznych mebli. Strażnik poprowadził gości na koniec długiego korytarza, mijając liczne gabinety i biblioteki. Chociaż Cole nie potrafił dostrzec nawet śladu bytności człowieka, czuł, że ktoś go nieustannie obserwuje. W końcu zatrzymali się przed salą, od której dzieliły ich wspaniałe podwójne drzwi.

Strażnik, który wpuścił ich do środka, a potem zaprowadził na tyły tej skromnej posesji, teraz otworzył i te drzwi.

- Tylko pan Smith może tam wejść - oznajmił. - Reszta z panów może odpocząć w pierwszym salonie, który minęliśmy. Ten gentleman - kolejny strażnik zgiął się w ukłonie - wskaże wam to miejsce, chyba że wolicie poczekać na pana Smitha w autolocie. - Podszedł do Pampasa. - Pozwoli pan, że uwolnię go od tego ciężaru. Zaręczam, że będę się z nim obchodził bardzo ostrożnie.

Byk i Domak posłali pytające spojrzenia w stronę Cole'a, a on zezwolił na oddanie walizki skinieniem głowy

- Zróbcie to, o co prosi ten gentleman. Wkrótce do was dołączę.

Pampas i Domak podążyli za strażnikiem do salonu, ale Morales wybrał oczekiwanie w autolocie.

- Proszę za mną, sir - powiedział pan Jones, otwierając kolejne drzwi.

Cole wszedł do przestronnej biblioteki. W całym swoim życiu nie widział tylu książek. Większość z nich była oprawiona w skórę, wszystkie ustawiono równo na ciemnych regałach z prawdziwego drewna. Na środku sali stało też wielkie biurko, pasujące idealnie do reszty wystroju, i dwie grupy wygodnych, pokrytych skórą krzesel. Za biurkiem zasiadała z grubsza

humanoidalna istota z rasy, której Cole nigdy dotąd nie spotkał.

Miała na sobie strój wiktoriańskiego dandysa, ale na tym kończyło się podobieństwo do człowieka. Jej oczy były osadzone po bokach jajowatej głowy, trójkątne uszy potrafiły poruszać się samodzielnie, całkowicie okrągłe usta nie posiadały warg, kark był niesamowicie długi i giętki. Korpus tej istoty był dość szeroki, ale o połowę krótszy od ludzkiego, natomiast nogi, krótkie i serdelkowate, miały dodatkowy przegub. Cole nie mógł powiedzieć niczego o stopach, ponieważ kryły się w wypolerowanych na glanc skórzanych butach.

- Witam i pozdrawiam! - powiedział kosmita, wystawiając się bez akcentu, czystym terrańskim. - Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Dawid Copperfield. Z kim mam przyjemność?

- Proszę mówić mi Steerforth - odparł Cole.

Kosmita zwany Copperfieldem odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Zatem pan także należy do czytelników! Czuję, że będziemy nie tylko znakomitymi partnerami w interesach, ale i dobrymi przyjaciółmi. Tak między nami, może powinienem zmienić nazwisko pana Jonesa na Barkus, oczywiście, jeśli wyrazi na to zgodę. - Roześmiał się raz jeszcze ze swojego żartu, a potem nagle spoważniał. - Jakież to skarby mi pan przynosi, panie Steerforth?

Pan Jones ułożył walizkę na blacie biurka i otworzył ją. Copperfield sięgnął do środka - Cole zauważył przy okazji, że miał siedmiopalczystą dłoń - i wyjął garść pięknych, nieoszlifowanych diamentów.

- Bardzo ładne - powiedział. - W rzeczy samej, przepiękne. - Jego lewe oko powiększyło się prawie dwukrotnie i wyrzuciło wyraźnie, gdy przysunął do niego jeden z kamieni. - Doskonałe! -

dodał, odkładając kamień na miejsce i zmniejszając rozmiar oka.

- Ileż mi ich przyniosłeś, Steerforth, mój przyjacielu?

- Czterysta szesnaście - odparł Cole. - Zakładam, że zechce je pan przeliczyć.

- Uraziłeś mnie do głębi - stwierdził Copperfield wyzywającym tonem. - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Ufam ci przecież... - Zamilkł na moment. - Ale masz rację, w końcu mamy do czynienia z diamentami. Tak, przeliczę je, choćby dla zachowania Pozorów. Pan Jones to zrobi, zanim nas opuścisz. Gentleman mojego pokroju nie traci czasu na tak trywialne i nudne zajęcia. - Pochylił się nad walizką. - A co masz w tym woreczku?

- Klejnoty - odparł Wilson. - Głównie złoto wysadzane kamieniami. Jest tam też kilka rubinów.

- Uwielbiam złoto! - uradował się Copperfield, wyjmując tiarę. - Jaka piękna! Idę o zakład, że nie ma drugiej takiej w naszej galaktyce.

- Jak wysoki byłby ten zakład? - zapytał Cole.

- Słucham?

- Widział pan jakoś mojego towaru - powiedział kapitan. - Jakiej oferty mogę oczekiwać w zamian?

- Najlepiej, jaką da panu fachowiec zajmujący się odsprzedażą dóbr... Nie wiem jak pan, ale ja nienawidzę określenia „paser”, wolę, gdy mówią o mnie „najlepszy fachowiec zajmujący się odsprzedażą dóbr na terenie Wewnętrznej Granicy”.

- Świetnie - stwierdził Wilson. - Proszę wymienić kwotę i będziemy mieli tę transakcję za sobą, zachowując przy tym pozory negocjacji.

- To bardzo kulturalna oferta - uznał Copperfield. - Zawładnął pan moim sercem, przyjacielu. Niech pomyślę... Czterysta szesnaście diamentów... A niech tam, dam panu za nie

najlepszą cenę.

- Proszę nie zapominać o biżuterii.

- O niej porozmawiamy osobno. Domyślam się, że to unikalne przedmioty, zatem będę musiał przyjrzeć się każdemu z osobna. Ale za te diamenty - Lego oczy zwężyły się, jakby coś przeliczał. - Za te diamenty, mój drogi Steerforth, dam ci sześćset dwadzieścia pięć tysięcy kredytów.

- Ile?! - wrzasnął Cole, zaskakując tym zachowaniem kosmitę.

- Sześćset dwadzieścia pięć tysięcy kredytów - powtórzył Copperfield. - Zaufaj mi, to najlepsza oferta, jaką tutaj dostaniesz.

- Chwileczkę - powiedział Wilson. - Proszę mi powiedzieć, ile według pana wart jest jeden z tych diamentów?

- Są naprawdę przepiękne, jak już wspomniałem - odparł Copperfield. - Wydaje mi się, że trzydzieści tysięcy nie byłoby wygórowaną ceną.

- Oferowano nam za nie podobne ceny, czasem wyższe, czasem niższe - kontynuował Cole - ale niech będzie że wart jest trzydzieści tysięcy. Jeśli przemnoży się tę kwotę przez czterysta...

- Czterysta szesnaście - podpowiedział mu kosmita.

- Upraszczam sobie liczenie - wyjaśnił Cole. - Jeśli pomnożę trzydzieści tysięcy przez czterysta, jak bym nie kombinował, wyjdzie dwanaście milionów.

- Zgadza się - powiedział Copperfield. - Mniej więcej tyle są warte. Wśród nich na pewno trafi się kilka wyjątkowych okazów, ale i parę średniaków.

- Wiem, że nie zapłaci mi pan pełnej ceny rynkowej - Nie mogę dowieść, że jestem ich właścicielem, choć w sumie niewiele to pana powinno obchodzić, a Pan, jako sprzedawca,

musi mieć odpowiednią przebitkę na tej transakcji. Niemniej spodziewam się, że paserzy oferują przynajmniej ćwierć, jeśli nie jedną trzecią wartości rynkowej takich towarów. Pan natomiast zaproponował mi...

- Pięć procent - uściślił od razu Copperfield. - I to najlepsza oferta, jaką pan tu dostanie. Jeśli ktoś da panu więcej, wyrównam tę cenę.

- Przestaje mnie dziwić, że stać pana na taki dworek, skoro płaci pan tylko pięć procent - stwierdził rozzłoszczony Cole.

- To naprawdę szczodra oferta, mój drogi Steerforth - powiedział Copperfield. - Nie pomylę się chyba, jeśli powiem, że jesteś nowy w tym biznesie?

Cole nie odpowiedział.

- Tak myślałem. Zrozum proszę, Steerforth, ja nie każdemu oferuję pięć procent ceny. Jeśli udokumentujesz źródło pochodzenia, jeśli dasz mi certyfikaty autentyczności, mogę zapłacić nawet trzydzieści procent. Ale te diamenty pochodzą z kopalni na Blantyre IV. Te błękitno-zielonkawe plamki w sercu każdego z nich utwierdzają mnie w tym przekonaniu. A z tego, co wiem, siedmiu górników zostało zabitych, gdy piraci napadli na ich kopalnię, kradnąc około czterystu kamieni. O tym fakcie słyszeli chyba wszyscy jubilerzy i kolekcjonerzy nie tylko na Wewnętrznej Granicy, ale i w Republice. To samo mogę powiedzieć o wszystkich stróżach prawa. Nie mogę sprzedać tych kamieni hurtem i prawdę powiedziawszy, będę je musiał trzymać co najmniej pięć lat, zanim znajdę nabywcę. Byłbym zapomniat - dodał, sięgając po woreczek. - Zajmijmy się teraz biżuterią. Widziałem do tej pory tylko tiarę. Zdjęto to ją z odciętej głowy diwy Fryderyki Orloff, zabitej i obrabowanej podczas balu charytatywnego na Binderze X. Firma ubezpieczeniowa rozesłała hologramy tej tiary, kolczyków i całej reszty biżuterii po wszystkich jubilerach, kupcach, sprzedawcach,

kolekcjonerach i komendach policji od Obrzeży aż po Centrum Galaktyki. Pięć procent nie zrekompensuje mi ryzyka, na jakie narażę się, sprzedając te klejnoty. Ale dam panu trzy procent i dorzucę dwa za pamięć o Karolu Dickensie - roześmiał się nagle. - Powinien pan uważać, kogo pan zabija. Wielu ludzi będzie chciało dopaść człowieka stojącego za kradzieżą tych diamentów i klejnotów.

Cole milczał jeszcze przez chwilę.

- Pańska oferta wydaje się rozsądna - powiedział w końcu. - Nie wiem wprawdzie, czy nie robi mnie pan w konia, ale te słowa brzmiały bardzo racjonalnie.

- Zatem dobiliśmy targu?

Cole pokręcił głową.

- Nie. Mam przecucie, że pan wie doskonale, kim jestem. Nie próbowałem żadnych przebieranek, a skan mojego paszportu został pewnie od razu przesłany na pańskie biurko. A skoro wie pan o tym, musi pan mieć także świadomość, że posiadam sporą załogę na utrzymaniu i okręt wymagający uzupełnień paliwa oraz zapasów amunicji, zwłaszcza że wielu wrogów na mnie czyha. Za pięć procent ceny rynkowej nie zdołam się utrzymać ani teraz, ani w przyszłości.

- Zatem domyślam się, co spotkało gentlemana, któremu odebrał pan te dobra, chociaż pojęcia nie mam, jak pan tego dokonał i czy on jeszcze żyje, ale prawdę powiedziawszy, niewiele mnie to obchodzi - stwierdził Copperfield. - Muszę panu jednak uświadomić, że on potrafił utrzymać się z takiego procentu.

- Utrzymanie jego jachtu nie kosztowało nawet dziesiątej części tego, co ja muszę płacić. Miał też o wiele mniejszą załogę. Nie musiał oszczędzać na nowe uzbrojenie i konserwację starego. No i znacznie mniej przejmował się ludzkim życiem, nie

wspominając już o byciu ściganym przez floty dwóch imperiów.

- Aż dwóch?

- Federacja Teroni jest wrogiem całej ludzkości. Republika ma za wroga tylko tego człowieka, który przed panem siedzi.

- Chyba dokonam niebywałego czynu - oznajmił chwilę później Copperfield. - Pozwolę panu zabrać towar i opuścić to miejsce. Wie pan, że mógłbym pana zatrzymać. Nawet w tej chwili mierzy do pana i pańskich ludzi ponad dwudziestu strzelców. Ale człowiek, który potrafi dopasować Steerfortha do Copperfielda zasługuje na to, aby odejść wolnym. Idź w pokoju, mój przyjacielu, i pamiętaj, moja oferta jest wciąż aktualna. Jeśli ktoś da ci więcej niż pięć procent, wyrównam jego cenę. Ale, prawdę powiedziawszy, nie liczyłbym specjalnie na takie cuda.

- Młodzieniec, który mi towarzyszy, służył wcześniej pod kapitanem Windsailem - powiedział Cole. - Dowiedziałem się od niego, że ten stary pirat lubił pana. Teraz już wiem, dlaczego.

- Mam nadzieję, że to nie nasze ostatnie spotkanie, panie Steerforth - powiedział Copperfield, gdy Cole zamknął walizkę i ruszył z nią w stronę drzwi. - Panie Jones, proszę odwieźć pana Steerfortha i jego towarzyszy do kosmoportu.

Przez całą drogę powrotną na „Teodora Roosevelta” Cole zastanawiał się nad pozostałymi opcjami, odrzucając je jedną po drugiej. Gdy wchodził na pokład, wciąż nie potrafił zrozumieć, jak Czarnobrody i kapitan Kidd radzili sobie z finansami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cole siedział w swoim z rzadka używanym biurze, rozmawiając z Sharon Blacksmith, Christine Mboją i Forrice'em.

- To coś, czego nie przewidziałem - powiedział. - W czasach, gdy cała galaktyka ma ze sobą połączenia, godzinę po tym, jak na Wewnętrznej Granicy zostanie ukradziony naszyjnik, dowiedzą się o tym wszyscy handlarze i gliniarze na Obrzeżach, w Ramieniu Spiralnym i w gromadzie Quinellusa. Nawet w Republice będą mieli jego hologramy i opisy. Pięć procent to chyba maksimum, jakie możemy wyciągnąć.

- A wyżyjemy z tego? - zapytała Sharon.

- Nie mamy wielkiego wyboru - odparł Wilson. - Flota na pewno nie powita nas z otwartymi ramionami. Raczej przygotują nam na powitanie szeroko otwarte cele i to tylko pod warunkiem, że będą w lepszych humorach niż w momencie mojej ucieczki.

- Muszą istnieć jakieś możliwości - wtrąciła Christine.

- Na przykład, jakie? - zapytał Cole. - Nie jesteśmy gotowi na obrabianie liniowców. - Westchnął głośno. - Musi być jakiś sensowniejszy sposób na spieniężenie tych diamentów. Do cholery, każde z nas czytało przecież kryminały i oglądało thrillery o złodziejach klejnotów. To nie może być aż tak trudne.

- Z tego, co widzę, zdobycie nielegalnego towaru jest w tym procedurze najłatwiejsze - powiedział Molarianin.

- Kapitan Windsail nie wyglądał na zagłodzonego - zauważyła Sharon. - Jak on opłacał swoją załogę i kupował paliwo?

- Będziemy wiedzieli, co robić, jak tylko się tego dowiemy - burknął poirytowany Wilson. - To wszystko przez postęp technologiczny, już wam mówiłem. Dzisiaj coś ukradniesz, a jutro wszyscy o tym wiedzą.

- Niby skąd? - zapytała Sharon. - Nie mam żadnych hologramów moich bransoletek i naszyjników. Przecież nie zrobię ich po tym, jak stracę moją biżuterię.

- Nie chciałbym cię urazić, ale twoje bransoletki i naszyjniki nie są warte zainteresowania złodziei - powiedział Cole.

- Wracając do pytania - wtrącił się Forrice. - Jakim cudem te informacje rozchodzą się aż tak szybko i szeroko?

- W przypadku wyjątkowo cennych przedmiotów firmy ubezpieczeniowe zawsze robią spory raban - stwierdził Cole.

- A jeśli one nie są w ogóle ubezpieczone? - dopytywał się Cztery Oczy.

- Jeśli posiadają jakąkolwiek wartość, na pewno ktoś je ubezpieczył.

- Uważasz zatem, że tylko firmy ubezpieczeniowe stoją za rozpowszechnianiem takich informacji?

- A ty masz inne zdanie na ten temat? - zapytała Sharon. - Poniosą cholerne straty, jeśli te precjoza się nie odnajdą.

- Domyślam się - mruknął Forrice. - I znów zabrnęliśmy w ślepy zaułek.

- Chyba jednak nie - wtrącił Cole.

- Coś ty znowu wymyślił? - zapytała Sharon.

- Znalazłem rozwiązanie naszego problemu.

Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Możemy panu pomóc w rozwianiu wątpliwości? - zainteresowała się Christine.

- Tak, spróbujemy rozwiązać tę sprawę za pomocą dialogów sokratejskich - zaproponował kapitan.

- Czymkolwiek one są - mruknął Forrice.

- Załóżmy hipotetycznie, że odziedziczyłem właśnie drogocenny naszyjnik z pereł wydobywanych ze słodkowodnego oceanu na Bareimucie VII. Ja mówię, że jest wart pięćdziesiąt tysięcy kredytów. Ty mówisz, że tylko czterdzieści dwa tysiące.

Sharon na to, że czterdzieści pięć. Które z nas ma rację?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - zdziwił się Cztery Oczy.
- Nie możesz tego wiedzieć - zgodził się Cole. - Jak zatem poznać prawdę?
 - Urządzamy aukcję, na której otrzymamy za niego tyle, ile naprawdę jest wart - odpowiedział Molarianin.
 - I tutaj dochodzimy do pierwszego problemu - dodał Wilson. - Naszyjnik został kupiony w czasach prosperity, a sprzedajemy go w momencie załamania gospodarki. I na dodatek nie oddamy go za marne grosze. Chcemy się też dowiedzieć, ile jest wart naprawdę, a potem albo odsprzedać go za tę cenę, albo trzymać nadal, czekając na zadowalającą ofertę.
 - Zgadza się - rzucił Forrice, rozdrażniony tym, że Cole wciąż przedstawia nowe przeszkody i utrudnienia, nawet jeśli były tylko wymyślone. - Zanosimy go do jubilera i robimy solidną wycenę.
 - A ja mam lepszy pomysł - oświadczył Wilson. - Zabieram go do trzech jubilerów. Jeden wycenia go na pięćdziesiąt tysięcy, drugi na czterdzieści pięć a trzeci na czterdzieści dwa. I co teraz? Jak poznam prawdziwą wartość tego naszyjnika?
 - Zgłaszasz się do firmy ubezpieczeniowej, a ona wybierze wycenę najbliższą właściwej.
 - A jeśli firma ubezpieczeniowa uzna, że one wszystkie są błędne i przedstawi ci czwartą?
 - Wtedy uznam ją za tę właściwą.
 - Dlaczego? - zapytał Cole.
 - Bo to będzie kwota, jaką mi wypłacą, jeśli naszyjnik zostanie skradziony - odparł Molarianin.
 - Bardzo dobrze - powiedział kapitan i uśmiechał się szeroko.
 - Nie rozumiem nawet, o czym my tu rozmawiamy - pożałił

się zirytowany Forrice.

- Zrozumiesz, i to bardzo szybko - obiecał mu kapitan. - Jeśli ten naszyjnik zostanie skradziony, jego hologramy i opisy dotrą błyskawicznie do pięciu milionów planet.

- Zgadza się.

- Dlaczego? - zapytał Cole. - Przecież on nie należy do firmy ubezpieczeniowej, tylko do mnie.

- Ponieważ to oni muszą za niego zapłacić - odparł Cztery Oczy - i dlatego są, tak samo jak ty, zainteresowani jego odzyskaniem. A może nawet bardziej.

- A teraz ostatnie pytanie - powiedział Wilson. - Jesteś złodziejem, który ukradł naszyjnik. Z kim wolałbyś mieć do czynienia? Z paserem, który zapłaci ci cztery albo pięć procent ceny rynkowej, ponieważ towar jest wciąż gorący i trzeba go będzie zakopać na lata, a nawet wtedy ryzyko wpadki przy sprzedaży może okazać się zbyt wysokie, czy z firmą ubezpieczeniową, która będzie musiała wypłacić pełne ubezpieczenie, jeśli naszyjnik się nie odnajdzie?

- Wiem! - zawołał Forrice i na jego obliczu pojawił się wyraz zrozumienia. - To jest to!

- Właśnie to powinniśmy robić - oświadczył Cole. - Jeśli nawet zaniżymy cenę, te diamenty wciąż są warte prawie dziesięć milionów kredytów. Ile warta jest biżuteria, nie mam pojęcia. Ale dowiem się, kiedy sprawdzimy, kto ją ubezpieczył i na jaką kwotę.

- Nie możesz przecież wkroczyć do takiej firmy, aby oświadczyć wszem i wobec: „Właśnie ukradłem wasze diamenty czy też tiarę, czy co tam jeszcze i jeśli mi nie powiecie, ile są warte, to ich wam nie zwrócę” - powiedział Forrice.

- Nie zamierzam robić czegoś takiego - zapewnił go kapitan. - Taka firma nie rozmawiałaby z nami na podobnych

warunkach. Zwłaszcza gdyby nie widziała w tym zysku dla siebie. Ale wróćmy raz jeszcze do mojego hipotetycznego naszyjnika. Ty jesteś firmą ubezpieczeniową. Przychodzę do twojego biura z hologramem naszyjnika zrobionym już po kradzieży, na pewno jest jakiś sposób, żeby cię o tym przekonać. Nie proszę o pełną jego wartość. Gdybym tak zrobił, wezwałbyś policję i kazał mnie zamknąć. Nie, nie. Wyjaśniam ci za to, że zajmuję się odzyskiwaniem cennych przedmiotów. Dodaję, że usłyszałem o kradzieży tego naszyjnika i miałem tyle szczęścia, że udało mi się go odzyskać. I oddam go twojej firmie za jedną trzecią jego faktycznej rynkowej wartości. Co więcej, ponieważ nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzysz, dodasz napisane tu i teraz zobowiązanie, że nie wniesiesz żadnego oskarżenia wobec mojej osoby i nie przekażesz szczegółów tej transakcji miejscowym władzom.

- A niech mnie, jeśli to nie doskonały plan - stwierdził Forrice.

- Wróćmy teraz do diamentów. Powiedzmy, że są warte dwanaście milionów kredytów. Zapłacisz mi cztery miliony i będziesz mógł je zwrócić legalnym właścicielom. To powinno załatwić sprawę odszkodowania. A teraz druga strona medalu. Jeśli wydasz mnie policji albo odmówisz zrobienia tego interesu, możesz poczuć się moralnym zwycięzcą, ale czy to poczucie warte będzie zapłacenia dodatkowych ośmiu milionów kredytów? A na wypadek, gdybyś pomyślał, że któregoś dnia będziesz mógł mnie szantażować w imieniu swoim albo firmy ubezpieczeniowej, zgodzę się na jednorazowe badanie wykrywaczem kłamstw i odpowiem podczas niego na jedno pytanie, na przykład takie: „Czy to ty ukradłeś diamenty z Blantyre IV?”. Oczywiście zaprzeczę, a maszyna wykaże, że powiedziałem prawdę, ponieważ odebrałem je piratom, którzy

napadli na kopalnie.

- A jeśli zażądają materialnego dowodu?

- Nie będę takim idiotą, żeby iść na negocjacje z naszymi w kieszoni. Jeśli zgodzą się na moje warunki albo wynegocjujemy inne zadowalające obie strony, dostarczę im go w ciągu dwudziestu czterech godzin. Jeśli odmówią, stracą pełną kwotę ubezpieczenia, czego osobiście dopilnuję. To nie są stróża prawa. To biznesmeni, a w ich branży liczą się wyłącznie zyski i straty. Jak myślisz, na co pójdą?

- Myślę, że znalazłeś rozwiązanie naszych problemów, Wilsonie - powiedziała Sharon. - Jeśli mamy tutaj przeżyć, takim właśnie rodzajem piractwa musimy się zająć.

- Jest mniej romantyczne, ale za to bardziej dochodowe, trzeba to przyznać - stwierdził Cole i odwrócił się do Forrice'a. - Chcę, żebyś zaraz po zakończeniu naszego spotkania zajął się sprawdzeniem, jaka firma ubezpieczyła te diamenty, gdzie znajduje się jej najbliższe biuro i na ile opiewa polisa. Sharon, ty zajmiesz się ustaleniem takich samych danych dotyczących biżuterii. W tym czasie Christine wyliczy dokładnie, ile kosztuje utrzymanie „Teddy'ego R” w ciągu jednego standardowego dnia, tygodnia i miesiąca. Paliwo, żywność, uprawy hydroponiczne, naprawy, amunicja, wszystko. Dopiero mając te dane, będziemy wiedzieli, czy jedziemy na zyskach czy stratach. A jeśli będą zyski, to trzeba je będzie podzielić między ludzi.

- W tej wersji nasza przyszłość wygląda strasznie bezbarwnie i instytucjonalnie - stwierdził Forrice.

- Miejmy nadzieję, że taka też będzie w rzeczywistości - odparł Cole.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cole skontaktował się ze szpitalem i uzyskał informację, że Chadwickowi wszczepiono sztuczne bębenki. W tej chwili sprawowały się aż za dobrze, chory narzekał, że słyszy rozmowy toczące dziesięć, a nawet dwanaście pokoi dalej. Cole uznał jednak, że to może być całkiem fajna broń w jego arsenale i poprosił, żeby postarano się dać Chadwickowi możliwość regulacji głośności słuchu, o ile oczywiście jest to realne. Niestety, odpowiedź była negatywna. Obiecano jednak, że w ciągu kilku najbliższych godzin ktoś skoryguje ten parametr. Kapitan uzgodnił na koniec, że podeśle wahadłowiec, aby przewieźć rannego na pokład „Teddyego R”, tylko lekarze skończą nad nim pracować

- Cztery Oczy, to ja, Cole - odezwał się chwilę później, przechodząc na inny kanał.

- Przecież wiem - odparł Molarianin. - Twoja ohydna gęba gapi się na mnie z odległości trzech stóp.

- Prawdę powiedziawszy, staram się na ciebie nie patrzeć - odparł kapitan - bo właśnie jem.

- Skończyliśmy się wzajemnie obrażać? - zapytał Forrice. - Czy chcesz wymienić się jeszcze kilkoma inwektywami, zanim powiadomisz mnie, dlaczego dzwonisz w samym środku czerwonej zmiany?

- Doszedłeś już do jakichś rezultatów w poszukiwaniach firm ubezpieczeniowych?

- Diamenty miały polisę wystawioną przez Pilargo Company.

- Z Republiki czy z Granicy? - zapytał Cole.

- Z Republiki - odparł Molarianin. - Siedzibę mają na Delurosie VIII.

- Cholera! Mogliśmy się tego spodziewać... - Wilson zamilkł

na moment. - Gdzie mają najbliższą filię? Czy oni w ogóle funkcjonują na terenach Wewnętrznej Granicy?

- Pomyślałem, że o to zapytasz - odparł Forrice - i dlatego sprawdziłem. Nie mają żadnego przedstawicielstwa na terenie Granicy. Najbliższa filia mieści się na Benjaminie II, ale jest naprawdę niewielka. Wątpię, żeby dysponowała kwotami, o jakich rozmawiamy. Na moje oko musimy udać się aż na Nowy Madryt.

- Nowy Madryt - powtórzył Cole. - Przecież to całe czterysta lat świetlnych w głąb Republiki!

- Kiedy następnym razem będziemy chcieli oskubać jakąś agencję ubezpieczeniową, poproszę ją najpierw żeby przenieść biura na Pamiątkę albo Binra X - powiedział Molarianin.

- Dowiedziałeś się chociaż, na ile ubezpieczono te diamenty?

- To jest jeszcze bardziej skomplikowane - odparł Forrice. - Ubezpieczyli wszystkie dostawy wychodzące z Blantyre IV na dziewięćdziesiąt procent wartości rynkowej towaru, ale nie mają odrębnej polisy na tę partię kamieni.

- Nie szkodzi, możemy to sobie wyliczyć sami - uspokoił go kapitan. - A co z biżuterią?

- Nadal nad tym pracujemy. Ciężej ją namierzyć, ponieważ należała do osoby prywatnej, a nie kupca czy republikańskiej firmy. Sądzę jednak, że zdobędziemy te dane za dzień standardowy, góra dwa. Christine jest lepsza, jeśli chodzi o takie szczegóły. Kiedy przejmie białą zmianę, robota pójdzie nieco szybciej.

- Świetnie - odparł Cole. - Przekaż Moralesowi, że chcę się z nim spotkać w mesie.

- Wydaje mi się, że on już tam jest.

- Zatem przekaż mu, żeby tam został. Dołączę do niego za parę minut.

Wilson przerwał połączenie, udał się do łazienki, gdzie spryskał sobie twarz zimną wodą, potem opuścił kabinę i wszedł do windy jadącej w pobliże mesy.

Esteban Morales siedział sam przy oddalonym stoliku i spoglądał w jego stronę.

- Dzień dobry - powiedział Cole. - Albo dobry wieczór. Nie wiem, jak wygląda twój harmonogram pracy.

- Witam, sir - odparł Morales. - Pan Forrice powiedział, że chciał mnie pan widzieć.

- O naszym Molarianinie można powiedzieć wiele rzeczy, dobrych i złych - stwierdził kapitan z uśmiechem na ustach - ale nikt jeszcze nie nazywał go „panem”.

- Przepraszam, sir.

- Nie zwracam ci uwagi, tylko komentuję twoją wypowiedź.

- Wilson spojrzał uważniej na chłopaka. - Nie odbyłeś jeszcze zasadniczej służby wojskowej?

- Nie - odparł Morales i zaraz się poprawił: - Przepraszam, chciałem powiedzieć: nie, sir.

- My też już nie jesteśmy wojskiem - przypomniał mu Cole. - Możesz sobie darować to „sir”.

- Tak jest, sir. - Morales znów się zmieszał. - To znaczy: tak.

- Mam dla ciebie zadanie - ciągnął tymczasem kapitan. - To dość prosta robota, ale tak się złożyło, że tylko ty możesz ją wykonać.

- Naprawdę? - zapytał chłopak, nie potrafiąc ukryć zaciekawienia. - Co mam zrobić?

- Chcę, żebyś wynajął niewielką jednostkę. Taką jedno-, góra dwuosobową, ale nie większą.

- Mam wynająć jacht? - Morales wydawał się zawiedziony. -

Każdy może to zrobić.

- Tak, ale tylko ty jeden możesz dokonać tego na terytorium Republiki bez narażania się na więzienie.

- Nie rozumiem, sir - chłopak poruszył się niespokojnie. - To znaczy: nie rozumiem.

- Jeśli wygodniej ci tytułować mnie w ten sposób nie przejmuj się, nie będzie mi to przeszkadzać - stwierdził Cole. - Chciałem ci tylko uświadomić, że nie musisz tego robić. - Zamówił kanapkę z lewitującego menu, potem wrócił do rozmowy z Moralesem. - Każdy z pozostałych członków załogi jest buntownikiem albo został oskarżony o pomoc w ucieczce buntownikowi oraz uprowadzenie „Teddy’ego R” na terytorium Wewnętrznej Granicy. Jeśli ktokolwiek z nich zostanie wylegitymowany na terenie Republiki, alarmy rozdzwonią się nawet na Delurosie.

- Przecież ja nie mam pieniędzy, sir - odparł Esteban. - Wstąpiłem do załogi „Achillesa”, mając piętnaście lat, a kapitan Windsail płacił nam bardzo rzadko i raczej niezbyt wiele.

- Z tym nie będziesz miał problemu - uspokoił go kapitan. - Damy ci wystarczającą sumę, żebyś mógł wynająć tę jednostkę na dzień albo dwa. Jesteś jedynym członkiem załogi, którego tożsamości nikt nie skojarzy z „Teddy R.”.

- Z przyjemnością wykonam to zadanie, sir - oświadczył Morales. - Ale przecież mamy własny okręt i jego trzy wahadłowce. Po co nam jeszcze wynajęty statek?

- Zrobiliśmy, co się dało, aby wymazać z baz danych informacje dotyczące „Teddy’ego R.” i jego wahadłowców, ale on ma prawie sto lat. Niewiele okrętów z tamtej epoki wciąż służy w naszej flocie. Mało kto wie, że marynarka nie sprzedaje wycofywanych jednostek w prywatne ręce. Wojsko odzyskuje wszystko, co nadaje się jeszcze do użytku, a resztę tnie się na

żyłki. Jeśli więc wyląduję naszym wahadłowcem albo wprowadzę „Teddy’ego R” na orbitę, mogę trafić na kogoś bystrego, kto natychmiast poinformuje o tych faktach miejscowe władze. Pamiętaj, że planeta, na którą się udajemy, leży czterysta lat świetlnych w głębi terytorium Republiki. Jeśli stacjonują tam jakieś jednostki floty, na pewno nie uda nam się uciec przed nimi za Wewnętrzną Granicę, a bezpośredniego starcia nie przetrwamy. A gdyby nawet udało nam się przekroczyć granicę przed takim okrętem, pościg na pewno nie zostanie przerwany. Oni nie odpuszczają sobie możliwości dopadnięcia jednostki, którą pragną zniszczyć bardziej niż wroga.

- Wynajmę dwuosobowy jacht i polecę z panem, sir - oświadczył Morales.

- Lecę sam. To robota dla jednej osoby.

- Gdyby, nie daj Boże, coś się panu stało, ktoś będzie musiał zasiąść za sterami statku.

- Jeśli coś mi się stanie, nie zdołam wrócić na pokład.

- Zdoła pan - zapewnił go chłopak. - Nazywa się pan Wilson Cole. Wieści o panu docierały nawet tutaj, na Granicę.

- Ale nie słyszałeś nigdy takiej, w której udało mi się przeżyć rozerwanie pulsatorem i usmażenie promieniami lasera - zapewnił go kapitan.

- Co nie zmienia faktu, że powinienem lecieć z Panem, sir - Morales nie dał się zbić z pantafelku. - A jeśli w kosmoporcie będą się upierali, że statek może pilotować jedynie osoba, która go wynajęła?

- Dobrze, panie Morales, zaliczył pan punkt - przyznał Cole.

- Polecą pan ze mną. Ale nie opuści pan statku po wylądowaniu.

- Na kiedy potrzebuje pan ten jacht? - zapytał chłopak.

- Tak szybko, jak to tylko możliwe. „Teddy R” jest już tak

stary i skołatany, że nie może wchodzić w atmosfery planet bez ryzyka rozpadnięcia się albo spłonięcia, dlatego dam ci do dyspozycji jeden z naszych wahadłowców.

- Mogę zostawić go w zastaw - zaproponował Morales.

Cole pokręcił głową.

- Wolalbym nie zostawiać go na widoku, żeby ktoś nie dokonał przypadkowej identyfikacji. Wyznaczę kogoś z załogi, kto polecą z tobą na planetę. Wahadłowiec będzie czekał na ciebie do chwili, w której dasz nam znak, że coś wynajęłeś.

- Mam lecieć za nim w pobliżu „Teddyego R”?

- Przyjrzyj się dobrze wynajętej jednostce - poradził mu kapitan. - Jeśli uznasz, że będę mógł na nią wsiąść tutaj, polec za wahadłowcem. Jeśli nie, a większość tych jedno- i dwuosobowych stateczków nie jest przystosowana do przyjmowania ludzi i ładunków w przestrzeni, przekaż informację pilotowi, on dostarczy mnie bezpośrednio na lądowisko

- Mam wyruszyć od razu? - zapytał Morales.

- Zanim polecisz gdziekolwiek, poproś Forrice'a, a jeśli jest już blisko do rozpoczęcia białej wachty, Christine Mboję, żeby sprawdzili, czy jakaś zamieszkała planeta znajduje się w pobliżu naszej trasy i zapytali przez radio, czy można na niej wypożyczyć jakąś jednostkę przestrzenną. - W tym momencie podniósł głos. - Czy pani pułkownik Blacksmith słyszała, co powiedziałem?

Hologram Sharon pojawił się przed nim w tej samej chwili.

- Tak.

- Wybierz kogoś z załogi, ale to nie możesz być ty ani Christine Mboya, aby poleciał z panem Moralesem, kiedy będzie gotowy do odebrania wynajętego statku.

- W jaki sposób ma zapłacić za wynajem?

- A ile kosztuje takie wynajęcie statku?

Sharon roześmiała się na głos.

- Zbyt długo służyłeś we flocie, Wilsonie.
- Co chciałaś przez to powiedzieć?
- Tylko to, że mogę iść o zakład, iż nigdy nie musiałeś wypożyczać takiego statku, a może nawet i autolotu.

- Wygrałaś - przyznał Cole. - Co takiego przeoczyłem?

- Będą chcieli zabezpieczenia pod postacią zwrotnego depozytu. Mogą zażądać co najwyżej tyjąca kredytów za dzień wynajmu, ale wątpię, aby zaufali komuś totalnie obcemu i dali mu statek wart trzysta tysięcy bez dodatkowego, solidnego zabezpieczenia.

- Nie mamy takiej ilości pieniędzy na pokładzie „Teddy’ego R.”. Wynajmujemy ten stateczek żeby je zdobyć. - Opuścił głowę na moment, aby zebrać myśli. - Dobrze, zróbmy tak. Dam panu Moralesowi sześć diamentów. To powinno wystarczyć jako zabezpieczenie. I wyślę Byka Pampasa, Braxytę i może tę wysoką kobietę, której nigdy nie mogę zastać w laboratoriach, kiedy jest mi tam potrzebna, jak ona się nazywa... Idenę Mueller. Może wreszcie przyda się do czegoś.

- Na przykład do czego? - zapytała Sharon.

- Myślałem, że to oczywiste - stwierdził Cole. - Jeśli nie uda się wypożyczyć tego statku, oddając w zastaw diamenty, po prostu go ukradną.

- I wyślemy go na odległą planetę, na której na pewno będą go poszukiwać? - zapytała z niedowierzaniem.

- Byk, Braxyta i Mueller zostaną w wypożyczalni i wyjaśnią, grzecznie, acz stanowczo, że maszyna zostanie zwrócona za standardowy dzień, a ludzie z agencji wynajmu, jeśli okażą się rozsądni i nie będą stwarzali niepotrzebnych problemów, dostaną należne pieniądze plus premię.

- A jeśli nie okażą się rozsądni?
- Wtedy należność skasują ci, którzy przeżyją, a premia zostanie dla nas.
- Naprawdę każesz ich pozabijać?
- Daj spokój - obruszył się Cole. - Nie chcesz chyba, żebym im też o tym powiedział. Sama pomyśl, czy Byk i Braxyta nie należą do robiących wrażenie przedstawicieli naszych szacownych ras?
 - A po co wysyłasz tam Idenę Mueller?
 - Możemy mieć do czynienia z dużą ilością pracowników. Do tego trzeba będzie sprawdzić damskie toalety, czy nie zaplątała się w nich przypadkowa klientka, która może powiadomić gliny, kiedy chłopcy zaczną akcję zastraszania. Sokołów albo któryś z nich pewnie dałby sobie radę i z takim zadaniem, ale po co mamy dodatkowo irytować ludzi znajdujących się w i tak stresującej sytuacji?
 - Powiedział facet, który zamierza straszyć wszystkich śmiercią - stwierdziła Sharon rozbawionym tonem.
 - Z wielu gorących nocy spędzonych w twoim towarzystwie wiem, że subtelność nie należy do twoich największych zalet - odparł Cole. - Powinnaś jednak zauważyć dyskretną różnicę pomiędzy zabiciem kogoś a postraszaniem go śmiercią.
 - A ty byłeś minionej nocy subtelny przed czy po tym, jak...
 - Ani słowa więcej... - przerwał jej. - Szokujesz naszego nowego załoganta. Skontaktuj się ze wspomnianą trójką i każ im się przygotować.
- Hologram Sharon zniknął i kapitan mógł wrócić do rozmowy z Moralesem.
 - Teraz pójdziemy do laboratorium naukowego - powiedział.
 - Do laboratorium?
 - Tak. Tam trzymam diamenty.

- Mogę wiedzieć, dlaczego?
- Owszem. Od czasu gdy zamustrowałem się na „Teddy’ego R”, nie widziałem, aby ktoś wszedł tam z własnej woli. Przynajmniej od chwili, kiedy upewniłem się, że chłopcy nie będą mogli składować w nich narkotyków.

- Brali narkotyki?
- Dawno, dawno temu - powiedział Cole i nagle jego twarz stężała, a w oczach pojawił się twardy, zimny błysk. - Ale już tego nie robią.

Po raz pierwszy Morales dostrzegł w tym przemiłym człowieku coś, co uczyniło z niego najczęściej odznaczanego oficera floty. Zaczął nawet rozumieć, dlaczego Republika uznała go za swojego największego wroga.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Przepraszam, sir - powiedział Morales, gdy ich dwuosobowy jacht pędził w stronę Nowego Madrytu.

- To nie była twoja wina - odparł Cole. - Żaden uczciwy człowiek nie przyjąłby tych diamentów w depozyt. - Wzruszył ramionami. - Mieliśmy pecha, zarówno my, jak i on, że trafiliśmy na uczciwego faceta.

- A co z nim? - zapytał chłopak. - Zabije go pan, kiedy wrócimy?

- Nie, skądże znowu - zaprzeczył kapitan. - Jeśli okaże się rozsądnym człowiekiem i obieca, że będzie trzymał gębę na kłódkę, może skąpnie mu nawet kamyczek albo dwa. Będziemy musieli wynająć ten statek jeszcze nieraz. Dobrze byłoby mieć zaufanego człowieka w podobnej firmie. Ale jeśli przekaże nagrania wszystkim holowizjom w okolicy i władze otrzymają wasze rysopisy, straci naprawdę spory napiwek. Przypomnij mi - dodał zaraz - żebyśmy zaraz po zwrocie statku przetrząsnęli tę budę w poszukiwaniu zdjęć, które nam zrobił.

- Panu zdjęcia nie mógł zrobić, sir.
- Mojego skalpu pożąda pół biliona ludzi i niemal tyle samo Teroni - odparł Cole. - Jeden wróg więcej nie robi mi różnicy. - Spojrzył na przyrządy. - Ile czasu mamy?

- Przy tej nadświatłej jakieś sześć godzin - poinformował go Morales. - Jeśli znajdę tunel czasoprzestrzenny, który Wxakgini zlokalizował w pobliżu systemu Romeo, może uda się skrócić ten czas do czterdziestu minut.

- Znajdź go. Nie cierpię żarcia serwowanego w wahadłowcach.

Cole wstał i ruszył na tyły kabiny.

- Czy coś jest nie tak, sir? - zapytał Morales.
- Nie widzę sensu, żebyśmy obaj się nudzili - odparł kapitan.
- Zamierzam uciąć sobie drzemkę. Obudź mnie, jak dolecimy na miejsce.

Morales starał się odnaleźć tunel czasoprzestrzenny, ale zabrakło mu umiejętności Wxakgini, więc dopiero sześć godzin później obudził Cole, oznajmiając mu, że właśnie wlecieli na orbitę Nowego Madrytu, otrzymali pozwolenie na lądowanie i przyziemią najdalej za pięć minut.

Kapitan wstał, przeciągnął się, a potem wysłał wiadomość do lokalnego oddziału Pilagro Company, prosząc o ustalenie terminu spotkania z kimś, kto jest tam szefem. Odmówił przy tym odpowiedzi na wszystkie pytania, zaznaczając, że ma sprawę niezwyklej wagi. Kiedy robot recepcyjny odmówił w dość zdecydowany sposób, kapitan poprosił o podanie nazwy i adresu największej konkurencyjnej firmy ubezpieczeniowej. Dzięki temu do rozmowy włączył się człowiek i zanim wahadłowiec dotknął płyty lądowiska, spotkanie zostało umówione.

- Zamierza pan zabrać te diamenty ze sobą? - zapytał

Morales, wskazując na niewielką walizeczkę.

- Żeby mi je zabrali, grożąc bronią? - odparł Cole z uśmiechem na ustach. - Nie ma głupich. Zostawię je tutaj.

- Na pokładzie?

- Wolalbym zdeponować je w którejś ze skrytek w hali kosmoportu i wymienić kombinację do niej na żywą gotówkę, ale oni musieliby być szaleni, żeby dobić targu, zanim sprawdzą, czy jest właściwa, a kiedy ją otrzymają, wrócimy do starego scenariusza: wyciągają broń, zabierają mi kamienie i wzywają gliny. Trzymając je tutaj, upewnimy się przynajmniej co do tego, że nie będą uzbrojeni. Nie wspominając już o takim szczególe, że na koniec znajdę się na pokładzie cały i zdrowy.

- Sądzi pan, że oni pójdą na układ?

- Pytasz, czy będą chcieli oszczędzić kilka milionów kredytów? Oczywiście. Jestem jednak pewien, że zrobią wszystko, żeby sprawdzić tożsamość naszego wahadłowca, a ty, jak mniemam, podałeś jego dane, kiedy prosiłeś o pozwolenie na lądowanie. Tyle tylko, że ta maszyna nie należy do nas i już jutro nie będzie nam potrzebna, nie musimy więc przejmować się takimi drobiazgami.

- Jak długo mam na pana czekać, sir? - zapytał Morales. - Chciałbym to wiedzieć, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

- Niech pomyślę. Po przejściu przez odprawę będę potrzebował nie więcej niż pięć minut, aby dostać się do siedziby firmy. Daj mi dwie godziny na negocjacje. Sądzę, że zanim przyjmą moją ofertę będą długo płakać, straszyć, a nawet grozić. Do tego dajmy im jeszcze godzinkę na pobranie pieniędzy z banku... - Zamilkł, zastanawiając się, czy nie pominął czegoś, co go może opóźnić. - Jeśli nie pojawię się tutaj po czterech standardowych godzinach, spróbuję się skontaktować z tobą i wydać rozkaz startu.

- Spróbuje pan?
- Jeśli zdecydują się przycisnąć mnie mocniej, z pewnością użyją siły, a co za tym idzie odbiorą mi komunikator. - Odpiął urządzenie od paska, na którym go zazwyczaj trzymał. - Po zastanowieniu, lepiej zostawię go tutaj. Lepiej, żeby nie namierzyli wahadłowca po połączeniach albo nie wysłali jakiejś fałszywej wiadomości. W końcu ja będę tylko negocjatorem, nie muszę nawet wiedzieć, gdzie jest skarb. Zapamiętaj, czekasz na mnie cztery godziny, potem odlatujesz.
- Jeśli odleczę, wrócę jutro razem z „Teddym R”
- O tym zadecyduje nowy dowódca okrętu - przypomniał mu Cole. - A w przypadku mojej nieobecności zostanie nim Cztery Oczy. Zostańmy jednak przy wersji, w której wracam za godzinę albo dwie z walizkami pełnymi pieniędzy.

Cole podszedł do wjazdu, opuścił się na płytę lądowiska, a potem ruszył w stronę biur odprawy celnej i imigracyjnej. Użył dokumentów odebranych martwym piratom przed pozbyciem się „Achillesa”, w których Sharon wymieniła odciski palców, wzór głosu i skan siatkówki. Taka podrobka nie przeszłaby kontroli na Delurosie VIII albo innym centralnym świecie Republiki, ale był niemal pewien, że na takim zadupiu, tuż przy Wewnętrznej Granicy, powinna w zupełności wystarczyć. Wiedział, że za dzień albo dwa, jeśli dopisze mu szczęście, jakiś komputer odkryje, że przedstawiciel handlowy nazwiskiem Roger Cowin ma identyczną siatkówkę oka jak banita Wilson Cole i na dodatek cholernie przypomina go z wyglądu, ale do tej pory powinien być już bezpieczny i tylko to się teraz liczyło.

Podjechał do pobliskiego miasta środkami transportu publicznego, potem zapytał błyszczącego znaku drogowego, jak dotrzeć do siedziby Pilagro Company, poczekał na wydrukowanie holomapy oraz instrukcje słowne i po chwili wkroczył do siedziby ubezpieczyciela.

W recepcji, za biurkiem, siedział lśniący nowością robot.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał miłym, kobiecym głosem.

- Nazywam się Roger Cowin - przedstawił się Cole. - Jestem umówiony z panem Taniguchi.

- Poinformuję go, że już pan przybył. - Robot znieruchomiał na prawie dwadzieścia sekund. - Pan prezes już czeka. Jego biuro znajduje się na końcu korytarza po lewej.

- Dziękuję - powiedział Cole, ale robot nie zareagował na jego słowa. Ruszył więc korytarzem, dotarł pod wskazane biuro i poczekał, aż drzwi rozsuną się i będzie mógł wejść do środka. We wnętrzu czekał na niego masywnie zbudowany, choć niezbyt wysoki mężczyzna o czarnych, lekko już przerzedzonych włosach i zarostie tak krótko przyciętym, że wyglądał raczej na domalowany niż naturalny.

- Pan Cowin? - zapytał mężczyzna, wstając i wyciągając dłoń na powitanie.

- Zgadza się - odparł Cole, ściskając ją.

- Jestem Hector Taniguchi.

- Miło mi pana widzieć.

- Komputery twierdzą, że jeszcze nigdy nie korzystał pan z usług naszej firmy. Stwierdził pan, że jest przedstawicielem handlowym, ale nie podał pan nazwy korporacji, dla której pan pracuje. Zastanawiam się, dlaczego chciał pan rozmawiać właśnie ze mną, a nie z naszym dyrektorem handlowym.

- Obawiam się, że to, co chcę panu zaoferować, wykraczałoby poza jego kompetencje - wyjaśnił Cole.

- Doprawdy? - Taniguchi nie potrafił ukryć rosnącego zainteresowania.

- Tak. Ale najpierw chciałbym zapytać, czy posiada pan na wyposażeniu wykrywacz kłamstw.

Prezes zmarszczył brwi.

- Większość dużych firm posiada je na stanie. Nie są aż tak skomplikowane jak te, których używa policja, ale spełniają swoje zadania.

- Świetnie. Zanim przejdziemy do interesów, chciałbym, aby zadał mi pan dwa pytania, na które odpowiem po podłączeniu do tej maszyny. Kiedy przekona się pan, że mówię prawdę, będziemy mogli zacząć właściwe negocjacje.

- Coraz bardziej mnie pan intryguje, panie Cowin - przyznał Taniguchi. - Chce pan zawrzeć z nami jakąś umowę?

- Oczywiście - zapewnił go Wilson. - Chciałbym, i to bardzo, aby do tego doszło.

Prezes wezwał podwładnego i Cole został podpięty do maszyny już dwie minuty później.

- Co teraz, panie Cowin?

Kapitan wyjął z kieszeni niewielki sześcian i podał go Taniguchiemu.

- Proszę kazać wyjść temu człowiekowi. Potem może pan wprowadzić zawartość tego kryształu do waszego komputera. Są na nim dwa pytania. Odpowiem na nie, ale tylko na nie, kiedy będę przypięty do tej maszyny. Jeśli zada mi pan jakiegokolwiek inne pytanie, wyjdę stąd bez słowa i nie zobaczy pan mnie nigdy więcej.

- To naprawdę coś tak strasznego? - zapytał Taniguchi.

- Sam się pan przekona, jeśli odeśle pan asystenta i zada mi te pytania.

Prezes skinął głową w stronę pracownika, a ten natychmiast bez słowa opuścił biuro. Kryształ chwilę później trafił do komputera. Taniguchi odczytał jego treść i zmarszczył brwi.

- Panie Cowin - zapytał - czy był pan kiedykolwiek na Blantyre IV?

- Nie, nie byłem - odparł Cole.

- Czy ukradł pan czterysta szesnaście nieoszlifowanych

diamentów z Blantyre IV albo zabił kogokolwiek, kto pracował w tamtejszych kopalniach?

- Nie ukradłem i nie zabiłem - odparł kapitan i po chwili milczenia dodał: - Co mówi maszyna?

- Że to prawda.

- Świetnie, proszę mnie odwiązać.

- Chciałbym jeszcze wiedzieć...

- Jeśli dokończy pan to pytanie w czasie, gdy jestem podpięty do maszyny, wyjdę - ostrzegł go Cole. *Mam nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco przekonująco, pomyślał. Jesteś jedyną istotą na tym świecie, która może mi zapłacić więcej niż pięć procent za te kamienie. Za żadne skarby świata nie wyszedłbym z tego biura, ale ty nie musisz o tym wiedzieć.*

Taniguchi odpiął Cole'a od wykrywacza kłamstw i wyłączył urządzenie.

- Dobrze, panie Cowin. Wiemy już, że nie ukradł pan żadnych diamentów ani nie zabił górników. Obawiam się, że wokół nas są tryliony ludzi, którzy mogliby złożyć podobne oświadczenie.

Cole wyjął kolejny sześcian z kieszeni.

- Ale oni nie posiadają czterystu nieoszlifowanych diamentów, a ja je mam. Proszę włożyć ten kryształ do komputera. Na pewno ma pan tutaj specjalistów, którzy potwierdzą autentyczność tego nagrania.

Taniguchi wezwał innego pracownika, podał mu sześcian i powiedział:

- Sprawdź mi te kamienie.

Mężczyzna opuścił biuro, a prezes usiadł naprzeciw Wilsona.

- Jak pan wszedł w ich posiadanie? - zapytał.

- Jestem poszukiwaczem skarbów - odparł Cole. - Zajmuję się zawodowo odzyskiwaniem zaginionych przedmiotów.

- Te nie zaginęły - poprawił go Taniguchi. - Zostały

skradzione. Wielu ludzi zginęło podczas tej akcji.

- To już nie moja sprawa - odparł Wilson. - Wie pan już, że nie ja je ukradłem i nie ja zabiłem waszych górników. *Wiesz tylko, że nie ukradłem ich na Blantyre IV*, dodał w myślach. *Miejmy jednak nadzieję, że nie dostrzeżesz tej subtelnej różnicy.*

- Gdzie one teraz są?

- W bezpiecznym miejscu.

Drzwi rozsunęły się i do biura wrócił mężczyzna z sześcianem.

- Jaki wynik? - zapytał Taniguchi.

- Na pewno pochodzą z Blantyre IV - odparł technik.

- Czy wykluczył pan możliwość zaistnienia pomyłki?

Mężczyzna skinął głową.

- Komputery twierdzą, że żaden inny diament nie ma takiej barwy w punkcie centralnym.

- Dziękuję - powiedział prezes i odesłał technika. - Słucham, panie Cowin - dodał, gdy zostali sami. - Co pan proponuje?

- Posiadam informację, że wszystkie kamienie znajdujące się na Blantyre IV albo opuszczające tę planetę, zostały ubezpieczone na dziewięćdziesiąt procent ich rynkowej wartości. Sądzę, że wynosi ona, a brakuje do kompletu tylko sześciu diamentów, około trzynastu milionów kredytów. Jeśli się mylę, proszę mnie poprawić. - Uśmiechnął się, mówiąc te słowa. - Zapewne mocno zaniżyłem ich wartość.

- Raczej przesadził pan, i to ponad dwukrotnie - powiedział Taniguchi.

- Jeśli nie przestanie pan kombinować, uznam, że moja cena jest precyzyjna i przy niej będę się upierał - ostrzegł go Cole.

- Jeśli pan sądzi, że zapłacimy panu trzynaście milionów... - zaczął się pieklić prezes.

- Ależ skąd. Jestem biznesmenem, nie złodziejem. Chcę tylko otrzymać znaleźne.

- Dobrze. Proszę podać pańską cenę.

- Zanim to zrobię, chcę pana raz jeszcze zapytać o faktyczną wartość tych kamieni - powiedział Wilson. - Ile można za nie dostać na wolnym rynku?

- Żeby to wyliczyć, musielibyśmy dokonać analizy każdego kamienia z osobna.

- Jak zatem określicie wysokość odszkodowania skoro musicie najpierw obejrzeć kamienie, aby ustlić ich wartość?

- Obawiam się, że nie mogę rozmawiać z panem na takie tematy - zastrzegł się Taniguchi.

- Dobrze - odparł Cole. - Zatem ustalmy arbitralnie, że są warte dwanaście milionów kredytów. Ubezpieczono je na dziewięćdziesiąt procent. Jeśli nawet udałoby się panu po długich negocjacjach zbić kwotę należności do dziesięciu milionów kredytów, będziecie musieli wypłacić dziewięć. Zgadza się pan z tym wyliczeniem?

Prezes spoglądał na niego bez słowa.

- Chyba dochodzimy do konsensusu, skoro pan nie zaprzecza. Jestem w stanie oszczędzić pańskiej firmie kolejne sześć milionów kredytów. Jeśli wypłaci mi pan trzy miliony w gotówce, zwrócę panu te kamienie, zanim opuszczę waszą planetę, co zresztą zamierzam

zrobić tego popołudnia, bez względu na wynik rozmów.

- Trzy miliony? - zachnął się Taniguchi. - To niedorzeczność.

- Nie, sir - odparł Cole - to biznes.

- Nie zapłacę.

- Ma pan do tego prawo - stwierdził Wilson, wstał i ruszył wolno w stronę drzwi.

- Chwileczkę! - zawołał za nim prezes filii. Cole odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

- Dwa miliony - powiedział Taniguchi. Wilson z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

Łykasz, pomyślał, zatem krzyki mamy już za sobą.

- Moja cena nie podlega negocjacom - odparł. - prosiłem kilkakrotnie, żeby podał mi pan faktyczną cenę tych kamieni, ale pan za każdym razem odmawiał. Zatem ustaliłem cenę na trzy miliony kredytów. Może pan zapłacić i oszczędzić swojej firmie przynajmniej sześć kolejnych milionów albo może pan odmówić, a wtedy natychmiast opuszczę to biuro i nigdy więcej mnie pan nie zobaczy. Będzie pan musiał też zapłacić te dziewięć milionów, jeśli nie więcej, na pokrycie szkody, a pańscy przełożeni otrzymają informację, że mógł pan zredukować te straty trzykrotnie, płacąc uczciwemu znalazcy, ale wolał pan odmówić.

Taniguchi milczał przez dłuższą chwilę, a potem zapytał:

- Powiedział pan trzy miliony?
- Zgadza się. W gotówce.
- Będę potrzebował pół godziny, aby je zebrać.
- Nie szkodzi. W międzyczasie chciałbym pana prosić o oficjalne pismo od władz Pilargo Company, stwierdzające, że nie wnosi ona i nigdy wnosić nie będzie żadnych roszczeń wobec mojej skromnej osoby.

- O tym nie było mowy.

- Dlatego mówię to teraz - odparł Cole. - Wie pan przecież doskonale, że to nie ja obrabowałem waszą kopalnię, podobnie jak nie jestem winien śmierci tych górników. Jeśli policja podepnie mnie pod kolejny wykrywacz kłamstw, uzyska identyczny wynik. Naprawdę chciałby pan wyjść na idiotę?

Taniguchi rozważał w myślach słowa Cole i w końcu przyznał mu rację skinieniem głowy.

- Przyjmuję pańskie warunki. Gdzie są diamenty?
- Dostanie je pan, jak tylko otrzymam pieniądze.
- Dlaczego miałbym panu wierzyć?
- Dlaczego miałbym pana okłamać? Zakładam, że ma pan

tutaj ludzi, którzy mogą zastrzelić mnie pomiędzy momentem, w którym pan da mi pieniądze, a ja panu kamienie.

Jestem chciwym najemnikiem, ale nie samobójcą.

- Proszę poczekać przy recepcji - odparł prezes. - Dam panu znać, kiedy otrzymam gotówkę.

- Świetnie - odparł Wilson i pokonał resztę dystansu dzielącego go od drzwi, które, wyczuwając jego obecność, otworzyły się na oścież.

Taniguchi dostarczył pieniądze dwadzieścia cztery minuty później, a Cole poprowadził całą procesję urzędników i uzbrojonych ochroniarzy w stronę kosmoportu. Tam pozwolił prezesowi i jednemu z ochroniarzy wejść na pokład wahadłowca, ale dopiero po uprzednim dokładnym sprawdzeniu, że są nieuzbrojeni, Moralesowi natomiast kazał oddać im diamenty i wystartować, zanim ktokolwiek powiadomi władze portu i uniemożliwi im ucieczkę.

- Na bogów, ależ to była łatwizna! - wrzasnął Cole, gdy osiągnęli prędkość światła.

- A ja się tak zamartwiałem, sir - powiedział Morales. - Teraz, kiedy pan o tym opowiada, to brzmi tak niewinnie, ale przecież wszedł pan nieuzbrojony w paszczę lwa i zażądał milionów kredytów.

- Nie mieli specjalnego wyboru.

- Pan nie prowadzi pirackiego biznesu w stylu kapitana Windsaila - przyznał chłopak. - Dlatego cieszę się, że mogłem wstąpić do załogi „Teddy’e-go R”

- Twój dawny dowódca nie potrafił skojarzyć, że wysokość zysku zależy od ilości wysiłku włożonego w jego uzyskanie - stwierdził Cole. - Ryzykował życiem swoim i załogi, a także utratą okrętu tylko dla drobnych okruszków, które ledwie pozwalały na zakup paliwa i amunicji. To niezbyt roztropny sposób na prowadzenie interesu, zwłaszcza jeśli mówimy o

piractwie.

- Wiem - odparł Morales - ale kiedy siedziałem sam na pokładzie i czekałem na pana, bałem się, że coś pójdzie nie tak.

- Jeśli plan jest dobry, nic nie może pójść źle - odparł pewnie kapitan.

I w zasadzie powiedział prawdę, choć już wkrótce miał się przekonać, że diabeł tkwił jednak w szczegółach.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Trzy miliony! - wrzasnęła Sharon Blacksmith, gdy stanęła obok Cole'a i Forrice'a w laboratorium naukowym. - Nigdy wcześniej nie widziałam naraz więcej niż dziesięć tysięcy kredytów. - Przesunęła dłońmi po leżących przed nią stosach tysiąckredytowych banknotów. - Czyż nie są urocze?!

- I obyło się bez problemów? - zapytał Forrice.

- Nie zrobił nic, czego bym się nie spodziewał - odparł Cole. - Wrzeszczał, groził, nawet wstrzymał oddech, aż zsiniał, a potem zapłacił i oszczędził swojej firmie sześciu milionów odszkodowania. A nawet więcej. Wydaje mi się, że wycena na trzynaście milionów była bliższa prawdzie.

- Dlaczego więc nie trzymałeś się tej ceny? - zapytał Cztery Oczy.

- Dajcie mi dokumenty, które wytrzymają dokładniejszą kontrolę, a nigdy więcej nie odpuszczę - odparł Wilson. - Obawiam się, że flota już wie, iż zwiedziłem Nowy Madryt.

- Do tego potrzebowalibyśmy kreta, który miałby dostęp do komputerów na Delurosie VIII - powiedziała Sharon. - Kogoś, kto potrafiłby podmienić odciski palców i skany siatkówki w twoich danych.

- Dlaczego nie pomyślisz o milionie kredytów, skoro mówimy o marzeniach? - zapytał Cole.

- Może dlatego - stwierdziła z uśmiechem - że dałeś mi już trzy?

- Chyba mi nie uwierzysz, ale te pieniądze nie są tylko dla ciebie - zastrzegł kapitan. - Musimy nimi opłacić zaopatrzenie i załogę.

- Przecież nikt nie psioczy na brak wypłaty - stwierdziła i dodała szybko: - Póki co.

- I tak nie mamy na razie gdzie ich wydać - przypomniał im Forrice. - Musimy się rozejrzeć za jakąś przyjazną planetką, i to szybko.

- Porozmawiaj z Moralesem, dowiesz się, na których planetach możemy czuć się bezpiecznie - odparł Cole. - Niedługo będziemy musieli uzupełnić paliwo w reaktorze. Myślę, że powinniśmy to zrobić w jakimś przyjaznym miejscu.

- W takim razie zaraz z nim porozmawiam - obiecał Molarianin.

- Gadaj sobie, kiedy chcesz, ale najpierw musimy się pozbyć tej cholernej biżuterii - zawołał za nim kapitan.

- Trzy miliony ci nie wystarczą? - zapytał Forrice. - Musimy mieć więcej kasy, zanim zaczniemy żłopać stymulanty i uganiać się za sezonowymi samicami Molarian?

- Za pieniądze zarobione na tej biżuterii kupię niewielki stateczek - odparł Cole. - Największe zagrożenie dla naszej akcji pojawiło się w momencie wynajmowania wahadłowca. Kiedy chcesz wynająć jednostkę wartą setki tysięcy kredytów, musisz przejść o wiele bardziej szczegółową kontrolę niż przy pojawianiu się na obcych planetach.

- Wiesz, jak ja nie cierpię, kiedy gadasz z sensem - mruknął Molarianin.

- A skoro już o tym mowa - zbył go Cole - czy Christine dowiedziała się, kto ubezpieczał tę biżuterię?

- Nie zapytałam jej o to - przyznała Sharon.

- Ja też nie - dodał Forrice. - Nie wydawało mi się to ważne, kiedy przebywałeś setki lat świetlnych od nas, próbując

sprzedać diamenty.

- W takim razie sprawdźcie to dla mnie, podczas gdy ja przetrzęcę co nieco - poprosił kapitan. - Chyba że macie jeszcze jakąś sprawę do omówienia?

- Nie mamy - odparł Cztery Oczy i skierował się w stronę wind.

- Jaka piękna kupa pieniędzy - powiedziała Sharon, nie kryjąc zachwytu. - Nie chcę jej tak zostawiać.

- Są teraz pod twoją ochroną, jesteś w końcu szefem sekcji bezpieczeństwa - zauważył Cole. - Nikt nie ma prawa ich tknąć.

- Nie zapłacisz mi nawet za usługi seksualne?

- A co mi tam, niech ci będzie... - zgodził się kapitan. - Weź sobie dziesięć kredytów i nigdy więcej nie truj mi na ten temat.

- Ciekawe, co powiesz, kiedy wejdiesz pod prysznic i zorientujesz się, że sekcja omyłkowo zapisała, iż w twojej kabinie mieszka istota oddychająca metanem.

- No dobrze, niech będzie piętnaście.

Roześmiała się i zaczęła pakować pieniądze.

W tym samym momencie w powietrzu przed Coleem pojawił się hologram Christine Mboyi.

- Znalazłam ubezpieczyciela, sir - zameldowała. - To filia Połączonych Trustów.

- Gdzie ma siedzibę?

- Na Phalaris II.

- Nigdy nie słyszałem o takiej planecie.

- Centrala mieści się w gromadzie Albionu, sir.

- To prawie jedną trzecią galaktyki stąd - jęknął Cole. - Ale skoro należą do Połączonych Trustów, powinni mieć oddziały w każdym sektorze Republiki, a nawet na Wewnętrznej Granicy. Sprawdź, czy nie namierzysz jakiegoś bliższego oddziału.

- Już to robię... - powiedziała Christine, studiując dane napływające z komputera. - Posiadają niewielkie biuro na

Binderze X, ale tam prowadzą jedynie działalność handlową, nie ubezpieczenia. Wydaje mi się, że najrozsądniej wygląda oddział na McAllisterze IV, sir.

- To planeta należąca do Republiki?

Skinęła głową.

- Tak jest.

- Gdzieżby inaczej... - mruknął. - Jak daleko mamy do niej?

- Z naszej aktualnej pozycji? - zapytała Christine. - Jakies trzysta dziesięć lat świetlnych.

- Dobrze - powiedział Cole. - Tam odsprzedamy biżuterię. Znajdź mi jakiś mocno zaludniony świat na pograniczu, na którym możemy wynająć statek.

- Wyśle pan po raz kolejny Moralesa, sir?

- Nie. Jeśli nawet damy mu nowe dokumenty, z pewnością mają tam już jego odciski i rysopis. Jak tylko wejdzie na teren wypożyczalni, rozdzwonią się alarmy na całej planecie. Pozwól, że zastanowię się nad tą kwestią, w czasie gdy ty będziesz szukała odpowiedniego świata.

Rozłączył się.

- Wiesz co - odezwała się Sharon, kończąc zabezpieczanie pieniędzy - skoro chcesz przeznaczyć pieniądze uzyskane ze sprzedaży biżuterii na zakup statku, może weźmiesz te, które już mamy i dokonasz zakupu już teraz, a kasę za klejnoty diwy po prostu odłożysz na ich miejsce? Będziesz miał tym sposobem o wiele mniej problemów niż z ponownym wynajmem jakiegoś wahadłowca.

- To całkiem niezły pomysł - przyznał Cole. - siedziałem, że jest jakiś powód, dla którego nie oganiam cię od siebie, jak tylko się ubierzesz.

- Pozwól mi doradzić ci coś jeszcze - dodała. - Jeśli odżałujesz z tej kupy jakieś sto tysięcy kredytów mogę postarać

się o papiery dla całej załogi, i to takie, które powinny wytrzymać kontrolę nawet na terenie Republiki.

- Od kiedy to sprzęt do drukowania i kodowania kosztuje tak dużo?

- Nie kosztuje. Maszyny mogę kupić za najwyżej pięćdziesiąt tysięcy.

- A na co ci reszta?

- Na fałszerza.

- Sama nie możesz tego zrobić?

- Jestem dobra w te klocki, ale nie aż tak dobra.

Jeśli chcemy oszukać systemy Republiki, potrzebujemy prawdziwego zawodowca.

- Ma pani dobre układy z wieloma wybitnymi fałszerzami, pułkowniku? - zapytał sardonicznie.

- Nie - odparła Sharon. - Ale wystarczy, że rozpowiem gdzie trzeba, iż zamierzam wydać taką kasę, a będę musiała opędzać się od nich kijem.

- Ile czasu na to trzeba?

- Na znalezienie kogoś, kto wykona fałszywe paszporty i dokumenty? - odparła pytaniem na pytanie. - Tacy goście mieszkają na każdej planecie Wewnętrznej Granicy. Sztuka polega wyłącznie na znalezieniu najlepszego.

- Chodziło mi raczej, ile czasu potrzeba na zrobienie tych dokumentów.

- Są fałszerze, którzy wykonają dokumenty wytrzymujące każdą kontrolę na sprzęcie, jaki posiadam w sekcji i nie będą na to potrzebowali więcej niż trzy godziny standardowe. Musimy mieć trzydzieści kompletów takich kwitów. Moralesowi też musimy wyrobić papiery, bo jego stara tożsamość została spalona podczas wynajmowania tamtego wahadłowca, chociaż z drugiej strony Wxakgini może spędzić następne dziesięć lat w swoim plastikowym kokonie, nie odłączając się od komputera

nawigacyjnego, więc dla niego nie musimy załatwiać żadnych dokumentów... - Zamilkła, aby policzyć potrzebny czas. - Powiedziałabym, że dwanaście dni standardowych wystarczy na taką operację.

- Nie zamierzam tkwić dwanaście dni na jakiejś planecie tylko po to, żeby wyrobić nowe papiery całej załodze - stwierdził Cole. - Zapłacimy mu połowę należności z góry, poczekamy, aż wyrobi papiery dla mnie i może kilku innych osób, a potem wrócimy z resztą zapłaty, jak już będzie dysponował kompletem dokumentów.

- Wątpię, aby którykolwiek z fałszerzy miał obiekcje wobec takiej propozycji - powiedziała Sharon. - W końcu będzie miał skany siatkówek, próbki głosów i odciski palców wszystkich, którym wyrobi nowe dokumenty.

- Komu mógłby je sprzedać, skoro nie wyściubia nosa z Wewnętrznej Granicy? - zapytał uśmiechnięty Cole.

- Łowcom nagród? - odparła z pełną powagą. - Oni są tutaj jedynymi stróżami prawa. A potrafią być cholernie skuteczni.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Kiedy noszę na sobie ubranie, pełnię funkcję szefa sekcji bezpieczeństwa.

- Rozumiem - powiedział. - Wybór planety Pozostawię tobie i Christine. Jak tylko dostanę nowe papiery, zaraz kupię jakiś nierzucający się w oczy statek i polecę załatwiać nasze interesy na McAllistera, a wy w tym czasie poczekacie na swoje dokumenty.

- Brzmi nieźle - stwierdziła Sharon.

- Świetnie. Zatem mogę się w końcu wyrwać na ten lunch - powiedział, kierując się do drzwi. - Zobaczymy się później.

- Teraz, kiedy masz trzy miliony, nie pokazuj się bez forsy.

ROZDZIAŁ CZTERNAŚTY

Cole kupił statek na Hermesie II i posiedział w jego okolicy do momentu, w którym otrzymał lepsze dokumenty. „Teddy R.” pozostał na orbicie planety, aby Sharon mogła odebrać papiery dla reszty załogi, a Wilson poleciał nowym nabytkiem, tym razem samotnie, na McAllistera IV.

Zaraz po przybyciu wylądował w jedynym kosmoporcie planety, odprawił się i zapytał w informacji, jak dotrzeć do siedziby Połączonych Trustów.

Agencja ubezpieczeniowa mieściła się w wyjątkowo dużym budynku jak na tak słabo zaludnioną planetę. Cole przypomniał sobie dość szybko, że ubezpieczenia były tylko jedną z wielu gałęzi działalności, z jakich słynęła ta korporacja. Filia na McAllisterze stanowiła zapewne centrum finansowo-bankowe dla tuzina okolicznych planet rolniczych i dwa razy większej grupy globów utrzymujących się z wydobycia minerałów.

Wilson wszedł do budynku i rozejrzał się. Parter bez wątplenia należał do banku. Większość kasjerów stanowili ludzie, ale było też kilku Lodinitów, Atrian, a nawet trafiali się Mollutei. Tutaj, podobnie jak w innych rejonach galaktyki, od Wewnętrznej Granicy aż po Delurosa VIII, kredyty były bardzo poszukiwanym towarem. Tablice informacyjne przy kantorach migały nieustannie. Kursy zmieniały się cały czas, co widać było po liczbach wyświetlanych do czterech miejsc po przecinku, wskazujących aktualną wartość dolarów Marii Teresy, funtów Dalekiego Londynu, rubli z Nowego Stalina i pół tuzina innych lokalnych walut popularnych w tej części Republiki...

W końcu Cole dostrzegł w tym molochu człowieka pełniącego rolę strażnika.

- Wybacz pan - powiedział. - Szukam firmy ubezpieczeniowej.
- W tym budynku mamy trzy ubezpieczalnie - odparł

strażnik. - Wie pan, jak nazywa się ta, której pan szuka?

- Agencja Połączonych Trustów.

Mężczyzna skinął głową.

- Tak, to największa z nich. Zajmuje całe czwarte piętro. Proszę wsiąść do windy po lewej, ale nie tej po drugiej stronie holu.

- Dziękuję.

- Jak już pan tam dojedzie - poradził mu jeszcze strażnik - a nie będzie pan znał nazwiska osoby, z którą ma się pan spotkać, proszę zgłosić się do recepcji i wyjaśnić urzędnicze, czy chce pan kupić polisę, czy raczej odebrać odszkodowanie.

Wilson podziękował mu raz jeszcze i oddalił się, zanim uczynny człowiek udzielił mu kolejnej, równie oczywistej porady. Wjechał na czwarte piętro, wyszedł na połyskliwą, sprężynującą wykładzinę i ruszył w stronę dobrze oznaczonej lady recepcji.

- Dzień dobry, witamy w towarzystwie ubezpieczeniowym Połączonych Trustów - powitała go futrzasta Lodinitka, wypowiadając kolejne słowa do T-tora i czekając, aż zostaną przełożone na automatyczny terrański. - W czym mogę panu pomóc?

- Kto jest szefem działu odszkodowań? - zapytał Cole.

- Jeśli chce pan zgłosić szkodę, zaraz dam panu odpowiednie formularze do wypełnienia - zaofiarowała się recepcjonistka. - Na jaki rodzaj własności opiewała polisa?

- Nie potrzebuję żadnych formularzy - zaprotestował Wilson. - Chcę jedynie wiedzieć, kto stoi na czele działu odszkodowań.

- Stoi na czele? - powtórzyła Lodinitka, robiąc grymas, który był odpowiednikiem ludzkiego zmarszczenia brwi. - Proszę pana, kierownik jest człowiekiem i stoi na nogach. O ile wiem, wszyscy ludzie stoją na nogach.

- Kto jest szefem działu odszkodowań? - Cole Powtórzył pytanie, czując rosnącą irytację.

- Pan mnie chyba nie zrozumiał - powiedziała Lodinitka. - Najpierw musi pan wypełnić formularze, potem odeślę pana do najbliższego wolnego agenta.

- Jeśli nie skieruje mnie pani natychmiast do szefa, udam się do jednej z pozostałych agencji mieszczących się w tym budynku - zagroził Wilson. - Ale najpierw zanotuję pani numer służbowy oraz wyraźnie przeliterowane imię, ponieważ zamierzam złożyć skargę na piśmie, aby Połączone Trusty wiedziały, kogo obwinie za utratę polis dla mojej firmy.

Recepcjonistka spoglądała na niego w milczeniu. Cole nie potrafił odgadnąć po jej minie, czy była wystraszona, wstrząśnięta czy też po prostu zła. W końcu przemówiła.

- Przekażę panu Austenowi, że chce się pan z nim widzieć.
- Dziękuję.
- Ale nie powiem panu, jak się nazywam i nie przeliteruję tego - dodała. Cole wyobraził sobie, że słowa dobiegające z głośnika są wypowiedzane bardzo rozdrażnionym tonem.

- Teraz możemy to sobie darować.
- Poproszę o pańskie dokumenty - dodała recepcjonistka.
- Nie.
- Ale...
- Nie zobaczy ich pani - przerwał jej Cole. - Przeszedłem już kontrolę w kosmoporcie i drugą, kiedy wchodziłem do tego budynku, na parterze, w banku, więc wie pani, że mam papiery w porządku. Mogę podać pani jedynie moje nazwisko, a brzmi ono Luis Delveccio.

Znów gapiła się na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu. W końcu wypowiedziała kilka cichych słów do mikrofonu i raz jeszcze spojrzała na Wilsona.

- Pan Austen oczekuje pana.

- Dziękuję.
- To bardzo zajęty człowiek - dodała recepcjonistka. - Lepiej, żeby to było coś ważnego.
- Dla mnie jest bardzo ważne, a klient ma zawsze rację - odparł Cole. - Gdzie znajdę jego biuro?
- Zaprowadzę pana - oświadczyła Lodinitka, po czym wstała i bez słowa pokolebała się w głąb korytarza.

Wilson poszedł za nią aż na koniec budynku, gdzie skręciła w prawo i zatrzymała się przed sporym biurem. Nakazała drzwiom zniknąć, zapowiedziała przybycie pana Delveccio, poczekała, aż gość wejdzie za próg i dopiero wtedy cofnęła się, wypowiadając komendę, na którą drzwi ponownie się zmaterializowały.

Austen okazał się młodym, świetnie ubranym i zadbanym mężczyzną. Wyglądał też na nieco za bardzo wychudzonego, jakby miał ostatnio do czynienia ze zbyt wieloma szkodami do usunięcia albo biurowymi podchodami. Wstał, obszedł wielkie, polerowane biurko, uściśnął dłoń Cole'a i zanim wrócił na swoje miejsce, wskazał mu wolne krzesło.

- Bardzo rzadko spotykam się osobiście z klientami, panie Delveccio - stwierdził Austen. - Ale pan najwyraźniej zdołał przekonać naszą recepcjonistkę, że nikt inny nie będzie w stanie rozwiązać pańskiego problemu. Mogę zapytać, jakiej natury sprawa sprowadza pana do nas?

- Może zacznę od tego, że nie jestem waszym klientem - powiedział Wilson.

Austen zachmurzył się.

- Zatem powinien pan porozmawiać z kimś w dziale ubezpieczeń, nie odszkodowań.

- Proszę mi nie przerywać - zasugerował mu Cole. - Zapewniam pana, że rozmawiam z właściwą osobą.

- Dobrze, panie Delveccio - odparł chudzielec, przyglądając mu się z zaciekawieniem. - W czym mogę panu pomóc?

- W niczym - stwierdził Wilson. - Za to ja mogę pomóc panu.

Brew szefa działu odszkodowań powędrowała w górę.

- Doprawdy?

- Jestem kimś w rodzaju poszukiwacza skarbów - ciągnął dalej Cole. - Ostatnio wszedłem w posiadanie kilku przedmiotów, które pańska firma ubezpieczyła. Bardzo wartościowych przedmiotów, dodam. Z przyjemnością przedstawię panu szereg hologramów, na których będzie je pan mógł zidentyfikować.

- I chce pan za nie..?

- Negocjacje zostawmy na później. Teraz poprosiłbym, aby ktoś sprowadził do tego biura wykrywacz kłamstw.

- To nie będzie konieczne - stwierdził Austen.

- Będę nalegał.

- Panie Delveccio, spotykam się z tak zwanymi łowcami skarbów niemal co tydzień. Będzie pan przede mną przysięgał, że to nie pan je zrabował a wykrywacz kłamstw z jakiegoś powodu potwierdzi prawdziwość pańskich słów. Bardzo możliwe, że chodzi tutaj o sposób, w jaki są sformułowane pytania. Oszczędzimy sobie masę czasu i zachodu, jeśli od razu uznam, że mówi pan prawdę.

- I zgodzi się pan podpisać oświadczenie, że Połączone Trusty nie będą wnosić wobec mnie żadnych roszczeń związanych z tymi przedmiotami?

- Jeśli dogadamy się co do warunków, dam panu takie oświadczenie - powiedział chudzielec. - A teraz, panie Delveccio, proszę powiedzieć, z czym pan do mnie przychodzi?

Cole wyjął z kieszeni sześciian i postawił go na biurku. Austen

włożył go do komputera, który mieścił się w jednej z szufladek i moment później nad blatem pojawił się hologram tiary i pozostałych klejnotów.

- Rozpoznaje pan te przedmioty? - zapytał Cole.

Chudzielec skinął głową.

- Należały do Fryderyki Orloff, wdowy po gubernatorze Andersona II. Są wspaniałe, nieprawdaż?

- Powiedziałbym, że są warte przynajmniej sześć milionów - stwierdził Cole.

- Nie - poprawił go Austen. - Ich wartość oszacowaliśmy na siedem milionów czterysta tysięcy kredytów.

- Skoro pan tak mówi.

- Mówię tak, panie Delveccio, ponieważ tyle zapociliśmy Orloffom w ramach odszkodowania - odparł Austen. - Wszedł pan w posiadanie kradzionej biżuterii. Ale ona nie interesuje Połączonych Trustów, ponieważ odszkodowanie zostało już wypłacone.

- Cóż, zatem nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać pana i sprzedać ją gdzie indziej - powiedział Cole, stając się nagle czujniejszy.

- Nigdzie pan nie pójdzie - uprzedził go Austen. - Nie obchodzi mnie, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie klejnotów Orloffów, czy ukradł je pan sam, czy też zabrał je pan człowiekowi, który to zrobił. Moim obowiązkiem jest zatrzymać pana do momentu przybycia policji. - Uśmiechnął się. - Oczywiście, gdyby zwrócił mi pan tę biżuterię, mógłbym tak się nią zachwycić, że zdołałby się pan stąd wymknąć...

- Aby potem, nie mówiąc szefom Połączonych Trustów o naszym spotkaniu, odsprzedać te klejnoty Orloffom, powiedzmy za połowę odszkodowania, które dostali - zasugerował Cole. - Skoro już wiem, do kogo należały, sam mogę to zrobić.

- Ale tylko w przypadku, jeśli uda się panu opuścić ten

budynek - zauważył Austen. - Uprzedzam, że zdążę włączyć alarm, zanim pan mnie dotknie.

On chyba nie blefuje, pomyślał Cole, a ja muszę opuścić ten budynek w jednym kawałku. Jeśli gliniarze zatrzymają mnie choćby na godzinę, zorientują z kim mają do czynienia.

- Dobrze - powiedział Wilson. - Ma pan nade mną przewagę. Dobijmy zatem targu.

- Nie będziemy dobijać żadnych targów - parł Austen. - Zaprowadzi mnie pan do miejsc³ w którym j est ukryta biżuteria, zakładam, że nie jest pan tak tępy, żeby mieć ją przy sobie, a ja a pozwolę panu opuścić McAllistera IV bez alarmowania policji.

- Zasłużyłem chyba na jakąś nagrodę za odzyskanie tej biżuterii i oddanie jej panu - nalegał Cole.

Nigdy na to nie pójdziesz, ale może przystopujesz trochę i przestraszysz się, jeśli nie będę się zachowywał jak inni ludzie w takiej sytuacji. A złodziej, nawet ten przyłapany na gorącym uczynku, zawsze będzie się domagał jakiejś nagrody za wszystkie trudy poniesione podczas kradzieży.

- Możemy o tym porozmawiać, ale po tym, jak dostanę biżuterię.

Cole odczekał odpowiednią ilość czasu, jakby rozważał tę propozycję, a potem wzruszył ramionami.

- Dobrze. Chyba będę musiał panu zaufać.

- Roztropna decyzja - stwierdził Austen, otwierając inną szufladkę i wyjmując z niej niewielki palnik. Wstał i wskazał nim drzwi.

- Możemy już iść?

Cole również się podniósł i podszedł do drzwi.

- Pamiętaj - ostrzegł go chudzielec, wbijając lufę broni pod żebra. - Żadnych gwałtownych ruchów.

Wilson minął recepcję i wszedł do windy. Austen szedł tuż za

nim.

- Stój plecami do mnie.

Cole stał twarzą do ściany, dopóki winda nie zjechała na parter, potem szybko przeszedł przez hol, kierując się do wyjścia.

- Zatrzymaj się - polecił mu chudzielec i powiedział coś cicho do komunikatora. - Ściągnąłem mój autolot. Za moment tu podleci i zabierze nas prosto do kosmoportu. Chyba że ukryłeś te rzeczy w jakimś innym miejscu.

- Możemy lecieć do kosmoportu - odparł spokojnie Cole.
- Mam takie niejasne wrażenie, że już gdzieś cię widziałem - stwierdził Austen, gdy wyszli z budynku i czekali na jego maszynę.

- Jestem po raz pierwszy na McAllisterze.
- Wiem. Ja też trafiłem tutaj dopiero trzy miesiące temu. Ale twoja twarz wydaje mi się bardzo znajoma.

Autolot wyhamował i zawisł kilka cali nad powierzchnią. Cole wsiadł do niego pierwszy, a gdy chudzielec usadowił się obok, natychmiast kazał automatycznemu pilotowi lecieć do kosmoportu.

- Masz ją tutaj? - zapytał. - To znaczy, na powierzchni planety?

Jeśli powiem, że tak, zabijesz mnie na miejscu, ponieważ będziesz wiedział, że jedynym miejscem, w którym mogłem ją ukryć, będzie mój statek.

- Nie - odparł Cole.
- Zatem gdzie?
- Gdzie indziej.
- Wiesz, że cię zastrzelę, jeśli uznam, że mnie oszukujesz - ostrzegł Austen.

- A ty wiesz, że nigdy nie zobaczysz tych klejnotów, jeśli mnie zabijesz - odparł Wilson. - Uspokój się, jeszcze chwila i będziesz je miał.

- Zatem ukryłeś je gdzieś w tym układzie planetarnym.
- Bez komentarza.
- Traktuję to jako potwierdzenie - powiedział Austen.
- Traktuj to, jak sobie chcesz - burknął Cole - ale pamiętaj, że ten system składa się z czternastu planet i pięćdziesięciu sześciu księżyców. Nigdy ich nie znajdziesz beze mnie.

Jechali w ciszy jeszcze przez kilka minut, potem autolot zaczął zwalniać.

- Dojechaliśmy do kosmoportu - poinformował autopilot.
- Zabierz nas do strefy zarezerwowanej dla prywatnych statków - powiedział Cole. - Aleja siedemnasta, miejsce trzydzieści dwa.

- Mój program nie pozwala wykonywać pańskich poleceń głosowych - odparł robot.

- Aleja siedemnasta, miejsce trzydzieści dwa - powtórzył Austen i pojazd natychmiast ruszył z miejsca. - Jesteś pewien, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy? - dodał, wpatrując się intensywnie w twarz Wilsona.

- Jestem - odparł Cole i spojrzał za okno. - Dotarliśmy na miejsce.

- Jak tylko wyjdziemy, wrócisz na moje miejsce parkingowe pod budynkiem Połączonych Trustów i poczekaasz tam na kolejne polecenia w trybie czuwania.

- Tak, sir - odparł autolot.

Wydostali się na zewnątrz i podeszli do statku Cole'a.

- Żadnych gwałtownych ruchów - przypomniał mu Austen.
- Nagłe ruchy nie są w moim stylu - zapewnił go Wilson, stając przed włazem i wprowadzając siedmiocyfrowy kod.

Nic się nie wydarzyło.

Skrzywił się i wprowadził kod jeszcze raz.

Nadal nic.

- Dopiero co kupiłem ten złom - wyjaśnił przepaszającym

tonem - i chyba jeszcze nie zapamiętałem tych cholernych kodów. - Sięgnął ręką do kieszeni.

- Stój! - ryknął Austen. - Co ty wyprawiasz?

- Wyciągam kartę kodów - odparł Cole. - Przecież nie zamierzasz sterczeć tutaj cały dzień.

- Nawet nie drgnij - ostrzegł go chudzielec. - Ja ją wyjmę.

- Nie jestem uzbrojony.

- Może nie masz palnika ani piszczałki, ale kto cię tam wie, co trzymasz po kieszeniach. Choćby nóż albo jeszcze coś innego.

Austen sięgnął do kieszeni, ale gdy tylko jego dłoń zetknęła się z materiałem, Cole odwrócił się błyskawicznie i wytrącił mu palnik z dłoni. Broń przeleciała w powietrzu spory kawałek i wylądowała na betonie dwadzieścia stóp od nich, a potem przesunęła się po jego powierzchni znacznie dalej.

Chudzielec zaklął i uderzył z zamachu, ale Wilson zablokował cios przedramieniem i wyprowadził kopnięcie prosto w kolano przeciwnika. Rozległo się głośne chrupnięcie i Austen zwałił się na beton, zwijając się z bólu.

Cole podszedł spokojnym krokiem do palnika, i podniósł go i wrócił do pokonanego szefa działu odszkodowań.

- Ma pan szczęśliwy dzień - powiedział.

- Pieprz się! - odwrzasnął chudzielec.

- Wiem, czujesz się paskudnie, jakbyś właśnie stracił fortunę, i pewnie jest w tym sporo racji, ale może pozwolę ci żyć, co choć trochę powinno osłodzić gorzkość tej porażki.

- Nie ośmielisz się mnie zabić! - darł się Austen. - Cały teren kosmoportu jest objęty monitoringiem. Za godzinę na wszystkich planetach Republiki będą znali twoją twarz!

- Obawiam się, że Republika ma teraz znacznie poważniejsze problemy - odparł oschle Cole.

Oczy Austena rozszerzyły się nagle, gdy padło słowo

Republika.

- Już wiem, gdzie cię widziałem! Holo z tobą było we wszystkich dziennikach galaktyki! Masz rację, Republika ma znacznie ciekawsze rzeczy do roboty niż ściganie złodzieja klejnotów albo zabójcy! Republika poluje na renegata nazwiskiem Wilson Cole i zabije go prędzej czy później za cholerną zdradę!

- Całkiem odważne słowa jak na kulawego człowieka pozbawionego broni - uznał Wilson.

- Pieprz się, zdrajco! Strzelaj i kończ to przedstawienie!

- Nie kuś losu! - ostrzegł Cole, mierząc z palnika w miejsce pomiędzy oczami Austena i chudzielec natychmiast zamilkł. - Wiesz - dodał - przez ponad dziesięć lat byłem oficerem floty Republiki. Zdobyłem cztery Medale za Odwagę. Nie jestem nawet w stanie zliczyć, ile razy ryzykowałem życiem. A kiedy zorientowałem się, że robię to dla ludzi takich jak ty, poczułem się jak największy frajer świata.

- Więc walczysz teraz dla Federacji Teroni! - zarzucił mu Austen.

- Mam z nimi tyle wspólnego co z Republiką - odparł Cole. - Teraz walczę dla siebie.

- Czyli jesteś pospolitym przestępcą.

- Nie - odparł Cole i nagle wybuchnął śmiechem. - Uważam siebie za raczej niepospolitego przestępcę. Jestem tak niepospolity, że nawet nie zastrzelę cię z zimną krwią, choć powinienem to zrobić. Będiesz utykał przez resztę swoich dni, a twoi przełożeni otrzymają dokładny raport na temat ruchów, jakie wykonywałeś za ich plecami. Sądzę, że to będzie wystarczająca kara dla ciebie.

Nakazał otwarcie włązu.

- Powiem wszystko flocie, a ona cię dopadnie! - zawył

Austen. - Nie spoczna, dopóki cię nie zabiją!

- Republika prowadzi wojnę - przypomniał mu Cole, zanim zamknął za sobą włącz. - Flota ma ważniejsze zadania, niż uganiać się za pojedynczym człowiekiem.

Wymówił te słowa z brawurą, zabrzmiały też bardzo logicznie, ale w głębi duszy wiedział, że nie odpowiadają prawdzie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cole zdawał sobie sprawę z tego, że zanim wróci na pokład „Teddy’ego R”, musi pozbyć się nowego statku. Wprawdzie nie zauważył żadnych śladów pościgu, ale namierzenie tej jednostki było tylko kwestią czasu. Wiedział, że Austen skontaktuje się z władzami, zanim zostanie dowieziony do szpitala.

Włączył umówiony kod do szyfratora nadajnika i uzyskał połączenie z „Teddym R”.

- Gdzie pan teraz jest, sir? - zapytała Rachel Marcos, to właśnie ona siedziała na stanowisku komunikacyjnym, gdy wywołał swój okręt.

- Wolalbym nie ujawniać mojej aktualnej pozycji, dopóki nie dotrę w bezpieczne miejsce.

Rachel zmarszczyła brwi.

- Czy wszystko w porządku, sir?

- Jak na razie. Ale będę musiał porzucić ten statek i poszukać innego albo skontaktować się z wami później i podać miejsce, z którego mnie odbierzecie.

- Jeśli grozi panu niebezpieczeństwo... - zaczęła.

- Teraz nic mi nie grozi - zapewnił ją Cole. - Zapisz tę transmisję i przekaż ją Forrice’owi, Christine i Sharon.

- Tak jest. Kiedy odezwie się pan następnym razem?

- Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej za dzień albo dwa. Muszę udać się w dalsze rejony Wewnętrznej Granicy, aby zyskać pewność, że nie jestem ścigany. Potem rozejrzę się za nowym środkiem transportu.

- Ma pan pieniądze za biżuterię, więc nie powinno być z tym kłopotu - stwierdziła Rachel.

- Porozmawiamy na ten temat, jak wrócę na pokład „Teddy’ego R”. Zaraz przerwę to połączenie. Jeśli ktoś namierza moje transmisje, nie chcę dać mu szansy lokalizacji nadajnika.

Christine twierdzi, że do tego wystarczą nawet dwie minuty, a my rozmawiamy już prawie dziewięćdziesiąt sekund.

Rozłączył się, a potem poprosił komputer nawigacyjny o wyświetlenie trójwymiarowej mapy sektora, w którym aktualnie się znajdował.

W promieniu pięciuset lat świetlnych wyszukał dziewięćdziesiąt trzy zamieszkane planety. Na pięćdziesięciu jeden znajdowały się ludzkie kolonie, przeważnie rolnicze albo górnicze oraz kilka placówek innego rodzaju. Rozpoznawał tylko kilka nazw. Na przykład Ophir - znany z kopalni złota, Bluegrass - tu z kolei hodowano mutacje gigantycznego bydła, czy Alfę Jamesona II, nazywaną powszechnie Bombastą - cenioną za wielkie pokłady uranu i bardzo popularną ze względu na gigantyczne erupcje wulkanów. W końcu trafił na Bazyliżka, niewielką planetę, na której znajdowała się tylko jedna osada kupiecka. Klasyczny rozpadający się port, do którego ściągali niezależni górnicy, łowcy przygód i wszelkiej maści nieudacznicy. Większość takich miasteczek składała się z kilku hoteli (nawet w czasach świetności należących raczej do klasy podrzędnych moteli albo schronisk), biur geodetów i laboratoriów, burdeli wypełnionych samicami, przeważnie ludzkimi, nielicznych barów, narkomańskich melin i obowiązkowo kasyna, a czasem nawet dwóch. Cole nigdy nie rozumiał, co przyciągało ludzi do takich miejsc, ale nigdy też nie mógł pojąć, co skłania człowieka do zakładania kopalni albo farmy na niezamieszkanym globie tryliony kilometrów od wygod cywilizacji. Został oficerem floty republikańskiej z wyboru, a teraz stał się piratem Wewnętrznej Granicy wyłącznie z przypadku.

Nie widział potrzeby czuwania przez cały czas trwania podróży, rozkazał więc komputerowi, aby wyznaczył kurs na Bazyliżka i obudził go, gdy statek wejdzie na orbitę albo odbierze przekaz z tamtejszego kosmoportu.

- I jeszcze jedno - dodał, kładąc się w fotelu pilota przekształconym teraz w skromne łóżko. - Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś mnie jednak ściga. Jeśli tak jest, muszę przyznać, że ci ludzie wykazali się do tej pory niezwykłą przebiegłością. Nie siedli nam od razu na ogonie, ale lepiej miej oko na to, co się dzieje wokół i powiadom mnie o każdym nietypowym albo zabawnym wydarzeniu.

- Nie mam oka, sir - odparł komputer. - Nie posiadam też poczucia humoru, więc nie będę w stanie ocenić, czy jakieś wydarzenie jest zabawne.

- Rozumiem - powiedział Wilson. - Po prostu daj mi znać, jeśli uznasz, że ktoś leci za nami.

Położył się wygodnie, podłożył dłonie pod głowę i po kilku sekundach zaczął zapadać w sen.

- Sir - usłyszał mechaniczny głos.

- Co się dzieje? - zapytał Cole. - Miałem się odmeldować, zanim zasnę?

- Właśnie weszliśmy na orbitę Bazyliszka - poinformował go komputer.

- Jaja sobie ze mnie robisz!

- Jak już wspomniałem, nie posiadam poczucia humoru - odparł mechanicznie brzęiący głos.

- Wydawało mi się, że dopiero co zamknąłem oczy - przyznał kapitan. - Jak długo spałem?

- Pięć godzin, siedemnaście minut i cztery sekundy, sądząc po pańskim pulsie, rytmie serca, ciśnieniu krwi i oddechu.

- Czy ktoś z powierzchni planety pytał o moją tożsamość, plan lotu czy cokolwiek innego?

- Nie, sir.

- Powinni już wiedzieć, że tu jesteśmy... - Nagle na ustach Wilsona pojawił się uśmiech satysfakcji - Chyba wybrałem

właściwą planetę. Kolonia jest zbyt mała, więc nikt nie zażąda zezwoleń na lądowanie. Nikt też nie zapyta o papiery statku i moje dokumenty. Nie będzie urzędu celnego ani imigracyjnego, nawet tymczasowych wiz... - Zamilkł na moment. - Dobra, z informacji, jakie masz w bazach danych, wynika, że na jej powierzchni znajdziemy tylko jedno miasteczko. Sprawdź, gdzie znajdują się wszystkie tutejsze statki, a potem wyląduj obok nich.

Wahadłowiec wszedł w atmosferę i przyziemił kilka minut później. Cole wysiadł, nakazał zamknąć i zabezpieczyć właz, a potem zrobił sobie półtorakilometrowy spacer do jednego z barów. We frontowej części sali znajdowało się sporo stolików, tylną natomiast przeznaczono dla urządzeń kasyna. Wszędzie tłoczyli się ludzie i kosmici, niektórzy goście byli ubrani naprawdę przyzwoicie, ubiory innych wyglądały, jakby nie prano ich od wielu lat. Nowobogacy oraz ci, którzy stracili właśnie majątek, siedzieli obok siebie, ramię w ramię przy stołach do gry i długim polerowanym barze.

Cole rozejrzał się z ciekawością, potem podszedł do baru, przepychając się pomiędzy bywalcami tego miejsca. Robot-barman, składający się wyłącznie z głowy, korpusu i rąk, podjechał na kółkach z drugiego końca lady i zatrzymał się na wprost niego.

- Czym mogę służyć? - zapytał.
- Piwem. - Jaki gatunek pan sobie życzy?
- A jakie macie?
- Mamy pięćdziesiąt trzy rodzaje piwa z czterdziestu dwóch planet, sir.
- Wybierz sam.
- Nie zaprogramowano mi modułu oceniającego, Sir. Ale mogę panu wydrukować listę posiadanych przez nas piw, jeśli pan sobie życzy.
- Zapomnij. Podaj mi najpopularniejsze.

- W tej kategorii mieści się czternaście gatunków, sir.
- Weź, do cholery, Błękitną Gwiazdę - z lewej dobiegł damski głos. - Dla mnie, w mordę, też.
- Sir... - zaczął robot.
- Słyszałaś, co pani powiedziała.

Odwrócił się, aby sprawdzić, komu zamówił piwo i niemalże musiał powstrzymać się przed powtórnym spojrzeniem. Obok niego stała - a był stuprocentowo pewien, że nie było jej tam, gdy zajmował to miejsce - kobieta o ognistej rudych włosach i sylwetce modelki. Mierzyła przy tym cal albo i dwa powyżej sześciu i pół stopy. Ubrana była w kostium z lśniącego, metalizowanego materiału, który dokładnie przylegał do ciała i bardzo wysokie buty, przy zwieńczeniu cholewek Cole dostrzegł spore kabury. Do tego nosiła długie rękawiczki, pod którymi kryły się ledwie widoczne ostrza sztyletów.

W pierwszej chwili Wilson nie potrafił odgadnąć, czy ma do czynienia z prostytutką, czy raczej zabójczynią. Chociaż równie dobrze kobieta mogła opuścić przed chwilą bal maskowy, jej groteskowy wygląd sugerował, że wybierała się na podobną imprezę.

- Dzięki - powiedziała, gdy robot postawił przed nią piwo.
- Nie ma za co - odparł Cole, pociągając łyk ze swojej szklanki.
- Błękitna Gwiazda to zacny trunek - dodała. - Znam faceta, który ją wytwarza. Znałam go - prawda się. - Ale jego rodzina wciąż pilnuje interesu i idzie jej całkiem nieźle.
- Strasznie głośno się tu zrobiło - powiedział Cole, zabierając szklanicę z lady. - Przysiądziesz się do mojego stolika?
- Jasne - odparła i poszła za nim do niewielkiego stoliczka stojącego w połowie drogi pomiędzy barem a wejściem.
- Masz jakieś imię? - zapytał, gdy usiedli.

- Nawet wiele - stwierdziła. - W tym tygodniu jestem Dominik.

- Dominik? - zdziwił się Wilson. - W życiu nie spotkałem kobiety o imieniu Dominik.

- I pewnie nigdy nie spotkasz - powiedziała. - Był moim siódmym kochankiem. A może ósmym? Nie, na pewno siódmym. W tym tygodniu czczę jego imię. Już po raz czwarty. Jeszcze raz albo dwa i będę pewna, że nigdy go nie zapomnę.

- Naprawdę chcesz, żebym mówił do ciebie Dominiku?

- Ale tylko w tym tygodniu - odparła. - W zeszłym byłam królową Sabą. A jak ty się nazywasz?

- Delveccio.

Pokręciła głową.

- Ale kicha.

- Słucham?

- To nazwisko jest do bani. Powinieneś wybrać lepsze, Wilsonie Cole. - Spojrzała na niego ostro. - Trzymaj ręce z dala od broni. Gdybym chciała cię wydać, mogłabym to zrobić przy barze, gdzie wszyscy by mnie usłyszeli.

- Dlaczego uważasz, że nazywam się Cole? - zapytał.

- Ponieważ załatwiłeś jakiegoś dupka na McAllisterze IV, a on upublicznił tę sprawę oraz twój wygląd. Holo z tych wydarzeń pokazują we wszystkich dziennikach na terenie Republiki, obu Granic i w reszcie Ramienia. - Uśmiechnęła się. - Flota uważa, że byłeś bardzo niegrzecznym chłopcem.

Cole rozejrzał się po sali barowej. Na razie nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Nie martw się, komandorze Cole - powiedziała Dominik. - Chwilowo jesteś bezpieczny.

- Kapitanie Cole - poprawił ją. - Dlaczego uważasz, że jestem bezpieczny? Jeśli ty mnie rozpoznałaś, każdy z nich może to zrobić.

- Przynajmniej dwóch już wie, kim jesteś - przyznała. -
Może nawet trzech. Ale chwilowo nie grozi ci niebezpieczeństwo.

- Dlaczego? - zapytał.

- Ponieważ jesteś ze mną.

- Jesteś aż tak straszna?

- Mógłbyś zadać to pytanie facetom, którzy mieli odmienne zdanie, ale większość z nich leży teraz albo na cmentarzach, albo w szpitalach.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie do wiary. Przypominasz mi walkirię.

- Kim jest ta walkiria? - zapytała.

Opowiedział jej.

- Zatem to będzie moje nowe imię - stwierdziła uszczęśliwiona. - W skrócie Wal.

- To wprawdzie nie moja sprawa, ale dlaczego zmieniasz tak często imiona?

- Ponieważ moje prawdziwe imię przyciąga ostatnio zbyt wiele uwagi - odparła Wal. - Poza tym wykonuję teraz pewną misję i lepiej, żeby ludzie, których szukam, nie wiedzieli, gdzie aktualnie przebywam.

- Nie pracujesz dla Republiki - powiedział Cole. - Nie możesz dla niej pracować, skoro nie chcesz mnie wydać.

- Pracuję dla „Pegaza”.

- Dla „Pegaza”?

- Dla mojego statku! - Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz furii. - To był najlepszy piracki okręt na Granicy, przynajmniej do chwili, w której go straciłam!

- A niech mnie wszyscy diabli! - stwierdził Wilson i roześmiał się.

- Co w tym śmiesznego? - zapytała.

- Czytałem w dzieciństwie powieści o królowej piratów, potem oglądałem ich ekranizacje na holo, ale w życiu bym nie

przypuszczał, że trafię na kogoś takiego. Z tego, co pamiętam, ona ubierała się zupełnie jak ty.

- Tak, jasne, jestem królową piratów bez statku - zachnęła się Wal. - Ale jak go odzyskam, ktoś tutaj pożałuje, że mi go kiedyś odebrał.

- Jak do tego doszło?

- Zostaliśmy zaatakowani przez Rekina Młota.

- Przez co?

- To taka obca rasa - wyjaśniła. - Mają łuski zamiast skóry i oczy osadzone na szerokiej czaszce, zupełnie jak rekiny młoty z oceanów starej Ziemi.

- Ten Rekin też był piratem?

Skinęła głową.

- Najgorszym ze wszystkich. Walczyłam jak nawiedzona. Zabiłam chyba ze dwudziestu drani, ale w końcu udało im się mnie pokonać. Wyszadzili mnie na Nirvainie II i odlecieli moim statkiem.

- A co z twoją załogą?

- Ci, którzy przeżyli, musieli przysięgnąć posłuszeństwo Rekinowi Młotowi - stwierdziła zgorzkniałym głosem.

- Fascynująca opowieść - powiedział Cole i zamilkł na moment. - Można by z niej zrobić wspaniałe holo. Ale ja jej raczej nie kupię. Dlaczego nie powiesz mi, jak było naprawdę?

- Zasnęłam z przepicia na tym pieprzonym Bazyliszku, a moja zasrana załoga wystawiła mnie do wiatru! - wydarła się Wal.

- W to mogę uwierzyć.

- Wybiję tych bękartów do ostatniego, jak tylko ich dopadnę!

- W to też wierzę.

- A co ty mi opowiesz? - zapytała, uspokajając się niemal natychmiast. - Co najbardziej poszukiwany człowiek galaktyki

robi na takim zadupiu jak Bazyliszek?

- Upewniam się, czy nikt mnie nie śledzi, żebym mógł bezpiecznie wrócić na mój okręt.

- Twój okręt? - powtórzyła. - Przecież ty już nie służysz w marynarce. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to jakiś podstęp, żeby podejść Teroni?

- Nie, to nie podstęp.

Uśmiechnęła się.

- Zatem zostałeś piratem. Jak inaczej zapewniłbyś wikt i opierunek swojej załodze.

- Na razie uczymy się piractwa - przyznał. - Jest bardziej skomplikowane, niż na to wygląda.

- Założę się, że to wy rozpieprzylicie „Achillesa”! - zawołała nagle. - Domyślałam się, że na scenie pojawił się nowy gracz, ale jeszcze dwadzieścia sekund temu nie miałam bladego pojęcia, kto nim może być.

- Tak, to my. Odebranie im skarbów było prostą, militarną operacją. - Skrzywił się. - Ale pozbycie się łupu zaczęło nam nastrożać trudności.

- Dlatego, że Windsail był starym głupcem - stwierdziła z pogardą Wal. - Jeśli chcesz być dobrym piratem, musisz się nauczyć kalkulować. Jeśli zaczniesz plątać się po okolicy, mordując górników z Republiki i próbując sprzedać gorącą biżuterię, szybko wpadniesz w nieliczne kłopoty.

- Już to zrozumiałem, zwłaszcza część dotyczącą biżuterii - odparł Cole. - Powiesz mi, co kradną dzisiaj rozumni piraci?

- Wszystko, co da się sprzedać tutaj, na Wewnętrznej Granicy, i to bez pośrednika.

- Na przykład...?

- Transporty zboża, łożysk kulkowych albo narzędzi elektronicznych. Rzeczy, których potrzebuje każda kolonia. Na

przykład zamrożonych embriionów zwierząt hodowlanych. Pomyśl sam, komu dzisiaj potrzebne są naszyjniki z brylantami?

- Masz rację - przyznał. - Coś mi się zdaje, że naoglądałem się zbyt wielu obrazów o piratach, kiedy byłem dzieckiem. - Nagle się roześmiał. - I tak stałem się kolejną ofiarą holowizji.

- Powinieneś zapytać o to któregoś z członków swojej załogi.

- Poza jednym nastolatkiem, który w ogóle niewiele wie, cała reszta załogi prysnęła razem ze mną z republikańskiej floty - wyjaśnił Wilson. - Nie mieliśmy czasu na zamustrowanie kogoś stąd. Prawdę powiedziawszy, poza załogą „Achillesa”, która usiłowała nas od razu wymordować, nie spotkaliśmy jeszcze ani jednego pirata... - Zamilkł, spoglądając jej w oczy. - Aż do tej chwili.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała podejrzliwie.

- Właśnie zamierzam złożyć ci propozycję.

- Seksualną czy biznesową?

- Biznesową.

- Dobrze, słucham.

- Potrzebujesz statku. Ja potrzebuję wiedzy. Dlaczego nie przyłączysz się do załogi „Teodora Roosevelta”, przynajmniej do momentu, kiedy dowiemy się, dokąd Rekin zabrał twojego „Pegaza”? A gdy do tego dojdzie, pomożemy ci go odbić w zamian za połowę łupów, jakie znajdziemy na jego pokładzie. Wszystko, co znajdowało się na „Pegazie” przed ucieczką, pozostanie twoje.

- Ale z ciebie pirat! - prychnęła. - Skąd będziesz wiedział, że cię nie okłamuję? Może będę chciała zachować dla siebie trochę towaru, który zrabował Rekin Młot?

- Skąd wiesz, że pozwolę ci zachować cokolwiek? - skontrował Cole.

Wal obserwowała go przez chwilę, a potem wybuchnęła

śmiechem.

- Cole, tylko wyjątkowo szczerzy facet mógłby zagadać do mnie w tak głupi sposób, licząc na to, że pozwolę mu żyć. Ale dobiłeś targu! - Pochyliła się i potrząsnęła mocno jego dłonią. - Kiedy wyruszamy na twój okręt?

- Za dzień albo dwa, jak tylko upewnię się, że nikt za mną nie leci - odparł. - Musiałem się zwinąć z McAllistera w dużym pośpiechu.

Roześmiała się ponownie.

- Zachciało się być piratem...

- Nie - zaprzeczył - wcale nie chciałem zostawać piratem. Zostałem do tego zmuszony, ale skoro już nim jestem, chcę wykonywać tę robotę jak najbardziej kompetentnie.

- Czuję, że spodoba mi się służenie pod tobą - powiedziała. - Opijmy to.

- Wiesz, co tu podają. Sama zamów.

Pochyliła się i wyszeptła do portu komunikacyjnego stolika:

- Dwa cygniańskie koniaki. Z północnej półkuli. Ale rocznik 1940 GE, nie późniejszy. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odparł komputer.

- Tylko szybko - dodała. - Bo usychamy z pragnienia.

- Jeśli jesteś spragniona, napij się wody - wtrącił Cole. - Takimi trunkami trzeba się delektować.

Chciała postać mu ciętą ripostę, ale w tym momencie obok stolika stanęło dwóch mężczyzn. Jeden gruby, drugi chudy, ale za to wysoki.

- Wynocha - burknęła Wal.

- Chcemy porozmawiać z twoim przyjacielem, Dominiku.

- Spieprzać mi stąd! - powiedziała. - Napiszcie podanie i złożcie je w moim sekretariacie. A tak na marginesie, na imię mam Wal.

- Skąd niby mamy wiedzieć, jak masz dzisiaj na imię? Zmieniasz je jak rękawiczki - poskarżył się chudy. - Chcemy tylko pogadać z panem Cole'em.

- Wynocha - powtórzyła piratka. - Nie jesteście łowcami nagród, tylko parą naciągaczy, którzy liczą na to, że szantażując porządnego człowieka, zdobędą kilka łatwych groszy na wódę.

- Zamierzamy zarobić znacznie więcej niż tylko kilka groszy na wódę - zapewnił ją grubas.

- Trafiliście na nie tego człowieka - odezwał się Wilson. - Nie znam nikogo nazwiskiem Cole.

- Nasza cena za przyznanie panu racji właśnie wzrosła - oświadczył grubas.

- Ale wasze szanse na przeżycie do jutra znacznie spadły - wtrąciła Wal i nagle już stała między nimi a Cole'em. To, co wydarzyło się w następnej chwili, było brutalnym pokazem siły i umiejętności, jakiego kapitan nie widział podczas całej dotychczasowej służby.

W kilka sekund obaj mężczyźni leżeli na podłodze, krwawiąc obficie i jęcząc z bólu. Trzech ich kompanów ruszyło na Walkirię, ale powstrzymała ich bez problemu, jakby byli niezdarnymi dzieciakami, a nie roslymi mężczyznami. Dwaj padli, nim upłynęło parę sekund. Trzeciego złapała, zanim zdążył uciec, uniosła go nad głowę, zakręciła kilkakrotnie i cisnęła w powietrze. Upadł z głośnym łomotem na pusty stolik, łamiąc przy tym parę kości i rozwalając blat w drzazgi. Spoczął w końcu na podłodze, w kompletnym bezruchu.

Cole wstał, przeszedł nad nieprzytomnymi mężczyznami i skierował się do wyjścia.

- Idziemy - powiedział.
- Gdzie? - zapytała Wal.
- Na mój statek.

- Wydawało mi się, że masz zamiar sprawdzić najpierw, czy ktoś cię nie ściga.

- Jeśli poczekam tutaj do czasu, aż te oprychy się obudzą, nikt nie będzie musiał mnie ścigać - stwierdził Cole. - Wystarczy jedna wiadomość i flota dowie się, gdzie jestem.

- A co z naszymi drinkami? - zapytała Wal.

- Postawię ci szklaneczkę na następnej planecie, którą odwiedzimy - obiecał. - Wynośmy się stąd!

- Tylko się upewnij, że już nie wstaną - rzuciła. - I tak nikt tu za nimi nie będzie tęsknił.

- Oszczędzaj siły na Rekina - upomniał ją. - Nie chcesz chyba, żeby dwudziestu ich przyjaciół siadło nam na karki.

- Tacy jak oni nie mają przyjaciół.

- Idziesz czy nie? - zapytał Cole.

Wzruszyła ramionami.

- A co mi tam. Przecież oni tobie sprawiają problemy, nie mnie.

Szybko przebyli milę dzielącą ich od statku, a Wilson musiał zdrowo wyciągać nogi, żeby za nią nadążyć. Gdy tylko wystartowali, natychmiast połączył się z „Teddym R”, aby podać swoją aktualną pozycję.

Na pokładzie zaczęła się już czerwona wachta i Forrice przejął dowodzenie okrętem. Molarianin najpierw przyjrzał się dokładnie widokowi na hologramie, a potem zapytał:

- Kto jest tam z tobą? Czyżby nowa dziewczyna?

- Cztery Oczy - odparł Cole - przywitaj naszego nowego trzeciego oficera.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Cole siedział w swoim zagraconym biurze naprzeciw Forrice'a, Christine Mboyi i Sharon Blacksmith.

- Jesteś kapitanem - mówił Cztery Oczy. - Możesz awansować i zdegradować każdego, ale mamy na pokładzie całą masę członków załogi, którzy zaryzykowali dla ciebie życie, już nigdy nie zobaczą swoich rodzin i na pewno będą ci mieli za złe to, że trzecim oficerem „Teddyego R” został ktoś z zewnątrz.

- Ona wie więcej o pirackim fachu niż cała reszta załogi razem wzięta - przypomniał mu Cole. - I też uratowała mi życie.

- Może umyka to twojej uwadze - odparł Molarianin - ale na pokładzie tego okrętu nie ma nikogo, kto nie uratowałby ci życia. Nie wydaje ci się chyba, że opuściłeś Timos III dzięki własnemu sprytowi?

- Wiem, dzięki komu wydostałem się stamtąd... - zapewnił go Cole i zamilkł, patrząc mu głęboko w oczy. - Pamiętasz, jak miesiąc temu powiedziałem ci, że Śliski jest najwartościowszym członkiem naszej załogi, ponieważ symbiont pozwala mu na funkcjonowanie przez kilka godzin, i to bez skafandra, w przestrzeni kosmicznej albo na planetach z chlorowymi i metanowymi atmosferami?

- Tak.

- Zatem powiem ci teraz, że Tolobita spadł na drugą pozycję w tym rankingu. Ta kobieta zna każdą planetę, na której możemy wylądować, wszystkich piratów operujących na Granicy oraz miejsca, w których będziemy mogli sprzedać zrabowane wcześniej towary. Jest chodzącą encyklopedią piractwa, a jeśli tego ci mało, dowodziła własnym statkiem.

- I straciła go - dodała Sharon.

- Nie twierdzę, że jest chodzącym ideałem - uspokoił ją Cole.
- Powiedziałem tylko, że to cenny nabytek. Ma też parę innych przymiotów.

- Możesz podać jakieś przykłady? - poprosił Molarianin.
- Stłucze na kwaśne jabłko ciebie i pięciu dowolnie wybranych członków załogi, których weźmiesz sobie do pomocy.
- Chwileczkę - wtrąciła Christine. - Zanim zaczniemy śpiewać hymny pochwalne na jej cześć, pozwólcie, że upewnię się, czy dobrze rozumiem sytuację. Ta kobieta nie zostanie z nami na stałe. Odejdzie, kiedy odnajdziemy niejakiego Rekina Młota i odbierzemy jej statek z rąk jego załogi.
- Która dziwnym trafem jest także jej załogą - dodała Sharon.
- Nie przeczę.
- I w tym momencie opuści nas i przejmie dowodzenie swoim statkiem? - kontynuowała Christine.
- Jak tylko podzielimy łupy po Rekinie - sprecyzował Cole.
- A jeśli uszkodzi nam komputery i zaatakuje znieścaka?
- Wierzę, że tego nie zrobi.
- Nie mam ci za złe, że powierzasz jej swoje życie - wtrącił Forrice - ale protestuję przed robieniem tego w stosunku do mnie i reszty załogi.
- Rozumiem i cenię twój punkt widzenia - powiedział kapitan - ale wyjaśniłem już, jakie motywy mną kierowały. Ona jest naszym trzecim oficerem. Przejmę niebieską wachtę do momentu, w którym wprowadzicie ją w jej obowiązki, ale potem przekażę jej dowodzenie okrętem.
- A co pan będzie robił? - zapytała Christine.
- To, co zawsze, ale tym razem nie będę ograniczony ramami czasowymi - spojrzął na wszystkich po kolei. - Zapamiętajcie dobrze moje słowa, wszystko, co do tej pory zmieniłem na pokładzie „Teddy’ego R.” wychodziło nam na dobre.
- I dlatego już nigdy nie będziemy mogli wrócić na terytorium Republiki - powiedział Forrice.

- Co jest wynikiem waszych działań - przypomniał mu Cole - Ja nie uciekłem z więzienia. Zostałem z niego uwolniony.

- Mi się to nie podoba - Cztery Oczy nie chciał ustąpić.

- Mnie też - poparła go Sharon.

- Przyjąłem do wiadomości wasze obiekcje - oświadczył Cole. - Gdybyśmy kiedyś urządzili sobie własną odmianę demokracji, wcieliłbym je nawet w życie. Ale dopóki ten szczęśliwy dzień nie nastąpi, pełnię rolę kapitana tego okrętu i moje słowo jest święte... - przerwał. - Czy ktoś chce na ten temat podyskutować?

Cisza.

- Świetnie. Jeśli ja potrafię wyczuć waszą wrogość, Wal z pewnością też. Chciałbym, żeby ktoś się z nią zapoznał, zaprzyjaźnił, a potem ją wyciszył, uspokoił.

- Wydawało mi się, że zostawiasz tę rolę sobie - oświadczyła kąśliwie Sharon.

- Ja mam na głowie cały okręt. Forrice ani Christine nie mogą się tym zająć, ponieważ obejmują inne wachty.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, Wilsonie Cole! - Sharon podniosła głos.

- Możesz chociaż spróbować?

- Zbliżyć się do niej? - zapytała. - Do diabła, kiedy stoję przed nią, mam przed oczami jej pępek! Jak mam się zaprzyjaźnić z panną Goliat?

- Ty ją zapoznasz z zasadami panującymi na okręcie - powiedział kapitan. - W ciągu najbliższych dni spędzisz w jej towarzystwie cholernie dużo czasu. Postaraj się być dla niej odrobinę miłsza, niż jesteś w tej chwili dla mnie... - zamilkł na moment. - Nie jest moją kochanką i nie wygryzie cię ze stanowiska szefa sekcji bezpieczeństwa. Posiada za to niezwykle cenną wiedzę, a jeśli uda nam się namierzyć tego Rekina, nie

zostanie z nami za długo, dlatego rozsądniej będzie, jeśli pozwolimy jej poczuć się tutaj wygodnie i wyciągniemy przy okazji wszystko, co wie o piractwie.

- Nie rozmawiała z tobą podczas lotu z Bazyliszka? - zapytała Sharon.

- Nawijała bez przerwy - przyznał Wilson. - Moja wiedza o koniakach wzrosła tysiąckrotnie.

- I ja mam się z czymś takim zaprzyjaźnić? - zapytała Blacksmith.

- Przynajmniej spróbuj.

Skrzywiła się.

- Niech ci będzie, spróbuję.

- Ja też spróbuję, jak będę miała wolne - powiedziała Christine.

Cole spojrzał na Forrice'a.

- Nadal jestem na ciebie wkurzony za awansowanie jej na trzeciego - rzucił Molarianin. - Wydawało mi się, że zwołałeś to zebranie, abyśmy mogli wyrazić swoje opinie.

Wilson pokręcił głową.

- Zwołałem to zebranie, aby poinformować was o mojej decyzji, a nie wyklócać się o nią.

- Moim zdaniem to błąd.

- Masz prawo tak myśleć - stwierdził Cole. - Ale tylko tutaj.

- Nagle jego głos stał się o wiele bardziej szorstki. - Tam, za drzwiami, nie będę tolerował kwestionowania moich opinii.

- Znam moje miejsce w szeregu - odparł ponuro Forrice. - Ale korzystając z okazji, że jesteśmy wciąż po tej stronie drzwi, chciałbym zauważyć, iż jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś był tak cholernie arogancki.

- Bo jeszcze nigdy nie podważałeś mojej decyzji - odparł Cole. - Weszliśmy w ten piracki biznes na ślepo. Nikt z nas nie wiedział na ten temat nic

prócz tego, co wyczytaliśmy w marnych książkach i obejrzeliliśmy na jeszcze gorszych holo. Mieliśmy fart, bo wykombinowaliśmy, jak pozbyć się diamentów, ale gdyby ten sukinsyn z McAllistera okazał się choć odrobinę sprytniejszy, siedziałbym teraz w więzieniu floty, i to tylko dlatego, że nie byłem odpowiednio przygotowany do misji. A teraz mamy na pokładzie fenomenalne źródło wiedzy. Ta kobieta uprawia piractwo od ponad dziesięciu lat. Żaden statek jej nie uciekł, nigdy nie została aresztowana, za to zawsze wiedziała jak zarobić. Kradła tylko te towary, którymi flota się nie interesowała. Wiedziała, skąd czerpać informacje. Do tego zna niemal wszystkie statki pirackie krążące w obrębie Wewnętrznej Granicy. Zna też kapitanów i ich metody działania. Wie, gdzie się ukryć, zarówno przed konkurencją, jak i przed flotą, kiedy sprawy przybiorą zły obrót. Jeśli wdamy się w walkę, bez względu na to, czy na powierzchni jakiejś planety, czy na atakowanym statku, będzie warta więcej niż dwóch Pampasów albo sześciu innych członków naszej załogi razem wziętych. Nie przeszła wyszkolenia wojskowego, ma z pewnością kilka cholernych przywar i chleje jak cholera... ale jest nam potrzebna i co może jest najważniejsze, ufam jej... - Zmierzył wzrokiem każde z trojga oficerów po kolei. - Dlatego uważam tę sprawę za zamkniętą.

- Hej, Cole! - usłyszał głos Wal i chwilę później pojawił się przed nim jej hologram.

- To nie był właściwy sposób rozpoczynania rozmowy na pokładzie tego okrętu - napomniał ją. - Ale tym razem nie wyciągnę z tego konsekwencji. Czego chcesz?

- Widziałam biżuterię, którą chciałeś opchnąć Połączonym Trustom.

- I co?

- Nigdy nie pozbędziesz się jej w ten sposób - powiedziała. -

Te świecidełka były bardzo znane, zanim spieprzyłeś robotę na McAllisterze, a teraz wszyscy już wiedzą, że sam Wilson Cole chce je sprzedać.

- Nie wątpię, że masz dla mnie jakąś cenną radę - powiedział kapitan.

- Wydłub te wszystkie rubiny i brylanty, a samą tiarę przetop. Możesz ją sprzedać jako złom złota.

- Paserowi? - zapytała Sharon.

Wal skrzywiła się.

- Wydawało mi się, że już dostaliście nauczkę w kwestii współpracy z paserami. Do cholery, wokół was są dziesiątki kupców, którzy nie obracają wyłącznie kontraktami terminowymi, ale zajmują się też skupem złota. Nawet na Wewnętrznej Granicy jest ich sporo.

A co z klejnotami?

- Cóż, świecidełka trudniej będzie sprzedać. Ale wiesz. że paser nie da ci na nich zarobić. Znam jubilera, który weźmie rubiny. Trudniej je zidentyfikować niż brylanty, ponieważ nie posiadają laserowych znaczników, w każdym razie twoje ich nie posiadają, ale szczerze powiedziawszy, możesz z nich zrobić lepszy użytek.

- Lepszy użytek? - powtórzył Cole.

- Możesz je wydać na łapówki. Brylant albo rubin wciśnięty w odpowiednią dłoń może dać ci cenne informacje. A ludzie, których przekupisz, o wiele szybciej będą mogli pozbyć się jednego kamyczka niż ty całego worka.

- Brzmi nieźle - przyznał Wilson. - Masz jeszcze coś do mnie?

- Tak - powiedziała Wal. - Gadaj, gdzie trzymasz gorzałkę?

Nadal wiesz mi cygniański koniak.

- Obawiam się, że nie mamy go na pokładzie - stwierdził Cole.

- Może zadowoli cię alpardzka brandy? - zapytała Sharon.
- Jak jasna cholera! - zawołała szczerze uradowana Wal. - U mnie czy u ciebie, a może po prostu w mesie?
- Spotkajmy się w sekcji bezpieczeństwa za jakieś dziesięć minut - zaproponowała Sharon. - Tam będę mogła spokojnie wprowadzić cię w obowiązki.
- No to idę - powiedziała piratka i przerwała połączenie. Sharon wyglądała bardzo niepewnie.
- Sam mówiłeś, żebyś się z nią zakumplowała.
- Spije cię w trupa, jeśli jej pozwolisz - ostrzegł ją Cole. - Dlatego pozwól jej chlać, a sama oszczędzaj się i wypytuj o wszystko.
- Wiesz - powiedziała Blacksmith, gdy drzwi otworzyły się przed nią - ona czasem potrafi gadać z sensem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Dlaczego on ją tu ściągnął? - zapytała Rachel, starając się ukryć wzburzenie.

- Bo jest piratką - odparł Władimir Sokołow. - Kapitan uważa, że wiele możemy się od niej nauczyć.

Stali na mostku obok Forrice'a podczas czerwonej wachty, czekając, aż Cole wskaże im następny cel podróży.

- Wielka tam z niej piratka - obruszyła się Rachel. - Przecież straciła statek.

- Wielki tam dowódca z naszego kapitana - odparł natychmiast Sokołow. - Dwa razy go degradowano, a raz trafił nawet pod sąd wojenny.

- Przecież wiesz, dlaczego.

- Tak, wiem - przyznał Władimir. - I dopóki nie dowiem się, dlaczego Walkiria straciła swój statek, będę polegał na ocenie kapitana.

- Nie jestem jedyną, która zadaje pytania na jej temat - broniła się Rachel.

- Skoro masz jakieś pytania, dlaczego nie zadasz ich jej prosto w oczy? - zasugerował Sokołow.

- Widziałeś ją? - zapytała Marcos. - Nie dość, że jest olbrzymia, to jeszcze nosi przy sobie cały arsenał!

- Ja tam uważam, że jest cholernie seksowna - oświadczył Władimir.

- Naprawdę? - zapytała Rachel z wyraźnym obrzydzeniem.

- Dość już tego gadania - wtrącił się Forrice. - Podoba wam się czy nie, to jest nasz nowy trzeci oficer.

- A co pan o tym sądzi? - zainteresowała się Rachel. - Dlaczego ona dostała to stanowisko, a nie porucznik Briggs albo porucznik Sokołow.

- Co ja sądzę, nie ma tu nic do rzeczy - odparł Molarianin. - Kapitan podjął taką decyzję, a my powinniśmy albo ją

zaakceptować, albo opuścić pokład.

- Cóż, może i będzie naszym trzecim, ale oprócz kapitana nikt jej nie polubi.

Siłownię urządzono w zwykłej, pustej teraz kabynie, która służyła za sypialnię dla dwóch kosmitów z załogi, jeśli okręt akurat posiadał pełną obsadę. Miała rozmiary dziesięć na dwanaście stóp, a ponieważ dostosowano ją do potrzeb obcych istot, które nierzadko przewyższały wzrostem człowieka, sufit znajdował się aż dziesięć stóp nad podłogą, zamiast zwyczajowych siedmiu.

W tak ciasnych pomieszczeniach nie można było wykonywać zbyt wielu ćwiczeń, ale Pampas szybko zorganizował sobie kilka sztang i ciężarów, aby zacząć codzienny trening.

Trzeciego dnia pobytu Wal na pokładzie, krótko po zakończeniu wprowadzania w obowiązki i tuż przed zakończeniem czerwonej wachty, kobieta-pirat pojawiła się w siłowni. Byk zdążył się już do tego momentu nielecho spocić.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał, gdy weszła. - A może powinienem dodać „sir”?

- Mów sobie, co tam chcesz - odparła Wal. - Dowiedziałam się, że macie siłownię, więc pomyślałam, że poprzierzucam trochę złomu.

- Zrobię pani miejsce i wrócę do treningu, jak pani skończy - oświadczył Pampas, a potem pochylił się i zaczął zdejmować talerze ze sztangi.

- Co robisz? - zapytała piratka.

- Jestem doświadczonym ciężarowcem - odparł. - Zmniejszam obciążenie dla pani.

- Ja też jestem cholernie doświadczonym ciężarowcem - zapewniła go. - Możesz zostawić obciążenie tak jak jest.

- Nie chciałbym, żeby pani zrobiła sobie krzywdę - powiedział Pampas.

- Krzywdę to ja robię innym, na pewno nie sobie - zgasła go, stając przed sztangą.

Pochyliła się, zaczerpnęła głęboko tchu, a potem szybko się wyprostowała, unosząc ciężar nad głowę

- Nie jest wcale taka ciężka - powiedział z uśmiechem na ustach. - Masz może jeszcze kilka talerzy?

- Jak pani to, u licha, zrobiła? - zapytał Byk z wyraźnym podziwem. - Jestem cholernie silny i mam sporo doświadczenia w tej dyscyplinie sportu, ale musiałem trenować latami, żeby wyrwać czysto taki ciężar, a pani podniosła go, jakby to było piórko.

- Mogę cię nauczyć kilku sztuczek związanych z podnoszeniem ciężarów - zaproponowała.

- Będę pani bardzo wdzięczny... - Przerwał na chwilę. - Słyszałem, że potrafi pani też całkiem dobrze zadbać o siebie podczas walki.

- Radzę sobie.

- Z przyjemnością potrenowałbym z panią - powiedział szybko Pampas - ale ta salka jest taka mała.

- Ja też z przyjemnością poćwiczę z panem, panie...?

- Pampas, proszę pani - przedstawił się. - Eric Pampas. Ale wszyscy mówią na mnie Byk.

- Świetnie, Byku - odparła. - Jeśli masz kilku kumpli, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś sensownego o samoobronie, zaproś ich do wspólnego trenowania.

- Nie omieszkać, proszę pani.

- Mów mi Wal.

Sokołow i Briggs siedzieli w mesie, popijając piwo. Pozostałe stoliki świeciły pustkami. Nagle do pomieszczenia weszła Wal i natychmiast dosiadła się do nich. Menu pojawiło się przed nią,

lewitując tuż nad blatem, ledwie klapnęła na krzesło.

- Daj mi „Niebieską kometę” - powiedziała.
- Nie znam takiego dania - odparł mechaniczny głos. - Czy

ludzie to jedzą?

- Ludzie to piją.
- Nie posiadam czegoś takiego w mojej bazie danych.
- No to posłuchaj - powiedziała Wal. - Bierzesz dwie uncje antareskiej whisky, jedną uncję nebodiańskiego likieru i jedną uncję soku cytrusowego, obojętnie z jakich owoców, ale nie może to być żaden substytut sojowy! Dolej do tego odrobinę gorzkiej wódki i na koniec wymieszaj z surowym jajkiem.

- Nie posiadam surowych jajek.
- Dobra - powiedziała - w takim razie dodaj uncję gęstej śmietany.

- Nie posiadam gęstej śmietany.
- A masz może mrożoną śmietanę?
- Nie posiadam mrożonej śmietany.
- Co to za kambuz! - prychnęła. - A jogurt masz?
- Posiadam jogurt delfiniański.

- Świetnie, dodaj uncję jogurtu o smaku owocowym. Miksuj to wszystko przez trzydzieści sekund, dorzuć kilka kostek lodu i podaj.

- Przetwarzam...

- Wybacz pani - wtrącił się Sokołow - ale usłyszałem przypadkiem całą rozmowę. Ja też jeszcze nigdy nie piłem „Niebieskiej komety”.

- Bo to drink stworzony na Wewnętrznej Granicy - wyjaśniła Wal.

- Ta wyliczanka brzmiała okropnie - stwierdził Briggs. - Pani najwyraźniej lubi mieszać wiele składników.

- Komputer - zawołała piratka. - Podaj trzy „Niebieskie komety”.

- Przetwarzam...
- Jedyne sposob, zeby sie do niej przekonac, to spróbowanie
- oświadczyla.
- Zapewne - rzekł Briggs. - A jak ją dopijemy, poproszę kambuz o zrobienie „Denebiańskiego szlamowego diabła”.
- Piłam to święństwo - odparła Wal bez widocznego entuzjazmu.
- Ale nie z szarą wódką z Hesperite III.
- Nie - przyznała. - Szara wódka nigdy nie wpadła mi w ręce, miałam tylko te podroby, które pędzą na Pamiątce. Twoja propozycja brzmi coraz bardziej interesująco.
- Ale nie tak interesująco jak „Słoń z Eridana” - powiedział Sokołow.
- „Słoń z Eridana”? - powtórzyła z zaciekawiona. Zaczął opisywać skład, ale przerwało mu pojawienie się „Niebieskich komet”.
- Diabła tam - mruknął. - Lepiej pani pokażę.
- Pociągnęła łyczek ze swojej szklanki.
- Niezły - stwierdziła - ale naprawdę brakuje mu surowego jajka.
- Czy to musi być ptasie jajko? - zapytał Sokołow.
- Nie mam pojęcia - przyznała. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Dlaczego pytasz?
- Bo mamy wylądować na planecie, na której handluje się jajami gadów czy też jakichś innych tworzeń.
- Najpierw się napij - powiedziała. - Potem zdecydujesz, czy to warte zachodu.
- Obaj mężczyźni przechylili szklanki.
- Mocna rzecz, proszę pani - stwierdził Sokołow.
- Ale dobra - dodał Briggs.
- Jednak rzeczywiście, jakby tu czegoś brakowało - dorzucił Władimir. - Wydaje mi się, że powinniśmy zaopatrzyć się w

kilka jajek przy najbliższej okazji.

„Denebiański szlamowy diabeł” pojawił się na stoliku minutę później, a „Słoń z Eridana”, ledwie dopili poprzedniego drinka.

- Ciesz się mnie, że pojawiła się pani na pokładzie - powiedział Sokołow. - Teraz już wiem, na co powinienem poświęcić mój wolny czas.

- I czego się uczyć - dodał Briggs.

Dwadzieścia minut później obaj mężczyźni poprzysięgli dozgonną przyjaźń nowemu trzeciemu oficerowi. A po kolejnych pięciu minutach Wal wstała od stołu i pozwoliła im spokojnie chrapać.

- Calioparie - powiedział Braxyta.

- Toprench - odparła Domak.

- Mówię ci, że calioparie j est najtrudniej szą i najbardziej skomplikowaną grą w galaktyce

- upierał się Molarianin.

- Nonsens - zaprzeczyła Polonoi. - Toprench jest trudniejszy.

- Oboje się mylicie - pogodziła ich Idena Mueller. - Szachy to jedyna gra, w której przegrany nie ma żadnej wymówki.

- Za długo mieszkałaś na terenie Republiki - wtrąciła się Wal z drugiego końca mostka.

- Doprawdy? - powiedziała Idena. - A według królowej piratów, jaka gra jest najtrudniejsza?

- Nazwałaś mnie tak, chcąc mnie obrazić - odparła Wal. - Ale ja przyjmuję twoje słowa jako komplement. Spróbuj któregoś dnia zostać królową piratów. Zobaczysz, jakie to trudne. A co do gry, osobiście stawiam na bilsang.

- Co to jest bilsang?

- Gra, przy której szachy i toprench wyglądają jak zabawy dla dzieci - wyjaśniła piratka.

- Na własne oczy widziałam, jak podczas partii bilsanga akty własności całych planet przechodziły z rąk do rąk.

- Dlaczego uważasz, że to taka trudna gra? - zapytał Braxyta.

- Bo jest cholernie prosta - odparła Wal.

- Przecież to jakiś nonsens.

- Uważasz tak, ponieważ nic o niej nie wiesz - zapewniła piratka.

- Jaka szkoda, że nie możesz jej nam zaprezentować - stwierdziła sarkastycznie Domak.

- Nigdy się nie dowiemy, które z nas miało rację.

- Dlaczego uważasz, że nie mogę ci pokazać, jak się w to gra?

- Może dlatego, że nie mamy na „Teddym R” zestawu potrzebnego do zagrania w bilsanga? - wtrąciła Idena.

- Do tego nie trzeba planszy, kart ani komputera - odparła Wal. - Każdy może zagrać... - Zamilkła na moment. - Ale nie każdy może wygrać.

- Jak długo trwa rozgrywka? - zapytała Domak.

- Od pięciu minut do trzech miesięcy.

- I nie trzeba do tego niczego specjalnego?

- Tylko mózgu - powiedziała piratka. - Mam was nauczyć podstaw?

- A ile to zajmie? - zapytała Idena. - Zaczynam dyżur za pół godziny.

- Zasady poznacie w pięć minut, ale subtelności nie pojmiecie do końca życia.

- W takim razie, co nam szkodzi, spróbujmy - zdecydowała Idena. - Czego nam będzie trzeba?

- Płaskiej powierzchni i dwudziestu żetonów. Mogą być monety. Albo medale. Albo cokolwiek, co zmieści się na stole w liczbie dwudziestu.

- Świetnie - ucieszyła się Mueller, sięgając do kieszeni. - Akurat mam dziesięć monet.

- Ja dołożę resztę - zaoferowała Wal. - Kto wie, może któreś z was okaże się kiedyś godnym przeciwnikiem dla mnie.

Monety zostały ułożone na stole.

Wal wyjaśniła im podstawowe zasady i kilka subtelności. W tym momencie Idena musiała ich opuścić, ale Domak i Braxyta zdecydowali się rozegrać próbną partyjkę. Wciąż byli zajęci grą, zapomniawszy o całym świecie, gdy Mueller wróciła z dyżuru po kilku godzinach.

Tydzień później cała załoga wzięła udział w turnieju bilsanga.

W ciągu dwóch tygodni piratka przekonała do siebie niemal wszystkich członków załogi, może z wyjątkiem Forrice'a i Rachel. Ale nawet Marcos zaakceptowała jej obecność na pokładzie, kiedy dotarło do niej, że Wal nie uderza do Cole'a, a i on się nie ma ku niej.

Forrice stanowił trudniejszy przypadek, ale i jego opory stopniały, gdy któregoś dnia podczas białej wachty wyładował z piratką w maleńkiej mesie oficerskiej. Nikt nie potrafił powiedzieć, od czego się zaczęło, ale gdy Cole trafił tam dużo później, oboje zarykiwali się do upadłego z opowiadanych na przemian molariańskich świńskich kawałów.

Wszyscy popierali Walkirię w jej dążeniu do odnalezienia Rekina Młota, ale zgadzali się też co do jednego - znalezienie „Pegaza” okazałoby się najsmutniejszym dniem w historii „Teddyego R.”.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dwa standardowe tygodnie po przybyciu Walkirii na pokład „Teddyego R.” dotarły pierwsze wieści o „Pegazie”.

W trakcie trwania białej wachty Christine Mboya wezwała pilnie Cole’a i piratkę na mostek, na którym przy konsolach dyżurowali Briggs i Jabol.

- Właśnie odebrałam wezwanie o pomoc z Cyrano, sir - poinformowała Christine, gdy kapitan stanął przed nią.

- Czym jest to Cyrano i gdzie się znajduje? - zapytał Cole. - No i po jaką cholere wzywała tu pani Wal?

- Cyrano to planeta oddalona od tego miejsca o około dziewięćdziesiąt lat świetlnych. Wezwałam trzeciego oficera, ponieważ w treści wezwania pojawia się nazwa „Pegaz”.

- Ten bękart naraża mój statek! - wrzasnęła piratka.

- O czym ty mówisz? - zapytał Cole.

- Na Cyrano mieści się kwatery główna sił Donovanu Muscatela - wyjaśniła Wal. - To wielki rywal Rekina. Jak rozumiem, skorzystał z tego, że nikt nie kojarzył go z moim statkiem i wykorzystując element zaskoczenia, załatwił ich po przylocie na miejsce.

- Sądzisz, że już jest po wszystkim?

- Nie twierdzę, że Donovan został zabity - zastrzegła się piratka. - Chciałam tylko powiedzieć, że do tej pory „Pegaz” mógł roznieść jego bazę na strzępy.

- Dlaczego więc uważasz, że Donovan to przeżył?

- Ma cztery statki, które nigdy nie zawijają do portu w tym samym czasie, istnieje więc spora szansa, że nie było go na Cyrano, gdy nastąpił atak. Ale jednego jestem pewna: kiedy tam wróci, zastanie tylko głęboki lej w ziemi.

- Pilocie, zabierz nas tam z maksymalną prędkością - rozkazał Cole i zobaczył, że Christine spogląda na niego

pytająco. - Gdzieś musimy rozpocząć te poszukiwania - wyjaśnił. - Jeśli ktoś przeżył atak, powie nam, gdzie znajdują się pozostałe jednostki Muscatela. - Odwrócił się do Wal. - Jeśli się nie mylę, Rekin po zniszczeniu bazy zacznie polować na pozostałe okręty.

- Skoro już zaczął, nie może pozostawić nikogo przy życiu, inaczej do końca swoich dni nie zazna spokoju. - Nagle walnęła pięścią w grodzień. - Żeby mu ślepia wygniły!

- O co ci chodzi?

- Donovan miał wielu przyjaciół i teraz wszyscy zaczną szukać mojego statku.

- Zupełnie jak my - wtrąciła zdezorientowana Christine.

- Tak - przyznał Cole - ale my zamierzamy go odzyskać i oddać Wal, po tym jak zgodnie z umową dokonamy podziału łupów. Przyjaciele Muscatela zrobią natomiast wszystko, by go zniszczyć i zabić każdego, kto znajduje się na pokładzie.

- Boże, miej w swojej opiece tego, kto mi rozwali „Pegaza” - wrzasnęła z furią Walkiria - bo ja nie będę się nad nim litowała, kiedy wpadnie w moje ręce!

- Zostaw te pogroźki na później - poradził jej Wilson. - Teraz musimy się zastanowić nad innymi kwestiami. Dla przykładu: czy Rekin zacznie z nami rozmawiać czy raczej strzelać, jak tylko zobaczy ten okręt.

- Będzie strzelał.

- Nawet w przypadku, gdy nie będzie wiedział, że jesteś na pokładzie?

- Rekin z nikim nie rozmawia - wyjaśniła Wal. - Nigdy. Jeśli się do niego zbliżymy, założy, że mamy ku temu powód, a jakkolwiek by był, z pewnością nie może się wiązać z niczym dobrym dla „Pegaza, więc każe otworzyć ogień.

- „Pegaz” to twój statek - powiedział Cole. - Powinnaś iść

do biura sekcji bezpieczeństwa i opowiedzieć Sharon o wszystkim, co wiesz na jego temat. Podaj jej rozmiary jednostki, uzbrojenie, systemy obrony, maksymalną prędkość i słabe punkty

- Już to zrobiłam.

- Więc zrób to jeszcze raz.

- To tylko marnowanie czasu.

- Możliwe, ale istnieje szansa, że za pierwszym razem przeoczyłaś jakiś mały istotny z twojego punktu widzenia szczegół. Sharon monitoruje naszą rozmowę, więc będzie gotowa na twoje przybycie.

- Nie - upierała się Wal. - Powiedziałam jej wszystko, co wiem.

- Zaczynam mieć dość ludzi, którzy podważają moje kompetencje - stwierdził Cole. - Wydałem ci rozkaz. Odmów jego wykonania, a pościg za „Pegazem” skończy się tu i teraz, a ty zostaniesz wysadzona na pierwszej lepszej planecie z tlenową atmosferą. Bez względu na to, czy jest zamieszkana czy nie.

Spoglądała na niego obojętnym wzrokiem przez dłuższą chwilę.

- To twój okręt, więc zrobię, co mi każeś - powiedziała w końcu. - Ale nigdy nie próbuj przemawiać do mnie takim tonem, kiedy znajdziemy się na pokładzie mojego statku.

Odwróciła się i poszła do windy.

- Wie pan - odezwał się Briggs zza konsoli - Przez moment wydawało mi się, że raczej panu przywali.

- Wiem, że mogłaby bez większego trudu pozamiatać mną podłogę - przyznał Cole. - Ale z drugiej strony, odzyskanie „Pegaza” jest jej największym pragnieniem i zrobi wszystko, by do tego doszło. Jeśli Sharon wyciągnie od niej coś ciekawego, być może uda nam się przejąć tę jednostkę bez wyrządzania

większych szkód.

Christine obserwowała odczyty na kilku ekranach.

- Wal miała rację - oznajmiła. - „Pegaz” opuścił system Cyrano.

- Wiesz, gdzie się skierował?

Pokręciła głową.

- Nie, sir. Na Cyrano nie posiadają zaawansowanej technologii. Na sprzęcie, który mają, nie można śledzić jednostki poruszającej się z prędkością nadświatlną tunelem czasoprzestrzennym trzeciej kategorii.

- Rozumiem - powiedział Cole. - Zatem będziemy potrzebowali zespołu, który wyląduje i przesłucha ocalałych i naocznych świadków.

- Zgłaszam się na ochotnika, sir - oznajmił Briggs.

- Dobrze. Zamelduj się przy „Kermicie”, jak tylko wlecimy na obrzeża tego systemu.

- Ja też zgłaszam się na ochotnika - powiedział Jabol.

- Doceniam twoją odwagę, ale wahadłowcem mogą lecieć tylko trzy osoby - odparł Cole.

- Ale pan wybrał dopiero jedną, sir - zauważył Mollutei.

- Wal musi tam polecieć z nami - wyjaśnił Wilson. - Ona najlepiej wie, o co pytać.

- W takim razie wybrał pan dwie osoby, sir.

- Ja będę trzeci.

- Wydawało mi się, że kapitan nie może opuszczać okrętu na wrogim terytorium - zauważył Jabol.

- Nie powinien - przyznał Cole. - Jeśli więc znajdziesz kogokolwiek, kogo ona posłucha, kiedy sytuacja zacznie wymykać się spod kontroli, z przyjemnością zostanę na pokładzie.

Mollutei nie potrafił odpowiedzieć, więc zamilkł na dobre.

- Pilocie, za ile dotrzemy na miejsce? - zapytał Wilson.

- Jeśli tunel czasoprzestrzenny przy Boratinie nie zmienił położenia, powinniśmy dotrzeć do systemu Cyrano za osiemdziesiąt siedem minut standardowych - odparł Wxakgini.

- A jeśli zmienił?

- Wtedy nie dotrzemy do systemu Cyrano za osiemdziesiąt siedem minut standardowych.

- Dzięki ci za tę niezwykle precyzyjną odpowiedź - oświadczył oschle kapitan. - Christine, wyznacz zastępstwo dla Malcolma. Panie Briggs, proszę się udać do zbrojowni, pobrać palnik, puszczalną i dopasować jakiś pancerz.

- Nie cierpię pancerzy - poskarżył się porucznik.

- A ja nie cierpię tracić oficerów - odparł Cole. - Pełen komplet osłon nie waży nawet pięciu funtów i ma pan go założyć, zanim wsiądziemy do wahadłowca.

- Spocę się jak cholera.

- Proszę sobie powtarzać w kółko: trupy się nie pocą.

- Tak jest - odparł zniechęconym głosem porucznik i zaraz zapytał: - Czy Wal także założy pancerz?

- Walkiria potrafi zadbać o siebie znacznie lepiej niż ktokolwiek inny - zapewnił go kapitan. - I może nosić, co zechce. - Briggs otworzył usta, aby zaprotestować, ale Cole uciszył go, podnosząc dłoń. - Zanim zaczniesz narzekać, powiem jedno. W dniu, w którym pokona ją pan w walce, nawet nieuczciwej, pozwolę panu robić, co pan zechce. Ale do tego czasu ma pan wskakiwać w zbroję, kiedy każę, i nie chcę słyszeć nawet słowa skargi.

- Tak jest - powiedział porucznik.

- Coś jeszcze? - zapytał Wilson, gdy jego podwładny nie ruszył się z miejsca.

- Czekam na mojego zmiennika, sir.

- Niech będzie, może pan równie dobrze wyfasować ten pancerz za pięć minut - zgodził się Cole. - Ale kiedy zmiennik się

tu pojawi, leci pan natychmiast do zbrojowni.

- Tak jest.

Dziesięć minut przed przylotem do systemu Cyrano, Wilson skontaktował się z Wal i polecił, aby czekała z Briggsem przy władze wahadłowca zaraz po tym, jak okręt wyjdzie z nadświetlnej. Nikt nie potrafił określić, z jaką prędkością porusza się jednostka w przestrzeni, zarówno kiedy leciała szybciej, jak i wolniej od światła, o ile nie miał dostępu do wskazań komputera, ale momenty, w których okręt pokonywał barierę świetlną, bez względu na to, czy zwalniał czy przyspieszał, odczuwali wszyscy. Uczucia chwilowej dezorientacji nie można było pomylić z niczym innym.

„Kermit” opuścił pokład kilka minut po tym, jak zebrali się przy władze i po chwili już wchodził w atmosferę Cyrano. Natychmiast otoczyło go sześć dwuosobowych myśliwców.

- Co mam teraz robić, sir? - zapytał Briggs, który zasiadał za sterami.

- Oni chcą się jedynie upewnić, czy nie przylecieliśmy, aby dokonać kolejnych zniszczeń - powiedział Cole. - Masz fałszywe dokumenty rejestracyjne „Teddyego R.” i tego wahadłowca. Po prostu odpowiadaj na ich pytania. Przylecieliśmy, żeby zrobić interes z Muscatelem. Jeśli cię poinformują, że baza została zniszczona, powiedz, że zdeponowaliśmy w niej część naszych łupów i poproś o zgodę na lądowanie, żeby sprawdzić, czy coś ocalało.

- Przecież oni musieli wiedzieć, że to pirat - zauważył Malcolm.

- Od wielu lat miał swoją kwaterę główną na tej planecie - wtrąciła Wal - co znaczy, że musiał opłacać na niej całą masę ludzi. Z tego można wywnioskować jeszcze jedno. Teraz ci ludzie zaczną szukać nowego sponsora. A z ich punktu widzenia spełniamy wszystkie wymagania.

Radio ożyło i przez kilka następnych minut Briggs odpowiadał na pytania, które tak precyzyjnie przewidział Cole. W końcu „Kermit” otrzymał pozwolenie na lądowanie i przyziemił na płycie niewielkiego komercyjnego lądowiska około sześciu mil od ruin siedziby Muscatela.

- Boże! - jęknął Briggs, gdy wysiedli z wnętrza maszyny. - Nawet tutaj czuć ten smród. Czym, u licha, zaatakował ich „Pegaz”? Mieliście na pokładzie jakąś broń chemiczną?

- Niezupełnie - odparła Wal. - Ale Donovan z pewnością trzymał toksyczne chemikalia w swoich magazynach. Niektóre pojemniki musiały wejść w reakcję po ostrzelaniu działami pulsacyjnymi.

Wynajęli autolot w pobliskiej firmie i dojechali nim na skraj leja, który pozostał po siedzibie Muscatela.

- Uprzedzałam, że tak to wygląda - powiedziała Wal, przyglądając się stosom gruzu zalegającego na dnie głębokiej niecki.

- Czy jego statki mogły stać w kosmoporcie? - zapytał Cole. - Mam na myśli te, które w tym momencie nie zajmowały się piractwem.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie wierzył, że władze portu zapewnią im bezpieczeństwo. Jeśli nie było ich na orbicie...

- Nie było ich tam.

- ...spoczywają pewnie pod tymi gruzami.

- Szkoda.

- Czemu tak cię to martwi?

- Gdybym znalazł nietknięty statek, na jego pokładzie mógłbym zdobyć kody potrzebne do skontaktowania się z pozostałymi jednostkami Donovana. Dzięki temu moglibyśmy sprawdzić, czy Muscatel przeżył ten atak.

- A co on mnie obchodzi? - obruszyła się piratka. - Ja

szukam Rekina i mojego statku.

- Wszystko wskazuje na to, że on też go szuka - uzmysłowił jej Cole. - I na dodatek dysponuje wiedzą, której nam brakuje.

- Jeśli wydamy odpowiednio dużo pieniędzy, dowiemy się, gdzie jest - zapewniła go Wal.

- Zapomniałaś o jednej rzeczy - stwierdził Cole.

- O jakiej? - zapytała.

- Prędeż, czy później odnajdziemy „Pegaza”, tego jestem akurat pewien - powiedział Wilson, patrząc jej prosto w oczy. - Ale co będzie, jeśli Muscatel dopadnie go pierwszy?

- Znowu wszystko pokręciłeś - poprawiła go Walkiria. - Mówiłam ci: to Rekin będzie teraz ścigał Donovana.

- „Teddy R.” jest okrętem wojennym Republiki - powiedział Cole. - Bóg wie, że nie najnowszym i nie najlepiej uzbrojonym, ale stworzonym na potrzeby prowadzenia wojny. Jeśli „Pegaz” nie został zbudowany w tym samym celu, a nie raczyłaś wspomnieć, żeby tak było, nie zdoła walczyć jednocześnie z trzema innymi jednostkami bez względu na to, co myślisz o umiejętnościach Rekina. Jeśli nawet jest najbardziej mściwym skurwielem w galaktyce, będzie je tropił i wykańczał pojedynczo.

- Nie wiesz o nim jednej rzeczy... - zaprotestowała piratka.

- Nie wiem o nim kilku rzeczy - zgodził się Wilson. - Ale wiem jedno: zdołał się utrzymać w pirackim fachu wystarczająco długo, aby wyrobić sobie tak złą sławę. A to znaczy, że nie jest samobójcą... - przerwał na moment. - Posłuchaj, prędeż go znajdziemy, jeśli będziemy znali lokalizację statków Muscatela. Bez względu na to, czy będą go ścigały, czy same będą ścigane, trzymając się ich, dotrzemy do „Pegaza”.

- To wydaje się sensowne - przyznała niechętnie. - Sprawdźmy ich dane w kapitanacie portu. Pytanie o rozkład lotów może mijać się z celem. Bez względu na wszystko, na pewno nie będą się trzymały wcześniejszych planów.

- W kapitanacie nie przekażą ci tych danych tylko dlatego, że o nie poprosisz - stwierdził Cole.

- Nie zamierzam o nie prosić - oświadczyła, kładąc opięte rękawicami dłonie na rękojeściach broni. - Ja ich zażądam!

- Istnieją prostsze sposoby niż przemoc.

- Tak? Na przykład jakie?

- Na przykład wydtubałem z tiary wszystkie klejnoty, zgodnie zresztą z twoją radą. Kilka z nich, przekazanych w odpowiednie ręce, pozwoli nam uzyskać potrzebne informacje bez niepotrzebnych komplikacji. Nikt też nie przekaże naszych rysopisów stu najbliższym rezydującym łowcom nagród.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli twój sposób zawiedzie, nie będzie problemu. W odwodzie pozostanie nam moja metoda. Idziemy.

- Nie tak szybko - stwierdził Cole.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Tutaj niczego już nie ma.

- Wiedzieliśmy o tym, że został tutaj tylko lej, zanim opuściliśmy okręt. Ale przylecieliśmy, żeby znaleźć i przesłuchać świadków.

- A co oni mogą ci powiedzieć?

- Gdybym wiedział, nie musiałbym ich pytać - odparł kapitan.

- Dobra. Gdzie chcesz ich szukać?

- Sprawdzimy na policji i w szpitalach - wyjaśnił Cole. - Przylecieliśmy tutaj z legalnym biznesem. W każdym razie na tyle legalnym, że nie obchodzi władz Cyrano. Mieliśmy tutaj towary warte miliony kredytów. Towary, za które zapłaciliśmy, gotowe do odebrania i wysyłki. Mamy powody, aby dowiedzieć się, co tu się stało? Kto jest za to odpowiedzialny? Ile statków Muscatela zostało zniszczonych, a ile przetrwało? Zbyt długo myślałaś po piracku. Tym razem nie mamy niczego do ukrycia.

Przyglądała mu się przez długą chwilę.

- Flota odebrała ci dowodzenie okrętem?
- Nawet dwoma - przyznał Wilson. - Prawdę powiedziawszy, to trzema, ale „Teddyego R.” zdołałem odzyskać.
- Nic dziwnego, że przegrywamy tę cholerną wojnę.
- Nie przegrywamy - poprawił ją Cole. - I oni też jej nie przegrywają. Po prostu robią wszystko, żeby nie wygrać.
- Jeśli traktują wszystkich kompetentnych oficerów tak jak ciebie, wcale mnie to nie dziwi.
- Sir? - odezwał się Briggs, który kręcił się wokół leja. - Wprawdzie nie mogę tego potwierdzić, dopóki nie uzyskam więcej danych, ale moim zdaniem w tym rumowisku spoczywa tylko jeden statek.
- Dlaczego pan tak uważa? - zapytał Cole, zaglądając w głąb krateru.
- Za niski stopień radiacji jak na dwa reaktory - wyjaśnił Malcolm, unosząc w górę miniaturowy sensor. - Wprawdzie konstruuje się je tak, aby w razie uszkodzenia natychmiast się wyłączały, ale zawsze pozostaje niewielki poziom skażenia.
- Ale jest go za mało jak na dwa statki?
- Tak uważam, sir.
- No i dobrze - powiedział Cole. - Myślę, że spokojnie możemy założyć, iż Muscatel dysponuje wciąż trzema jednostkami. - Odwrócił się do Wal. - Powiedz mi teraz prawdę. Czy „Pegaz” jest w stanie pokonać trzy statki na raz? Tylko nie opowiadaj, że wszystko zależy od ich typu. Wiesz dokładnie, czym dysponuje Muscatel.
- Nie. Raczej nie - przyznała.
- Zatem prawdopodobniejsza jest wersja, że to one będą go ścigać.
- W świecie kierującym się logiką byłoby prawdopodobniejsze - powiedziała. - Ale nie wiesz nic o Rekinie.

- Wiem, że zdołał przeżyć aż do dzisiaj. A to oznacza, że nie jest mu obca przebiegłość i posiada silny instynkt samozachowawczy, a może nawet sporą inteligencję.

- Sir - odezwał się znowu Briggs. - Tak naprawdę nie ma znaczenia, czy oni ścigają jego, czy on ich. Prędej czy później obie strony się spotkają. Dlaczego nie usiądziemy i nie poczekamy, aż powybijają się nawzajem?

- Mówisz o moim statku! - ryknęła Wal.

- To pierwszy powód - dodał zaraz Cole, uśmiechając się złowrogo. - Mówię poważnie, zawarliśmy w tej sprawie umowę. No i jest łup do podziału. Ale tylko wtedy, gdy „Pegaz” pozostanie nietknięty.

- Tak tylko na głos pomyślałem - usprawiedliwił się Malcolm.

- I to całkiem mądrze - pochwalił go kapitan. - W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach byłoby to najrozsądniejsze... - przerwał. - My jednak mamy setny przypadek. - Po raz ostatni obrzucił wzrokiem zgłiszcza. - Jedźmy do tego szpitala, który mijaliśmy po drodze. Jeśli ktoś przeżył ten wybuch albo był na tyle blisko, żeby coś widzieć, z pewnością tam go znajdziemy.

Wrócili do autolotu i pomknęli nad drogą, wisząc nad nawierzchnią nie wyżej niż osiem cali. Przy szpitalu wlecieli na podziemny parking, zostawili pojazd i udali się windą do rejestracji.

- Dobry wieczór - tymi słowami Cole powitał pulchną pielęgniarkę.

- Dobry wieczór - odparła. - Czym mogę służyć?

- Domyślam się, że macie tutaj sporo pacjentów z ataku na posiadłość pana Muscatela.

- Prawda, że to okropne? - odparła kobieta. - Po raz pierwszy zetknęliśmy się z czymś podobnym. Wie pan, że my

wszyscy uciekaliśmy na Granicę, aby uniknąć podobnych ataków wojska.

- Uważa pani, że to był atak wojska? - zapytał Cole. - Z tego, co ja słyszałem, chodziło o porachunki pomiędzy piratami.

- A jaka to różnica? Nadleciał okręt i ostrzelał naszą planetę.

- Nie sposób odmówić pani racji - przyznał Wilson. - Macie tu pacjentów przywiezionych po tym ataku?

- Oczywiście. Jakiego nazwiska pan szuka?

- Sam nie wiem - odparł Cole. - Prowadziłem interesy z tą firmą, ale nie poznałem osobiście nikogo prócz samego pana Donovanusa Muscatela. Czy on tu też przebywa?

- Nie. Wiedziabym, gdyby go przywieziono - powiedziała pielęgniarka. - Mam nadzieję, że przeżył. Wiedział pan, że ufundował wschodnie skrzydło tego szpitala?

- Też mam nadzieję, że żyje - stwierdził Wilson. - Ilu ludzi przeżyło atak?

- Nie tylko ludzie przeżyli - odparła kobieta - ale i Pepon.

- Pepon?

- No, ten tam z Peponu. Tak przynajmniej kazał na siebie mówić. Jestem pewna, że ta rasa ma jakąś oficjalną nazwę.

- Kto jeszcze?

- Dwóch mężczyzn. Mamy też kobietę na sali operacyjnej, ale dla niej rokowania są raczej marne. - Rzuciła okiem na niewidoczny ekran. - Tak, straciliśmy ją jakieś trzy minuty temu.

- A zna pani jakichś naocznych świadków tego ataku?

- Jest pan biznesmenem czy reporterem? - zapytała podejrzliwie.

- Biznesmenem. Czy mogę porozmawiać z którymś z ocalonych?

- Pozwoli pan, że sprawdzę. - Wpatrzyła się w inny,

niewidoczny ekran. - Może pan. Nie dostali środków uspokajających i, prawdę powiedziawszy, powinni zostać zwolnieni jeszcze tego wieczora. Trzymamy ich tylko na obserwacji.

- Pepona też?

Jeszcze raz opuściła wzrok.

- Tak.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Sanitariusz zaprowadzi pana do niego.

- Czy moi przyjaciele mogą iść ze mną? - wskazał głową na Wal i Briggsa.

- Tylko dwoje odwiedzających naraz - odparła Pielęgniarka. - Przykro mi, taki jest regulamin szpitala.

- Nie ma sprawy - stwierdził Cole, ujął Malcolma pod ramię i ruszył z nim w stronę wyjścia. Odezwał się dopiero, gdy znaleźli się w miejscu, w którym pielęgniarka nie mogła ich usłyszeć. - Prawdopodobnie to ślepy zaułek, ale proszę odwiedzić tutejsze więzienie i sprawdzić, czy nie mają tam ofiar albo świadków dzisiejszych wydarzeń. Potem wróci pan tutaj.

- Dlaczego ktoś taki miałby trafić do więzienia? - zapytał Briggs.

- Może naoczni świadkowie zostali przyłapani na grabieży? - odparł pytaniem na pytanie kapitan. - Albo łowcy nagród wyznaczyli ceny za głowy niektórych pracowników Muscatela i teraz, gdy ich protektora już nie ma, ktoś postanowił się wzbogacić? Chce pan wysłuchać pełnego katalogu podobnych powodów?

- Nie, sir. Wrócę najszybciej, jak się da.

Briggs opuścił szpital, a Cole wrócił do recepcji.

- Jesteśmy gotowi - oświadczył.

Podjechał do niego robot.

- Proszę za mną - wycharczał metalicznym głosem.

Wilson i Wal ruszyli za kiwającym się robotem i wkrótce dotarli do szybu windy. Wyszli na trzecim piętrze i podążając dalej za mechanicznym sanitariuszem, stanęli przed otwartymi drzwiami na końcu bocznego korytarza.

- Ludzie o nazwiskach Nichols i Moyer przebywają na tej sali. Pepon Bujandi znajduje się cztery pomieszczenia dalej. Ja obejmę dyżur przy drzwiach.

Cole i Walkiria weszli do szpitalnej Sali.

Dwaj mężczyźni w pidżamach siedzieli na lewitujących łóżkach, przyglądając się ciekawie gościom.

- Który z was jest Nichols, a który Moyer? - spytał Wilson.

- Ja nazywam się Jim Nichols - przedstawił się niższy z mężczyzn. - A to jest Dan Moyer. Mogę wiedzieć, kto pyta?

- Ja pytam - odparł Cole. - Pracował pan dla Donovana Muscatela?

- Nie mam nic do ukrycia - zapewnił go Jim. - Tak, pracowałem dla niego.

- Jak udało się panu przeżyć atak?

Pacjenci wymienili spojrzenia.

- W momencie uderzenia wracaliśmy z miasta, wioząc zaopatrzenie. Siła eksplozji pulsacyjnej zmiotła nasz pojazd z drogi i trochę nami wstrząsnęła, ale raczej niegroźnie. Mają nas wypuścić ze szpitala za godzinkę albo dwie.

- Tylko wy dwaj byliście w pojeździe?

- Przecież pan wie, że nie - odparł Nichols.

- Ilu was tam jeszcze było?

- Tylko Pepon.

- Powiedziano nam, że kobieta z waszej grupy właśnie zmarła na chirurgii.

- Mówi pan o Wandzie - wyjaśnił Jim. - Na pewno nie było jej w budynku, kiedy nastąpił atak, ale nie mam pojęcia, co wtedy robiła. Powiedziano nam, że przywieźli ją w bardzo złym

stanie. Tyle wiem na ten temat.

- I ostatnie pytanie - powiedział Cole. - Czy Muscatel żyje?
- Nie usłyszysz pan żadnej odpowiedzi, dopóki nie przedstawi się pan jak trzeba i nie wyjaśni, po co to całe przesłuchanie - wtrącił Moyer.

W tej samej sekundzie spoglądał w wyloty luf palnika i piszczałki Wal.

- Odpowiesz albo zginiesz - oświadczyła lodowatym tonem.
- Schowaj broń - poprosił Cole.

Spojrzała na niego, ale nawet nie drgnęła.

- Ci ludzie nie są naszymi wrogami i na pewno nie odpowiedzą na moje pytanie, jeśli ich pozabijasz.

- Znam cię - stwierdził Moyer, gdy Wal niechętnie schowała broń. - W każdym razie ze słyszenia. Wyższa niż jakikolwiek mężczyzna, uzbrojona po zęby, zabójczo piękna, rudowłosa. To musisz być ty! Nie masz imienia, a właściwie masz ich setki. Nikt nie wie tego na pewno, ale wszyscy uważają cię za kapitana „Pegaza”. Twoja reputacja dotarła nawet na Obrzeża. Co robisz na takim zapyziałym zadupiu jak Cyrano?

- Czekam, aż odpowiesz na pytanie - odparła chłodno Wal.
- Czy Donovan żyje?

- Tak - odparł Moyer. - Poleciał do systemu Delphini.
- Ale już tu nie wróci - stwierdził Cole.
- Dlaczego tak uważasz? - zapytał Nichols.

- Bo nie ma do czego wracać. A to znaczy, że utknęliście na tym zadupiu.

- Jakoś go znajdziemy - wtrącił Moyer.
- Racja - dodał Nichols. - Mamy rachunki do wyrównania.

Wielu naszych przyjaciół zginęło dzisiaj.

- Możemy wam pomóc w wyrównaniu tych rachunków - zaproponował Cole.

Znów wymienili spojrzenia.

- Mów, chętnie posłuchamy - odezwał się w końcu Jim.
- Wasza siedziba została zniszczona przez „Pegaza”.

Moyer zmarszczył brwi.

- Wydawało mi się, że „Pegaz” to jej statek.
- Był mój, dopóki Rekin Młot mi go nie ukradł - wtrąciła Wal.

- Rekin? - powtórzył Moyer. - Wydawało mi się, że on grasuje w Ramieniu Spiralnym.

- Dwa lata temu wrócił - powiedziała Walkiria.
- To on zaatakował was dzisiaj - dodał Cole - a teraz ruszył w pogoń za Muscatelem i pozostałymi statkami, aby dokończyć dzieła zniszczenia waszej organizacji.

- Powiadasz, że pomożesz nam w przyszpileniu drania. Jak chcesz to zrobić?

- Mam okręt, ale tylko szkieletową załogę. Niemniej bez względu na to, czy wstąpicie do niej, czy odmówicie, będziemy nadal ścigali Rekina... Chociaż nie da się zaprzeczyć, że potrzebujemy do tego zadania każdej pary rąk. Jeśli zamustrujecie się na moją jednostkę, gwarantuję wam udziały w łupach, ale uprzedzam też, że znajdziecie się na pokładzie okrętu wojennego i będę od was wymagał ostrej dyscypliny. Oto moja oferta. Przyjmujecie ją, czy nie?

- Niewiele okrętów wojennych lata po terytoriach Granicy - stwierdził Moyer. - Tak z głowy, tylko jeden. - Nagle wybuchnął śmiechem. - To on na bank!

Nichols zachmurzył się.

- Jesteś tym, za kogo cię mam?
- Nie mam pojęcia, za kogo mnie uważasz - odparł Cole. - Wchodzisz w to, czy nie?

- Wchodzę - odparł Jim. - A co z Bujandim?

- Mam zamiar pójść do jego sali i złożyć mu tę samą ofertę.
- Kiedy odlatujemy?

- Jeden z moich oficerów odwiedza teraz tutejsze więzienie. Gdy wróci, możemy się zbierać.

- Jak tylko znajdziemy się na pokładzie waszego okrętu, pomożemy wam w skontaktowaniu się z Donovanem - zapewnił Moyer.

- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem - odparł Cole.

Kilka minut później Bujandi także zgodził się na przyłączenie do załogi. Potem wrócił Briggs i zespół, wraz z trzema nowymi, odleciał na „Teddy’ego R”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W czasie gdy trójka nowo zamustrowanych zapoznawała się z obowiązkami, Cole udał się na mostek, aby sprawdzić, czy udało się namierzyć „Pegaza”.

- Kapitan na mostku! - zaanonsował go młody mężczyzna, stając na baczność i salutując.

- A niech mnie kule biją! - zawołał Wilson. - Kiedy wróciłeś?

- Kilka godzin temu, sir - powiedział Luthor Chadwick.

- Już wszystko w porządku?

- Tak jest. Dali mi dwa nowe bębny, a przy okazji operacji usunęli też część poparzeń z klatki piersiowej.

- Na pewno wszyscy ucieszą się z twojego powrotu. Czy ktoś zdążył ci już powiedzieć, co działo się w czasie, gdy leżałeś w szpitalu?

- Komandor Forrice wprowadził mnie w aktualną sytuację, sir.

- Niestety, nie mogę dodać do jego słów niczego dobrego - stwierdził Cole. - Bierz się do roboty. A jeśli poczujesz, że musisz odpocząć, nie krępuj się i zgłoś to dowódcy wachty, na pewno znajdzie ci jakieś zastępstwo.

- Dziękuję, sir, ale czuję się świetnie - odparł Chadwick. - Naprawdę.

- Dobrze. Trafieś już na Estebana Moralesa, naszego

nowego członka załogi?

- Nie, sir. Nic mi nie mówi to nazwisko.
- Zdecydował się przystąpić do nas po zdobyciu „Achillesa”.
- Czy to pytanie ma jakiś głębszy podtekst, sir? - zapytał Chadwick.

- Tylko wy dwaj możecie rozstrzygnąć tę kwestię - odparł kapitan. - Ja powiem tylko, że istnieje taka możliwość, że to właśnie on potraktował cię piszczatką. Jak zareagowałbyś na niego w takiej sytuacji?

- Wtedy walczyliśmy po przeciwnych stronach. Jeśli przeszedł na naszą, wybaczyłbym mu wszystko, sir. Tak samo jak on powinien mi wybaczyć zabicie dwóch towarzyszy broni.

- Zapewnił mnie, że nie żywi urazy i rozumie, że sytuacja uległa diametralnej zmianie.

- Zatem nie będzie najmniejszego problemu, sir.

- Świetnie. Woląłem się jednak upewnić. - Cole rozejrzał się po mostku, nie dostrzegł jednak niczego, co wymagałoby jego interwencji, więc udał się do mesy. Nie czuł jeszcze głodu, ale nie miał ochoty na samotne przesiadywanie w kabinie, a sterylne wnętrza „Teddy’ego R.” nie oferowały zbyt wielu atrakcji.

Sharon Blacksmith przyłączyła się do niego dosłownie chwilę po tym, jak dotarł na miejsce i usiadł.

- Witaj na pokładzie - powiedziała. - Znowu znalazłeś sobie ciekawych przyjaciół.

- Co cię ugryzło? - zapytał Cole.

- Może to, że wykonałam dobrze swoją robotę, która polega też na tym, by sprawdzać, w co nas pakujesz - odparła Sharon. - Daniel Moyer przybył na Wewnętrzną Granicę jedenaście lat temu, dosłownie o włos umykając przed policją Republiki. Ciężą na nim dwa aktualne wciąż zarzuty zabójstwa, datowane wstecz na dwanaście i czternaście lat. Chcesz wiedzieć, kogo zamordował?

- Nie, o ile nie był to kapitan jego statku.
- James Nichols ma jeszcze bardziej interesującą kartotekę - kontynuowała. - Był łowcą nagród, ale musiał zmienić zawód, kiedy Republika zorientowała się, że zapłaciła mu za pięciu sobowtórów, niewinnych ludzi, których ciała dostarczył zamiast poszukiwanych bandziorów.
 - Przecież to piraci - powiedział Wilson - a my, póki co, nie organizujemy kółka różańcowego.
 - Do cholery, Wilsonie! To materiał na rasowych psychopatów. Może i zdecydowaliśmy, że zajmiemy się piractwem, ale znajdujemy się na pokładzie okrętu wojennego, na którym panuje wojskowa dyscyplina. Oni mogą rozwalić ten porządek i wcale nie mam na myśli ich zamiłowania do zabijania bliźnich.
 - Czy którykolwiek służył we flocie?
 - Przybyli z Republiki - odparła Sharon. - A tam każdy zdrowy na ciele człowiek musi odbyć służbę zaraz po osiągnięciu pełnoletności. Ci dwaj nie stanowią wyjątku.
 - Czy któryś z nich został karnie wydalony?
 - Nie.
 - Zatem potrafia się kontrolować i utrzymywać dyscyplinę - powiedział Cole. - A jeśli zauważymy, że nie chcą, wysadzimy ich na najbliższej planecie. Ale zapewniam cię, że tak bardzo pragną dopaść Rekina, iż poddadzą się wszelkim rygorom, byle to zrobić.
 - A wtedy nasza ukochana królowa piratów osobiście urznie łeb każdemu, kto przed nią spróbuje zabić Rekina - przypomniała mu Sharon.
 - Tym będziemy się martwić, kiedy go już znajdziemy - odparł Wilson. - Ci chłopcy pracowali dla Muscatela. Znają jego kody komunikacyjne i wszystkie kryjówki. Mogą być bardzo użyteczni. Wal rozgryzła Rekina, a oni równie wiele wiedzą o

Donovanie Muscatelu...

- Zamilkł na moment. - Nie wspomniałaś jeszcze o tym Peponie.

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Tak, prawdę powiedziawszy, nie chcę - przyznał Cole. - Od dzisiaj cała trójka startuje z czystymi kartotekami. Jeśli je sobie zapaskudzą, poniosą tego konsekwencje, ale piracki kapitan, który ma na pokładzie jedynie połowę niezbędnej załogi, nie może kręcić nosem na przeszłość rekrutów.

- Wilsonie, to są mordercy.

- Podobnie jak ten młodzieniec stojący teraz na mostku. Ten z dwoma nowymi bębenkami w uszach - odparł Cole. - Albo Forrice. Nie mówiąc już o połowie ludzi i kosmitów przebywających na pokładzie tego okrętu.

- Ludzie i kosmici przebywający na pokładzie tego okrętu zabijali wroga w czasie wojny

- zaprotestowała Sharon. - Tego nie da się porównać.

- Masz rację - przyznał kapitan. - Zabijali na rozkaz, a ta trójka robiła to z własnej woli.

- Ale...

- Temat uważam za zamknięty. Jeśli zaczną się źle zachowywać, otworzymy go na nowo.

- Nazywanie morderstwa złym zachowaniem to czysty eufemizm.

- Jediną osobą, jaką chcą w tej chwili zamordować jest niejaki Rekin Młot - przypomniał jej Cole. - Odsuść już.

- Nie możesz wydać mi takiego rozkazu.

- Oczywiście, że mogę. Przecież jestem kapitanem.

- W takim razie będziesz wyjątkowo samotnym kapitanem dzisiejszej nocy.

- Gdzieś już czytałem, że dowodzenie idzie w parze z samotnością - odparł Cole.

- Idzie w parze z nieczułością.

Uśmiechnął się.

- To też.

Nagle tuż przed nim pojawiła się twarz Wal.

- Co się stało? - zapytał.

- Właśnie coś sobie przypomniałam - powiedziała piratka. - Zdobyliśmy kilka meladotiańskich kryształów tuż przed tym, jak Rekin się pokazał.

- Dobrze. Poddaję się. Czym są te meladotiariskie kryształy?

- To niezwykle rzadkie i delikatne kryształy, które można znaleźć wyłącznie w systemie Meladotia. Na Bliźniętach Canphora wytwarza się z nich biżuterię.

- Świetnie. Można z nich zrobić kolczyki na Canphorze VI albo VII, tylko co z tego wynika?

- Meladotia II jest bardzo niegościnną planetą - ciągnęła dalej Wal. - Kilkaset stopni Fahrenheita, amoniakowa atmosfera. Ludzie bardzo rzadko schodzą na jej powierzchnię, nawet gdy chcą wydobywać jej minerały.

Błyśk zrozumienia pojawił się w oczach Cole'a.

- Chciałaś powiedzieć, że dostaliście je od górników innej rasy.

- Od Balimondów - odparła.

- Pozwól, że zgadnę. Z nieznanym nam powodów Balimondowie nie wierzą w ubezpieczenia.

- To ludzki wymysł, a oni nie mają zbyt wielkiej styczności z człowiekiem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Rekin nie może ich odsprzedać żadnej firmie ubezpieczeniowej.

- Tak.

- I nie może ich zostawić na Canphorze, ponieważ ludzkie statki mają tam zakaz wstępu, pomimo tego że Bliźnięta wciąż trzymają się z dala od tej wojny?

Uśmiechnęła się.

- Wreszcie załapałeś.

- Zatem, nie mając wyboru, powinien udać się do pasera, a największym specem w tej dziedzinie jest nasz kochany Dawid Copperfield.

- Powiedziano mi, że miałeś już z nim przyjemność - stwierdziła Wal.

- Jak widzisz, pozwolił mi żyć - odparł Cole. - Dobrze, zatem wiemy, że prędzej czy później Rekin spróbuje sprzedać te kryształy paserowi. Istnieje też spore prawdopodobieństwo, że wybierze Dawida Copperfielda. To największy spec w okolicy, ma najwięcej pieniędzy i szans na dostarczenie kryształów na Canphora... - Zamilkł, pogrążając się na moment w myślach. - Warowanie przy jego siedzibie nie ma sensu. Mogą minąć miesiące, zanim Rekin tam się pokaże, a może nawet więcej, zważywszy na to, że ścigają go trzy statki Muscatela albo on je ściga. Co jednak wcale nie znaczy, że nie możemy dobić targu z Copperfieldem, aby powiadomił nas, kiedy Rekin się z nim skontaktuje i podał spodziewany termin dostarczenia kryształów.

- Będziesz to musiał omówić osobiście - wtrąciła Sharon. - Paser działający tuż przy granicy Republiki z pewnością zachowuje wielką ostrożność. Będzie chciał się upewnić, że gliniarze nie stoją tuż za polem widzenia kamer z bronią wycelowaną w twoją głowę.

- To prawda - przyznał Cole. - Wal, spotkałeś się już kiedyś z Dawidem Copperfieldem?

- Dwukrotnie.

Zamilkł, oparł brodę na pięści, przymknął oczy.

- W czym problem? - zapytała w końcu piratka.

- Zastanawiam się, czy mam cię zabrać ze sobą - wyjaśnił kapitan. - Nie wiem, czy widok dwojga piratów razem upewni go co do naszych intencji, czy raczej zaalarmuje, że coś jest nie

tak. Polubił mnie, przynajmniej zachowywał się przyjaźnie, z tobą też już robił interesy, co przemawia na naszą korzyść. Ale czy kiedykolwiek dwoje piratów zawarło sojusz i poprosiło pasera o wydanie im trzeciego?

- Pewnie częściej, niż ci się wydaje - stwierdziła Wal.

- Zgadza się - wtrąciła Sharon. - W interesach fuzje nie są niczym niezwykłym. A piractwo to też biznes.

- W tym właśnie tkwi problem. Piractwo nie jest biznesem. Tutaj, kiedy leje się coś czerwonego, na pewno nie masz do czynienia z tuzem. Jeśli pomoże, będzie wiedział, że daje nam tym samym dożywotniego haka na siebie.

- Z drugiej strony, nie robimy z nim za często interesów - przypomniała Wal. - Może nas nie widzieć przez następne pięć albo i dziesięć lat.

- Nie robimy z nim interesów za pięć procent - poprawił ją Cole. - Ale co będzie, jeśli powiemy mu: „Zapłać czterdzieści procent, bo powiemy dwudziestu członkom załogi »Pegaza«, kto ich sprzedał. Albo rozgłosimy po wszystkich pirackich spelunach Wewnętrznej Granicy, że Dawid Copperfield sprzedał jednego ze swoich klientów, ponieważ inny mu za to zapłacił?

- Byłeś na Krętej Rzece - powiedziała Wal. - Widziałeś, jaką ma ochronę. Nikt się do niego nie dostanie.

- Gówno prawda. Wystarczyło, że powiedziałem, iż nazywam się Steerforth i od razu wpuszczono mnie do jego prywatnego gabinetu. Kto mu zagwarantuje, że jeden z ludzi Rekina nie przedstawi się za jakiś czas jako Pickwick?

- Możesz cały dzień zabawiać się w „co by było, gdyby” - stwierdziła Sharon. - A ja ci mówię, zabierz ze sobą Walkirię. Gdyby coś poszło nie tak, ona zadba o twój tyłek lepiej niż ktokolwiek inny.

- Dobrze - zgodził się Cole. - Może powinienem wziąć też ze sobą Moralesa. Gdybyśmy musieli opuszczać to miejsce w

pośpiechu, on zna wszystkie drogi prowadzące do kosmoportu...

- Zamilkł i pokręcił głową. - Nie, to zły pomysł.

- Dlaczego? Przecież zna Krętą Rzekę jak własną kieszeń.

- Jeśli Wal nie zdoła dotrzeć do Copperfielda ze mną, nie będę się martwił, udowodniła już, że potrafi się zatroszczyć o siebie. Ale jeśli wejdzie ze mną, Morales zostanie sam. To jeszcze dzieciak, pomimo tego co udało mu się zrobić z Chadwickiem podczas rozpaczliwej walki na jachcie. Wątpię, aby dał sobie radę w tak niesprzyjających warunkach, znajdziemy jakiś sposób na dostanie się do domu Copperfielda bez niego.

- Jesteś zbyt miękki, Cole - oświadczyła Walkiria. - Trzeba się liczyć ze stratami.

- Ale tylko w niezwykle rzadkich i na dodatek usprawiedliwionych przypadkach - odparł Wilson. - Co wcale nie znaczy zawsze i wszędzie. Jeśli możemy wykonać tę misję, nie wystawiając go na zagrożenie, to znaczy, że wykonamy ją bez wystawiania go na zagrożenie.

- Ty tu jesteś kapitanem - zgodziła się. - Chcę tylko, abyś zwrócił mi mój statek.

Przerwała połączenie i hologram jej twarzy zniknął.

- Wiesz co - powiedziała Sharon - robimy co się da, aby namierzyć „Pegaza”, przesłuchujemy w kółko Moyera i Nicholasa, szukamy śladu statków Muscatela, a tu nagle twoja ruda przyjaciółka podrzuca nam naprawdę znakomity pomysł, jak dopaść Rekina.

- Mówiłem, że nam się przyda - odparł Cole.

- Ale tylko do odszukania „Pegaza” - stwierdziła Blacksmith.

- Gdyby chodziło o nasze sprawy, nie kiwnęłaby pewnie palcem.

- Zapominasz o tym, że gdyby nie ona, wciąż uganiałbym się po terytorium Republiki, próbując odsprzedać tiarę i pozostałe klejnoty - powiedział Wilson. - Dała nam wszystkim zaawansowany kurs piractwa stosowanego.

- Dlaczego więc tak bardzo chcesz odzyskać jej statek? W naszym najlepszym interesie leży, żeby nie odnalazła go przez najbliższe kilka lat.

- Ponieważ nie jest głupia. Zorientuje się, że ją wykorzystujemy, i odejdzie. Prawdopodobnie zostawiając za sobą stygnące zwłoki kapitana.

- A niech to - mruknęła Sharon. - Skoro ona ma cię zabić albo masz zginąć przez nią, może lepiej nie zostawiać cię samego na noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIĘSTY

Cole i Wal przeszli przez odprawę na Krętej Rzece przy minimum formalności i chwilę później zmiierzali już w stronę dworku Dawida Copperfielda.

- Pozwól, że cię przedstawię, gdy znajdziemy się na miejscu - powiedział Wilson, gdy przyspieszyli na miejscowej autostradzie.

- Pieprzyć konwenanse - warknęła Wal. - Masz mu złożyć propozycję, którą przyjmie albo odrzuci.

- Prawdopodobieństwo, że się zgodzi, będzie o wiele większe, jeśli pozwolisz mi mówić - stwierdził Cole, mierząc ją wzrokiem. - Domyślam się jednak, że nie będziesz chciała zmienić stroju na bardziej odpowiedni, zakładając, że udałoby się znaleźć jakiś w tym rozmiarze? - W odpowiedzi bluznęła wiązanką przekleństw. - Widzę, że nie bardzo - podsumował. - Zresztą, kto robi dziewiętnastowieczne suknie dla rudowłosych gigantek... Zamilkł na moment. - Wiesz chociaż, jak wygląda prawidłowe dygnięcie?

- O czym ty pieprzysz? - zapytała. - Jesteśmy parą piratów, która jedzie do pasera!

- Przyznaj chociaż, że nie potrafisz się dostosować do tych okoliczności - poprosił kapitan.

- Zazwyczaj przystosowuję okoliczności do swoich potrzeb.

- I właśnie dlatego musimy teraz odzyskiwać twój statek - oświadczył oschle.

Ostatnią milę przejechali w całkowitym milczeniu.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczyła w końcu Wal.

- Pamiętaj o tym, co powiedziałem - poprosił Cole. - Ja cię przedstawię i ja będę rozmawiał. Odpowiadaj wyłącznie na pytania skierowane bezpośrednio do ciebie. - Wydawało się, że piratka zaraz wybuchnie ze złości, dlatego podniósł dłoń w uspokajającym geście. - Nie robimy tego, żeby odzyskać mój

okręt. Jeśli nie chcesz załatwić tego tak, jak ja chcę, możesz iść sama. Życzę szczęścia.

Wpatrywała się w niego nieco dłużej.

- Dobrze - odezwała się w końcu. - Rozegrajmy to na twój sposób.

Podeszli do wrót. Otworzono je i pan Jones wpuścił ich do środka.

- Witam pana ponownie, panie Smith - powiedział. - Czy zechce pan, razem z panią Smith, pójść za mną?

Wal wyglądała na poirytowaną, ale nie odezwała się słowem, więc Cole ruszył za grubasem, który poprowadził ich prosto do gabinetu Copperfielda. Gdy tylko weszli, drzwi zamknęły się szczelnie za nimi.

- Mój drogi Steerforth! - zawołał kosmita nazywający siebie Dawidem Copperfieldem. - Jak miło znów cię widzieć! - Odwrócił się w stronę Wal. - Cóż to za czarujące stworzenie stoi u pańskiego boku...

- Olivia Twist - odparł Cole, widząc wyraz zakłopotania na twarzy Wal.

- Cóż za idealnie dopasowane nazwisko! - uradował się Copperfield i nagle pochylił się w niskim ukłonie. - Mój dom jest pani domem, panno Twist.

- Dzięki - burknęła Wal, chmurząc się jeszcze bardziej.

- Czym mogę panu dzisiaj służyć, Steerforth? - zapytał Copperfield. - Zdecydował się pan na odsprzedaż tych diamentów?

- Już od dawna ich nie posiadam - odparł Cole.

- Zatem chodzi o biżuterię.

- Tej też już się pozbyłem.

- Więc przynosi mi pan nowe łupy - domyślił się Copperfield.

- W zasadzie nie przyszliśmy do pana z propozycją

sprzedaży - poprawił go Cole.

- Doprawdy? - Kosmita nagle zrobił się podejrzliwy. - Mam nadzieję, że nie chcecie mnie okraść. Gdyby tak jednak było, powinniście wiedzieć, że przynajmniej po cztery lufy są teraz wymierzone w wasze głowy.

- Okradać przyjaciela, z którym chodziło się do szkoły? - zapytał Wilson, a Wal spojrzała na niego jakby właśnie oszalał. - To nie do pomyślenia!

- Wiedziałem, że pańskie intencje są szczerze! - stwierdził Copperfield. - Muszę jednak zapytać, po co przybywacie?

- Jak już wspomniałem, nie mam nic do sprzedania. Wolałbym raczej kupić coś od pana.

- Wszystko, co posiadam, jest na sprzedaż - oświadczył kosmita. - Może prócz tych skromnych szat, które mam na grzbiecie. Chociaż gdyby dał pan za nie odpowiednio wysoką cenę...

- Myślałem raczej o zakupie pewnej informacji.

- Aha! - zawołał Copperfield, uśmiechając się radośnie. - Pożąda pan najbardziej cennego towaru, a co za tym idzie najwięcej kosztującego.

- Wątpię, aby posiadał pan tę informację już teraz - sprecyzował Cole. - Ale mamy powody wierzyć, że wejdzie pan w jej posiadanie już wkrótce.

- Pańskie słowa brzmią intrygująco.

- Powóz biednej Olivii został skradziony przez rozbójników - powiedział Wilson.

- Czy ten powóz nosił jakąś nazwę?

- „Pegaz” - wtrąciła Wal.

- Bardzo znany powóz, nie powiem - przyznał Copperfield. - Moi informatorzy zdążyli już donieść mi o szkodach, jakie spowodował na Cyranie - Uśmiechnął się do Walkirii. - Znam

panią pod wieloma fałszywymi imionami, moja droga Olivio, a każde z nich jest wspanialsze od poprzedniego. Jakim cudem ci zbóje weszli w posiadanie pani powozu?

- Zachlałam ryja...
- Panna była w niedyspozycji - przerwał jej Cole.
- Takie słodkie, młode niewiniątko jak ona? - zdziwił się

Copperfield.

- Zapomniał pan dodać „ufne”, co w rzeczy samej było główną przyczyną utraty powozu.

- Sądzicie zatem, że przybędą do mnie, abym znalazł im kupca? - zapytał paser.

- Nie, ale mogą spróbować sprzedać tutaj coś, czego nikt inny nie kupi - wyjaśnił Wilson.

- Na przykład?

- Meladotiańskie kryształy - wtrąciła Wal. Oczy Copperfielda rozszerzyły się znacznie.

- Meladotiańskie kryształy? - powtórzył.

- Tak - potwierdził Cole.

- Mój drogi Steerforth, zamierzam zadać panu jedno pytanie - powiedział Copperfield. - Jesteśmy dla siebie jak bracia, pan i ja. Więcej powiem. Prócz pana nie mam na Wewnętrznej Granicy żadnej rodziny.

- Dziękuję panu, Dawidzie - odparł Cole. - Czuję dokładnie to samo.

- Ale rodzina to jedna sprawa, a interesy zupełnie inna - kontynuował kosmita. - Dlaczego miałbym wam pomagać, kiedy wasz zapiękły wróg zwróci się do mnie z ofertą sprzedaży meladotiańskich kryształów?

- Będzie chciał za nie pięciu procent, może nawet więcej - wyjaśnił Wilson. - Jeśli pomoże pan Olivii w odzyskaniu jej powozu, my odsprzedamy je za góra trzy procent ich rynkowej wartości.

- Hej! - zawołała Wal.
- Proszę milczeć, panno Twist - zganiał ją natychmiast Cole. - Nasz przyjaciel rozważa teraz propozycję.
- Trzy procent, powiadasz? - zapytał Copperfield.
- Zgadza się.
- Czego dokładnie pragniesz w zamian za tę dobroczynność?
 - Zostawię panu zakodowaną częstotliwość, zanim opuszczę to miejsce - powiedział Wilson. - Pragnąłbym, aby w momencie, gdy nasz wróg złoży panu propozycję spotkania, skorzystał pan z niej i przesłał nam wiadomość podprzestrzenną. To najnowsza technologia wojskowa i wątpię, aby załoga „Pegaza” była w stanie ją przejąć albo odkodować.
 - I tak będą wiedzieli, że sygnał wyszedł ode mnie.
 - Nie, o ile wyśle pan naszego przyjaciela Jonesa do kosmoportu i każe mu nadać wiadomość stamtąd - zasugerował Cole. - Tym sposobem zniknie ona w setkach innych sygnałów.
 - Zawsze byłeś najbystrzejszym uczniem w naszej szkole, mój drogi Steerforth - stwierdził Copperfield.
 - Zaczekamy tam na ich przyłot - ciągnął dalej Cole. - Wypadną z pirackiego biznesu na długo przed tym, nim dotrą w pańskie progi.
 - Trzy procent? - zapytał raz jeszcze kosmita.
 - Trzy procent.
 - Zatem pozostało nam jedno do omówienia. Proszę mi powiedzieć, kim jest osoba, która ma się ze mną skontaktować, abym wiedział, kiedy wysłać panu sygnał.
 - Człek ten zwie siebie Rekinem Młotem. Oczy Copperfielda znów zrobiły się okrągłe.
 - Rekin Młot?
 - O niego nam chodzi.

- Przykro mi, ale muszę się wycofać z naszej umowy! Nie miałem pojęcia, kogo ścigacie! - Odwrócił się w stronę Wal. - A pani, panno Twist, powinna się raczej cieszyć z tego, że darowano pani życie.

- Niech będzie - wtrącił się Cole. - Dwa procent.

- Mój drogi Steerforth, może mi pan oferować te kryształy za darmo, ale i tak się nie zgodzę. Zbyt cenię sobie moje życie, żeby wchodzić w drogę Rekinowi Młotowi.

- Przecież on do pana nie dotrze - przekonywał go Wilson. - Powiedziałem, że zasadzimy się na niego w kosmoporcie.

- Ze względu na szkolne czasy, które związały nas na zawsze, zapomnę o tym, że przyszliście do mnie z tą propozycją i wspomnieliście o Rekinie Młocie. A teraz wybaczcie państwo, muszę już iść.

- Czy to pańskie ostatnie słowo?

- Żadna postać z nieśmiertelnych dzieł Karola Dickensa nie wypowiedziała nigdy ostatniego słowa - oświadczył Copperfield.

- Ale taka jest moja decyzja.

Cole wzruszył ramionami.

- Gdyby pan jednak zmienił zdanie...

- Nie uczynię tego.

Wilson odwrócił się do Walkirii.

- Chodźmy.

Podeszli do drzwi gabinetu, przy których czekał na nich pan Jones.

- Proszę za mną - powiedział i natychmiast ruszył korytarzem prowadzącym do wejścia.

- Wasza rozmowa brzmiała, jakby on święcie wierzył, że jesteście postaciami, które wydostały się z kart tej samej książki - zauważyła Walkiria. - I ta cała gadka o więzach pomiędzy wami.

- Może on w to naprawdę wierzy - odparł Cole. - Jak

widzisz, wszystko wokół wskazuje, że uwielbia żyć w tej fantazji.

Minęli otwarty pokój, w którym strażnicy Copperfielda siedzieli przy stole, grając w karty. Jones szedł dalej, ale Wal nagle skręciła, aby jednym płynnym ruchem wyjąć i wymierzyć palnik.

- Na podłogę! - wrzasnęła, a Wilson przypadł twarzą do dywanu w chwili, gdy dwaj z graczy przykucnęli za stołem, a trzeci wyszarpnął z kabury piszczałkę. Był jednak zbyt wolny i zaraz potem leżał na podłodze z dymiącą dziurą pomiędzy oczami.

Cole poderwał się, wyjął pistolet pulsacyjny i wymierzył go w pana Jonesa. Wal tymczasem trzymała w szachu dwóch pozostałych strażników.

- Po jaką cholerę to zrobiłaś? - zapytał kapitan.
- Zawołaj pasera - odparła, nie ruszając się z miejsca.
- Dawidzie! - zawołał Wilson. - Wychodź. Już jest bezpiecznie.

- Skąd ta pewność? - usłyszał głos Copperfielda dochodzący zza grubych drewnianych drzwi.

- Czy Steerforth zabiłby Dawida Copperfielda? - zapytał Cole. - Wyłaźże wreszcie!

- Za moment. - Przez chwilę panowała cisza. - Od tej chwili czterech moich ludzi mierzy w ciebie. Jeśli zagroźysz mi w jakikolwiek sposób, jeśli mnie skrzywdzisz, zginiesz, zanim zdążysz dobiec do frontowych drzwi. Żyjesz wyłącznie dlatego, że dzielisz ze mną upodobanie do dzieł nieśmiertelnego Karola.

Drzwi otworzyły się i wyszedł zza nich Copperfield z obco wyglądającą bronią w obu dłoniach.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał.
- Ten człowiek, którego zabiłam - zapytała Wal. - Jak długo dla ciebie pracował?

Copperfield wzruszył ramionami.

- Tydzień, może dwa. Dlaczego pytasz?
- Nazywał się Barak Nurnika i należał do załogi „Pegaza”. Jeśli mi nie wierzysz, każ rozerwać mu rękaw, a zobaczysz, że na prawym ramieniu ma wytatuowany poruszający się nieustannie wodospad. Potem skontaktuj się z miejscową policją, oni podadzą ci rysopis i znaki szczególne człowieka poszukiwanego za morderstwa nazwiskiem Barak Nurnika. Będziesz mógł sprawdzić także jego ostatnie miejsce pobytu. Bez wątpienia dowiesz się, że służył na statku pirackim o nazwie „Pegaz”... - Wal zamilkła. - Miał pan szpiega pośród swoich pracowników, panie Copperfield.
- Ale dlaczego? - zapytał paser. - Skąd Rekin Młot mógł wiedzieć, że przyjdziecie do mnie z ofertą odsprzedaży jego towaru?
- Nie mógł tego wiedzieć. Nie ma pojęcia, że sprzymierzyłam siły z tu obecnym... Steerforthem.
- A skoro nie umieszczono go tutaj, aby obserwował nas - dodał szybko Cole - wszystko wskazuje na to, że rozpracowywał słabe punkty pańskiej ochrony. Rekin wkrótce przybędzie, możemy być tego pewni, ale nie po to, by zaoferować kryształ z Meladotii. Przybędzie, aby odebrać panu wszystko, co pan posiada.
- Copperfield zamyślił się głęboko na całą minutę. A potem przemówił.
- Odłóżcie broń - rozkazał swoim ludziom, podnosząc głos, aby usłyszeli go także niewidzialni z tego miejsca strzelcy. - Tych dwoje ludzi należy do grona naszych przyjaciół i sprzymierzeńców. Nie możecie ich skrzywdzić ani teraz, ani w przyszłości. - Wskazał ręką na Numikę. - Zabierzcie mi stąd tego szpiega i pozbądźcie się go. - Teraz przesunął palec na Wal. - Naraziła się pani na ryzyko, aby ocalić moje interesy, a kto wie, może i życie. Wezmę te kody, o których wspomnieliście, a jeśli

uda się wam zabić Rekina, zapłacę za kryształy pełne pięć procent ich ceny rynkowej.

Cole skinął głową.

- Zatem dobiliśmy targu.

- Być może uda mi się go jeszcze bardziej osłodzić - dodał Copperfield.

- Tak?

- Jest pewna rzecz, której pożądam ponad Wszystko - wyjaśnił. - Na Picacio IV w gromadzie Albionu mieszka pewien człowiek nazwiskiem Euftratus Dżin, który zajmuje się tym samym co i ja. Nie mam pojęcia, czy to nazwisko jest prawdziwe. Obawiam się, że nie,

ale pod nim poznałem go około piętnastu lat temu.

- Czego pan od niego chce?

- Posiada on pierwsze wydanie „Opowieści o dwóch miastach” z autografem autora. - Na twarzy kosmity pojawił się grymas wściekłości. - Nigdy nie przeczytał tej książki! Nigdy jej nawet nie otworzył! I odmawia jej sprzedania! Nie jest nią zainteresowany i nie wie nawet, co z nią zrobić. Trzyma ją chyba tylko dlatego, by mi dopiec. - Zaczął wydychać z nozdrzy niewielkie, sine kłęby pary. - Zdobądźcie ją dla mnie, a zapłacę wam nie trzy, nie pięć, nawet nie trzydzieści procent, ale połowę wartości rynkowej wszystkiego, co dostarczycie mi w ciągu dwóch lat od momentu, w którym książka ta trafi do moich rąk.

- Zastanowimy się nad tym - obiecał Wilson.

- Nie tylko się zastanowimy - dodała Wal - ale ją zdobędziemy. - Wilson spojrzał na nią pytająco. - Znam Euftratusa Dżina. I z największą rozkoszą go obrabuję. Co tam, mogę mu nawet wypruć flaki.

- Słyszał pan naszą delikatną, wyrafinowaną pannę Twist - dodał Cole. - Może pan uważać i tę umowę za zawartą.

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY PIERWSZY

- Nie podoba mi się to - stwierdziła Sharon Blacksmith.
- Mnie też - poparł ją Forrice.
- Kapitan może od czasu do czasu opuszczać pokład podczas akcji. Powiedzmy raz, góra dwa na dekadę - kontynuowała Sharon - ale nie powinien latać po planetach, żeby kraść jakąś cholerną książkę!
- To ja zawarłem tę umowę - odparł Cole, stawiając im czoła w niewielkim gabinecie kapitana. - Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, osoba, która tam się znajdzie, wdepnie w niezłe gówno. Nie mogę narażać ludzi z załogi na tak wielkie ryzyko.
- Dlaczego? - zapytał Cztery Oczy. - Zdziwiłbyś się jak wielu z nas poszłoby tam na ochotnika, wiedząc, że dzięki temu będziesz bezpieczny na pokładę „Teddyego R.”.
- Już raz zaryzykowali swoje kariery dla mnie. Ale mam zamiar prosić ich o kolejne wyrzeczenia, dopóki nie będzie to naprawdę konieczne. A podczas pobytu na tej planecie nie zajdzie taka konieczność.
- Jesteś już za stary na takie numery - zauważyła Sharon. - Nie wiem też, co chcesz tym udowodnić. Wal i Byk są o wiele sprawniejsi i silniejsi od ciebie. Śliski może wejść tam, gdzie ty nie przeżyjesz. Nie nałożysz na siebie tyle pancerza, ile posiada od urodzenia Domak. Nie możesz poruszać się w ciemnościach tak sprawnie jak Jabol. Nie potrafisz...
- Wystarczy - przerwał jej Cole. - Nie mam zamiaru schodzić na tę planetę dlatego, że jestem wielkim wojownikiem czy doskonałym włamywaczem. Idę tam, ponieważ to ja zawarłem umowę z Copperfieldem.
- Nie tylko ty byłeś na Krętej Rzece - przypomniała mu Blacksmith. - Pozwól Walkirii wykonać to zadanie.
- Ona poleci ze mną.

- Aby ukraść książkę, potrzeba aż dwóch osób? - zdziwił się Forrice.

- Być może jedno z nas będzie musiało stawiać czoła systemom obronnym Dżina, podczas gdy drugie zajmie się kradzieżą.

- Dopiero co przyznałeś, że nie jesteś wojownikiem ani złodziejem - przypomniała mu Sharon.

- Jestem złodziejem - odparł Wilson i nagle się roześmiał. - Prawdę powiedziawszy, tylko czekam, aż Wal poklepie mnie czule po głowie i przyzna, że jestem jej fajnym, choć małym, kolegą po fachu.

- Nie zakładałbym się o to na twoim miejscu - stwierdził Cztery Oczy. - A teraz pozwólcie, że pójdę coś zjeść.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia? - zdziwiła się Sharon. - Nie przemówisz mu do rozsądku?

- Znasz kogoś, kto potrafił przemówić mu do rozsądku? - zapytał Forrice. - Poza tym z tego, co wiem na temat Picacio IV, szanse na to, że trafię tam na molariańską samicę są mniej więcej jak tysiąc do jednego. Po co miałbym lecieć na taką planetę?

- Cieszę się, że twoje priorytety są wciąż takie same - stwierdził Cole, gdy Cztery Oczy zakręcił się zwinnie, aby opuścić biuro.

- Poza tym - dodał Molarianin, gdy znalazł się już na korytarzu - kiedy zginiesz, wyślemy oddział, który cię pomści. Lecąc z nim, zyskam większe szanse na spotkanie z samicami, o ile jakieś tam są.

- Podziwiam też twoją cierpliwość i powściągliwość - stwierdził Wilson tuż przed tym, jak drzwi zamknęły się za pierwszym oficerem.

- Jesteś pewien, że chcesz zabrać ze sobą Walkirię? - zapytała Sharon.

- Mam nadzieję, że pytasz z troski o mnie, a nie z zazdrości.

- Nie mam aktu własności na ciebie - odparta - Jesteś wolnym człowiekiem. Chciałam ci tylko uświadomić, że ta kobieta nie należy do najbardziej cichych i subtelnych osób. Może gdyby Morales...

Cole pokręcił głową.

- Morales to jeszcze dzieciak i nigdy nie był na Picacio, nie mówiąc już o spotkaniu Eufrotusa Dżina. Wal zna człowieka i jego kryjówkę. Bądźmy szczerzy, jeśli jest tak wielkim paserem, jak twierdzi Copperfield, będzie miał cholernie dobrą ochronę. Nikt nie wejdzie ani nie wymknie się na zewnątrz bez jego wiedzy. Jeśli znasz kogoś na pokładzie tej łajby, kto lepiej niż Wal będzie chronił mój tyłek, powiedz mi to teraz.

Westchnęła i pokręciła głową.

- Nie, nie znam.

- Wiedziałem. I nie martw się o romansowanie w pracy. Gdyby mnie przytuliła, pewnie skończyłbym z połamanymi żebrami. Wolę nie myśleć, co by ze mnie zostało, gdyby objęła mnie udami.

Sharon roześmiała się na samą myśl o tym.

- Dobrze, możesz iść. Ale masz wrócić cała i zdrowy.

- Albo wrócę cała, albo wcale.

- Ile czasu będziecie potrzebować, zanim stanie się jasne, że wpadliście w tarapaty i musimy wysłać za wami ekipę ratunkową?

- Pozostawiam tę decyzję w rękach mojego zastępcy. Niech Forrice albo Christine zadecydują - Uśmiechnął się do niej. - Jestem przekonany, że lobbowałabyś za pięcioma minutami.

- Wyciągnęliśmy cię z więzienia floty. Żadne z nas już nigdy

nie będzie mogło wrócić do Republiki. Dlatego warto, żebyś żył jak najdłużej, bo tylko wtedy poświęcenie wygnańców, na których głowy nałożono wysokie nagrody, będzie miało jakikolwiek sens.

- Wiem, że wyda ci się to szokujące - odparł Cole - ale ja naprawdę mam zamiar wrócić stamtąd o własnych siłach.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a potem Sharon wróciła do sekcji bezpieczeństwa. Cole natychmiast udał się na mostek, gdzie Christine Mboya dowodziła wachtą.

- Co udało ci się ustalić do tej pory? - zapytał.

- O Dżinie czy o Picacio? - odparła pytaniem.

- Obojętne.

- Picacio IV to planeta o atmosferze tlenowej, posiadająca około osiemdziesięciu czterech procent standardowej grawitacji. Na początku mieścił się tam tylko szpital dla ludzi cierpiących na choroby układu krążenia, głównie za sprawą niższego ciężenia i nieco wyższej zawartości tlenu. Dopiero po jakimś czasie zorientowano się, że jeden z trzech kontynentów zamieszkują gigantyczne centaury, przypominające bardziej ziemskie dinozaury, i rozpoczęła się era safari. Potem okazało się, że słodkowodne oceany produkują tyle ryb, że da się nimi wyżywić kilka okolicznych systemów, które ucierpiały z powodu długotrwałych susz albo erupcji wulkanów. A na koniec, zupełnie niespodziewanie, obok medycyny, turystyki i rybołówstwa wyrosło tam spore centrum finansowe obsługujące pięćdziesiąt planet gromady Albionu.

- Powiedziała pani więcej, niż mi było potrzebne - przyznał Cole. - Niższa grawitacja, wyższy poziom tlenu, zgadza się?

- Tak.

- Ile kosmoportów?

- Cztery. Jeden z nich znajduje się tuż obok szpitala. Obsługuje też miasto, które wokół niego wyrosło. To tam

znajdzie pan Dżina.

- Dobrze, teraz proszę powiedzieć mi coś o panu Eufkratuse Dżinie.

- Jego prawdziwe nazwisko to Willard Foss, ale z biegiem lat był już: Benito Gravia, Marcosem Rienke i McNealem bez imienia. Nazwisko Eufkratus Dżin przybrał przed piętnastu laty, gdy założył interes na Picacio IV.

- Jak wielki jest ten interes?

- To jeden z trzech największych paserów na terenie Wewnętrznej Granicy. Posiada magazyny na Picacio IV, Alfie Prego II i Nowym Syjamie.

- Ilu ludzi pracuje dla niego na Picacio?

Pokręciła głową.

- Radzę sobie z komputerami, ale nie do tego stopnia. Prawdopodobnie jest większym paserem niż pański przyjaciel Dawid Copperfield, ale to wcale nie musi oznaczać, że posiada liczniejszą ochronę.

- Ochrona pilnuje legalnych interesów. W tym wypadku mówimy o bandziorach albo cynglach.

- Nie zapominaj, że oni strzelają równie celnie jak ochroniarze - usłyszał głos Sharon Blacksmith.

- Mam to sobie zapisać, czy uwierzysz mi na słowo, że zapamiętałem? - zapytał sardonicznie Cole.

- My się tylko o pana troszczymy, sir - oświadczyła Christine.

- Wiem - odparł kapitan i westchnął ciężko. - Doceniam to. Ale jeszcze trochę waszej troski, a zostaną na powierzchni Picacio i podejmę pracę u tego Eufkratusa.

- Przepraszam, sir.

- Nie musi mnie pani przepraszać. Proszę lepiej powiedzieć, co jeszcze powinienem o nim wiedzieć.

- Próbowałam zdobyć plany jego domu, ale z tego, co mi powiedziano, dokonał sporej przebudowy, dodając nowe pokoje

i piętra. Jest na tyle dobrym płatnikiem, że żaden z urzędników nie trudził się dołączeniem ich do oryginalnych planów. Przez to trudniej będzie odszukać miejsce, w którym trzyma książkę.

- Chyba pozwolę, żeby Wal go o to sama zapytała - zasugerował Cole. - Potrafi być przekonująca jak nikt... - Zamilkł na moment. - Myślę, że to już wszystko. Nie wydaje mi się, by człowiek jego pokroju kupował systemy alarmowe normalnymi kanałami. Nie wiemy zatem, czym dysponuje.

- To była jedna z pierwszych rzeczy, którą usiłowałam sprawdzić - zapewniła Christine.

- Rozumiem - odparł kapitan. - Dziękuję. - Teraz podniósł głos. - Pilotie, kiedy dolecimy na miej sce?

- Lecąc normalną przestrzenią za trzy dni i siedem godzin - odparł Wxakgini. - Jeśli zdołam znaleźć wlot tunelu czasoprzestrzennego przy Guliwerze za jakieś sześć godzin.

- Dlaczego znajdowanie tych tuneli jest takie trudne?

- Tunele czasoprzestrzenne to nie autostrady - wyjaśnił Bdxeni. - Nie znajdują się cały czas w tym samym miejscu.

- Zrób, co możesz - poprosił Cole i odwrócił się do Christine. - Ile czasu zostało do zakończenia białej wachty?

- Około osiemdziesięciu minut standardowych, sir.

- Skoro istnieje możliwość, że dotrzemy na Picacio w połowie czerwonej wachty, wolałbym, żeby Wal była naprawdę wypoczęta. Poinformuje ją pani - a jeśli teraz śpi, proszę jej zostawić wiadomość, którą będzie mogła odsłuchać po przebudzeniu - że zwalniam ją ze wszystkich obowiązków do momentu powrotu z Picacio.

- Kto ma ją zastąpić, sir? - zapytała Christine.

- Kto był dłużej w akcji, Domak czy Sokołow?

- Sprawdzę zapisy służby, sir.

- Ten, kto miał jej więcej, obejmie niebieską wachtę. Gdyby

coś poszło nie tak, wolę mieć na stanowisku dowodzenia kogoś z bojowym doświadczeniem.

- To będzie porucznik Domak, sir - stwierdziła Christine, nie odrywając wzroku od ekranów komputera.

- Przekaż jej, że obejmuje niebieską wachtę do momentu powrotu Wal z Picacio. Powiedz też Forrice'owi, żeby był gotów stawić się na każde zawołanie, jeśli coś pójdzie nie tak. Nie chciałbym, żeby tkwił na służbie przez szesnaście godzin, ale czuję się o wiele pewniej, jeśli to on dowodzi, gdy ktoś zaczyna strzelać. Porozmawiam z Domak przed samym odlotem i wyjaśnię jej, że Cztery Oczy zastąpi ją wyłącznie na mój rozkaz. Żeby wiedziała, kogo ma przeklinać.

- Po co więc przydzielać jej tę wachtę? - zapytała Christine.

- Ponieważ jeśli ktoś nas ostrzela, zanim Forrice dotrze na stanowisko dowodzenia, chcę mieć na mostku osobę, która nie zawaha się odpowiedzieć ogniem, nim dostanie taki rozkaz.

- Dlaczego uważa pan, że dojdzie do wymiany ognia?

- Tego nie wiem. Skoro Muscatel miał cztery statki, możemy spokojnie założyć, że tak poważny paser jak Dżin może mieć ich więcej. A jeśli przyjmiemy takie założenie, powinniśmy liczyć się z tym, że przynajmniej jeden z nich będzie na orbicie, czekając w gotowości bojowej, aby uderzyć na każdego intruza, który spróbuje namieszać szefowi.

- Teraz rozumiem, sir.

- Świetnie. Idę się przespać, na wypadek gdybym potrzebował wszystkich sił już za sześć godzin. Jeśli znajdziemy ten tunel czasoprzestrzenny, proszę mnie obudzić równo o dziewiętnastej.

Wsiadł do windy i chwilę później był już w swojej kabinie.

- Co jest? - zapytał na cały głos. - Dlaczego nie czeka tu na mnie żadna na wpół rozebrana dziewczka?

Hologram Sharon pojawił się tuż przed nim.

- Musisz odpocząć. Mam przeczucie, że to będzie bardziej niebezpieczna operacja, niż nam mówisz.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo jesteś bardzo przewrotnym człowiekiem - odparła. - Gdyby to była prosta robota, narobiłbyś szumu, twierdząc, że jest taka niebezpieczna, iż tylko ty ją możesz wykonać. Ale ja widziałam cię w kilku groźnych sytuacjach i im bardziej były poważne, tym bardziej je bagatelizowałeś. - Przez mgnienie oka na jej ustach zagościł uśmiech. - Od czasu kiedy to rozumiałam, dziewczka i reszta załogi już tak się nie martwi o ciebie.

- Świetnie - odparł, kładąc się na koję. - Zasnę sam. Ale kiedy wrócę, oczekuję morza przeprosin i seksualnego zadośćuczynienia.

- A nie wystarczy ci kanapka sojowa?

- Zastanowię się - odparł, zanim zapadł w sen.

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY DRUGI

Picacio IV należał do tych rzadkich zamieszkanymi planet, które posiadały własne pierścienie. Było ich dokładnie szesnaście, ale dla niewprawnego oka zlewały się w jeden szeroki i wielki pierścień. Wieża kontrolna kosmoportu przy szpitalu przejęła sterowanie wahadłowcem, gdy tylko wkroczył w stratosferę, a Cole i Wal rozpoczęli przygotowania do opuszczenia „Kermita”.

- Mogę założyć perukę - stwierdziła piratka - ale wzrostu raczej nie ukryję.

- Nie możesz zrobić się mniejsza - przyznał kapitan. - Ale gdybyś przypawiła sobie wysokie obcasy do butów albo używała jakichś wkładek, przy kontroli nikt by cię nie poznał. Braliby cię za siedmiostopową kobietę.

- Wolalabym nie wywalać się co krok na zbity pysk - odparła Wal.

Cole próbował wyobrazić sobie jej upadek na zbity pysk, ale nie potrafił.

- Jak tam sobie chcesz. - Podniósł Iśniący przedmiot i schował go do kieszeni.

- A to, u licha, co było?

- Ceramiczny pistolet - wyjaśnił. - Można go przenieść przez wszystkie bramki i wykrywacze metalu.

- Ile strzałów można z niego oddać i jaką będą miały moc? - dopytywała się dalej.

- Trzy strzały, ale mam dwa zapasowe magazynki, więc mogę ich oddać aż dziewięć. Co do mocy, nie sądzę, żeby mogły zabić kogoś tak wielkiego jak ty, ale nadrabiam tę słabość, używając eksplodujących naboju.

- Taki pistolet robi pewnie sporo huków.

- Strzela kulami, nie promieniami czy energią pulsacyjną - wyjaśnił Cole. - I jest głośny.

- Wydawało mi się, że mieliśmy działać po cichu - zauważyła.

- Użyję go dopiero wtedy, gdy nas zauważą. Ty jesteś naszą siłą, spluwę zostawiam na wyjątkowe sytuacje.

- Wylądowaliśmy na Picacio IV - oznajmił komputer.

- Utrzymuj wszystkie systemy podtrzymywania życia w ciągłej gotowości - rozkazał Cole. - Otwórz właz, abym mógł opuścić pokład razem z trzecim oficerem. Potem zamknij go i zarygluj dokładnie. Włącz też wszystkie systemy alarmowe i obronne. Nie wpuszczaj na pokład nikogo, dopóki ja, trzeci oficer albo inny członek załogi „Teodora Roosevelta” którego wzorce posiadasz w bankach pamięci, nie podamy właściwego kodu.

- Wszystkie rozkazy zostały zapamiętane - oświadczył wahadłowiec i otworzył właz.

Wal i Cole wydostali się na zewnątrz, a kłapa natychmiast została szczelnie zamknięta.

Wylądowali po nocnej stronie planety, ale wokół było jasno jak w samo południe.

- Mój Boże, spójrz tylko na to! - zawołał zauroczony Wilson.

Nad ich głowami, szerokie na czterdzieści tysięcy mil i składające się niemal wyłącznie z brył lodu pierścienie odbijały światło emitowane przez gwiazdę ukrytą po drugiej stronie planety. Lśniły i połyskiwały niczym kobierzec utkany z brylantów, jaśniejąc bardziej i przygasając, w miarę jak kontynuowały lot po orbicie Picacio IV.

- Już je kiedyś widziałam - odparła znudzonym głosem Wal. - Możemy już iść?

Autolot wyczuł ruch w pobliżu i podleciał do nich.

- Proszę wsiąść z lewej strony, podwoję państwa do odprawy - zaproponował.

Kilka minut później wysiedli przy stanowiskach kontroli, gdzie musieli poczekać na sprawdzenie fałszywych dokumentów,

zanim pozwolono im przejść do ogólnodostępnej części kosmoportu.

- Pełno tu lotonoszy - zauważył Cole.

- Przewożą na nich pacjentów do i ze szpitala - Wyjaśniła Wal. - Na tym kontynencie medycyna jest głównym źródłem dochodu... - Zamilkła, pogrążając się w myślach, a potem dodała: - Zaraz po niej jest przestępczość.

- Cóż - odparł Cole - nie przyjechaliśmy tutaj na leczenie. Jak dostaniemy się do siedziby Dżina?

- Tędy - powiedziała, wskazując pod stopy.

- On mieszka pod kosmoportem?

Uśmiechnęła się.

- Złapiemy podziemną kolejkę. Pod całym miastem ciągną się katakumby tuneli metra. Dotrzemy nimi aż do jego siedziby.

Wsiadł za nią do windy powietrznej. Zjechali około czterdziestu stóp pod ziemię, potem wysiedli i wydostali się na spory, choć niewysoki peron. Wagonik - Cole chciał go nazwać jednoszynówką, ale w tunelu nie było nawet śladu torów, a sam pojazd unosił się stopę nad powierzchnią - zatrzymał się przy nich niemal w tym samym momencie. Wsiadli i Wilson skonstatował, że to pojedynczy wagonik, nie pociąg. Zgadywał, że w sieci tutejszego metra krążyły setki, jeśli nie tysiące podobnych pojazdów, a znajdujący się najbliżej peronu wykrywał ruch traktując go jako wezwanie.

- Proszę wskazać cel podróży - odezwał się mechaniczny głos, a w kabinie pojawił się plan miasta. - Jeśli znasz adres, podaj go teraz. Jeśli go nie znasz, wskaż odpowiedni sektor mapy i wymów jego oznaczenia. Jeśli udajesz się do prywatnej posiadłości albo firmy, wystarczy podać nazwisko właściciela

- Eufratus Dżin - powiedziała Wal.

- Nie mogę zabrać państwa do posiadłości pana Dżina bez

jego ekspresowego zezwolenia - stwierdził wagonik. - Czy mam o nie wystąpić?

Wal posłała pytające spojrzenie Cole'owi.

- Wyłącz na dwie minuty wszystkie systemy, prócz tych służących do podtrzymywania życia - rozkazał kapitan.

- Zrobione - odparł wagonik, gdy nawet światło zgasło.

- Jeśli się zapowiemy, gdzie zostaniemy wysadzeni? - zapytał Cole.

- Każdy dom, podobnie jak firma, posiada podziemia, znacznie większe niż tradycyjne piwnice, które przylegają do tuneli kolejki - wyjaśniła Walkiria.

- Ale będziemy się znajdowali obok domu?

- W zasadzie tuż pod jego drzwiami.

- Żeby tam dojechać, musimy się zapowiedzieć?

- Tak.

- A jeśli on odmówi? - Wtedy wagonik nie zatrzyma się pod jego drzwiami, tylko gdzieś dalej, a Dżin dowie się o naszej obecności.

- A co się stanie, jeśli tylko ty się zapowiesz, a ja będę siedział cały czas cicho, ale potem spróbuję wysiąść razem z tobą?

- Jeśli się zapowiem, ktoś tam będzie na mnie czekał - odparła. - Ale to nie znaczy, że nie zdołam go albo ich zabić, zanim zauważą twoją obecność.

Cole pokręcił głową.

- Nie. Nie chciałbym, aby cała ochrona została postawiona na nogi, nim zorientujemy się, gdzie jest ta cholerna książka... - Przerwał na moment. - Jesteś pewna, że będą na ciebie czekali tam, gdzie zatrzyma się wagonik? Nie powinni raczej stać przy drzwiach domu?

Zmarszczyła brwi.

- Właśnie próbuję przypomnieć sobie, jak to było. - Zakłęta

pod nosem. - Nie pamiętam, gdzie się spotkaliśmy z ochroniarzami, ale o wiele sensowniej jest, jeśli cyngle sprawdzą gości przed wejściem do domu.

- Jaką on ma ochronę zewnętrzną?
- Atomizery w ogrodzeniu, kilku strzelców wyborowych. Nic nadzwyczajnego.

Nagle znów rozbłysło światło.

- Dwie minuty dobiegły końca - obwieścił wagonik.
- Świetnie - odparł Cole. - Wal, pod jakim imieniem poznał

cię Dżin?

- Kleopatra.
- Powiadom pana Eufratusa Dżina, że Wilson Cole oraz Kleopatra pragną zaznać przyjemności pobytu w jego towarzystwie.

- Wysyłam...

- Jesteś pewien, że możesz się przedstawić własnym nazwiskiem? - zapytała Wal.

- To kryminalista. Republika z rozkoszą zamknęłaby go w pudle. Ta sama Republika, która chce mojej śmierci. Podanie prawdziwego nazwiska powinno zrobić na nim wrażenie.

- Eufratus Dżin otrzymał waszą prośbę i zezwala na pojawienie się w swojej posiadłości.

Wagonik ruszył w głąb tunelu. W kompletnych ciemnościach Cole nie potrafił oszacować prędkości, z jaką jechali. Cztery minuty później zaczęli zwalniać i zatrzymali się po kilku następnych sekundach. Drzwi rozsunęły się bezgłośnie i trafili do ubogo umeblowanego pomieszczenia. Czekają w nim trzech mężczyzn.

- Komandor Cole? - zapytał jeden z nich.
- Kapitan Cole - poprawił go Wilson.
- Przepraszam za pomyłkę - odparł tamten. - Panią Kleopatrze pamiętam od czasu ostatniej wizyty. Pan Dżin

oczekuje państwa na parterze. Zaprowadzimy was do niego, jak tylko zakończymy skanowanie.

- Właśnie przeszliśmy przez stanowiska kontroli w kosmoporcie - powiedział Cole.

- Nasze są dokładniej sze.

Skanery wykryły komplet broni posiadanej przez Wal, ale ceramiczny pistolecik oparł się i tej technologii.

- Pani palnik, piszczątka oraz sztylety zostaną zwrócone, gdy opuści pani posiadłość - poinformował Wal drugi z mężczyzn.

- Lepiej, żeby tak było - ostrzegła lodowatym tonem.

- A teraz - wtrącił pierwszy strażnik - zapraszam państwa do windy...

Wjechali na parter w piątkę i weszli do bogato zdobionego holu. Stamtąd zabrano ich do wielkiego, luksusowego salonu, w którym kazano im zaczekać. Trzej strażnicy ulotnili się bezszelestnie, ale po chwili pojawił się łysawy, pulchny człowiek z cienkim wąsikiem. Stał na wprost nich i wyciągnął rękę do Wilsona.

- Wieści o pańskich wyczynach już do mnie dotarły, panie Cole - powiedział. -

Wiedziałem, że znalezienie pretekstu, który pozwoliłby Republice pozbyć się jej największego bohatera, będzie tylko kwestią czasu. Tak przecież działają wszystkie rządy. Jestem Eufhratus Dżin, do pańskich usług. - Teraz odwrócił się do Wal. - A ty, moja droga Kleopatro, czy raczej powinienem zwracać się do ciebie per Nefretete albo Domino, czy też Płomieniu... ale po co mam to robić, skoro oboje wiemy, kim naprawdę jesteś. Czy podać państwu drinka?

- Może później - odparł Cole.

- Dobrze. A teraz proszę powiedzieć, czym mogę państwu

służyć.

- Jak już pan zapewne słyszał - zaczął Wilson - przybyłem na Wewnętrzną Granicę z moim okrętem i jego załogą. O ile się orientuję, nie posiadacie w tej części galaktyki statku, który mógłby się równać siłą ognia z moją jednostką. *Jeśli w to uwierzysz, dodał w myślach, reszta zadania będzie cholernie prosta.*

- Nie widziałem pańskiego okrętu, ale mamy tu kilka naprawdę potężnych statków - odparł Dżin.

- Na żadnym z nich nie ma jednak w pełni wyszkolonej, profesjonalnej załogi - dodał Cole.

- To muszę panu przyznać - zgodził się paser. - Nie rozumiem jednak, do czego pan zmierza?

- Jest pan człowiekiem sukcesu, panie Dżin - stwierdził Wilson. - Pańska reputacja wykroczyła daleko poza Wewnętrzną Granicę. Słyszałem o panu nawet w Ramieniu Spiralnym i na Obrzeżach.

- Schlebia mi pan.

- Zdaje pan sobie jednak sprawę, że taka reputacja może równie dobrze zaszkodzić, jak i pomóc - ciągnął dalej Cole. - Nikt nie wie, ile jest pan naprawdę wart, ale ludzie przypuszczają, że nie mniej niż trzy miliardy kredytów.

- To śmieszne - odparł Dżin.

- Nie przyleciałem tutaj, aby się spierać, czy to miliard czy może trzy. Stoję przed panem, ponieważ jest to kwota na tyle wysoka, by zwrócić uwagę wielu ludzi i kosmitów, którzy nie wyznają tych samych zasad etycznych, które dzielimy pan i ja.

- Jednym słowem, chce mnie pan chronić.

- Wiem, że posiada pan własną ochronę naziemną, a i parę statków też się pewnie znajdzie. Nie mówimy jednak o ludziach, którzy mogą się zakraść nocą do tej posiadłości, ani o statku

pirackim, którego załoga uzna, że warto zaatakować jedną z pańskich jednostek albo pańskiego stałego klienta. Niestety, na Obrzeżach mamy wielu lokalnych władców, którzy teraz, kiedy Republika jest uwikłana w wojnę z Federacją Teroni, coraz śmiej sobie poczynają i sięgają aż na Zewnętrzną i Wewnętrzną Granicę. To przed nimi mogę pana chronić.

- Czemu zawdzięczam pańską obecność? - zapyta Dżin. - Dlaczego nie składa pan tej oferty Dawidowi Copperfieldowi albo Iwanowi Skawińskiemu Skawarowi?

- Dawid Copperfield operuje na terenach przylegających do Republiki. Gdyby potrzebował pomocy, może wezwać flotę, a ta mu pewnie nie odmówi. Powód, dla którego wybrałem pana, a nie Iwana czy innych paserów, stoi teraz u mojego boku. Ta kobieta jest pierwszym rekrutem, jakiego zamustrowałem po przybyciu na Wewnętrzną Granicę. Wybraliśmy ją ze względu na doskonałą znajomość tutejszych stosunków. To ona zapewniła mnie, że jest pan największy i najlepszy w swojej branży. Jeśli jednak odrzuci pan moją propozycję, udam się do kolejnego człowieka bądź kosmity na mojej liście.

- A czego oczekuje pan w zamian za swoje usługi?

- Być może od zmasowanego ataku dzieli pana tydzień, miesiąc, rok, a może nawet cała dekada - stwierdził Cole. - Możemy ustalić odpowiednią kwotę, którą wypłaci mi pan, jeśli uda nam się pokonać wroga w otwartej walce. Do tej pory będę pobierał wyłącznie skromną roczną opłatę, która zapewni panu nasze przybycie na pierwsze wezwanie.

- Ile milionów kredytów będę musiał wydać na tę skromną opłatę? - zapytał podejrzliwie Dżin.

- Nie chcę pańskich pieniędzy.

- Zatem mam płacić biżuterią? A może dziełami sztuki?

- To, czego od pana chcę, jest dziełem, ale tylko dla mnie, panie Dżin. Jestem kolekcjonerem antycznych książ, datowanych

na czasy, gdy człowiek wciąż stąpał tylko po Ziemi. Jeśli posiada pan jakieś, z przyjemnością się im przyjrzę i wybiorę kilka.

Po pulchnej twarzy pasera rozlał się wesoły uśmiech.

- Już prawie udało się panu mnie podejść - stwierdził i zaśmiał się szczerze. - Wiem, że to on pana tu przysłał.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparł Cole.

- Dawid Copperfield. Podchodzi mnie od dziesięciu lat, żeby dostać to pierwsze, sygnowane wydanie. Niezła próba, panie Cole, ale moja odpowiedź będzie taka sama jak zawsze: nigdy jej nie oddam!

- Dlaczego miałbym pana okłamywać? - zapytał Wilson. - Tak, dawał mi wiele za przywiezienie tej książki, ale to nie ma nic wspólnego z moją ofertą. Jeśli dostanę od pana tę książkę, moja załoga i okręt będą do pańskiej dyspozycji, kiedy tylko pan zechce. Za nią będziemy pana bronili przed możliwymi atakami przez, powiedzmy, osiemnaście standardowych miesięcy.

- Znam gromadę Albionu znacznie lepiej niż pan - odparł Dżin - i dlatego wiem, że nie ma tu żadnych lokalnych władców, którzy przez najbliższe pięć lat byliby w stanie zgromadzić siły zagrażające moim interesom w takim stopniu, abym potrzebował pańskiej interwencji. Dlatego nie ma dla mnie znaczenia, czy pańska oferta jest szczerą czy nie. - Kolejny uśmiech powoli wpełzał na jego usta. - Ale może porozmawiamy o innych interesach?

Cole zmarszczył brwi.

- Nie nadążam za panem.

- Czym mógłby mnie pan zadowolić, abym wypuścił pana żywego?

- Zapewniam, że wypuści nas pan stąd całych i zdrowych - odparł Wilson. - Co więcej, pozwoli nam pan zabrać tę książkę.

- Podziwiam pańskie poczucie humoru, panie Cole.

Wilson wyjął ceramiczny pistolet i wymierzył go w pasera.

- Mam nadzieję, że podziwia pan także moje zamiłowanie do ceramiki.

- Te zabawki naprawdę działają? - zapytał Dżin.

- Może się pan o tym przekonać w bardzo łatwy, ale i bolesny sposób - stwierdził Cole. - Mam jednak nadzieję, że nie wybierze pan tej drogi, tylko odda mi książkę.

- Zabij go i miejmy to już za sobą - powiedziała Wal, a Wilson nie potrafił odgadnąć, czy zrobiła to, aby dodatkowo przestraszyć pasera, czy naprawdę chciała, by go zamordował. - Znajdziemy tę cholerną książkę i bez niego.

- Słyszałeś, co pani powiedziała? - zapytał Cole. - Decyzja należy do ciebie.

Dżin wzruszył ramionami

- Może pan ją sobie zatrzymać do końca życia - odparł, podchodząc do ściany. - Czyli na jakieś dziesięć minut.

Dotknął kamieni kilka razy w określonej kolejności i nagle niewielka część panelu odsunęła się na bok, odsłaniając oprawiony w skórę tomik - Paser odsunął się od sejfów, ale ani Wal, ani Cole nie ruszyli się z miejsca.

- Ty nam ją przynieś - zażądała piratka.

- Zauważam u was wielki brak zaufania - oświadczył Dżin z nutą rozbawienia w głosie.

- Za kogo ty nas masz? - zapytała Wal. - Sekundę po tym, jak dłoń osoby nieuprawnionej, czytaj: nieznajdującej się w bankach danych komputera ochrony, dotknie tej książki, w całym domu rozlegną się sygnały alarmowe... - Zamilkła na moment. - Co pewnie ocaliłoby ten tomik, ale na pewno nie ciebie.

- Co takiego zaoferował wam Copperfield, że podjęliście

tak ogromne ryzyko i zaatakowaliście człowieka, który nigdy nie wyrządził wam krzywdy? - zapytał szczerze zaciekawiony Dżin.

- I tak by pan nie zrozumiał - odparł Cole. - Jesteśmy kumplami ze szkolnej ławki.

Paser wyjął książkę i podał ją Wilsonowi.

- Ma pan dziesięć minut - stwierdził. - Może dwanaście, jeśli dopisze panu szczęście. Proszę się nią nacieszyć.

- Wal - Wilson odezwał się do swojej towarzyszki - odnoszę wrażenie, że pan Dżin ma ochotę na krótką drzemkę.

Zanim paser zdążył zareagować, dłoń piratki opadła na jego kark i mężczyzna zwałił się na dywan jak długi.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłaś.

- A jakie to ma teraz znaczenie? - zapytała.

- Jesteśmy piratami, nie zabójcami.

- Tylko nie praw mi tu kazań - uprzedziła. - Sam kazałeś zabić kupę ludzi na „Achillesie”.

- Ale oni nas atakowali.

- Naprawdę uważasz, że Dżin zamierzał oddać tę książkę i wypuścić cię stąd bez walki?

- Pospieramy się o to później - odparł Cole. - Teraz musimy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

- Tylko trzech ludzi nas tu przyprowadziło - stwierdziła Wal.
- Ja wezmę na siebie dwóch, ty jednego.

- Byli całkiem nieźle uzbrojeni - przypomniał jej Wilson. - Poza tym nie mamy pojęcia, ilu ich jeszcze tam siedzi.

- Niech ci będzie - zgodziła się niechętnie. - Jeśli nie chcesz z nimi walczyć, poszukajmy drogi ewakuacyjnej Dżina. Nie widziałam jeszcze bogacza, który nie zabezpieczyłby sobie możliwości ucieczki. To pomieszczenie jest odpowiednikiem gabinetu Copperfielda, tutaj dobijał targów, więc wejście do tunelu nie powinno być daleko.

- Przed czym, u licha, miałby uciekać? - zapytał Wilson z powątpiewaniem. - Przecież ma w kieszeni nawet lokalne władze.

- Władze nigdy nie stanowiły problemu, konkurent też nie dostanie się tutaj bez wcześniejszego rozbrojenia. Nie, ludzie pokroju Dżina zazwyczaj muszą uciekać przed ambicjami swoich własnych podwładnych.

Cole zastanowił się nad jej słowami i skinął głową na znak, że przyjmuje to wytłumaczenie.

- To ma sens. Lepiej zacznijmy szukać ukrytego wyjścia.

- Na pewno nie będzie go przy drzwiach. To właśnie nimi wejdą ambitni zastępcy.

- Dlaczego wciąż ich tutaj nie ma? - zainteresował się nagle kapitan. - Nie powiesz mi chyba, że w tym gabinecie nie zainstalowano z pół tuzina kamer holo podpiętych do systemu bezpieczeństwa.

- Jestem pewna, że działały, kiedy tu weszliśmy. Ale ten człowiek nie jest szalony. Wyłączył je wszystkie, kiedy kazałeś mu oddać książkę. Nie przejmował się tym, czy ją odzyska. Sądził, że jego ludzie ci ją odbiorą, i pewnie miał sporo racji. Wolał jednak mieć pewność, że nie zobaczą, gdzie ją ukrywa.

- Cholernie wiele nauczyłaś się w pirackim fachu - zauważył Wilson, rozglądając się po salonie. - Wejście musi być ukryte za którąś ze ścian, podobnie jak książka.

- Jak zamierzasz je otworzyć, nie znając kodów? - zapytała Wal.

Cole opuścił głowę, jakby się głęboko zamyślił a potem stwierdził:

- Chyba wiem, jak.

- To znaczy?

- Jeśli miał zamiar opuścić to pomieszczenie w pośpiechu, nie kombinowałby z wciskaniem skomplikowanych kodów.

Liczyłby się wyłącznie czas.

- Więc?

- Więc nie będzie żadnych kombinacji. System jest ustawiony na rozpoznanie osoby. - Podeszedł do nieprzytomnego Dżina. - Pomóż mi, musimy go podnieść.

Podeszła i chwilę później trzymali nieprzytomnego pasera między sobą.

- Teraz przejdźmy z nim tak blisko ściany jak tylko się da. Zobaczymy, czy coś się wydarzy.

Pociągnęli go, jak dwoje przyjaciół taszczy pijanego kompana, wzdłuż ściany, w której ukryta była książka, a gdy Cole zwątpił w ten pomysł, co zamierzał przyznać na głos, jedna trzecia jej powierzchni odsunęła się na bok i zobaczyli wnętrze niewielkiej windy.

- Bierzemy go czy zostawiamy? - zapytała Wal.

- Bierzemy. Jeśli trafimy na jego ludzi, zawsze możemy go użyć jako zakładnika i uniemożliwić im otwarcie ognia.

- Większość z nich zapewne marzy skrycie o rozwaleniu tego pajaca - stwierdziła Walkiria. - Popatrz sam, co moja załoga zrobiła ze mną, a byłam dla nich takim dobrym i szczodrym kapitanem.

- Tak czy inaczej, zabieramy go ze sobą. Jeśli nawet chcą go zabić tak bardzo jak nas, przyda się dodatkowa osłona.

Windą zjechali na niższy poziom, ale nie na to samo piętro, na które przybyli kolejką.

- Czy ona nie zjeżdża niżej? - zapytała piratka, rozglądając się po komnacie wypełnionej skradzionymi dziełami sztuki.

- Nie, tylko tutaj - odparł Cole po sprawdzeniu panelu w kabinie. - Lepiej sprawdźmy, czy pojedzie gdzieś wyżej.

- Czekaj! - zawołała.

- Na co? - zapytał.

- Weźmy sobie kilka rzeczy, zanim stąd wyjdziemy!

- To nas tylko spowolni - stwierdził Wilson. - Jego ludzie nie będą czekali w nieskończoność.

- W takim razie zmykaj - powiedziała, wychodząc z kabiny.
- Ja do ciebie zaraz dołączę.

- Wyjdziemy stąd razem - odparł. - Ale się pośpiesz.

Zważyła w dłoni kilka niewielkich statuetek, ale uznała, że są za ciężkie, szybko też odrzuciła myśl o zabraniu obrazów. W końcu nabrała garść obco wyglądających klejnotów, na których wygrawerowano laserem miniaturowe, ale przepiękne sceny. Wsypana je do cholewki jednego z butów i przyłączyła się do Cole'a.

Tym razem wjechali aż na dach, a gdy wydostali się na świeże powietrze, dostrzegli opodal przemysłnie ukryty wahadłowiec.

- Zatankowany i gotowy do szybkiej ucieczki - ucieszył się Cole.

- Skąd wiesz?

- A jaki sens miałyby utrzymywanie drogi ucieczki na dach, gdyby ta maszyna nie była sprawna? Założę się, że nasz przyjaciel robił jej przegląd co tydzień.

- Będziemy mieli problem - stwierdziła nagle Wal.

- Jaki?

- Sam spójrz. To jednoosobowa maszyna.

Cole skrzywił się.

- Tego nie zauważyłem. - Oparł Dżina o fałszywy komin i podszedł do wahadłowca. - Nie damy rady zmieścić się w nim we dwoje?

- Nawet w przypadku, gdybym miała o stopę wzrostu mniej i obejmowałibyśmy się czule jak kochankowie - odparła Wal.

- Dobra - powiedział kapitan. - Leć nim do kosmoportu i wróć „Kermitem”.

- „Kermit” tu nie wylądował - zauważyła. - Jest za duży.
- W takim razie użyj intelektu i podpieprz statek, który zdoła tutaj wylądować.
- Daj mi ten ceramiczny pistolecik - zażądała, wyciągając rękę. - Moja broń została na dole, na poziomie kolejki.

Wyjął pistolet i podał go jej razem z książką.

- Tylko załatw to szybko - poprosił. - Facet pewnie często wyłączał te kamery, kiedy wpadali do niego klienci, ale na pewno nie trwało to dwadzieścia albo trzydzieści minut.

Zaczęła sadzić się w kabinie wahadłowca.

- I jeszcze jedna sprawa - dodał.
- Tak?
- Do statku, który ukradniesz musimy zmieścić się tylko my dwoje.
- Nie chcesz go zabrać ze sobą?
- Po co? - zapytał Wilson. - Nikt za niego nie zapłaci nawet dwóch kredytów okupu. A Copperfield nie chciał pasera, tylko jego książkę. Jeśli zawieziemy typa na Krętą Rzekę, ktoś tam po prostu go zastrzeli. A skoro my sami nie zamierzamy robić z nim żadnych interesów, nie widzę problemu w pozostawieniu go przy życiu.

Sądząc po wyrazie twarzy, nie była przekonana do tego pomysłu, ale wzruszyła tylko ramionami, wymamrotała: „Ty tu jesteś kapitanem” i zasiadła za sterami maszyny.

Wystartowała w tej samej chwili i Cole został na dachu w towarzystwie nieprzytomnego Eufratusa Dżina. Kilka kolejnych minut spędził na podziwianiu lśniących pierścieni wiszących na nocnym niebie nad jego głową. Potem opasły paser zaczął jęczeć, zwracając tym na siebie całą uwagę kapitana.

- Witam ponownie - powiedział Wilson.
- Gdzie jesteśmy?
- Na dachu.

- Na moim dachu? - zapytał Dżin ochryłym głosem i zaraz rozejrzał się wokół. - Gdzie mój statek?

- Moja przyjaciółka go pożyczyła. Zaraz wróci czymś większym, a ty będziesz mógł odebrać wahadłowiec w kosmoporcie.

- Już jej pan nie zobaczy - zapowiedział mu Dżin. - Ale jeśli sprowadzi mnie pan na dół i odda książkę, zagwarantuję panu bezpieczny odlot z tej planety.

- Kusząca propozycja - przyznał Wilson - ale jakoś bardziej wierzę w jej zapewnienia niż twoje.

- Zatem jest pan już trupem. I co w zamian pan osiągnął? Tyle tylko, że rozboleła mnie głowa i mam sztywny kark.

- Nie zapominaj, że udało nam się ukraść twoją książkę, a potem wahadłowiec - przypomniał mu Cole. - Może to i niewielkie sukcesy, ale też nasze.

- Daruj pan sobie te żarty - jęknął Dżin, mrużąc oczy i masując sobie kark. - Moi ludzie zaczęli już sprawdzać dom i przeczesać okolicę.

- Jaka szkoda, że ta tajemna winda nie otworzy się przed nimi - odparł Wilson.

- Na szczęście istnieją też inne sposoby na dotarcie na dach, podobnie jak na zabicie pana - zagroził paser, dotykając dłonią szyi i wzdrygając się z bólu. - Co pan tu robi, do cholery? Dlaczego nie wysadza pan w powietrze baz wojskowych rozlokowanych po całej Republice? W końcu to flota płaci za pańską głowę.

- Bycie piratem jest bardziej popłatne od bycia rewolucjonistą - odparł Wilson. - No i żyje się dłużej.

- Niektórzy mają to szczęście. Pan nie.

- Miejmy nadzieję, że pan się myli - stwierdził Cole - ponieważ nie zamieram umrzeć samotnie.

Chwilę później dostrzegł niewielki statek zbliżający się do posiadłości Dżina. Gdy maszyna podleciała jeszcze bliżej, z wnętrza domu rozległy się krzyki, usłyszał też odgłosy otwierania okien i krzątania.

Wahadłowiec zatrzymał się na wysokości około dwudziestu stóp nad powierzchnią dachu i zawisł tam nieruchomo. W jego dolnej części otworzył się właz, z którego wysunęła się długa drabina. Moment później Wal zeszła po niej, ale tylko kilka stopni.

- Rusz się! - wrzasnęła. - Wiatr w każdej chwili może zwiać to maleństwo poza obręb dachu.

Cole zrobił krok w stronę drabiny, ale tłusty paser powstrzymał go, zwalając z nóg własnym ciężarem.

- Mam go tutaj, na dachu! - wydarł się w noc. - Ruszcie wreszcie dupska i pomóżcie mi!

Dwaj mężczyźni podciągnęli się ponad krawędź jakieś czterdzieści stóp od miejsca, w którym Cole szamotał się z Dżinem. Wal uniosła ceramiczny pistolet i oddała dwa strzały. Pierwszy pocisk chybił, ale drugi trafił jednego z nadchodzących i wybuchł przy zetknięciu z ubraniem. Piratka szybko wymierzyła w drugiego cyngla i wystrzeliła ostatnią kulę. Tym razem trafiła i oprych zniknął w chmurze niewielkiej eksplozji.

Trzej następni ochroniarze wspięli się na dach w różnych miejscach, a Cole zdał sobie w tym samym momencie sprawę, że dodatkowe magazynki z amunicją ma w kieszeni. Wal zeskoczyła z drabiny na plecy Dżina i grubas padł jak długi. Wyglądał teraz jak balon, z którego ktoś spuścił powietrze. Jedno szybkie kopnięcie w skroń posłało go na powrót w krainę snów.

- Właz na drabinę i ustabilizuj ten statek! - zawołała

piratka.

- A co z tobą? - zapytał Wilson, stając niepewnie na nogach.
- Pamiętasz, po co mnie tutaj zabrałeś?

Cole zrozumiał, że kłótnia z nią byłaby zwykłą stratą czasu, więc bez słowa pognął do stóp drabiny.

Jej koniec znajdował się poza zasięgiem jego rąk, ale niska grawitacja pozwoliła do niego doskoczyć. Zaczął się wspinać w momencie, gdy trzech mężczyzn rzucili się na Walkirię.

Piratka sięgnęła do cholewy, tam, gdzie kilka minut temu wyspała klejnoty i wyciągnęła dwa noże. Sekundę później jeden tkwił w krtani najbliższego oprycha, a następny zagłębił się w klatce piersiowej drugiego z atakujących.

- Skąd je wytrzasnąłeś? - zapytał Cole, gdy dotarł na szczyt drabiny.

- Z kambuza! - odkrzyknęła z uśmiechem na ustach i odwróciła się w stronę trzeciego z mężczyzn, który albo nie miał przy sobie broni, albo uważał, że nie będzie mu potrzebna. Skoczył na Wal i poleciał długim łukiem na widoczną niemal czterdzieści stóp poniżej ziemię.

Kolejni dwaj ochroniarze pojawili się na dachu. Piratka padła za ciałem pierwszego z zabitych, wyszarpnęła z kabury jego pistolet pulsacyjny i zaczęła się ostrzeliwać. Pierwszy impuls wypalił wielką dziurę pomiędzy oczami nadbiegającego zbira, kolejny oderwał nogę jego partnerowi, a ten zatoczył się mocno i spadł z dachu.

Wal spojrzała w górę, zobaczyła, że Cole jest już we wnętrzu statku i rzuciła się do drabiny. Dopadła jej długim susem i od razu zaczęła się wspinać. Była już w połowie drogi, gdy promień lasera minął jej głowę dosłownie o kilka cali. Odwróciła się i strzeliła w kierunku mężczyzny stojącego za ziemi obok domu. Mocniejszy powiew wiatru zniweczył jej zamiary - Chybiła,

choć także niewiele. Na szczęście człowiekowi na dole ten sam podmuch przeszkodził w równie wielkim stopniu i następny promień przeszedł obok drabiny. Strzeliła jeszcze raz, a potem szybko pokonała ostatnie szczeble i zniknęła za włazem, zanim przeciwnik zdołał odpowiedzieć ogniem po raz trzeci.

- Jestem już - powiedziała. - Zabierz nas stąd w cholerę!

- Fajny stateczek podwędziłaś - odparł Cole. - Prawie nie ma paliwa, napęd nadświatłowy nie działa, a dwa z jego stabilizatorów zniknęły.

- Nie miałam czasu na wydziwianie - stwierdziła gniewnie. - Leć do kosmoportu. Przesiądziemy się na „Kermita”.

- To może być trudniejsze, niż ci się wydaje - powiedział Wilson. - Ludzie Dżina

najprawdopodobniej powiadomili już kapitanat.

- Po co mieliby to robić? - zapytała Wal. - Nie wiedzą, że nie rozwiniemy tym złomem nadświatłowej, a paliwa nie wystarczy nam na wydostanie się poza pierścienie.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - mruknął kapitan.

Miała rację.

Kilka minut później opuszczali gromadę Albionu, aby wrócić na pokład „Teddyego R”, a potem dostarczyć Copperfieldowi jego wymarzone sygnowane pierwsze wydanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Cole czekał cierpliwie, aż pan Jones otworzy mu drzwi i wprowadzi go do środka. Poszedł za nim aż na koniec długiego korytarza, a potem do znanego już tak dobrze gabinetu.

- Steerforth! - zawołał uszczęśliwiony Dawid Copperfield na jego widok i obiegnął biurko, aby go powitać. - Nie sądziłem, że wrócisz tak szybko...! - Zamilkł. - Masz już jakiś plan zdobycia tej księgi?

Cole położył na blacie płaski pakunek.

- Z niechętnymi wyrazami szacunku od niejakiego Eufratusa Dżina.

Paser wpatrywał się nabożnie w paczkę.

- To naprawdę ona? - zapytał ostrożnie. - Po tylu latach trafiła w końcu w moje ręce! - Ujął ją czule. - Porozmawiamy za moment albo dwa. Na razie muszę... - Jego obco wyglądające paluchy ostrożnie odpakowały papier, odstawiając podniszczoną, ale nadal pięknie wyglądającą księgę. Otworzył ją, zaraz podniósł wzrok i chociaż jego twarz należała do obcej rasy Cole zauważył na niej ten sam grymas, jaki robi dziecko, które za moment ma się rozplakać. - Tu nie ma autografu.

- Patrzy pan na ostatnią stronę - uspokoił go kapitan. - A powinien pan sprawdzić tytułową.

Copperfield otworzył książkę tak jak trzeba i na jego twarzy pojawił się wyraz niemal ludzkiej ekstazy.

- Sam nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedział.

- Wie pan - odparł Cole. - Pięćdziesiąt procent ceny rynkowej przez dwa lata i pomaga pan zastawić pułapkę na Rekina.

- No tak! - zawołał kosmita pogardliwie. - To akurat już zostało ustalone. Ale pan zasłużył na znacznie więcej i dlatego zastanawiam się nad odpowiednią nagrodą. Nie ma pan pojęcia, jak wiele ta książka dla mnie znaczy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Przypomni panu kilka dobrze znanych sentencji - stwierdził Wilson i zaraz zapytał - Co już zostało ustalone?
- „Pegaz” przybędzie za trzy dni - powiedział paser, nie odrywając oczu od książki. -

Tyle czasu powinno wystarczyć na przygotowanie zasadzki.

- Trzy dni wystarczą - zapewnił go Cole. - Czy Rekin albo ten, z kim pan rozmawiał, nie wspominał przypadkiem o Donovanie Muscatelu?

- Nawet słowem - odparł Copperfield. - Chce pan powiedzieć, że oni zawarli jakiś układ?

- Nie - zaprzeczył kapitan. - Trzy statki Muscatela ścigają Rekina.

- Aha! - mruknął paser. - Zatem to on napadł trzy dni temu na Cyrano. Słyszałem o tym wydarzeniu, ale niewiele szczegółów do mnie dotarło.

- Rekin uderzył na kwaterę główną Muscatela, zabił mu sporo ludzi i zniszczył jeden ze statków.

- Cóż, to jeden ze skutecznych sposobów na pozbycie się konkurencji - stwierdził Copperfield. - Ale trzeba się najpierw upewnić, czy wszyscy są w tym samym miejscu. - W końcu oderwał wzrok od książki. - Właśnie zauważyłem, że przyszedł pan sam. Mam nadzieję, że podziwu godna panna Twist nie opuściła tego łez padołu.

- Nic jej nie jest - zapewnił go Cole. - Ale teraz, kiedy pan i ja tak świetnie się rozumiemy, uznałem, że nie będę już potrzebował ochrony.

- Niektórzy zawsze muszą mieć przy sobie ochronę - Copperfield westchnął. - A ona jest taka piękna i taka wspaniała.

- Tak, ja też żałuję, że tak szybko zwrócimy jej ten statek. Była świetnym uzupełnieniem mojej załogi, zwłaszcza że wiedziała wszystko na temat Wewnętrznej Granicy.

- Odzyskanie jej statku może nie być tak łatwe, jak pan przypuszcza - stwierdził kosmita. - Z tego, co wiem o Rekinie Młocie, prędzej wysadzi się w powietrze, niż podda.

- W takim razie kupimy jej nową jednostkę za te miliardy,

które nam pan zapłaci - powiedział Wilson.

- Naprawdę chce pan jej oddać „Pegaza” albo jego następcę? - zapytał paser.

- Tak.

- Zatem nie macie zamiaru naśladować Tomka Sawyera i Becky Thatcher?

- To nie ten autor - zauważył Cole. - Ale ma pan rację, nie zamierzamy.

- Chyba powinienem teraz cisnąć kapelusz na ring - stwierdził kosmita i zaraz się roześmiał. - To tylko taka figura retoryczna. Prawdę powiedziawszy, jeszcze nigdy nie znalazłem kapelusza, który pasowałby na moją głowę.

- Mnie to nie przeszkadza - zapewnił go Wilson. - Proszę tylko jej zanadto nie denerwować, zwłaszcza gdy znajdziecie się w półdystansie. - Rozejrzał się po gabinecie. - Ma pan tu może radio podprzestrzenne? Mój okręt znajduje się za daleko i nie mogę z nim

porozmawiać przez normalny komunikator.

- Dla człowieka, który urzeczywistnił moje najskrytsze marzenia, wszystko się znajdzie - powiedział Copperfield i uczynił skomplikowany gest lewą ręką. W tym samym momencie część blatu jego biurka zniknęła, a z wnęki pod nim wynurzył się nadajnik podprzestrzenny.

- Dziękuję - powiedział kapitan.

Podszedł, wprowadził odpowiednie kody, prawdopodobną pozycję „Teddy’ego R.” i zaczął na odpowiedź, podczas gdy kosmita rozkoszował się przebadaniem zdobytej książki.

- Tutaj Forrice - usłyszał głos Molarianina. - Odbieram tylko audio, chcesz nawiązać łączność witalną?

- Niekoniecznie - odparł Cole. - Będę się streszczał. Jestem jeszcze na Krętej Rzece.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest, „Kermitowi” też. Chcę, żebyście przylecieli tu „Teddym R.” w ciągu jednego standardowego dnia.

- Tak blisko granic Republiki? - zdziwił się Cztery Oczy.

- Zgadza się.

- Tylko się upewniałem - zastrzegł się Molarianin. - Czy chcesz czegoś jeszcze?

- Tak - odparł Cole. - W trakcie podróży zróbcie dokładny przegląd broni i ekranów ochronnych. Wszystko ma być w idealnym porządku, kiedy tutaj doleciecie.

- Będzie. Czy to już wszystko?

- Tak.

- W takim razie do rychłego zobaczenia - powiedział Forrice i rozłączył się.

- Kto to był? - zapytał Copperfield. - Jego głos nie brzmiał po ludzku.

- Gdyby ten osobnik miał w sobie więcej z człowieka, chyba bym z nim nie wytrzymał - odparł Cole. - To mój pierwszy oficer.

- Jak się nazywa? Pytam na wypadek, gdybym miał się z nim skontaktować.

Kapitan uśmiechnął się.

- Nadałem mu kryptonim, który powinien pan z łatwością zapamiętać.

- Doprawdy?

- Sydney Carlton - powiedział kapitan.

- Już go polubiłem! - zawołał uszczęśliwiony Copperfield.

- Wiedziałem, że tak będzie - przyznał Cole. - Ale wracajmy do interesów. Gdzie był „Pegaz”, gdy skontaktował się z wami? Na terenie Wewnętrznej Granicy czy może po stronie Republiki?

- Z całą pewnością na Granicy. Nasza przyjaciółka Olivia Twist narobiła takiego rabanu, że szuka go chyba każda jednostka policji, nie mówiąc już o okrętach wojennych Republiki. - Kosmita spojrzał uważnie na Wilsona. - Dlaczego

wygląda pan na zatroskanego?

- Bo mam ku temu powody - odparł Cole. - Pana siedziba znajduje się tylko kilka lat świetlnych od granicy Republiki. Czy Rekin przyleciałby tutaj, wiedząc, że natychmiast zostanie rozpoznany i zatrzymany?

- Nad tym się nie zastanawiałem - przyznał paser.

- Lepiej, żeby pan rozważył tę kwestię, i to szybko - stwierdził kapitan. - Jeśli mamy zastawić na niego pułapkę, musimy go najpierw rozpoznać, kiedy tu przyleci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Niespełna godzinę po tym, jak Cole wrócił na pokład „Teddy’ego R”, pojawił się przed nim hologram Dawida Copperfielda. Paser wyglądał na mocno wystraszonego.

- Co się stało? - zapytał Cole. - Monitorujemy wasz system. Od chwili mojego wylotu nie pojawiła się w nim żadna nowa jednostka.

- Przemyślałem sobie kilka spraw - oświadczył kosmita.

- I do czego pan doszedł?

- Chyba mnie zaćmiło, skoro nie dostrzegałem wszystkich konsekwencji naszej umowy.

- Ochronimy pana - zapewnił go Cole. - Powiedziałem przecież już podczas pierwszej rozmowy na ten temat, że powstrzymamy go, zanim opuści kosmoport. Nigdy nie przedrze się do pańskiego domu

- Pan nie widzi tej sprawy z mojej perspektywy Steerforth - powiedział Copperfield.

- Proszę mnie zatem oświecić.

- Jak już wspomniałem, panna Olivia zaalarmowała wszystkich, stąd aż po Republikę. Policja i flota mają za zadanie powstrzymać „Pegaza”.

- I co z tego? - zapytał Cole, zastanawiając się, do czego paser zmierza.

- Nie rozumie pan? - zdziwił się kosmita, twarz miał przy tym wzburzoną, a głos drżał mu z przerażenia. - Z takim pościgiem na karku Rekin może się dostać na Krętą Rzekę tylko na dwa sposoby. Albo nie przyleci „Pegazem”, albo zakamufluje go tak doskonale, że nawet flota się nie zorientuje. A jeśli oni go nie zidentyfikują, jak pan tego dokona?

- On nadal podróżuje na pokładzie „Pegaza” - zapewnił go Wilson, choć sam wcale nie był o tym przekonany. - I ma na ogonie trzy statki Muscatela. Nie miał czasu na zdobycie nowej jednostki. No i nie ma takiej możliwości, żeby ulepszył

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

uzbrojenie.

- Zatem jego statek nie przypomina już w niczym „Pegaza”!
- wykrzyknął Copperfield. - Zyskał nowy wygląd, nowe dokumenty i co tam jeszcze!

- Rozpoznamy go - upierał się Cole. - Mam tutaj Olivie Twist. Proszę mi wierzyć, kto jak kto, ale ona rozpozna własny statek.

- Steerforth, jesteście przyjaciółmi ze szkolnej ławy, ale w tym przypadku nie dowierzam

pańskiemu osądowi.

- Nie może się pan teraz wycofać - ostrzegł go kapitan. - Jeśli każe pan Rekinowi trzymać się z dala, bez trudu odgadnie, że najpierw pan go sprzedał, a teraz stchórzył.

- Niby dlaczego? Przecież mogę mu powiedzieć, że właśnie się dowiedziałem o planowanej pułapce.

- Zrobiłby pan coś takiego Olivii Twist? - zapytał Cole. - Skoro tak, nie pozostanie nam nic innego, jak osobiście powiadomić Rekina, że to pan wystawił nas wszystkich do wiatru. Najpierw jego, a potem Olivię i mnie.

- Chyba nie uczyni pan czegoś tak okropnego? - zapytał Copperfield.

- Tylko jeśli mnie pan do tego zmusi. Proszę mi wierzyć, powstrzymamy go jeszcze na terenie kosmoportu.

- Ale ja panu już nie wierzę! Chcę znaleźć schronienie na pokładzie pańskiego okrętu do czasu, gdy będzie już po wszystkim!

- Kapitan zaprzeczył ruchem głowy.

- To niemożliwe. Musi pan pozostać na miejscu, bo inaczej Rekin zwęszy pułapkę. Przecież musi pan być u siebie, żeby to spotkanie doszło do skutku.

- A nie mógłbym polecieć na wasz okręt i przesłać z niego hologramu, tak jak teraz to robię?

- Sprawdzę, czy to możliwe - zapewnił go Cole. - Odezwę się za kilka minut.

Przerwał połączenie i zaraz skontaktował się z Wal.

- Niech zgadnę - powiedziała, zanim zdążył się odezwać. - Już się zesrał ze strachu.

- Celny strzał - przyznał Wilson.

- Ale powiedziałaś mu, że nie może się wycofać?

- Oczywiście. Wtedy zapytał mnie, czy nie mógłby przylecieć na pokład „Teddyego R.” i stąd wystać do biura hologramu. Nie

jestem pewien, czy to możliwe, dlatego wolałem skonsultować się z tobą. Zakładam, że na pokładzie „Pegaza” są przenośne sensory, za pomocą których można wykryć różnicę.

- Chyba każdy statek takie posiada - odparła Wal. - Może nie ten antyczny złom, na pokładzie którego teraz przebywamy, ale uwierz mi, wszystkie prawdziwe okręty posiadają takie sensory na wyposażeniu. Tyle tylko, że Rekin nie będzie ich potrzebował. On posiada kilka dodatkowych zmysłów, których my, ludzie, nawet nie znamy. Nie da się nabrać na przekaz holograficzny.

- Tak właśnie myślałem.

- Ale nie pozwolisz Copperfieldowi na przyłot tutaj?

- Nie.

- Świetnie - ucieszyła się piratka. - Mogłam się tego domyślić. Zachowujesz się kulturalnie i wydajesz się taki miękki, ale kapitanem okrętu wojennego nie może zostać byle ciota... - Zamilkła i wpatrywała się w niego z ciekawością. - Naprawdę zdobyłeś tyle tych medali, jak ludzie gadają?

- Już dawno powinni przestać o nich gadać - zachnął się Cole. - To prehistoria.

- Mówią też, że dwa razy cię degradowano - dodała. - A to znaczy, że masz charakter.

- Naprawdę tak uważasz?

- Absolutnie.

- Pozwól, że dam ci dobrą radę - powiedział Cole. - Jeśli kiedykolwiek porzucisz piracki fach, za nic nie zaciągaj się do floty.

- Ta robota nie znajduje się na szczycie listy moich priorytetów - zapewniła go od razu.

- Świetnie. Lepiej będzie, jeśli od razu wrócę do rozmowy z Copperfieldem i przekażę mu złe wieści. - Wilson przerwał połączenie i natychmiast otworzył kanał pasera.

- I jak? - zapytał zaciekawiony kosmita.
- Nie da rady - odparł Cole.
- To mi się nie podoba, Steerforth. Jeśli nie uda ci się dostrzec tego statku na czas, tylko ja będę przegrany.

- Proszę przemyśleć to jeszcze raz - powiedział kapitan. - Jeśli nie uda się nam dostrzec tego statku, dobije pan targu z Rekinem i pozwoli mu opuścić Krętą Rzekę. Nikt niczego nie będzie podejrzewał.

Oczy Copperfielda zrobiły się nagle szersze.

- Tak, to prawda. - Uśmiechnął się nawet. - Mam tylko nadzieję, że nie pomyślał pan, iż cieszy mnie możliwość waszego niepowodzenia.

- Naszego niepowodzenia - poprawił go Cole. - Nie, nie pomyślałem o tym.

- Świetnie - Copperfield wyraźnie się odprężył - Właśnie rozmyślałem, czy nie zmienić nazwy mojego dworku na Samotnię.

- To właśnie w panu uwielbiam, pełne zaufanie do sprzymierzeńców.

Kapitan przerwał połączenie i udał się na mostek, na którym dowodził teraz Forrice.

- Czy jakiś statek wszedł w obręb tego systemu w ciągu ostatnich kilku minut? - zapytał.

- Trzy frachtowce i jednoosobowy wahadłowiec - zameldował Molarianin.

- Do cholery... - mruknął Cole. - Nie możemy tkwić na tej pozycji bez końca. Flota pragnie nas dopaść dwa razy bardziej niż „Pegaza”. A niedługo ktoś nas tutaj wypatrzy.

- Wybacz, że przeszkadzam - powiedziała Sharon Blacksmith, a jej hologram natychmiast pojawił się przed kapitanem. - Ty naprawdę wierzysz w to, że Rekin miał czas na zamaskowanie „Pegaza”? Wiemy przecież, że podczas ataku na

siedzibę Muscatela został dość łatwo zidentyfikowany, a potem musiał się ukrywać przed pozostałymi statkami Donovan. Nie wiem, ile czasu trzeba na zamaskowanie statku, ale Rekin z pewnością miał go za mała.

- Musimy się co do tego upewnić - przyznał Cole. - Istnieje tylko jeden sposób, aby zrobić coś takiego bez lądowania na planecie. Prawdę powiedziawszy, można to też wykonać, lecąc w nadprzestrzeni.

Połączył się z Wal.

- Czego tam? - zapytała.
- Czy twoja załoga składała się wyłącznie z ludzi?
- Tak.
- A co z załogą Rekina?
- Miał ze sobą kilku Lodinitów i chyba jednego Atriana.
- Ale nie było z nim Tolobitów?
- A kim są, u diabła, Tolobici?
- Członek naszej załogi, Śliski, należy do tej rasy.
- Nie, pierwszy raz widzę kogoś takiego.
- Dzięki. - Cole wyłączył holo. - Dobrze, skoro nie mają Tolobity, który może pracować w próżni bez sprzętu i skafandra, nie mogli zamaskować „Pegaza” w przestrzeni. Rekin na pewno kazał pousuwać z kadłuba wszystkie napisy i znaki, o ile jakieś jeszcze pozostały po nalocie na Cyrano. W jego sytuacji lepiej nie afiszować się za bardzo. Jeśli więc założymy, że Rekin jest lepszym piratem niż Wal, a jest na pewno, w przeciwnym wypadku nie odebrałby jej statku, to na bank ma na pokładzie kogoś, kto potrafi zmienić sygnał identyfikacyjny i dane rejestrowe jednostki.

- Chyba masz rację - poparł go Forrice. - A to znaczy, że kontakt wzrokowy wystarczy, by Wal go rozpoznała.

- To się nie uda - wtrąciła Sharon.
- Dlaczego? - zapytał Molarianin.

- Pamiętacie? Przesłuchiwałam ją, gdy pojawiła się po raz pierwszy na pokładzie. „Pegaz” to statek klasy M300. Zdajecie sobie sprawę, ile ich krąży po Wewnętrznej Granicy? Walkiria dodała mu wprawdzie kilka systemów obrony i uzbrojenia, ale to wciąż bardzo popularny model frachtowca... - Zamilkła na moment. - Właśnie sprawdziłam odczyty moich sensorów. Obecnie w pobliżu Krętej Rzeki znajduje się pięć jednostek tego typu. Chcecie je wszystkie rozwalić?

- Dobrze, już dobrze - obruszył się Cztery Oczy i zaraz dodał: - Jak możemy sprawdzić, czy któryś z nich nie jest „Pegazem”?

- W czasie gdy wy dyskutowaliście o przeznaczeniu wszechświata, ja monitorowałam kosmoport. Nie pojawiła się tam żadna istota odpowiadająca w przybliżeniu opisowi podanemu przez Wal, więc wciąż mamy czas.

- Lepiej będzie, jeśli od razu wyślemy tam naszych ludzi, skoro nie mamy pewności, czy dostrzeżemy go, zanim „Pegaz” wyląduje - stwierdził Forrice.

- Wyląduje? - zdziwił się Cole. - Raczej wyśle wahadłowiec.

- Frachtowce nie przypominają okrętów wojennych - przypomniała mu Sharon. - Skonstruowano je tak, by mogły często wchodzić w atmosferę i lądować. Jak inaczej zabierałyby i dostarczały ładunki?

- Lepiej zorganizujemy oddział uderzeniowy i zaczekajmy na Rekina w kosmoporcie - powtórzył Molarianin. - Będziemy potrzebowali Wal, żeby mogła go zidentyfikować...

- Wal zostaje tutaj - przerwał mu Cole. - Jeśli istnieje choćby cień szansy, że rozpoznamy „Pegaza” przed lądowaniem, musimy go wykorzystać.

- Możemy też wysłać dodatkową ochronę do domu Copperfielda - zaproponowała Sharon.

- Tak, to niezła myśl - stwierdził Cole. - Ale nie załatwia

naszej sprawy. Rekin nie zabierze całej załogi do dworku Dawida, nawet jeśli zdoła się przemknąć obok nas niepostrzeżenie. Przecież tutaj nie chodzi o wybicie jego ochrony czy nawet jego samego, musimy zneutralizować całą załogę w tym samym czasie, zanim ktokolwiek zorientuje się, kto i dlaczego to zrobił. Nie sądzę, żeby Copperfield utrzymał się zbyt długo w branży, jeśli rozejdzie się pogłoska, że sprzedaje swoich klientów.

- Zatem Wal zostaje na pokładzie - podsumował Forrice. - Wolałbym, żeby rozpoznała „Pegaza”, jak tylko pojawi się w tym systemie.

- Też tak sądzę - zgodził się Cole.

- Kogo więc chcesz wysłać? - zapytał Molarianin.

- Ja i ty nie możemy tam być - odparł kapitan. - Sharon, Christine i Wal też nie. Pozostaje nam Pampas i...

- Chyba nie potrafisz się skupić, Wilsonie - przerwała mu Sharon.

- Co takiego?

- Masz na pokładzie trzech członków załogi, którzy zasłużyli sobie na prawo pierwszeństwa przy spotkaniu z Rekinem - dokończyła.

- Oczywiście! - zawołał kapitan. - Dawać mi tu tych dwóch, których zabraliśmy z Cyrano, no i Pepona.

Chwilę później stał przed Jimem Nicholsem, Danem Moyerem i Bujandim.

- Wezwałem was tutaj, ponieważ chcę wam zaproponować udział w pewnej misji - powiedział - Rekin Młot ma zamiar wylądować na Krętej Rzece. Chcemy go zatrzymać, zanim dotrze na powierzchnię planety, ale podejrzewamy też, że zdołał dobrze zamaskować „Pegaza”. Jeśli wyczuł, że zastawiliśmy na niego pułapkę, z pewnością zaaranżuje dla nas kilka dodatkowych zmyłek. Dlatego zamierzam wysłać kilku

ludzi, aby zasadzili się na powierzchni planety, na wypadek gdyby udało mu się przemknąć. Zezwolę im na podjęcie wszelkich działań, jakie uznają za stosowne, aby nie wyszedł z tej pułapki z życiem. Chcę jednak zaznaczyć, że miejscowe władze albo flota Republiki mogą się wmieszać w tę akcję, zanim zdążą wrócić na pokład „Teddy’ego R.”. Dlatego nie wyznaczam uczestników tej operacji. Potrzebuję ochotników, a wam, ze względu na to, co wydarzyło się na Cyrano, daję pierwszeństwo wyboru.

Cała trójka wyraziła chęć wzięcia udziału w operacji, kazał im więc wziąć „Alice” i wyruszyć na planetę natychmiast po wizycie w zbrojowni.

- I co teraz? - zapytał Forrice.
- Teraz będziemy czekać.
- I to wszystko?
- Moje doświadczenia wojenne składają się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z czekania. Ale gdy przychodzi czas na setny procent, marzysz wyłącznie o tym, aby móc jeszcze chwilę poczekać.

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY PIĄTY

Mijały godziny.

- Kapitanie - odezwała się Christine Mboya, gdy po raz kolejny sprawdziła odczyty sensorów. - Mamy sporo jednostek kierujących się do tego systemu.

- Wojskowych? - zapytał Cole. - Jeszcze nie potrafię tego określić, sir.

- Nie ma śladu „Pegaza”?

- Żadnego, sir - odparła. - Ale powiedziano mi, że może już nie przypominać opisu podanego przez Walkirię.

- Monitoruje pani całą komunikację radiową kosmoportu? - zapytał kapitan.

- Zarówno połączenia przychodzące, jak i wychodzące, sir.

- Świetnie. Proszę mnie połączyć raz jeszcze z Dawidem Copperfieldem.

Chwilę później na mostku pojawiło się holograficzne oblicze pasera.

- Czyżby zmienił pan zdanie, mój drogi Steerforth? - zapytał z nadzieją kosmita.

- Nie zmieniłem - odparł Wilson. - Ale chciałbym zadać panu kilka pytań. Proszę mi powiedzieć, jak bardzo przekupny jest kapitanat waszego portu?

- Cóż za niemądre pytanie! - zawołał Copperfield i wybuchnął wymuszonym śmiechem. - Jak mógłbym prowadzić interesy na Krętej Rzece, gdyby urzędnicy portu nie byli bardzo przekupni?

- Drugie pytanie - ciągnął dalej Cole. - Czy na powierzchni planety jest jeszcze jakiś kosmoport, który może przyjmować jednostki klasy M300?

- Nie ma takiego kosmoportu na tej planecie, kropka - stwierdził paser. - Na pobliskim pasie startowym mogą siadać niewielkie jedno- i dwuosobowe wahadłowce, co zresztą prawie

nigdy się nie zdarza, ale statek tak wielki jak „Pegaz” nie da rady na nim przyziemić.

- Dziękuję, Dawidzie, to wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Z pańskich pytań wnioskuję, że jeszcze go nie namierzyliście - stwierdził ponuro Copperfield.

- Jeszcze nie - przyznał Cole. - Ale proszę się rozchmurzyć. Oprócz własnych ochroniarzy ma pan do dyspozycji trzech niezwykle zmotywowanych ludzi Muscatela.

- Większość moich ochroniarzy już zdezerterowała - poskarżył się paser. - Co do tej trójki, jak na razie zachowują się porządnie i uprzejmie, ale nie mam wątpliwości, że kiedy przyjdzie do wybierania pomiędzy ochroną mojej osoby a zabiciem Rekina i jego obstawy, wybiorą bez wahania to drugie.

- Robimy wszystko, żeby nie musieli dokonywać tego wyboru - zapewnił kapitan, przypatrując się uważnie hologramowi. - Proszę odłożyć ten pistolet albo lepiej go ukryć.

- Jaki pistolet?

- Ten, który trzyma pan w kieszeni kamizelki.

- To nie pistolet - wyjaśnił Copperfield - tylko książka, którą pan mi przywiózł. Wolę mieć ją przy sobie, na wypadek gdybym musiał opuścić to miejsce w pośpiechu.

- A co z resztą dzieł Karola Dickensa? - zapytał Cole. - Widziałem całą półkę w pańskim gabinecie.

- W żadnym z tomów nie ma autografu.

- Na Krętej Rzece wylądował frachtowiec - wtrącił obsługujący konsolę komputera Malcolm.

- Później dokończymy tę rozmowę, Dawidzie - powiedział kapitan i rozłączył się, zanim spanikowany Copperfield zdążył zadać pierwsze z wielu pytań na temat tej jednostki. - Co pan tam ma, panie Briggs?

- To nie M300, choć ma te same wymiary. Czy mogliby

zmienić wygląd kadłuba?

- Mając na ogonie trzy statki Muscatela? Wątpię - odparł Cole. - Proszę go obserwować i meldować o wszystkim. - Odwrócił się do Christine. - Czy „Alice” wróciła już do hangaru?

- Tak jest, sir.

- Świetnie. Lepiej, żeby Rekin nie zauważył obecności wojskowego sprzętu na powierzchni planety. W papierach stoi jak byk, że prom został sprzedany prywatnemu właścicielowi, ale tylko tamtejszy kapitanat może uwierzyć w taką bzdurę. Naszego pirata nie zwiedziemy.

- Dlaczego miałyby go to niepokoić? - zapytała. - Przecież „Pegaz” dysponuje dziesięciokrotnie większą siłą ognia.

- Ponieważ jego obecność może oznaczać, że w pobliżu znajduje się także macierzysta jednostka - wyjaśnił jej Wilson. - Wprawdzie wątpię, żeby „Teddy R” mógł spędzać naszym przeciwnikom sen z powiek, ale dopóki nas nie zidentyfikują, mogą pomyśleć, że wahadłowiec przyleciał z okrętu flagowego admirała Garcii.

- Sir? - odezwał się Briggs.

- Tak, poruczniku?

- Ten frachtowiec dostarczył sprzęt chłodzący do nowo powstałego kompleksu mieszkalnego. Właśnie jest rozładowywany. Powinien odlecieć za dziesięć minut.

- Jeśli nie odleci za dwadzieścia minut, proszę mnie o tym poinformować - powiedział kapitan i podniósł głos: - Hej, Sharon!

- Nie musisz się tak wydzierać - odparła, gdy tylko jej holo pojawiło się przed nim. - Ktoś z sekcji bezpieczeństwa zawsze ma oko na mostek.

- I dobrze - stwierdził kapitan. - Czy Wal już śpi?

- Niech sprawdzę... - odparła Sharon. - Nie. Nie ma jej w kabinie.

- A gdzie jest?
 - W mesach też jej nie ma. Zaraz. Znalazłam ją. Gimnastykuje się z Pampasem w naszej miniaturowej siłowni.
 - Gimnastykuje się? - zaniepokoił się Cole. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że...
 - Podnoszą ciężary - uspokoiła go Blacksmith. - Uprzedzając następne pytanie: ale nie siebie wzajemnie.
 - Świetnie. Wracaj do podglądania bliźnich.
 - Ja nikogo nie podglądam - odparła urażonym tonem, ale on już kierował się do windy.
- Chwilę później znalazł się w zagraconej kajucie służącej za siłownię i skrzywił się z obrzydzeniem.
- Ale tu jedzie potem - powiedział.
 - Masz dowód na to, jak ostro ćwiczymy - odparła Wal, a Pampas natychmiast strzelił obcasami i zasalutował.
 - Spokojnie, Byku - mruknął Cole. - Chciałem tylko porozmawiać z Walkirią.
 - Już wychodzę, sir - odparł sierżant. - I tak kończyliśmy.
 - To nie potrwa długo - obiecał kapitan. - Nie odchodź za daleko.
 - Wezmę suchy prysznic, zmienię ubranie i pojawię się tutaj za mniej więcej dziesięć minut - powiedział Pampas, wychodząc na korytarz.
 - O co chodzi? - zapytała Wal.
 - Czy maskowałaś już kiedyś „Pegaza”? - odpowiedział pytaniem na pytanie Cole.
 - Od czasu, gdy zyskaliśmy złą sławę, cały czas musiałam się maskować.
 - Jak?
 - Zaprogramowałam całą serię fałszywych sygnałów identyfikacyjnych, numerów rejestracyjnych i takich tam.

- Świetnie - stwierdził kapitan. - Rozpoznałabyś je, gdybyś miała okazję odebrać taką transmisję?

- Tak.

- Christine prześle ci dane identyfikacyjne każdej jednostki, która wejdzie do tego systemu. Daj mi znać, jeśli uznasz, że któraś z nich może być „Pegazem”.

- Z przyjemnością.

Rozejrzał się w poszukiwaniu emitera holo.

- Wątpię, aby dało się je przesłać tutaj. Obok jest nasze ambulatorium, stamtąd połączymy się z mostkiem.

Towarzyszyła mu do niewielkiej izby przyjęć, skąd wywołali Christine i poprosili, aby przesłała listę identyfikatorów trzydziestu dwóch jednostek, które pojawiły się w systemie w ciągu ostatniej standardowej doby. Gdy wszystkie sygnały zostały odtworzone, Wilson spojrzął pytająco na Wal.

- Nie rozpoznaję żadnego.

- Ale warto było spróbować. Za kilka godzin dostarczymy ci następne transmisje.

- Dobrze. - Ruszyła w stronę siłowni.

Cole wrócił na mostek, chociaż nie miał pojęcia, co mógłby tam robić. Zaczynał się denerwować. Na razie nikt ich jeszcze nie niepokoił, ale policja albo flota mogły w każdej chwili zauważyć zadziwiającą zgodność cech okrętu z listami gończymi i doda dwa do dwóch. Przebywał zbyt blisko granic Republiki, aby czuć się komfortowo, nie miał też bladego pojęcia, ile jeszcze będzie musiał czekać na pojawienie się „Pegaza”. A jeśli Rekin wyczuł pułapkę i zmienił plany? „Teddy R” utknąłby w takim przypadku, czekając bez końca opodal Krętej Rzeki na frachtowiec, który nigdy się nie pojawi i wystawiając się na żer okrętom floty, które prędzej czy później musiały tu przybyć.

Wiedział, że coś przeoczył. Coś, co mógł jeszcze zrobić. Był

tego pewien, ale nie potrafił sprecyzować tej myśli, choć miał ją na końcu języka i to go najbardziej frustrowało.

W końcu poddał się i w parszywym nastroju powędrował do mesy. Powitało go tam trzech członków załogi - jeden człowiek i dwóch Mollutei. Wszyscy skinęli uprzejmie głowami, ale gdy zauważyli, że nie ma chęci na pogawędkę, pospiesznie dokończyli jedzenie i opuścili salę trzy może cztery minuty później. Kapitan został w kompletnie pustej mesie, groźnie wpatrując się w nietkniętą kawę, dopóki Sharon Blacksmith nie dosiadła się do jego stolika.

- Jedno z nas wygląda jak ostatnie nieszczęście - zauważyła.
- Jedno z nas zastanawia się właśnie, jak długo jeszcze powinno zostawać w tym systemie, narażając resztę załogi na niewyobrażalne niebezpieczeństwo - odparł kapitan. - A jeśli ten suczy syn nie pojawi się tutaj przez kolejny tydzień?
 - Wtedy odlecimy - stwierdziła Sharon. - Tak na marginesie, to raczej rekini syn, nie suczy.
 - Nie próbuj bagatelizować sytuacji - poprosił Cole. - Jeśli odlecimy, zostawimy Dawida na łasce bandyty.
 - Nie wiedziałam, że tak ci zależy na tym paserze.
 - Zależy mi na pięćdziesięciu procentach od każdego towaru, jaki dostarczymy mu w ciągu najbliższych dwóch lat... - przerwał. - Jego też polubiłem! Ale, prawdę powiedziawszy, za cholerę nie potrafię polubić tej parszywej pirackiej roboty. To okręt wojenny z marynarzami floty na pokładzie. Powinniśmy zajmować się walką, nie kradzieżami.
 - Przecież walczyliśmy. Wypowiedzieliśmy wojnę pirackim statkom.
 - Brzmi niezłe, ale popatrz sama: do tej pory zniszczyliśmy jedną piracką jednostkę, a teraz usiłujemy ocalić drugą. Obrabowaliśmy jednego pasera, ale zaraz pomagamy innemu,

tkwiąc tutaj i ryzykując życiem. I po co to wszystko? Dla pięćdziesięciu procent ceny rynkowej?

- Daj temu spokój, Wilsonie - poprosiła. - Nigdy nie pozwolą nam wrócić. Wiesz o tym doskonale.

- Ale ja wcale nie chcę wracać - zapewnił ją. - Zamierzam jednak być kimś więcej niż tylko rabusiem na wielką skalę.

Spoglądała na niego długo i ostro.

- To nie ma nic wspólnego z naszą aktualną sytuacją - odezwała się w końcu. - Ty po prostu polubiłeś Dawida Copperfielda. Widać to wyraźnie po tym, jak o nim mówisz. No i wszyscy zaakceptowaliśmy obecność Wal, nawet ty.

- Czy muszę się powtarzać? Nie szkolono mnie przez całe życie, żebym został złodziejem czy jeśli wolisz, piratem...

- Dobrze. Wierzę ci. Ale co z tego wynika?

- Nic. Sami wpakowaliśmy się w tę kabałę. I musimy znaleźć z niej wyjście. Dałem słowo Walkirii, dałem je też Dawidowi Copperfieldowi. Mam na powierzchni tej planety dwóch ludzi i kosmitę, którzy mi zaufali i teraz czekają, aż zostaną zaatakowani. Powinniśmy się nad tym poważnie zastanowić. A potem zdecydować, co robimy dalej.

- Jakakolwiek by to była decyzja, wiesz, że pójdziemy za tobą - odparła i w tej samej chwili zorientowała się, że Cole nie zwraca na nią uwagi, tylko wpatruje się tępo się w jakiś punkt przestrzeni. - O co chodzi?

- Jestem idiotą - oświadczył nagle.

- Ale i tak cię kochamy - stwierdziła dyplomatycznie.

- Miałem rozwiązanie tuż przed oczami.

- Czyli?

- Tę trójkę załogantów, których posłałem na powierzchnię planety, aby chronili Dawida Copperfielda - odparł.

- Nie mam bladego pojęcia, o czym teraz mówisz -

przyznała Sharon.

Dotknął komunikatora i sekundę później pojawił się przed nim hologram Christine.

- Tak, sir?.

- Skontaktuj się natychmiast z Moyerem, Nicolsem i tym, jak on się tam zwał, Peponem. Niech ci przekażą wszystkie kody, jakie zapamiętali - rozkazał. - Muscatel ma jeszcze trzy statki, które ścigają Rekina, przynajmniej o tylu wiemy. One muszą się jakoś kontaktować ze sobą. Nie chcę, żebyś wysyłała im jakieś wiadomości. Nie zależy mi też na monitorowaniu tych jednostek. Masz mi je tylko zidentyfikować i zlokalizować!

- Tak jest!

Hologram zniknął.

- To mi właśnie umykało! - stwierdził, zapominając o niedawnej depresji. - Skoro nie potrafimy zidentyfikować „Pegaza”, musimy namierzyć statki, które lecą jego tropem. Jeśli określimy ich aktualne pozycje, zyskamy wiedzę pozwalającą nam określić prawdopodobne miejsce, w którym przebywa teraz Rekin, i przypuszczalny czas jego przylotu.

- Zakładając oczywiście, że one ścigają „Pegaza”.

- A ty byś darowała, gdyby zniszczył twoją kwaterę i zabił większość ludzi?

- Pewnie dziękowałabym Bogu za to, że wyszłam z tej opresji cała i zdrowa, a potem robiłabym wszystko, by nigdy więcej nie wejść w drogę Rekinowi Młotowi.

Cole pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Donovan Muscatel nie zostałby jednym z największych piratów Wewnętrznej Granicy, gdyby unikał walki. Jestem pewien, że stoi teraz na czele pościgu, więc jeśli dowiemy się, gdzie jest, zyskamy też przybliżoną pozycję Rekina.

Nagle wrócił mu apetyt. Zamówił kanapkę i piwo, skonsumował je błyskawicznie, przypomniał sobie o wystygłej

kawie i ją także dopił, a potem od razu pospieszył na mostek.

- Co nowego? - zagał, gdy podszedł do Christine Mboyi.
- Właśnie przekazują mi nowe kody, sir - odparła.
- Dlaczego to tak długo trwa?

- Nie chcieli tego robić przy Copperfieldzie, a on odmawiał wyjścia z gabinetu. Nie mam pojęcia, dlaczego ten paser czuje się w nim bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej, zwłaszcza że w domu aż roi się od ochroniarzy, ale na tym właśnie polegał nasz problem. Komputery stoją we wszystkich pomieszczeniach dworku, ale niestety zostały zabezpieczone hasłami. Dopiero w spiżarni znaleźliśmy urządzenia, dzięki którym mogliśmy nawiązać pełną łączność. Zdaje się, że pan Copperfield używał tego terminalu, gdy chciał, aby go podsłuchiwała policja albo władze. - Spojrzała na monitory. - Mam już komplet kodów, sir.

- Policja też już je zna?
- Możliwe - przyznała. - Ale czy to nam w czymś przeszkadza?

- Nie, raczej nie. Oni nie mają pojęcia, do czego służą te dane, a jeśli nawet to odkryją, na nic im się zda ta wiedza. Statki Muscatela nie złamały prawa. Policja nic im nie może zrobić... - Cole zamilkł na moment. - Dobrze, bierz się do roboty.

Wprowadziła pierwszy kod, ale nie otrzymała odpowiedzi. Wpisała więc drugi, potem trzeci.

- Nie działają, sir - zameldowała.
- Kontynuuj - polecił kapitan. - Ile kodów przestał ci Moyer?
- Mam jeszcze cztery, sir. Czwarty też nie działa.
- Niech to szlag! Któryś musi zadziałać! - pieklił się Wilson. -

Jeśli Rekin tu leci, Muscatel na pewno siedzi mu na ogonie.

- Piąty nie zadziałał, sir. - Chwila przerwy. - Szósty też jest nieprawidłowy.

- Cholera! - ryknął Cole. - Jak ja nie cierpię wspaniałych pomysłów, które nie wypalają!

- Chwileczkę, sir! - zawołała Christine. - Siódmy kod zadziałał... - Zamilkła nagle, krzywiąc się mocno. - A niech mnie wszyscy diabli!

Kapitan po raz pierwszy usłyszał nawet tak niewinnie brzmiące przekleństwo w ustach czarnoskórej Christine.

- O co chodzi? - zapytał.

- Oni kierują się na Krzywą Rzekę, sir - odparła. - Dotrą tutaj za siedem minut. Nie lecą jednak w zwartej formacji. Wygląda raczej, jakby namierzyły ten system z trzech stron. A to znaczy, że „Pegaz” musi tu już być. - Podniosła wzrok, najwyraźniej zaskoczona. - Sensory wskazują jednak, że to niemożliwe.

- On tu jest. Inaczej nie obraliby Krętej Rzeki za cel - stwierdził Cole.

- To bardzo możliwe - przyznała Christine. - Wydaje mi się, że Rekin zdołał jednak dobrze zamaskować „Pegaza”. W każdym razie na tyle, że nie potrafię go odszukać.

Kapitan zamyślił się głęboko, a potem podniósł wzrok.

- Może nie będziesz musiała - powiedział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Sharon, czy Wal dała ci jakieś kody kontaktowe dla „Pegaza”, gdy przesłuchiwałaś ją po raz pierwszy? - zapytał Cole.

- Całą masę - odparł hologram pułkownik Blacksmith. - Dlaczego pytasz?

- Zaczynij je wprowadzać. I daj mi znać, jeśli uzyskasz odpowiedź na którąś z transmisji.

- Chyba nie wierzysz, że ktoś mi odpowie.

Pokręcił głową.

- Ktoś, kto włożył tyle roboty w zamaskowanie statku, raczej nie odpowie na sygnały przesyłane drogą

podprzestrzenną. Ale to dopiero nasz pierwszy krok.

- A jeśli mimo wszystko odpowiedzą? - zapytała Sharon.
- Pogadasz z nimi.
- Ale o czym?
- O sporcie, seksie albo pogodzie. Temat się nie liczy. Ważne,

żeby rozmowa trwała.

- Aby statki Muscatela mogły ich przyszpilić?
- Tak. Bierz się do roboty.
- To nie zadziała - stwierdziła Christine, gdy hologram

Sharon zniknął.

- Pewnie masz rację. Ale, jak już powiedziałem, to tylko pierwszy krok. Panie Briggs, proszę przeanalizować kursy wszystkich statków Muscatela i określić współrzędne miejsca, w którym się spotkają... oraz dokładny czas tego zdarzenia.

- Tak jest! - odkrzyknął Malcolm i od razu zasiadł za konsolą.

- Wal. - Cole włączył transponder. - Potrzebuję kilku informacji.

- O co chodzi? - zapytała Walkiria, gdy jej hologram pojawił się na mostku.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że na „Pegazie” znajdowały się urządzenia typu stealth?

- Powiedziałam to tej kobiecie z bezpieczeństwa. A ty mnie o to nie pytałeś.

- Czy one w ogóle działają? Większość tego sprzętu nie jest warta prochu potrzebnego do wysadzenia go w diabły.

- Nigdy ich nie używałam - odparła. - Są cholernie energożerne. Rekin musiałby oszaleć, żeby włączyć je na pięć albo sześć godzin, chyba że zaplanował szybkie uzupełnienie paliwa w reaktorze... - Zamilkła na chwilę. - Zapytałeś mnie o to, ponieważ on je włączył.

- Tak.

- Zatem na pewno wyczuł pułapkę.
- Może po prostu stał się ostrożny. W końcu jest przecież piratem i znalazł się bardzo blisko granic Republiki. A jej flota uwielbia takie słowa jak „pościg”.

Zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy.

- Nie ma szans. Republika pragnie was dopaść o wiele bardziej niż jego, a jakoś nie widzę, żeby ich okręty zajmowały się „Teddym R”. Jeśli użył osłon, na pewno nie zrobił tego ze strachu przed Republiką.

- Dobrze. Teraz następane pytanie. Jak ludzie Muscatela namierzają „Pegaza”, skoro nie można go zobaczyć?

Wzruszyła ramionami.

- Pojęcia nie mam. Może po aktywności neutrino albo innej emisji.

Cole zmarszczył brwi.

- To nie ma sensu. Oni nie mogą go wykryć, skoro my nie potrafimy tego zrobić. Bez względu na to, czy używa kamuflażu czy też nie.

- Może posiadają odmienne technologie wykrywania - odpowiedziała Wal. - Wiesz, o co mi chodzi. Donovan Muscatel kupił statki od Vapinow z Romanitry II. To humanoidzi, ale posiadający zupełnie inne zmysły niż my. To, co dla ich sensorów jest standardem, dla nas może być niewykrywalne.

- No dzięki... - mruknął Wilson.

- Wiem, jak aktywować osłony energetyczne statku - dodała obronnym tonem - ale jeszcze nigdy nie musiałam namierzać jednostki, która ich używa.

- Wybaczcie, że wam przeszkodzę - odezwała się Sharon, a jej hologram pojawił się obok sylwetki rudowłosej piratki. - „Pegaz”, o ile naprawdę znajduje się w tym systemie, nie odpowiedział na żaden z kodów, które przekazała mi Wal.

- To chyba jasne, że nie odpowiadają, skoro starają się

zachować niewidzialność - prychnęła Walkiria. - Żeby ich zmusić do mówienia, potrzebowałabyś mojego kapitańskiego kodu.

- Czym, do cholery, jest kapitański kod? - zapytała Sharon. - Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

- Każdy kapitan jednostki przestrzennej posiada taki kod - wtrącił Cole. - A w każdym razie powinien nim dysponować. Wyobraź sobie, że nieprzyjaciel atakuje twój okręt i zdobywa go. Potem każe ci podlecieć nim w pobliże floty albo do skupiska innych piratów, jak tam wolisz. W takiej sytuacji powinnaś mieć możliwość anulowania rozkazów wroga, gdyż mogą oni zaatakować znienacka i zabić twoich przyjaciół albo sprzymierzeńców. I każdy kapitan wie, jak to zrobić.

- Nie mam czegoś takiego w moich bazach danych - stwierdziła Sharon. - Zresztą w twoich też nie ma żadnego kapitańskiego kodu.

- Bo to jedyny kod, którego z bardzo oczywistych powodów nie zapisuje się w żadnych bazach danych - wyjaśnił Wilson. - Gdyby wróg albo jakiś zdrajca dorwał się do takiego zabezpieczenia, stałoby się bezużyteczne. - Odwrócił się do Wal. - Co się stanie na „Pegazie”, kiedy prześlesz ten kod?

- Nic - odparła.

- Na pewno nic? - upewnił się Cole.

- Mówisz o wysłaniu kodu, a nie wydawaniu konkretnych rozkazów? - zapytała piratka.

- Tak.

- W takim razie podtrzymuję moją odpowiedź. Nic się nie stanie.

- A skąd będziesz wiedziała, że twoja wiadomość została odebrana?

- Statek wyśle mi potwierdzenie odebrania kodu.

- Radiem podprzestrzennym?

- Tą samą drogą, jaką otrzyma kod - stwierdziła Walkiria.
- Jeśli więc wyślesz ten kod przez nadajnik „Teddy’ego R.”, odpowiedź przyjdzie w to samo miejsce?

Jej oczy zrobiły się okrągłe, gdy zaczęła rozumieć, o co mu chodzi.

- Tak.
- Przekaż ten kod Sharon.
- Nie lepiej dać go Christine, ona obsługuje główny nadajnik?

- Nie. Ona będzie wystarczająco zajęta namierzaniem statków Muscatela.

- Chcesz go wysłać już teraz? - zapytała Wal.
- Ależ skąd. Właśnie wypłaszamy go z tego systemu. Wyślemy go za jakieś cztery minuty.

- Ja już nic z tego nie rozumiem - piratka zaczynała się denerwować. - Masz zamiar pomóc mi w odzyskaniu statku czy nie?

- Na pewno nie w momencie, gdy trzy inne statki zamierzają dopaść naszą zdobycz - stwierdził Cole. - Sharon, kiedy dostaniesz ten kod, prześlij go skondensowaną wiązką Moyerowi. Wolałbym, żeby „Pegaz”, gdziekolwiek się teraz znajduje, nie odpowiadał nam bezpośrednio.

- Załatwione - odparła Blacksmith.
- Potem skontaktuj się z Moyerem, powiedz mu, który kod wciąż działa i poproś, żeby ujawnił się kapitanom statków Muscatela i przesłał im, także w skondensowanej wiązce, kod kapitański „Pegaza”. Niech odpowie na sygnał wysłany z ich pokładów.

- Bez względu na to, czy skondensujecie wiązkę czy nie, „Pegaz” odpowie na kod, jeśli przekaz będzie skierowany w jego okolice - wtrąciła Wal.

- W takim razie każ Moyerowi podzielić kod na dwie części i

wysłać najpierw drugą, potem zrobić przerwę i dostać pierwszą, ale już w kolejnej wiadomości i na inny statek Muscatela. Wysyłając je w odwrotnej kolejności, zabezpieczymy się przed przypadkowym odebraniem kodu przez „Pegaza”. - Cole podszedł do Christine i przyjrzał się odczytom widocznym na ekranach komputerów. - Dobrze, możecie już zaczynać. Statki Muscatela dolecą do granic systemu mniej więcej za dwie minuty. Chcę, żeby ten kod dotarł na planetę i opuścił ją, zanim dojdzie do strzelaniny.

Hologramy Wal i Sharon zniknęły.

- Pilotcie - powiedział Wilson - zabieramy się stąd.
- Dokąd?
- Przenieś nas o trzy lata świetlne, potem zatrzymaj okręt i utrzymuj tę pozycję.

Wxakgini wymruczał coś, co pewnie miało być potwierdzeniem rozkazu i od razu wprowadził „Teddy’ego R” w ruch.

- Christine, monitoruj te trzy statki. Jeśli nasz podstęp zadziałał, zaczną strzelać lada chwila. Muszę mieć z nimi kontakt, żeby nakazać wstrzymanie ognia, zanim całkiem rozwalą „Pegaza”.

- To bardzo mały dystans, sir - stwierdziła Christine. - Jeden dobrze wymierzony strzał i będzie po nim.

- Niekoniecznie - uspokoił ją Cole. - Wal zainstalowała na „Pegazie” wiele systemów obronnych. Gdyby chodziło o klasyczny pojedynek, pewnie wygrałby z każdym statkiem Muscatela, ale trzy naraz powinny go przynajmniej poważnie uszkodzić. - Odwrócił się do Briggsa. - Poruczniku, w momencie gdy padnie pierwszy strzał, otworzy pan kanał łączności z Moyerem, Nicholsem i Peponem. Upewni się pan też, że pozostaną w nieprzerwanym kontakcie ze wszystkimi statkami i powstrzymają dalsze ataki, gdy jednostka Rekina zostanie

unieruchomiona. Nie chciałbym, żeby nasz trzeci oficer zaczął ścigać teraz jednostki Muscatela.

W następnej kolejności skontaktował się z Forrice'em, który odpoczywał we własnej kabinie.

- Wybacz, że cię budzę - powiedział - ale jesteś mi potrzebny.

- Nie spałem - odparł Molarianin. - Musiałbym umrzeć, żeby nie słyszeć, co się tam dzieje.

- Wszystkie transmisje idą na ogólnodostępnym kanale - poinformował go Cole. - Załoga ma prawo wiedzieć, w co się pakujemy.

- Czego znowu ode mnie chcesz?

- Potrzebuję kogoś zaufanego w przedziale bojowym. Weź też ze sobą Byka Pampasa. To najlepszy mechanik, jakiego mamy.

- Jesteś pewien, że nie będziesz mnie potrzebował na mostku?

- Tutaj i tak jest już za duży tłum - odparł kapitan. - Przekazuję kontrolę nad bronią do przedziału bojowego.

Molarianin skinął głową.

- Jakie są rozkazy? Mam ostrzelać „Pegaza”, czy tamte trzy pirackie jednostki?

- Zostaw ich wszystkich w spokoju - powiedział Wilson. - Zbyt będą zajęci wykańczaniem się wzajemnie, żeby zwracać na nas uwagę.

- Zatem kogo się spodziewamy?

- Mam nadzieję, że nikogo - uspokoił go Cole. - Ale musimy wysłać kilka łatwo namierzalnych przekazów na powierzchnię Krętej Rzeki. Jeśli policja albo flota rozszyfrują je, może się zrobić gorąco.

- Wątpię, żeby tutejsza policja miała jednostki, które mogłyby się z nami zmierzyć - zauważył Forrice.

- Ja też w to wątpię - przyznał kapitan. - Ale gliniarze mimo to będą próbowali wykonać swoją robotę. A nie są naszymi wrogami, przynajmniej do momentu, w którym zaczną do nas strzelać. A dopóki ja jestem tu dowódcą, odpowiemy im ogniem tylko na mój wyraźny rozkaz. Jeśli coś mi się stanie, polegaj na własnych osądach, ale zrób wszystko, co tylko możliwe, aby uniknąć starcia z policją.

- A jeśli jakiś okręt wojenny namierzy nasze transmisje? - zapytał Molarianin.

- Rozpieprz go na atomy - odparł Cole. - Nie musisz nawet czekać na mój rozkaz. Jak tylko go zidentyfikujesz, odpalaj wszystko, co masz. Mogę się założyć o każdą sumę, że oni zrobią to samo, jak tylko zorientują się, z kim mają do czynienia.

- Zrozumiałem. Coś jeszcze?

- Tak - dodał kapitan. - Tylko nie spudłuj.

Molarianin zaniósł się charakterystycznym dla jego rasy, piskliwym śmiechem.

- Skontaktuj się z Pampasem i zasuwaszcie do przedziału bojowego.

- Już lecę - odparł Forrice, przerywając połączenie.

- Pilocie, jaka jest nasza pozycja? - zapytał Cole.

- Znajdujemy się dwa i pół roku świetlnego od systemu Krętej Rzeki - powiedział Wxakgini.

- Sharon, czy Moyer dostał kod?

- Tak.

- Christine, czy już go wysłał?

- Nie namierzyłam żadnej transmisji, sir, ale jeden ze statków Muscatela właśnie wykonał drobną korektę kursu. - Pochyliła się, aby lepiej widzieć dane przepływające po monitorach. - Odebrali sygnał, sir! Drugi statek też zmienił kurs. Tylko o kilka stopni, ale to wystarczy.

- Sir - wtrącił Briggs - jeden ze statków Muscatek nadaje

kod co dziesięć sekund, a jednostka, której nie widzimy systematycznie mu odpowiada.

Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Biedny sukinkot dwoi się pewnie teraz i troi, starając wyłączyć tę transmisję.

- Wydaje mi się, że „Pegaz” znajduje się w tej chwili w połowie drogi pomiędzy dwunastą i najbardziej oddaloną planetą systemu a Krętą Rzeką - stwierdziła Christine, nie odrywając oczu od monitorów.

- Ale nie podleci bliżej celu - powiedział Cole. - Albo zawróci w kierunku głębokiej przestrzeni, albo wda się zaraz w walkę.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Ponieważ każdy może odebrać sygnał zwrotny. Wszystkie jednostki policyjne i wojskowe w tym sektorze szybko dojdą do tego, dlatego jego statek używa osłon energetycznych, a on ma już na karku trzy pirackie statki. Nie będzie ryzykował zagrożenia z tyłu stron naraz, zwłaszcza że każdy okręt wojenny przewyższa go wielokrotnie siłą ognia.

- Mam go! - zawołała Christine.

- Co się dzieje?

- Wystrzelił z dział pulsacyjnego w najbliższy statek Muscatela.

- Trafił?

- Przeciwnik znajduje się poza jego zasięgiem. - zameldowała porucznik Mboya. - Dopiero zbliża się do systemu.

- Tak... - mruknął kapitan. - Teraz powinien się wycofać.

- Nie, sir. On strzela nadal.

- Christine, jeśli ty wiesz, że jego przeciwnik znajduje się poza zasięgiem skutecznego ognia, on chyba też powinien to już zauważyć.

- No tak... - odezwała się niepewnym głosem.

- Stara się spowolnić ruchy przeciwnika, zmusić go, aby podchodził ostrożniej - wyjaśnił Cole. - Dzięki temu zyska nieco przestrzeni na wykonanie manewrów. Jeśli piraci rozproszą się i zaczną go otaczać, nie pozostanie mu nic prócz ucieczki w otwartą przestrzeń. Przed sobą ma prawie pół galaktyki, a przynajmniej będzie je miał w ciągu najbliższych trzydziestu sekund.

- Leci w naszą stronę - poinformowała go Christine.
- Wydawało mi się, że jest dla nas niewidzialny.
- Bo jest, ale pirackie statki właśnie przyspieszyły
- Zawracając w stronę Wewnętrznej Granicy?
- Tak, sir.
- Świetnie - powiedział Cole. - Teraz możemy usiąść wygodniej i rozkoszować się przedstawieniem.

- Co takiego?
- Zaraz wyłączy osłony energetyczne. Zużywają zbyt wiele mocy. Jeśli zamierza osiągnąć prędkość nadświatłą, jednocześnie ostro manewrując, aby umknąć prześladowcom i używać własnej artylerii, musi to zrobić.

- A może po prostu ucieknie? - zasugerował Briggs.
- Wcześniej czy później, będzie musiał stawić im czoła - stwierdził Cole. - Dla niego lepiej, żeby stało się to wcześniej... - Zamilkł na moment. - Jeśli chodzi o Muscatela, ten atak nie ma nic wspólnego z piractwem. To akt zemsty i nie zostanie odwołany po tym, co Rekin uczynił na Cyrano.

- A poza tym - wtrąciła Wal, pojawiając się na mostku, oczywiście holograficznie - to przecież Rekin Młot. A on nigdy nie ucieka.

- Właśnie to robi - poprawił ją Briggs.

Pokręciła głową.

- Po prostu wybiera miejsce starcia. Uwierzcie mi, dobrze znam tego drania.

- Uda mu się pokonać trzy statki Muscatela? - zapytał Malcolm.

- Ja bym je pokonała - odparła Wal.

- Czym, u diabła, dysponuje ten twój „Pegaz”?

- Siła ognia to tylko połowa sukcesu - stwierdziła Walkiria, pukając się palcem w skroń. - Reszta tkwi tutaj. Jeśli ja bym dała radę, Rekin też podoła temu zadaniu.

- Miejmy chociaż nadzieję, że chłopcy zmiękczą go mocno na nasz użytek.

Miejcie, miejcie - odparła piratka, aczkolwiek bez większego przekonania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wszystkie statki Donowana Muscatela zaczęły hamować i formować szyk, gdy znalazły się około roku świetlnego od Krętej Rzeki.

- Co oni wyprawiają? - zapytał Briggs.
- „Pegaz” zapewne też zwolnił, a może nawet się zatrzymał, a oni usiłują go otoczyć - wyjaśniła Wal, która w międzyczasie dołączyła do nich na mostku.

- Tego nie da się zrobić.
- Ale oni to robią.

Porucznik zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- To jedna z podstawowych zasad, jakich uczą w akademii. Nie możemy otoczyć przeciwnika w otwartej przestrzeni, jeśli nie posiadamy przynajmniej sześciu jednostek, a optymalną liczbą jest w takim przypadku dwanaście okrętów.

- Oni nie zamierzają wykonać takiego manewru - odparła piratka. - Starają się jedynie utrudnić mu zadanie i rozmieszczają statki tak, aby nie miał ich wszystkich w polu widzenia. Dzięki temu jeden z nich może zyskać szansę na uderzenie zniecka. - Na jej twarzy malowała się pogarda. - Głupcy. Robią to, na co liczy Rekin.

- A gdzie on jest? - zapytał Cole. - Nie może przecież użyć większości dział, kiedy jest niewidzialny. Nie dość, że rozwaliby wszystkie osłony, to jeszcze usmażyłby połowę broni.

- Obserwuje ich ruchy i czeka - stwierdziła Wal. - Jeśli wyłączy napęd w otwartej przestrzeni, nie da się go wyśledzić po emisji neutrino.

- Dlaczego nie strzelają w miejsce, w którym według nich powinien się znajdować? - zapytała Christine.

- To nie są największe statki w okolicy - odparła Wal. - Jeśli zaczną marnować amunicję, ucieszą tylko Rekina.

- Poza tym - dodał Cole - wystarczy, że „Pegaz” utrzyma pozycję i wyrzuci w przestrzeń trochę złomu. Przeciwnik może się na to nabrać i uznać, że zadał mu krytyczne trafienie. Podleci bliżej, aby upewnić się co do skuteczności ostrzału i to będzie jego ostatni ruch... - Zamilkł i wzruszył ramionami. - Przynajmniej ja bym tak zrobił.

Przez dziesięć kolejnych minut nic ciekawego się nie wydarzyło. Nie było żadnych sygnałów radiowych, dosłownie nic. Potem jeden ze statków Muscatela zaczął ponownie przyspieszać, kierując się w miejsce, w którym wszystkie jednostki spotkałyby się, gdyby leciały z tą samą prędkością.

- Jest zbyt ciekawski - ocenił Cole. - I może zapłacić za to całkowitym zniszczeniem. Nie ma przewagi ogniowej nad „Pegazem”, a intelektem na pewno nie przewyższa jego kapitana.

- Uaktywnił wszystkie tarcze i ekrany - zameldowała Christine, studiując uważnie odczyty.

- Nie na wiele mu się zdadzą, jeśli podleci jeszcze bliżej - powiedział Wilson. - Działo pulsacyjne przebije go na wylot z dystansu osiemdziesięciu tysięcy mil.

- I poważnie uszkodzi z dwustu tysięcy - dodała Wal. - Na Wewnętrznej Granicy nie było lepiej uzbrojonego pirackiego statku niż mój. Oczywiście z wyjątkiem waszej krypy.

Drugi statek ruszył naprzód.

- On ich wszystkich wybije - uznał Cole i odwrócił się do Wal. - Mam nadzieję, że podałaś Sharon dokładny zasięg wszystkich broni?

- Tak.

- Lepiej, żebyś się nie pomyliła - stwierdził kapitan. - Mam przecucie, że niedługo sami staniemy naprzeciw „Pegaza”. - Przesłał swój hologram do przedziału bojowego. - Jak wam leci? Wszystko gotowe?

- Czekamy tylko na rozkaz - zapewnił go Forrice. - Byk i ja mamy pełną kontrolę nad bronią.

- Świetnie. Ściągnijcie tam Moralesa, niech wam pomoże.

- Nie potrzebujemy niczyjej pomocy.

- Ale tylko dopóty, dopóki któryś z was nie zostanie ranny albo jedno z dział nie wymknie się spod kontroli.

- Wilsonie, to jeszcze dzieciak.

- Dzieci dorastają dzisiaj, walcząc.

- Ty tu jesteś szefem - powiedział Cztery Oczy. - Przynajmniej do chwili, kiedy ja przejmę dowodzenie tą krypą.

- A bierz ją sobie choćby dzisiaj.

- Jasne - zachnął się Molarianin. - Może poczekaś na jeszcze lepszy moment? Przekaż mi okręt, kiedy staniemy wobec zagrożenia ze strony czterech przeciwników, a nie jednego.

- Mogę już wrócić do wygrywania tej bitwy czy chcesz się jeszcze trochę powyżywać? - zapytał Cole.

- Idź już. Zaraz ściągnę tu tego dzieciaka.

Cole przerwał połączenie.

- Widzę, że trzeci statek też się poruszył. W tym momencie moglibyśmy przyszpilić „Pegaza”. Dlaczego oni nie otwierają ognia?

- Pytaj się mnie, a ja ciebie - odparła Walkiria.

Nagle Cole zachmurzył się.

- Nie sądzisz, że ten dupek chce dokonać zemsty osobiście? Pragnie widzieć Rekina pokonanego u swoich stóp, a nie rozpylonego po nieskończonej próżni kosmosu?

- Ja bym tak nie ryzykowała - stwierdziła piratka.

- Gotów jest stracić wszystkie statki dla tej mrzonki - uznał kapitan. - Im bliżej podejdzie, tym większe są szanse, że broń „Pegaza” przebije jego osłony.

- Kto wie, co stracił na Cyrano - wtrącił Briggs - Może żonę albo kochankę, czy dzieciaka, którego szykował na

spadkobiercę swojego imperium? Nie mówiąc już o skarbach, które gromadził przez całe życie. Pewnie nie dba teraz o nic.

- Lepiej, żeby zaczął to robić - stwierdził Cole i odwrócił się do Christine. - Jak daleko są od punktu zero?

- Jakiego punktu?

- Tego, w którym zbiegają się ich kursy.

- Najbliższy statek jest od niego oddalony o pięćdziesiąt pięć tysięcy mil. Najdalszy o ponad dziewięćdziesiąt, sir.

- Gdyby dźwięk rozchodził się w próżni, kazałbym wam teraz zatkać uszy - oświadczył Cole. - To już nie potrwa długo.

W chwili, gdy już kończył zdanie, najbliższy ze statków Muscatela otworzył ogień. Zaraz potem wszystkie trzy jednostki prowadziły ostrzał i... „Pegaz” nagle znów stał się widzialny. Ale na pewno nie uszkodzony. Wystrzelił z jednego działa i wielka kula czystej energii otoczyła najbliższy z pirackich statków. Nie było eksplozji, nagłego oślepiającego rozbłysku, nic. W jednej chwili prowadzący walkę statek znajdował się w tym miejscu, w następnej nie było tam już nic.

- Niezłą artylerię sobie zamontowałaś - przyznał Cole.

- Na pewno widziałeś lepszą - odparła Wal.

- Ale na pancernikach, a nie na przerobionych frachtowcach.

- Łupy z całych trzech lat piratowania poszły na dobrojenie „Pegaza” - oznajmiła z dumą.

- Nie wiem, czy jest się z czego cieszyć - zganił ją kapitan. - Dzięki temu nasze zadanie staje się o wiele trudniejsze.

Drugi statek został trafiony i zniknął bez śladu.

- Kapitanie, odbieram przekaz z trzeciego statku - zameldowała Christine. - Przełączam na audio.

- Dlaczego nie dasz podglądu?

Pokręciła głową.

- Oni nie nadają żadnych sygnałów wideo.

- Do kapitana „Pegaza” - usłyszeli czyjś głos. - Tutaj Jonathan Stark, dowódca „Srebrnego Demona”. Zabiłeś mojego szefa Donovana Muscatela, to on dowodził drugim ze statków, które zniszczyłeś. To on miał z tobą na pieńku, my tylko wykonywaliśmy jego rozkazy. Nie chcemy z tobą walczyć.

Moment później usłyszeli też głos Rekina, niewiarygodnie głęboki i cholernie groźny.

- Nie pozwolimy wam zakończyć tej walki bez konsekwencji. Podejdźcie do nas z wyłączonymi systemami uzbrojenia, wpuście nas na pokład i pozwólcie zabrać wszystko, co zechcemy, a daruję wam życie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Przyjmujemy wasze warunki - odpowiedział w końcu Stark.

- Świetnie - zagrzmiął Rekin. - Zaczynajcie manewr podejścia.

- Co za idioci - zachnęła się Wal.

- Nie mają wystarczającej siły ognia, żeby wygrać - ocenił Cole.

- Powinni zawrócić i spieprzać tak szybko, jak to tylko możliwe, póki jeszcze mają okazję - odparła piratka. - Ja znam Rekina. On nie honoruje żadnych rozejmów.

- Może powinniśmy ich ostrzec - stwierdził kapitan. - Christine, jesteś w tej dziedzinie ekspertem. Czy możemy przesać im jakiś sygnał, którego nie odbierze „Pegaz”?

- Sprawdzę.

Minutę później kwestia ta przestała mieć znaczenie. Gdy statek zbliżył się na sześćdziesiąt tysięcy mil do „Pegaza”, Rekin zniszczył go jednym strzałem.

- I to by było na tyle - oświadczył Cole. - Teraz wszystko

zależy od nas.

- Nie będziemy mieli wielkiego problemu z rozwaleniem tej jednostki - ocenił Briggs.

- Wiem, że zniszczenie tego statku nie nastręczy nam specjalnych problemów - odparł Wilson. - Ale my musimy go przejąć, eliminując jednocześnie załogę, żeby Wal mogła odzyskać swoją własność.

- To może być nieco trudniejsze - przyznał Malcolm.

Mnie zaczyna wydawać się zupełnie niemożliwe, pomyślał Cole. Pytanie tylko, na ile mogę narazić swój okręt, żeby umożliwić Wal odzyskanie jej statku?

- Sir! - zawołała podekscytowana Christine. - Właśnie otrzymałam wiadomość od Rekina.

- Do nas? - zapytał zaskoczony Cole. - Przysięgłbym, że on nie ma pojęcia o naszej obecności.

- Nie, sir. Do Dawida Copperfielda.

W tej samej chwili Wilson po raz pierwszy ujrzał legendarnego Rekina Młota. Pirat na pierwszy rzut oka wydawał się olbrzymem. Na drugi był tylko wielki. Jego oczy wystawały z głowy na sporą odległość, mieszcząc się na końcach kościanych wypustek, zupełnie jak u dawno wymarłych rekinów młotów z ziemskich oceanów. Twarz groźnego kapitana wydawała się być w ciągłym ruchu, gdy spoglądał w oko holokamery. Tors i ręce miał masywne, pokryte twardą łuską. Za pasem nosił z pół tuzina rozmaitych broni, które w jego przypadku wyglądały na zupełnie niepotrzebne, a nogi przywodziły na myśl pnie solidnych drzew. Nie miał za to przy sobie T-tora, urządzenia pozwalającego obcym rasom na mówienie i rozumienie terrańskiego. Jak wielu innych mieszkańców Wewnętrznej Granicy, na której sprzęt ten był nie tylko rzadko spotykany, ale i niebotycznie drogi, musiał nauczyć się języka ludzi samodzielnie. Posługiwał się nim dość płynnie, przemawiając przerażająco

głębokim głosem i przeciągając od czasu do czasu bardziej syczącą samogłoskę.

- Zdradziłeś mnie! - ryknął, wyciągając szponiasty paluch w stronę holokamery. - Chciałeś mnie wciągnąć w pułapkę.

Zaraz potem usłyszeli niemal historyczne zapewnienia Dawida Copperfielda, który zaprzeczał wszystkiemu, ale zapomniał z wrażenia dołączyć przekazu wizyjnego. Cole uświadomił sobie po chwili, że to nie paser wyłączył kamery. Miał przecież przy sobie trzech ludzi z załogi Muscatela. Jeśli Rekin wyląduje na Krętej Rzece, znajdą się oni w nieciekawej sytuacji, otoczeni przez przeważające i lepiej uzbrojone siły wroga. Ich jedyną przewagą mogło być wyłącznie zaskoczenie.

- Lecę po ciebie! - kontynuował tymczasem pirat. - Uwielbiasz pisaninę ludzi, których tak bardzo starasz się naśladować? Świetnie, przerobię twoją skórę na okładki do książek, którymi się tak zaczytujesz. Będę ją z ciebie zdzierał pasami, kawałek po kawałku. Masz to jak w banku!

Transmisja dobiegła końca.

- Miły z niego gość - stwierdził oschłym tonem Cole.
- Przecież ci mówiłam - wtrąciła Wal.
- Cóż, Dawid zrobił to na naszą wyraźną prośbę. Nie możemy pozwolić, żeby cierpiał. Cztery Oczy, jesteś gotowy?
- Cel namierzony - odparł hologram Molarianina.
- Zapamiętaj, musisz go tylko unieruchomić.
- Lepiej wydaj mi rozkaz otwarcia ognia, póki mogę go trafić - poprosił Forrice. - „Pegaz” zaczyna osiągać prędkość światła.

- Ognia! - rozkazał kapitan.

Przez moment nic się nie działo, potem sensory Briggsa odebrały sygnał, przetworzyły go na obraz i wyświetliły na głównym ekranie mostka.

- Świetny strzał, Cztery Oczy - powiedział Cole. -

Spowodowaliśmy spore zniszczenia napędu, ale kadłub nie został chyba uszkodzony. Czas wkroczyć do akcji i załatwić sprawę.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zapytała ostro Wal.

- Nie mówiłem o niszczeniu statku - wyjaśnił Cole - tylko o oczyszczeniu go ze złych chłopców.

- Ja osobiście zajmę się Rekinem - powiedziała piratka. - Nikt z was nie da mu rady.

- Jest twój.

W tej samej chwili na mostku „Teddy’ego R” pojawił się hologram Rekina. Pirat przesunął wzrokiem po wszystkich zebranych, a gdy jego oczy spoczęły na Walkirii, uśmiechnął się okrutnie, potem zatrzymał spojrzenie dopiero na Wilsonie.

- Komandor Cole - powiedział. - Powiniennem się domyślić. Rozpoznaję pana z przekazów holo. Flota pragnie pana dorwać równie mocno jak ja teraz.

- Kapitan Cole, jeśli łaska. A flota, podobnie zresztą jak pan, obejdzie się smakiem.

- Kapitan? - zdziwił się Rekin. - To chwilowy awans. Kapitanem bywa pan niezwykle krótko.

- A jednak wystarczająco długo, żebyśmy się spotkali. Nie ucieknie nam pan, ponieważ pański statek nie posiada już napędu nadświatlnego. Mamy też miążdżącą przewagę ogniową. Ale jeśli podda pan „Pegaza” i zwróci go prawowitej właścicielce, wysadzimy was na niezamieszkanym planecie z atmosferą tlenową, na której dokonacie żywota w spokoju. To najlepsza oferta, na jaką mnie stać i zapewniam, że nie będzie zbyt długo aktualna.

- Ośmielacie się stawiać mi ultimatum? Jestem Rekin Młot! To ja zawsze dyktuję warunki!

- Dobrze by było, gdyby zaczął się pan uczyć trudnej sztuki godzenia się z nimi - odparł Cole. - Wycofam moją ofertę za

pięć minut.

- Wiele może się zdarzyć w ciągu pięciu minut - oświadczył Rekin, cofając wargi i ukazując spiczaste kły w czymś, co zapewne było imitacją uśmiechu.

- Panie Briggs, proszę aktywować wszystkie osłony - rozkazał kapitan spokojnym głosem. - Nie wiem, do czego zmierza ten pirat, ale wydaje się bardzo pewny siebie.

- Jeśli wolno mi będzie wybrać ową niezamieszkaną planetę z atmosferą tlenową - odezwał się Rekin - niech to będzie Kręta Rzeka. - Gdy to powiedział, działo „Pegaza” wystrzeliło ogromną kulę energii prosto w wymienioną planetę. - Możecie wybierać - dodał pirat. - Atakujecie mój statek czy ratujecie Krętą Rzekę. Nie zdołacie zrobić wszystkiego w ciągu pięciu minut, jakich potrzebuje ten impuls, aby dotrzeć do celu.

Zaniósł się głośnym śmiechem i przerwał połączenie.

- Pilocie, namierz mi to cholerstwo! - rozkazał Cole.

- Które cholerstwo, sir? - zapytał Wxakgini. - Statek czy impuls?

- Impuls, do cholery! - ryknął kapitan i zaraz dodał: - Mustafa!

Hologram pierwszego mechanika pojawił się na mostku.

- Tak, sir?

- Zakładam, że widziałeś, co się tu wydarzyło. Czego możemy użyć, kiedy dotrzemy w pole rażenia?

Mustafa Odom zachmurzył się.

- Impuls nie posiada masy, więc raczej nie zepchniemy go z kursu. Może udałoby się go jakoś rozproszyć. Albo podstawić zastępczy cel, w który uderzy, zanim dotrze do planety. Coś wybuchowego byłoby jeszcze lepsze. Mamy jakieś materiały wybuchowe w zbrojowni?

- Cztery Oczy, mamy coś takiego?

- Tylko energię pulsacyjną, lasery i sonary - odparł Molarianin. - W ładowni jest jeszcze bomba termitowa, ale nie mamy do niej środka przenoszenia.

- Tutaj kapitan. Zakładam, że wszyscy słyszeliście ostatnią wymianę zdań. Ten, kto znajduje się w chwili obecnej najbliższej ładowni, ma zabrać stamtąd bombę termitową i dostarczyć ją na pokład wahadłowca. Proszę powiadomić pana Briggsa, w którym promie została umieszczona. Będzie nim kierował zdalnie.

- Ja to zrobię, sir - zaofiarował się Morales.

- Wydawało mi się, że miałeś być w przedziale bojowym - stwierdził Cole.

- Jestem, ale nie ma pan nikogo, kto byłby bliżej ładowni - odparł chłopak, a w tle słychać było tupot jego stóp o pokład korytarza.

- Zostały cztery minuty, sir - oświadczyła Christine.

- Najmniej mi teraz trzeba odliczania - zganił ją poirytowany kapitan.

Minęła kolejna minuta.

- Załatwione, sir - zgłosił się Morales. - Bomba jest na pokładzie „Archiego”.

- Świetnie. Panie Briggs, proszę otworzyć śluzę i wystrzelić „Archiego” w stronę tej kuli energii z maksymalną prędkością nadświetlną.

- Wahadłowiec wystartował - zameldował Malcolm. - Ale jego konstrukcja nie wytrzyma maksymalnej prędkości. Za kilka minut się rozpadnie.

- Kilka minut powinno wystarczyć. I tak mamy zamiar go wysadzić.

- A co ze mną, sir? - zapytał Morales.

- Wracaj do przedziału bojowego - powiedział Cole.

- Ale jak? - zdziwił się chłopak.

Szlag by to!, pomyślał Cole. *Tylko mi nie mów tego, co zaraz usłyszę...*

- Jestem na pokładzie „Archiego”, sir. Myślałem, że tam kazał mi pan iść.

- Zakładaj, chłopie, skafander próżniowy! - ryknął kapitan.
- Ale już!

- A gdzie je trzymacie... Już wiem!

- Jak tylko go założysz, masz się katapultować w przestrzeń.

- To go zabije, Wilsonie - wtrąciła się Sharon Blacksmith.

- Miejmy nadzieję, że nie.

- Nie rozumiesz tego? Jeśli nawet przeżyje lot z prędkością nadświatlną, będzie warzywem. A na wypadek, gdybyś o tym zapomniał, nadal nie mamy na pokładzie lekarza!

- Przecież nie chodzi tu o wybór pomiędzy chłopakiem a wahadłowcem, do jasnej cholery! - wydarł się Cole. - Albo zginie on, albo całe miasto pełne ludzi!

- Jestem gotów do katapultowania, sir - zgłosił się Morales.

- Jezu, słyszałeś to wszystko? - zapytał kapitan.

- Proszę się nie martwić, sir. Zawsze marzyłem, żeby zostać takim bohaterem jak pan.

Bohaterowie tacy jak ja, pomyślał gorzko Cole.

- W porządku, synu. Nie wiem, jaką radę ci dać, ponieważ nikt z nas, może prócz Śliskiego, nigdy nie przebywał na zewnątrz statku lecącego z prędkością nadświatlną. Spróbuj przyjąć pozycję płodową, żeby chronić najbardziej vitalne narządy. Podejmiemy cię za jakieś trzydzieści sekund.

- Lecę, sir.

I zapadła kompletna cisza.

Briggs śledził „Archiego” na sensorach krótkiego zasięgu.

- Kontakt za piętnaście sekund, sir - oznajmił. - Zakładając,

że wahadłowiec nie spali się przed dotarciem do celu albo go nie minie.

- Proszę się tym tak nie przejmować, jeśli zniszczymy ten impuls, zobaczymy to na wszystkich ekranach. Proszę się skoncentrować na odnalezieniu chłopaka.

- Mam go, sir!
- Porusza się, daje jakieś znaki życia?
- Niestety, nie.

Nagle na wszystkich ekranach pojawiło się oślepiająco jasne światło i zgasło dopiero po kilku sekundach.

- Załatwione - zameldował Briggs. - Impuls energii przestał istnieć.

- A co z chłopakiem?
- Nie będziemy tego wiedzieli, dopóki go nie podejmiemy.

Akcja ratownicza Moralesa trwała dłużej niż obiecywane przez kapitana trzydzieści sekund. Dłużej nawet niż dwie minuty. Ale zanim jeszcze zdjęto z niego skafander, wszyscy wiedzieli, że zginął natychmiast po opuszczeniu wahadłowca.

- Ubierzcie go porządnie - rozkazał Cole. - Odprawię ceremonię i pochowamy go w przestrzeni.

- A co potem? - zapytał Forrice.
- Potem polecimy na ryby - oświadczył ponuro kapitan.

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY ÓSMY

Cole zakończył czytanie wyjątków ze strasznie zużytej Biblii, którą znalazł w swoim biurze, i chwilę później ciało Moralesa poszybowało w przestrzeń.

- Spełnił swoje marzenia - powiedział Forrice. - Zginął jak bohater.

- Tylko głupcy giną na własne życzenie - odparł Cole z ponurą miną. - Bohaterowie żyją dalej.

- Mogłeś go ocalić.

- To prawda.

- Ale za cenę zniszczenia całego miasta.

- To też prawda.

- Zmieniłem zdanie - stwierdził Molarianin. - Już nie chcę być kapitanem.

- Wcale ci się nie dziwię - powiedział Cole.

Wsiadli do najbliższej windy i wjechali razem na mostek, gdzie Wal i Domak obejmowały właśnie następną wachtę.

- Cztery Oczy, masz wolne już od kilku godzin - przypomniał kapitan. - Dlaczego nie idziesz spać?

- Molarianie nie potrzebują aż tak wiele snu.

- Akurat.

- No dobrze, masz mnie. Chcę tu być, kiedy dopadniemy tego Rekina.

- Obudzę cię, jak tylko go zobaczymy. Ale poszukiwania mogą potrwać nawet kilka godzin, a wolałbym, żebyś był wtedy przytomny.

- Niech ci będzie - zgodził się niechętnie Forrice. - Tylko nie zapomnij mnie obudzić, zanim zacznie się zabawa.

- Masz to jak w banku.

Molarianin ruszył w stronę wind.

- Świetnie - mruknął kapitan i zaraz dodał: - Czy ktoś wie,

gdzie podział się nasz przeciwnik?

- Nie znalazłam po nim nawet śladu - oznajmiła Domak.
- Ja też nie - dodała Wal.
- Nie mógł przecież odlecieć daleko - stwierdził Cole. - Poruczniku Domak, proszę przeanalizować ujęcia, na których zarejestrowano trafienie, jakie otrzymał „Pegaz”. Oczyszćcie je, jak tylko się da i przekażcie do analizy panu Odomowi.

- Tak jest.
- Ja pierwsza chcę go dopaść - przypomniała mu Walkiria.
- Nie widzę wielu chętnych, którzy zamierzaliby dopaść go przed tobą - zauważył Wilson. - A tak Przy okazji, jak wysoki jest ten stwór?

- Ma może stopę więcej niż ja.
- Ale jest za to ze trzy razy szerszy w barach - uznał Cole. - Jak, u licha, masz zamiar pokonać taką bestię?

- Spędziłam całe życie, ćwicząc pokonywanie takich bestii - odparła.

- Celna odpowiedź - powiedział i zaraz dodał w myślach: *Celna, ale bezsensowna.*

Poczuł nagle przyptyw głodu. Uświadomił sobie też, że nie jadł już od dwunastu godzin.

Udał się więc do mesy, gdzie zamówił kanapki i piwo. Ledwie zajął miejsce przy stoliku, podszedł do niego Mustafa Odom.

- Mogę się dosiąść? - zapytał.
- Ależ proszę.

Mechanik odsunął krzesło.

- Przyjrzałem się tym zdjęciom „Pegaza”.
- Jest pan ekspertem w tych sprawach - powiedział kapitan.

- Jak daleko mógł odlecieć w takim stanie?

- Uszkodziliście mu zarówno napęd, jak i stabilizatory - odparł Odom. - Na moje oko, ale tylko na nie, mógł pokonać najwyżej dziesięć do dwunastu lat świetlnych, zanim wszystko

padło. Musiał zatrzymać się ponownie, aby dokonać najpotrzebniejszych napraw albo porzucić ten statek.

- Dzięki - powiedział Cole, wstając. - To właśnie chciałem usłyszeć.

- Przepraszam, sir - zatrzymał go mechanik - ale nie zjadł pan jeszcze drugiej kanapki.

- Proszę się poczęstować - zachęcił go Wilson i już pędził do windy. Chwilę później dostał się na mostek.

- Poruczniku Domak, ile systemów gwiazdnych znajduje się w promieniu dwunastu lat świetlnych od Krętej Rzeki?

- Cztery, sir.

- W ilu z nich znajdziemy planety z atmosferą tlenową?

Polonoi sprawdziła odczyty.

- W żadnym, sir.

- Wiedziałem... - mruknął Cole i dodał: - Pilocie, oblećmy wszystkie planety tych systemów, może z wyjątkiem gazowych gigantów.

- Tak jest - odparł Wxakgini ze swojej półki.

- Poruczniku, proszę wykonać pełen skan otoczenia każdej planety, do której się zbliżymy. Jeśli pan Odom się nie myli, na jednej z nich powinniśmy znaleźć „Pegaza”.

- Co mam zrobić, jeśli go znajdę? - zapytała Domak.

- Nic. Wystarczy, że mnie pani powiadomi.

Zauważył, że Wal zaczęła sprawdzać swoją broń, upewniając się, czy wszystko działa jak należy.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że Rekin każe otworzyć do nas ogień, jak tylko zobaczy „Teddyego R” i raczej nie będziemy mieli szans podejść do niego na taki dystans, żebyś mogła skorzystać z tych pistoletów?

- Być może - odparła - ale wolę być przygotowana na każdą ewentualność.

- I to się chwali. Chciałem cię jednak ostrzec, że w

przypadku, gdy Rekin stanie do walki, może zająć konieczność zniszczenia „Pegaza”.

- Daj mu szansę na walkę ze mną - powiedziała Wal. - Na pewno z niej skorzysta.

- Naprawdę uważasz, że zdołasz go pokonać? - zapytał Cole. - On wygląda naprawdę wyjątkowo.

- Załatwię drania.

Przyjrzał jej się uważnie i chociaż nieraz widział ją w akcji i znał jej umiejętności, za nic nie potrafił sobie wyobrazić jej zwyczajstwa nad Rekinem Młotem.

- Nie patrz na mnie w ten sposób! - ostrzegła go Walkiria. - Zasłużyłam na szansę pokonania tego łotra.

- Dobrze - zgodził się Wilson. - Jeśli Rekin odezwie się do nas, zanim zacznie strzelać, złożę mu taką propozycję. - Odwrócił się do Domak. - Będę w mesie oficerskiej. Dajcie mi znać, jak go znajdziecie.

Opuścił mostek i przespacerował się do podnieszczanego salonu dla oficerów, gdzie starał się zażyć relaksu, oglądając holograficzne występy piosenkarek, muzyków, iluzjonistów i posągowych nagich kobiet. Niestety, nie potrafił się skoncentrować na przekazach i wyłączył holo po dwudziestu minutach. Chwilę później zobaczył przed sobą postać Domak.

- Tak? - zapytał czujnie.

- Sprawdziliśmy systemy Priminetti i Vasquez, sir. Cztery planety w pierwszym i siedem w drugim, pomijając gazowe giganty. Nie wykryliśmy żadnych śladów „Pegaza”.

- Szukajcie nadal. Albo znajdziecie ten statek na planetach kolejnych dwóch systemów, albo już nigdy nie poczęstuję pana Odoma kanapką.

- Tak jest - odparła i jej wizerunek natychmiast zniknął.

Nadal był niespokojny, ale nie chciał, aby widziano, jak

przechadza się nerwowo po mostku. Wolał, by jego nastrój nie udzielił się załodze. Zastanawiał się też przez moment nad wpadnięciem do sekcji bezpieczeństwa i złożeniem wizyty Sharon. Kontakt z nią pozwoliłby mu uwolnić się od katongi czekania i zachować świeżość umysłu, gdy w końcu nastąpi zetknięcie z wrogiem. Już miał opuścić salonik, gdy Domak pojawiła się przed nim po raz drugi.

- Znaleźliśmy go, sir.

- Świetnie! Gdzie jest?

- Na piątej planecie systemu Hamilton, sir - zameldowała. - Sprawdziałam w atlasach, ale żadna z nich nie nosi nazwy, więc najprawdopodobniej jest to tylko Hamilton V.

- Każ pilotowi utrzymywać aktualną pozycję - rozkazał Cole. - I obudź Cztery Oczy. Zaraz do was dołączę.

Opuścił salonik oficerski, pokonał krótki korytarz łączący go z mostkiem i już po chwili mógł przyrzeć się przesyłanemu przez sensory widokowi „Pegaza” stojącego na rozległej, pustej równinie.

- Czy ktoś nad nim pracuje?

- Dwaj ludzie są na zewnątrz, sir. Mają na sobie kombinezony ochronne - zameldowała Domak.

- Jest pani całkowicie pewna, że to ludzie? - zapytał.

- Na pewno nie ma tam Rekina - zapewniła go Polonoi. - On daje zupełnie inne odczyty.

- Zatem czeka na nas we wnętrzu kadłuba?

- Tak, sir.

- Dobrze. Dajmy mu znać, że już tu jesteśmy.

- Nie mam dostępu do konsoli komunikacyjnej, sir - przypomniała mu Domak.

- Wyślijmy mu zatem coś bardziej interesującego niż komunikat. Kto jest w przedziale bojowym?

- Idena Mueller i Braxyta, sir.

- Ideno, słyszy mnie pani?
- Słyszemy pana, a nawet widzimy - odparła kobieta, gdy jej hologram pojawił się na mostku.
- Chciałbym, żebyście wystrzelili z działa laserowego w kierunku „Pegaza” - powiedział Cole.
- Co takiego? - wydarła się Wal.
- Zamknij się - warknął kapitan i odwrócił się do hologramu Ideny. - Chciałbym, żebyście chybili o około sto jardów. Przy drugim strzale macie chybić o siedemdziesiąt pięć. Możecie to zrobić?
- Tak jest.
- Świetnie, możecie otworzyć ogień, jak tylko będziecie gotowi. - Cole odwrócił się do Walkirii. - Próbuję odzyskać twój statek. Jeśli jeszcze raz mi przeszkodzisz albo zakwestionujesz mój rozkaz, rozpieprzę go na strzępy i odlecimy stąd w diabły. Zrozumiano?

Widział, że walczy ze sobą, aby się opanować. W końcu jednak rozsądek przeważał nad złością i skinęła niechętnie głową.

- Rozumiem i przepraszam.
- Nie przepraszaj mnie - odparł - ale nie rób tego więcej.
- Pierwszy strzał oddany - powiadomiła wszystkich Domak, gdy promień lasera stopił skały sto jardów od kadłuba.
- Wal, podnieś wszystkie osłony i ekrany - rozkazał Cole. - Jeśli Rekin uzna, że ten strzał to nie próba kontaktu, tylko atak, może odpowiedzieć ogniem.
- Zrobione - zameldowała Wal.
- Teraz mamy drugi strzał - zameldowała Domak.
- Dobrze - stwierdził Wilson. - Musiał się już domyślić, że nie mogliśmy chybić dwa razy z rzędu. Na pewno nie po tym, jak trafiliśmy go z obrzeży systemu Krętej Rzeki. Teraz czas na jego ruch.

Przez następną minutę nic się nie działo. Potem hologram Rekina Młota pojawił się na środku mostka i obrzucił Cole'a złowrogim spojrzeniem.

- Mów, co masz do powiedzenia - rzucił pirat. - Potem rozpocznie się bitwa.

- Jaka tam bitwa - prychnął kapitan. - Nie dość, że jesteś uziemiony, to mamy miażdżącą przewagę ogniową.

- Ja to wiem. Ty to wiesz. Ale na pewno nie zwracałeś mojej uwagi na siebie, żeby rozmawiać na ten temat.

- Wiesz, chłopie, ciebie naprawdę nie da się polubić - stwierdził Wilson.

- I jestem z tego niezmiernie dumny.

- W to akurat nietrudno uwierzyć.

- Mów, co masz do powiedzenia - zażądał Rekin.

- Obaj wiemy, że bez trudu mogę zniszczyć ci ten stateczek i wytłuc jego załogę, bez względu na to, czy jest wewnątrz czy już na zewnątrz - powiedział Cole. - Problem tylko w tym, że to nie twój statek, tylko jej - wskazał na Wal. - A ona chce go odzyskać.

- To, czego ona chce, mało mnie obchodzi.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Ale nadal mogę odzyskać „Pegaza” i dlatego mam dla ciebie pewną ofertę. - Rekin wbił w niego wzrok, ale się nie odezwał. - Taką samą jak przedtem. Jeśli ty i twoja załoga złożycie broń i poddacie się, wysadzimy was na pierwszej niezamieszkannej planecie z atmosferą tlenową, na jaką trafimy. Nie oddam wam jednak broni i nie zgłoszę waszej pozycji żadnej przelatującej w pobliżu jednostce ani okolicznym światom. Będziecie tam uwięzieni, ale przynajmniej przeżyjecie. Więc jak, umowa stoi?

- Wolę już zginąć w walce, niż żyć jak niewolnik, nawet w więzieniu o rozmiarach całej planety - oświadczył Rekin.

- Obawiałem się, że to powiesz - przyznał kapitan. - Dobrze.

Wysłuchaj zatem kolejnej propozycji. - Pirat znów nie odezwał się nawet słowem - Były dowódca „Pegaza”, podałbym ci imię, którego aktualnie używa, ale wątpię, by ci cokolwiek powiedziało, chce ci dać szansę na to drugie rozwiązanie. Miałem na myśli śmierć w walce.

- Nie rozumiem.
- Uda się na tę planetę i wyzwie cię na pojedynek. Jeśli wygra, załoga podda się i zwróci statek oraz wszystko, co się na nim znajduje.
- A j eśli j a wygram?
- „Pegaz” będzie twój i zostawimy cię w spokoju.
- Wilsonie! - z tyłu rozległ się bezcielesny, ale mocno wściekły głos Sharon.
- Na cholerę nam „Pegaz”, jeśli on zabije Wal? - wyjaśnił jej Cole, a potem spojrzał w oczy Rekina. - Zgadzasz się na takie rozwiązanie?

- W zasadzie tak - odparł pirat. - Ale musimy zmienić jeden szczegół.

- Jaki znowu szczegół? - zapytał zaciekawiony Cole.
- Właśnie do mnie dotarło, że ty nie stawiasz na szali niczego cennego. Ta kobieta nie jest członkiem twojej załogi, więc jest ci obojętne, czy przeżyje tę walkę, czy zginie. Przyznałeś też, że nie interesuje cię „Pegaz”. Więc jeśli wygram, ty niczego nie stracisz. Dlatego powinniśmy podbić stawkę.

- W jaki sposób?
- Zaakceptuj tę twoją propozycję, jeśli to ty zajmiesz jej miejsce.

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY DZIEWIĄTY

Cole wpatrywał się w Rekina Młota przez całą minutę, milcząc.

- I co ty na to? - zapytał w końcu pirat.
- Wchodzę w to - odparł kapitan.

- Wilsonie! - wrzasnęła Sharon.
- Oszalałeś? - Forrice natychmiast przyłączył się do niej.
- Uspokójcie się wszyscy. On mnie wyzwiał na pojedynek, ja przyjąłem wyzwanie. Koniec, kropka.
- Nie, komandorze Cole - zaprotestował Rekin. - Koniec nastąpi jakieś dwie sekundy po rozpoczęciu walki.
- Kapitanie Cole, jeśli łaska. Jaką bronią będziemy walczyli?
- Jej wybór pozostawiam tobie - stwierdził wspaniałomyślnie pirat. - Tylko nie kombinuj z tymi waszymi wojskowymi cudeńkami. Ja wolę walkę na zwykłe szerokie miecze.
- Nie wątpię - zgodził się Wilson. - Problem w tym, że my ich nie mamy.
- W takim razie palniki, piszczałki, pistolety pulsacyjne, co sobie życzysz - powiedział Rekin. - Zaakceptuję każdy twój wybór.
- Piszczałki.
- Znakomicie. Piszczałki mogą być.
- I jeszcze jedno - dodał Cole.
- Tak?
- Nie zamierzam walczyć w miej scu, w którym ktoś z załogi „Pegaza” może mi strzelić w plecy.
- Nie będę potrzebował niczyjej pomocy - zapewnił go pirat.
- Mimo to...
- Rozumiem, że masz w tym względzie propozycję.
- Dwie mile od miejsca, w którym wylądował twój statek, jest górski grzbiet - powiedział Cole. - Dolecę tam wahadłowcem i wyląduję na jego najdalszym skraju. Na „Pegazie” nie ma takiej broni, która mogłaby strzelić na taką odległość, nie zabijając przy tym nas obu.
- Skąd mam wiedzieć, że nie przylecisz z połową załogi? -

zapytał Rekin.

- Wyląduję, zanim wyruszysz na tę górę i prześlę ci na „Pegaza” hologramy wnętrza mojego promu. Możemy rozmawiać podczas tej transmisji, żebyś miał pewność, że to nie będą zarejestrowane wcześniej obrazy. Jeśli to cię zadowoli, stanę tam sam, z pistoletem sonicznym w dłoni, i zobaczymy, kto z nas przeżyje.

- Umowa stoi! - zawołał z entuzjazmem pirat. - Będę tym, który zastrzelił sławnego Wilsona Cole'a!

- Raczej niesławnego - poprawił go kapitan. - Wahadłowiec opuści pokład „Teodora Roosevelta” za pięć albo sześć minut. Trzymaj oczy z dala od... Wybacz, nie odbieraj tych słów jako osobistego przytyku.

Rekin nie usłyszał jednak ostatnich słów, moment wcześniej przerwał połączenie.

- Jest w kadłubie „Pegaza” - poinformowała Domak.

- Wilsonie - odezwał się hologram Sharon. - Wiesz o tym, że broń soniczna nie działa na planetach pozbawionych atmosfery.

- Tak, wiem - przyznał Cole - ale nasz przyjaciel, poniekąd słusznie zwany Młotem, chyba przeoczył ten szczegół. Zaczynam odnosić wrażenie, że to nie jest najbystrzejsza rybka w naszym stawie.

- Ale z pewnością jest o wiele silniejszy od ciebie, a znajdziesz się tam bez żadnej broni.

- Zatem będę musiał improwizować - stwierdził kapitan, odwracając się do Walkirii. - Pójdiesz ze mną do doków.

- Idziesz tam z nią, a nie ze mną? - zapytała na poły wściekłym, a na poły urażonym głosem Sharon.

- Zgadza się - odparł Cole.

- Pozwolisz mi walczyć w twoim imieniu? - zapytała z nadzieją w głosie piratka, gdy kierowali się do wind.

- Nie. Dałem mu przecież słowo.

- Ale tylko ja mogę go pokonać - zaprotestowała.
- Nie mamy zbyt wiele czasu - przerwał jej kapitan - więc przestań się wyklócać i posłuchaj, co mam do powiedzenia.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, gdy wysiedli z windy i ruszyli w stronę doku.

- No dalej, nawijaj.
- Tak już lepiej - stwierdził. - Jak tylko odleczę, masz wrócić na mostek i monitorować ruchy Rekina. Gdy zobaczy, że wylądowałem, powinien opuścić „Pegaza”.
- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.
- Zaraz do tego dojdziemy

Przekazał Wal szczegółowe instrukcje, wszedł na pokład „Kermity” i poleciał nim na powierzchnię planety, lądując po zachodniej stronie grzbietu górskiego, tam gdzie obiecał. Choć był pewien, że załoga „Pegaza” nie spuściła go z oka nawet na moment, wystrzelił kilka chemicznych flar, żeby piraci nie mieli żadnych wątpliwości, gdzie się znajduje.

- Pokaż mi teraz wewnątrz twojego wahadłowca - zażądał Rekin.

Cole uszczelnił hełm i wyszedł z kabiny, żeby kamery holo mogły pokazać całe jej wnętrze.

- A teraz powiedz coś do mnie, żebyśmy wiedzieli, że to nie jest wcześniejsze nagranie - powiedział pirat.

- A teraz mówię coś do ciebie, żebyś wiedział, że to nie jest wcześniejsze nagranie - odparł Wilson. - Wylądowałem po zachodniej stronie góry, jak było umówione, i wystrzeliłem dwie flary. Zadowolony?

- Już po ciebie idę - oświadczył Rekin. - Dotarcie na miejsce powinno mi zająć nie więcej niż dwanaście standardowych minut. Masz tyle czasu na pogodzenie się ze swoim Bogiem, komandorze Cole, ponieważ za trzynaście minut będziesz zimnym trupem.

- Ile razy mam ci powtarzać, że jestem kapitanem?
- Za moment staniesz się byłym kapitanem.
- Oszczędzaj oddech - poradził mu Cole. - Nie chcę, żeby ktoś potem powiedział, że załatwiłem cię, ponieważ byłeś zbyt zmęczony, żeby wytrzymać trudy walki albo wyczerpał ci się tlen.

Rekin wymamrotał coś, co musiało być wyzwiskami w jego rodzimej mowie i przerwał transmisję.

Cole wrócił do „Kermita”, uszczelnił właz, zdjął hełm i usiadł za konsolą dowodzenia. Odczekał siedem minut, a potem włączył radio podprzestrzenne.

- W porządku, Wal - powiedział. - Już czas. Posłucham, jeśli nie masz nic przeciw.

- Jak chcesz - odparła. - Tutaj „Teddy R”. Wzywam „Pegaza”. Przypatrzcie się mi dobrze. Chcę, żebyście wiedzieli, kto do was mówi. - Zamilkła na chwilę. - Znam was dobrze, zdradzieckie sukinsyny, a wy mnie jeszcze lepiej. A skoro wiecie, kim jestem, musicie też zdawać sobie sprawę, że nie rzucam słów na wiatr. Jeśli nie wystartujecie dokładnie za minutę i nie polecicie dwieście mil na wschód, rozkażę rozpieprzyć ten cholerny złom, tam gdzie teraz leży! Jeśli wykonacie moje polecenie, daję słowo, że odtransportujemy was na jakąś planetę z atmosferą tlenową. Będziecie na niej uwięzieni, ale przeżyjecie. Jeśli

za czterdzieści pięć sekund to pudło się nie ruszy, wydam rozkaz strzelania. - Dłuższa przerwa. - Jeśli spróbujecie zwać z tej planety, wasze ciała będą krążyły po jej orbicie przez następny milion lat. - I ostatnia przerwa. - W porządku, kapitanie. Ruszyli, lecą teraz na wschód.

- Daj im jakiś dowód na to, że cały czas śledzicie ich ruchy - poradził jej Cole. - Coś, co ich zachęci do tego, żeby pozostali na

miej scu następnego lądowania.

- Tak jest.
- A niech mnie kule biją - mruknął Wilson.
- O co chodzi? - zapytała Wal.
- Po raz pierwszy od wylądowania na pokładzie „Teddyego R” zwróciłaś się do mnie w tak oficjalny sposób. Będzie mi przykro, kiedy nas opuścisz.

Przerwał połączenie i przełączył się na kanał Rekina.

- Nadal tu leziesz? - zapytał.
- A gdzie miałbym iść?
- Bo wiesz, mam dla ciebie taką niezbyt zachęcającą wiadomość - powiedział Cole. - Właśnie zmieniłem zdanie.

- O czym ty mówisz? - zapytał Rekin.
- Już nie chce mi się z tobą walczyć - dodał kapitan i odpalił silniki „Kermita”. - Może innym razem.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś tchórzem. Te wszystkie medale nigdy ci się nie należały - stwierdził pirat. - Kiedy wrócę na „Pegaza” i go naprawię, dopadnę cię i następnym razem nie pozwolę tak łatwo uciec.

- Z tym możesz mieć mały problem - ostrzegł go Wilson. - Ile zostało ci jeszcze tlenu w skafandrze?

- Wystarczająco.
- Na przejście dwustu mil? - zapytał kapitan. - Nie wydaje mi się.

- O czym ty gadasz! - wydarł się Rekin.
- Za chwilę sam się przekonasz - odparł Cole i wystartował.

Wrócił na pokład „Teddyego R” pięć minut później. Wal, Sharon i Forrice czekali na niego przy dokach.

- Nieźle - stwierdziła roześmiana piratka.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego wybrałaś puszczalną? - zapytała Sharon.
- Bo gdyby coś nie zagrało i musiałbym podjąć walkę,

wolałbym stanąć twarzą w twarz z wrogiem, który ma w dłoni niedziałający pistolet - wyjaśnił Wilson, gramoląc się z wnętrza skafandra.

- Chyba miałeś rację - powiedział Forrice.
- Na jaki temat? - zapytał Cole. Molarianin zarzucił ciężką kończynę na ramiona przyjaciela.
- Głupcy giną. Bohaterowie żyją dalej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- A niech to wszystko szlag! - darła się Walkiria, stojąc w ładowni „Pegaza” z rękami wspartymi na biodrach. - Szlag, szlag, szlag! - Wpatrywała się w niewielki, otwarty i kompletnie pusty kontener. - Gdzie się podziały meladotiańskie kryształy? - zapytała.

- On je sprzedał - odparł jeden z przerażonych członków załogi.

- Komu?

- Nie wiemy. Poleciał na powierzchnię planety z kryształami i wrócił z pieniędzmi.

- Dobra. Wrócił z pieniędzmi - ucieszyła się Wal. - I gdzie one są?

- Ukrył je.

- Na statku?

- Nie. Chyba nam nie ufał.

- Tak, co do tego jednego chyba miał rację - stwierdziła z odrazą. - Gdzie je schował?

- Miał meliny rozsiane po całej Wewnętrznej Granicy.

Odwróciła się do Cole'a, który siedział z boku i przypatrywał się jej w milczeniu.

- Cholera jasna! Nie kupię nowego napędu nadprzestrzennego bez tych pieprzonych kryształów!

- Nie sądzisz chyba, że „Teddy R” sfinansuje ci taki zakup - odparł Wilson.

Posłała mu piorunujące spojrzenie, a potem przeniosła je na jednego z załogantów.

- Dobra, bękarty! - wrzasnęła. - Rozmontować mi zaraz działo pulsacyjne i osłony energetyczne.

- Co mamy z nimi zrobić?

- Przenieście je na pokład „Teddyego R.” - odparła. - Ten zadowolony z siebie fagas - wskazała na Cole'a - powie wam,

gdzie je umieścić. Jeśli nie będziecie kombinować, wylądujecie na terenie jakiejś kolonii, zamiast na niezamieszkanym planecie.

- Jestem ci wdzięczny za ten dar - przyznał kapitan - ale dlaczego chcesz się pozbyć tak cennych rzeczy?

- Ja się ich nie pozbywam - oświadczyła. - Zabieram je ze sobą.

Cole rozejrzał się po ładowni.

- Gdzie możemy porozmawiać na osobności? - zapytał.

- Tam - odparła, prowadząc go do niewielkiego magazynu. Jego wrota rozsunęły się przed nimi i zamknęły, kiedy weszli do środka.

- Wal, nie chciałem sprzeczać się z tobą na oczach twoich ludzi, ale nie mamy w ładowniach tyle miejsca, żeby składować tam bez końca cały twój dobytek.

- Nie będziecie go składować - odparła. - Zamontujecie ekrany i dział tam, gdzie trzeba.

- Powiedziałas, że zabierasz je ze sobą, jeśli mnie pamięć nie myli - stwierdził zdezorientowany Cole.

- Tak. Jestem przecież trzecim oficerem na „Teddym R”.

- Zostałaś nim tymczasowo, do odzyskania „Pegaza”.

- Bez tych kryształów nie zdołam go naprawić.

- Możesz skombinować sobie mniejszy statek.

- Zapomnij.

- Dlaczego nagle zmieniłaś zdanie? - zapytał kapitan.

- Bo przemyślałam sobie kilka spraw - odparła Wal. - Twoi ludzie zrezygnowali ze wszystkiego, aby podążyć za tobą. Moi sprzedali mnie za kilka groszy. Jestem cholernie dobrym dowódcą, ale może te kilka chwil spędzonych na pokładzie „Teddy’ego R.” sprawi, że stanę się jeszcze lepsza.

- Nie ma sprawy - stwierdził Cole - ale niczego ci nie obiecuję.

- Gdybym wycelowała w ciebie pistolet pulsacyjny, Forrice i

Sharon, nie mówiąc już o całej reszcie załogi, zastłoniliby cię własną pierśią. - Skinęła głową w stronę wrót, za którymi jej dawni ludzie rozmontowywali teraz uzbrojenie. - A te bękarty wystrzelałyby się wzajemnie, walcząc o to, który może mnie zabić. Powinnam zostać z tobą, przynajmniej do momentu, w którym zrozumie, z czego wynika ta różnica.

- Będziemy szczęśliwi, jeśli zostaniesz z nami - powiedział Cole. - Sprawa zamknięta.

Podszedł do wrót, poczekał, aż się rozsuną, a potem poprowadził załogę zdobytego statku na „Teddy’ego R”. Dał piratom pół dnia na przeniesienie uzbrojenia, które mogło mu się przydać, w tym czasie Wal ograbiła „Pegaza” ze wszystkiego, co miało jeszcze jakąś wartość, a czego Rekin nie zdążył spieniężyć albo wymienić. Potem zabezpieczyli uszkodzony okręt przed ewentualnymi złodziejami i umieścili go w bezpiecznym miejscu, aby doczekał lepszych czasów, kiedy będą mogli go wyremontować. Starą załogę wysadzili zgodnie z obietnicą na jednej z rolniczych kolonii, aby móc spokojnie wrócić na Krętą Rzekę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

- Weszliśmy na orbitę Krętej Rzeki - zameldował Forrice. - Lepiej nie siedzmy tutaj za długo. Poprzednim razem mieliśmy wiele szczęścia, ale teraz policja i flota mogą nas już nie przeoczyć. Ktoś na powierzchni tej planety mógł widzieć, jak „Pegaz” unicestwia trzy statki Muscatela.

- Każ wracać Moyerowi i reszcie - powiedział Cole i zamilkł na moment. - Popatrz, nasz okręt jeszcze kilka miesięcy temu miał na pokładzie cztery wahadłowce. Potem straciliśmy „Quentina” razem z kapitanem Fujiamą, a teraz sami zniszczyliśmy „Archiego”. Zostały nam już tylko „Kermit” i „Alice”. Wydaje mi się, że po spieniężeniu pierwszych łupów powinniśmy

zastąpić brakujące promy.

- Niezła myśl.
- Czy Teodor Roosevelt nie miał przypadkiem sześciorga dzieci? Które imiona pominięto przy nazywaniu wahadłowców?
- Zaraz sprawdzę - powiedział Sokołow, który akurat pełnił dyżur przy komputerach. Po dłuższej chwili podniósł głowę i dodał: - Edith i Teodor Junior.
- W takim razie nazwiemy je „Edith” i „Teodor Junior”. Dostając pięćdziesiąt procent ceny rynkowej, powinniśmy szybko odrobić straty.

Cole skrzywił się, mówiąc te słowa.

- Co się stało? - zapytał Cztery Oczy.
- Słyszałeś, co właśnie powiedziałem? - zapytał Cole. - Jestem oficerem floty, a bredzę o procentach od wartości rynkowej. Gadam jak, nie przymierzając, rzeczoznawca od ubezpieczeń.
- Nie jesteś już oficerem ani rzeczoznawcą - przypomniał mu Molarianin. - Jesteś teraz piratem.
- Ale nie widzę różnicy. Nigdy nie byłem biznesmenem i nie chcę gadać jak oni.
- Ktoś tutaj ma parszywy nastrój - zauważył Forrice.
- Ktoś tutaj ma cholernie parszywy nastrój - uściślił Wilson. - Pamiętasz, jak służyliśmy przed laty na „Sofoklesie”? Czy wtedy choć przez myśl ci przeszło, że będziemy wybierali cele, oceniając wyłącznie, ile procent wartości rynkowej przyniosą nam zrabowane na nich dobra?
- Strzel sobie kielicha gorzały czy co wy tam pijacie na uspokojenie - poradził mu Cztery Oczy. - Zaczynasz mnie dołować.
- A kogo mam dołować, jeśli nie najlepszego przyjaciela?
- Zawsze masz jeszcze mnie - wtrącił głos Sharon.

- Czy tobie nigdy się nie znudzi podsłuchiwanie prywatnych rozmów członków załogi? - zapytał Cole.

- Jeśli rozmowy są prowadzone na mostku, nie zaliczają się do kategorii prywatnych - skontrowała natychmiast. - Popieram wniosek Forrice'a. Zachowuj się, jak przystało na bohatera i przestań dołować pierwszego oficera.

- Dobrze - zgodził się. - W takim razie chodź na drinka, zdołuję ciebie zamiast niego.

- W mesie?

- Wolałbym nie dołować wszystkich jedzących - odparł oschle Wilson. - Przyjdź do mojego biura.

- Dobrze - odparła. - Mam tylko nadzieję, że nie myślisz o uprawianiu seksu na tym twoim malutkim biurku.

- W ogóle nie myślę o uprawianiu seksu.

- Ty naprawdę masz doła - stwierdziła. - Będę tam za pięć minut.

Cole szedł do kapitańskiego gabinetu z mieszanymi uczuciami. Najpierw pomyślał, że przyczyną przygnębienia stała się śmierć Moralesa, ale równie szybko uzmysłowił sobie, iż to nie może być prawda. Ledwie znał tego młodzieńca, a decyzja, którą podjął, może i była bolesna, ale jednocześnie bardzo prosta. Nie mógł się też przejąć śmiercią Rekina czy uszkodzeniem „Pegaza”. Ale coś go jednak gryzło i spędził niemal cały dzień, starając się znaleźć przyczynę tego stanu.

- Cześć - powiedziała Sharon, wchodząc do biura i stawiając na blacie butelkę. - Masz, schłaj się jak świnia. W końcu jesteś wśród przyjaciół. - Spojrzał na flaszkę, ale nie sięgnął po nią. - Wiek, w którym wyglądałam świetnie, wrzucając winne grona do ust faceta spoczywającego w półleżącej pozycji, mam już wprawdzie za sobą - ciągnęła Sharon - ale dzisiaj mogę zrobić wyjątek i wlać ci trochę tej gorzały do gardła.

- Może później - stwierdził. - Nie chce mi się pić.
- W czym problem? - zapytała Sharon, poważniejąc. - Widziałam cię już spiętego, wściekłego, sfrustrowanego, a nawet wystraszonego, ale jeszcze nigdy nie byłeś tak przygnębiony. Pomyślałabym, że Wal zaczęła się do ciebie przystawiać, ale nie widzę żadnych poważniejszych obrażeń.

Nie potrafiła się powstrzymać od uśmiechu na tę myśl, ale zniknął z jej ust tak szybko, jak się tam pojawił.

- Sam nie wiem - odparł Cole. - Kiedy byłem dzieckiem, oglądałem wszystkie przygodowe produkcje holo. Opowieści o piratach należały do moich ulubionych. A teraz zostałem prawdziwym piratem i co dzięki temu udało nam się osiągnąć? Zniszczyliśmy „Achillesa”, zabiliśmy jego załogę, tego dzieciaka, paru facetów na Picacio IV, Rekina Młota, rozwaliliśmy „Pegaza”, sprowokowaliśmy bitwę, w której uległy zniszczeniu trzy statki Muscatela. - Tu westchnął ciężko. - I co zyskaliśmy na tylu przypadkach śmierci i zniszczenia? Wyższy procent od wartości rynkowej. - Podniósł na nią oczy. - Naprawdę uważasz, że warto było?

- Nie powinieneś pytać, czy warto było, tylko czy mieliśmy inny wybór - odparła. - Mógłbyś na to spojrzeć jak na kosmicznie wielki żart.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Spójrz na to wszystko z innej perspektywy - zaproponowała Sharon. - Uratowałeś pięć milionów istnień i skazano cię za to na sąd polowy. Zabijeś tylu ludzi i doprowadziłeś do zniszczenia ich statków i w nagrodę otrzymałeś dziesięciokrotne podniesienie procentu zysku. - Uśmiechnęła się. - Nie uważasz, że Bóg ma pokręcone poczucie humoru?

- Wiesz - odparł, a w jego głosie nie było już tak wielkiego napięcia - jeśli spojrzeć na tę sprawę pod takim kątem...

- Widzisz? - przerwała mu. - Zależy, jak na to patrzysz. Niektórzy ludzie, widząc Forrice'a, uciekają z wrzaskiem, a ty dostrzegasz w nim wyłącznie swojego najlepszego przyjaciela. Niektórzy ludzie, patrząc na Wal, widzą w niej tylko obiekt seksualnego pożądania, a ty uważasz, że jest idealną maszyną do zabijania. Wszystko zależy od punktu widzenia.

- Wiesz co? - powiedział Cole, odkorkowując butelkę. - Cholernie się cieszę, że cię poznałem.

- Skoro sytuacja nabrzmiała do tego stopnia, powiem tylko, że ja też się cieszę z tego faktu - odparła Sharon. - A jeśli nie zniechęciły cię moje słowa o niewygodnym biurku, moglibyśmy sprawdzić, czy nabrzmiało coś jeszcze oprócz sytuacji...

Otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale w tym samym momencie obok drzwi pojawił się hologram porucznika Sokołowa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale Dawid Copperfield nalega na osobistą rozmowę z panem.

- Teraz?

- Tak, sir.

Cole westchnął.

- Dobrze, przełącz go.

Sekundę później ujrzał hologram nienagannie ubranego i cholernie wystraszonego pasera.

- Witaj, Dawidzie - powitał go.

- Steerforth, nie może mnie pan teraz opuścić! - wrzasnął kosmita.

- Nikt nie zamierza pana opuszczać - uspokoił go Cole. - Jest pan teraz naszym ulubionym paserem. Wprawdzie kryształ Olivii Twist nie wypaliły, ale wkrótce przywieziemy panu następne łupy... - Zamilkł na moment. - Ale nie przylecimy już

na pokładzie „Teddy’ego R.”. Lepiej nie kusić losu.

- Pan nie rozumie! - gorączkował się nadal Copperfield, na jego twarzy malowało się przerażenie. - Chcę dostać się na pokład pańskiego okrętu razem z pańskimi ludźmi. To sprawa życia i śmierci.

- Czyjej?

- Mojej! - wrzasnął kosmita.

- Uspokój się, Dawidzie, i powiedz mi, powoli i dokładnie, na czym polega twój problem - poprosił kapitan.

- Wystawiłem wam Rekina Młota.

- Spokojnie. Nie ma się czego bać. On już nie żyje.

- Ale on rozesłał po sześciu innych piratach wiadomość, że go sprzedałem, a oni przekazali ją wszystkim swoim przyjaciółom. Nie mogę zostać na tej planecie, Steerforth! Do tej pory wystawiono z tuzin kontraktów na moją głowę! Musicie mnie zabrać ze sobą!

- Skąd pan wie, że on rozpowszechnił tę wiadomość? - zapytał Cole.

- Dostałem już dwa przekazy z inwektywami, grożono mi w nich śmiercią! Pan mnie w to wplątał, Steerforth, pan i panna Olivia! Musicie mnie teraz ratować!

- Dobrze - zgodził się kapitan. - Przyleci pan na pokład z Moyerem, Nicholsem i Peponem. Ale co z pańskimi ludźmi? A co ważniejsze, co z pańskim magazynem? Jeśli zostawi pan te wszystkie dobra, wypadnie pan z interesu. A jeśli zostawi pan swoich ludzi, zorientują się szybko, że pan uciekł, i najprawdopodobniej od razu rozgrabią wszystkie towary. Mogę pana wysadzić na dowolnej planecie, ale bądźmy szczerzy: kosmita, któremu wydaje się, że jest postacią z książki Karola Dickensa i nawet ubiera się jak ona, nie będzie trudnym celem do namierzenia.

- Zabierzcie też moich ludzi - piszczał Copperfield. - Wiem, że macie problemy z niedoborem załogi. A oni są wierni, nieustraszeni i nie mogę ich tutaj zostawić. Piraci, którzy chcą mnie załatwić, raczej zniszczą mi dom i składy z orbity, na pewno nie pofatygują się po mnie osobiście.

- Ilu pan ma tych swoich pomagierów?

- Czternastu.

- Samych ludzi?

- Tylko dziesięciu. Do tego Lodinitę, dwóch Mollutei i Bedalianina.

Cole rzucił Sharon pytające spojrzenie, a ta skinęła przyzwalająco głową.

- Dobrze. Jeśli przejdą pomyślnie weryfikację w naszej sekcji bezpieczeństwa, pozwolę im zostać na pokładzie.

- Weryfikację? - powtórzył kosmita, omal nie wpadając w panikę. - Przecież to sami kryminaliści! Wie pan o tym, Steerforth.

- To nie będzie standardowa procedura kontrolna - zapewnił go Cole. - Chcę się dowiedzieć, jakie przestępstwa popełnili i kim były ich ofiary. A nade wszystko chcę wiedzieć, czy kiedykolwiek zabili swoich pracodawców. - Copperfield wyglądał na mocno niezdecydowanego. - Albo się pan zgodzi, albo oni zostaną na Krętej Rzece - dodał Cole.

- Zgadzam się - odparł w końcu paser. - Ale obawiam się, że pod tymi warunkami niektórzy z nich nie zechcą przyłączyć się do pańskiej załogi. Sądzę, że spróbują szczęścia tu na miejscu albo na innych planetach... - Przerwał na moment. - Ale będą musieli dolecieć innym statkiem. Pańscy ludzie twierdzą, że wszyscy nie pomieścimy się w wahadłowcu.

- Powinniście się pomieścić, chociaż będzie panował niezły ścisk.

- Nie da rady, muszę zabrać kolekcję książek Dickensa.

Cole zmarszczył brwi.

- Ile książek według pana napisał Dickens?

- Samego „Klubu Pickwicka” mam ponad sześćset egzemplarzy.

- Możemy po nie wrócić.

Copperfield zaprzeczył nerwowym ruchem głowy.

- Ja tam nie wrócę. Kto wie, jakie pułapki na mnie zastawią. No i poza tym, mogą rozwalić wszystko z orbity. Moja kolekcja leci ze mną. Moi ludzie skombinują drugi wahadłowiec.

- Nie podoba mi się stwierdzenie: „skombinują”, Dawidzie - stwierdził Cole. - Jeśli go ukradną, policja trafi po ich tropie na „Teddyego R” i chociaż mamy nowy komplet dokumentów i sygnałów identyfikacyjnych, niewiele trzeba, żeby ktoś skojarzył, kim naprawdę j esteśmy.

- O czym pan mówi? - zapytał Copperfield. - Chyba nie do końca zrozumiałem ostatnią kwestię.

- Powiedziałem, że mają wynająć albo kupić tę jednostkę - sprecyzował kapitan. - Jeśli ją ukradną, nie wpuszczę ich na pokład. Stać pana na to. Jest pan przecież bogatym człowiekiem... czy czym tam pan jest.

- To była okrutna uwaga, Steerforth - powiedział kosmita tonem pełnym wyrzutu. - Zraniłeś mnie do żywego.

- Wybacz, Dawidzie. Ale w tym jednym nie popuszczę. Nie mogą ukraść statku i ściągnąć na mnie uwagi władz.

- Zgoda!

- Przykro mi z powodu gadulstwa Rekina - dodał jeszcze Wilson. - Wygląda na to, że wypadnie pan z interesu.

- Gadanie - prychnął Copperfield. - Mam magazyny rozsiane po całej Republice.

- Nie chcę gasić pańskiego optymizmu, Dawidzie, ale ma pan zamiar wsiąść na pokład jednego z najbardziej poszukiwanych okrętów w galaktyce. W chwili, gdy „Alice”

znajdzie się w doku, wyruszymy w głąb Wewnętrznej Granicy i nigdy więcej tutaj nie wrócimy.

- W takim razie znajdę inny sposób, by zaspokajać moje niewielkie potrzeby.

- Widziałem twój dworek - stwierdził Cole. - Skromnym na pewno nie można go nazwać.

- Był tylko na pokaz dla mojej klienteli - wyjaśnił Copperfield. - Ja zdołam utrzymać się za co najwyżej sześć milionów rocznie.

- Cieszy mnie, że nie będziemy musieli się martwić o twój wikt i opierunek - powiedział kapitan ze sporą dawką ironii. - Zawarliśmy umowę, Dawidzie. Czas wycofać moich ludzi i zawiadomić twoich pomagierów. Im dłużej „Teddy R.” pozostaje na orbicie, tym większe jest prawdopodobieństwo, że ktoś go przyuważy i po nitce do kłębka dojdzie, z kim ma do czynienia.

- Oczywiście, mój drogi Steerforth - powiedział kosmita. - Zobaczmy się niebawem... - Zamilkł na moment. - Aha! Będę potrzebował kabiny dla siebie i trzech kolejnych na moje zbiory. Tak na marginesie, chyba wybaczę ci zdeprawowanie biednej, niewinnej, małej Emily.

- Co takiego? - zapytała Sharon.

- To miało miejsce na Ziemi, ponad trzy tysiące lat temu - wyjaśnił Copperfield. - A ona była bardzo młoda i porywczą.

Rozłączył się.

- Zdaje się, że uzupełniliśmy stan załogi, nie mówiąc już o bibliotece pokładowej - stwierdził Cole. - Jakież komentarze?

- Tylko jeden.

- Tak?

- Lepiej skorzystajmy z tego biurka, zanim zostanie zasypane książkami Dickensa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY DRUGI

„Teddy R.” przez następne dwa dni leciał w głąb Wewnętrznej Granicy. Na pokładzie zameldowało się siedmiu pomagierów Copperfielda - pięciu ludzi i dwóch Mollutei - którzy zostali szybko przeszkoleni przez Byka Pampasa i Idenę Mueller. Zainstalowano dodatkowe działo pulsacyjne. Natomiast ekrany energetyczne wywalono w próżnię, gdy okazało się, że ich oprogramowanie nie chce współpracować z systemem komputerowym okrętu.

Wilson Cole czuł narastające przygnębienie, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

Stał właśnie na mostku, odbierając meldunki o aktualnej sytuacji od Christine Mboyi i Malcolma Briggsa. Jeden piracki statek został dostrzeżony na szlaku z Bindera X na Nową Rodezję, drugi myszkował wokół systemu Volaire, pewien paser, rezydujący na planecie Bienvenutti III, znajdującej się zaledwie dwadzieścia lat świetlnych od granic Republiki, oferował siedem procent za wszystkie towary. Złoto podróżowało, diamenty staniały, sprzęt wciąż był w cenie. Pirat posługujący się nazwiskiem Vasco da Gama oświadczył, że zakazuje innym piratom wstępu do systemów Złotnik i Naraboldi i zamierza bronić ich całą mocą swojej pięciojednostkowej armady.

W końcu Cole poczuł, że oczy mu się szklą, przeprosił więc podwładnych i poszedł do mesy, gdzie zamówił piwo, którego jednak nawet nie tknął. Siedział wciąż nieruchomy jak posąg z wyrazem wielkiego zatroskania na twarzy, gdy do sali jadalnej wszedł Dawid Copperfield. Kosmita od razu zauważył kapitana i natychmiast do niego podszedł.

- Wygląda pan na bardzo nieszczęśliwego, mój drogi Steerforth - powiedział, siadając naprzeciw Cole'a.

- Miewałem już lepsze dni.

- Mam nadzieję, że to nie ja jestem przyczyną pańskich trosk - rzekł Copperfield. - Zapewniam pana, że znajdę sposób na odrobienie poniesionych strat.

- Nie martwię się o pana - odparł kapitan. - Nigdy też nie wątpiłem, że odrobi pan wszystkie straty.

- Co pana zatem tak gnębi? - zapytał kosmita. - Może uda mi się w czymś pomóc?

- Wątpię.

- Sprawdźmy, mój szkolny druhu.

- Naprawdę chce pan to wiedzieć? - zapytał Wilson. - Staram się wybiec myślami w przyszłość o trzydzieści, a nawet czterdzieści lat, ale wciąż znajduję tylko przygnębienie. To nie będzie jedna z tych historii, jakie oglądałem pasjami w holowizji. Większość tego czasu spędzę, licząc wszystko jak jakiś księgowy.

- Oczywiście, że tak będzie - zapewnił go Copperfield. - Ale proszę potraktować to jako swoisty mechanizm obronny. Jeśli nie będzie się pan czuł jak księgowy, co panu pozostanie? Może pan tylko identyfikować się ze złodziejem, a ludzie honoru, tacy jak pan albo ja, nie cierpią, kiedy przyrównuje się ich do złodziei.

- Nie chciałbym pana urazić, Dawidzie - odparł kapitan - ale nie jest pan człowiekiem honoru. Prawdę powiedziawszy, nie jest pan nawet człowiekiem, ale za to paserem.

- Oczywiście, że jestem paserem - oświadczył ze sporą dozą dumy w głosie kosmita. - Jedyną alternatywą, jaką miałem, było zajęcie się piractwem, a obaj wiemy doskonale, że to robota nie dla nas. Dziwiło mnie, że nie pojmował pan tego od samego początku.

Cole spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Proszę kontynuować.

- Niech pan tylko spojrzy na siebie. Był pan chlubą republikańskiej floty...

- Niestety nie - wtrącił Wilson - ale proszę mówić dalej.

- Przybył pan tutaj z najwierniejszymi ludźmi z pańskiej oddanej załogi na pokładzie doskonałego okrętu wojennego. Na Wewnętrznej Granicy jest kilka jednostek, które mogłyby równać się z „Teodoreem Rooseveltem”, lecz pan na nie jeszcze nie trafił. I czego udało się panu dokonać od tamtej pory? Zniszczył pan kilka statków, zabił pan paru ludzi i kosmitów, którym - co tu dużo ukrywać - należała się śmierć, zdobywając przy tym garść kamieni, ale ich wartość, o czym obaj wiemy, nie była zbyt wielka. Taka jest natura tej profesji, mój drogi Steerforth. Nawet jak już pan połapie się we wszystkim, uzyskanie czegoś więcej niż ułamek ceny zrabowanych towarów będzie niemożliwe. Co prawda może pan negocjować ich odsprzedaż z firmami ubezpieczeniowymi, ale ile razy zdoła pan przekroczyć granice Republiki, zanim zostanie rozpoznany i schwytany? Prawdę powiedziawszy, otrzymałem informację, że dwukrotnie układał się pan z ubezpieczycielami, z czego raz o mało nie skończyło się to tragicznie.

- Nadal uczę się fachu - stwierdził obronnym tonem Cole.

Copperfield pokręcił głową.

- Nadal nic pan nie rozumie, Steerforth. Pan już poznał arkana tego fachu, i to aż za dokładnie. Tak wygląda najnormalniejsze w świecie życie pirata. - Uśmiechnął się. - Jak pan myśli, dlaczego unikałem jak mogłem zostania piratem i zająłem się paserstwem?

- Chce pan przez to powiedzieć, że mam rację? Taki los czeka nas w przyszłości, dopóki nie zostaniemy schwytani albo zabici?

Copperfield uśmiechnął się jeszcze raz, ale tak zupełnie po swojemu.

- Steerforth, Steerforth - powiedział. - Jak pan może być

takim głupcem, skoro jest pan taki mądry?

- To wymaga nie lada umiejętności - zbyt tę zniewagę kapitan. - Mam nadzieję, że zamierza mi pan wyjaśnić sens swojej uwagi?

- A kto powiedział, że musi pan być piratem? - stwierdził paser. - Nie pasujecie do tej roboty, ani pan, ani żaden z pańskich ludzi. Nie te charaktery, nie to wykszolenie.

- Na wypadek, gdyby umknęło to pańskiej uwadze przy pierwszych stu powtórzeniach: flota nie chce naszego powrotu. Chyba że prosto przed pluton egzekucyjny.

- Która flota? - zapytał Copperfield.

- Na pewno nie przyłączymy się do sił Federacji Teroni - oznajmił zdecydowanym tonem kapitan. - Walczyliśmy z nimi całe życie!

- Oprócz tego czasu, który poświęciliście na zwalczanie Republiki.

- Ktoś panu bzdur naopowiadał. Nie zdradziliśmy Republiki. Służyliśmy jej wiernie.

- Dopóki nie odpłaciła panu więzieniem - zauważył kosmita.

Cole westchnął ciężko.

- Dopóki mnie nie uwięziono.

- Chyba zeszliśmy z tematu.

- Rozmawialiśmy na temat piractwa.

- Rozmawialiśmy o alternatywach dla piractwa.

- Przyłączenie się do sił Teroni nie wchodzi w grę.

- Nigdy tego nie sugerowałem - zastrzegł się Copperfield.

- W takim razie nie nadążam za pańskim tokiem myślenia - przyznał Wilson. - Co nam jeszcze zostało?

- A kto powiedział, że naszym grajdołkiem kręci tylko Republika i Federacja Teroni? - powiedział paser. - Zostaliście wykszoleni do służenia na okręcie wojennym. Z tego, co

zauważyłem, udało się wam już nawet przyuczyć moich ludzi. Nie sądzi pan, że najwyższy czas przypomnieć sobie kim, a nade wszystko czym pan jest i przestać udawać pirata? - Cole wpatrywał się w kosmitę z uwagą, usiłując zrozumieć, do czego zmierza. - Na Wewnętrznej Granicy jest wielu walczących ze sobą władców, którzy potrzebują okrętów wojennych - kontynuował tymczasem Copperfield. - Piraci opanowali niemal całe terytorium tej części galaktyki. Ich ofiary też potrzebują obrońcy. Wiele bogatych planet jest nieustannie narażonych na plądrowanie. Trzeba więc patrolować ich okolice. Nie znam nikogo, kto nie byłby gotów zapłacić za bezpieczeństwo własne, swoich dóbr i przyszłych zdobyczy. Rozumie pan, o czym mówię?

- O najemnikach? - zapytał wciąż niepewny Cole.

- Jesteście żołnierzami na pokładzie okrętu wojennego - odparł paser. - Czy można sobie wyobrazić lepszy sposób na spożytkowanie waszych talentów?

- Kusząca myśl - przyznał kapitan. - Ale kto by chciał nas wynająć? I jak mamy go znaleźć?

- Pan nie musi nic robić - stwierdził Copperfield. - Pański agent załatwi wszystko.

- Pan?

- A któżby inny? - Kosmita wyciągnął do niego długie, kościste paluchy. - Przypieczętujemy to uściskiem dłoni?

- Wie pan, Dawidzie - powiedział Cole, czując się naprawdę wolny po tych dniach pełnych udręki - nawet Karol Dickens nie ująłby tego lepiej.

EPILOG

Cole właśnie miał zamiar opuścić mostek, gdy Dawid Copperfield wyskoczył z windy i ruszył w jego stronę.

- Co nowego? - zagaił kapitan.

- Na razie otrzymaliśmy trzy oferty - poinformował kosmita. - Ale spodziewam się nadejścia kolejnych w najbliższych dniach. Znajdujemy się z dala od terytoriów Republiki, więc nie widziałem głębszego sensu w ukrywaniu tożsamości kapitana czy nazwy okrętu.

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł - stwierdził Wilson. - Wciąż jestem uznawany za buntownika.

- Większość naszych klientów uzna to za plus - zapewnił go z uśmiechem Copperfield.

- Jakiego rodzaju zapłaty oferują?

- Różne, ale nawet najmniej korzystna oferta przyniesie panu więcej, niż zarobiłby pan w tym czasie na piractwie.

- To brzmi zachęcająco - przyznał Wilson.

- Proszę trzymać ze mną, Steerforth - powiedział Dawid Copperfield. - Zanim skończymy naszą znajomość, cała ta cholerna Granica będzie należała do nas.

- Jakoś to przeżyję - odparł Cole.

Anekt

Aneks pierwszy

*Zaczął się w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Oglądałem w towarzystwie Carol w miejscowym kinie jakiegoś koszmarnego gniota i gdzieś tak w połowie wymamrotałem: „Dlaczego marnuję czas na siedzenie tutaj, skoro mógłbym robić coś naprawdę interesującego, na przykład opisać historię rodzaju ludzkiego od jego narodzin aż po wyginięcie?”. Po chwili Carol szepnęła w odpowiedzi: „Właśnie, dlaczego tego nie zrobisz?”. Zebraliśmy się natychmiast, wyszliśmy z kina i jeszcze tej nocy rozpisałem plan nowej powieści noszącej tytuł: **„Birthright: The Book of Man”**, w której zamierzałem zarysować losy ludzkości od momentu, w którym człowiek zdołał przekroczyć prędkość światła, aż po jego wyginięcie osiemnaście tysięcy lat później.*

Miałem przed sobą masę pisania. Podzieliłem odległą przyszłość na pięć epok politycznych - Republikę, Demokrację, Oligarchię, Monarchię oraz Anarchię i osadziłem w nich akcję dwudziestu sześciu opowiadań (nazwanych potem w „Analogu”, nie bez racji zresztą, „demonstracyjnymi”), w których zająłem się wszystkimi najważniejszymi aspektami ludzkiej rasy, zarówno dobrymi, jak i złymi jej stronami. Nie było w nich jednego bohatera - głównie za sprawą tego, że akcja każdego rozgrywała się w odstępach co najmniej kilkuset lat (o ile nie uznacie za niego Człowieka przez duże C, z czym akurat moglibyście polemizować - ja przynajmniej tak bym zrobił - bowiem moim zamierzeniem było przedstawienie studium zachowań jednostki).

*Sprzedziałem ten pomysł wydawnictwu Signet razem z powieścią **„The Soul Eater’** Pomysł „wszechświata Pierworodnych” tak spodobał się mojemu ówczesnemu wydawcy, Sheili Gilbert, że natychmiast poprosiła,*

abym wprowadził do

książki parę zmian i umieścić jej akcję właśnie w tej przyszłości. Zgodziłem się, a same zmiany nie zabrały mi więcej niż jeden dzień. Podobną prośbę Sheila wyraziła także, ale niejako awansem, do powstających właśnie tetralogii **„Tales of the Galactic Midway”** i **„Tales of the Velvet Comet”** oraz powieści **„Valpurgis III”**. Z perspektywy czasu zauważam, że tylko dwie z trzynastu powieści, jakie napisałem dla Signetu nie dotyczyły tych realiów.

Kiedy przeniósłem się do wydawnictwa Tor Books, mój nowy wydawca, Beth Meacham, także zapalała chęcią kontynuacji uniwersum Pierworodnych i większość książek złożonych u niej - nie wszystkie, ale naprawdę zdecydowana większość - mieściła się w tych ramach: **„Santiago”, „Ivory”, „Paradise”, „Purgatory”, „Inferno”, „A Miracle of Rare Design”, „A Hunger in the Soul”, „The Outpost”** i **„The Return of Santiago”**.

Gdy Ace wyraził chęć wydania **„Soothsayer”, „Oracle”** i **„Prophet”**, prowadząca go Ginjer Buchanan także założyła, że dostarczę jej teksty umieszczone w rzeczywistości uniwersum Pierworodnych - i tak też się stało, gdyż w tym okresie wiedziałem już znacznie więcej o osiemnastu tysiącach lat historii człowieka w kosmosie i dwóch milionach światów, które odwiedził. Dlatego pisało mi się o tych wydarzeniach o wiele szybciej i prościej.

Prawdę powiedziawszy, zacząłem także umieszczać w tym uniwersum akcję moich opowiadań. Dwa z nich, te, które zdobyły nagrody Hugo (**„Seven Views of Olduvai Gorge”** i **„The 43 Antarean Dynasties”**), także dotyczyły świata Pierworodnych, podobnie jak z piętnaście innych tekstów opublikowanych w tamtych latach.

Także Bantam, do którego przeniósłem się po jakimś czasie,

gdy doszło do rozmów z Janną Silverstein (choć odeszła z firmy do innego wydawnictwa, zanim zamówione przez nią książki się ukazały) liczył na to, że będę kontynuował i trylogia „Widowmaker” zostanie wpleciona w mój wielki projekt. Potraktowałem więc słowa Janny jak klasyczne zamówienie i je zrealizowałem.

Ostatnio wręczyłem Meishy Merlin kolejną książkę - nie zgodnicie - także osadzoną w tych realiach.

A gdy przyszło mi zasugerować powstanie serii klasycznego science fiction w wydawnictwie Pyr, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ich akcja nie będzie się rozgrywała we wszechświecie Pierworodnych.

HISTORIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

W ciągu tych niemal czterdziestu lat napisałem tak wiele tekstów dotyczących tej wersji przyszłości, że nie pamiętam już dokładnie, kto i kiedy nakłonił mnie do rozwinięcia mojego pomysłu. A szkoda, bo chciałbym mu gorąco podziękować.

Aneks drugi

Najgęściej zaludnionym sektorem wszechświata Pierworodnych (a mówię tutaj zarówno o ilości systemów, jak i ich mieszkańców) jest twór polityczny ewoluujący od Republiki przez Demokrację i Oligarchię do Monarchii. W jego granicach znajdują się miliony zamieszkanymi i nadających się do zamieszkania planet. Ziemia okazała się zbyt mała i za bardzo oddalona od galaktycznych szlaków, by pozostać stolicą Człowieka i dlatego właśnie, kilka tysięcy lat po rozpoczęciu ekspansji, centrum geopolityczne zostało przeniesione na Deluros VIII, ogromną planetę o powierzchni niemal dziesięciokrotnie większej od tej, którą dysponowaliśmy na Ziemi, ale o niemal identycznej grawitacji i składzie atmosfery. W środkowym okresie zwanym Demokracją, powiedzmy, że za około cztery tysiące lat, wszystkie lądy tej planety pokryje jedno ogromne miasto. Natomiast w czasach Oligarchii, nawet taki gigant jak Deluros VIII stanie się zbyt ciasny dla miliardów biurokratów zarządzających galaktycznym imperium i aby temu zaradzić dojdzie do rozbicia innego giganta, Delurosa VI na czterdzieści osiem ogromnych planetoid, aby na każdej z nich umieścić jeden z departamentów rządowych (z czego cztery przypadną wojsku).

Ziemia tymczasem stanie się przyjaznym zadupiem, gdzieś na końcu spiralnego ramienia galaktyki. Nie sądzę, bym umieścił na niej akcję zbyt wielu utworów.

Przestrzenie na skraju Galaktyki zyskały miano Obrzeży, na tym obszarze niewiele jest zamieszkanymi planet, a jeśli już, to posiadają one nielicznych mieszkańców. Tereny te nie mają żadnej wartości militarnej, zatem ich patrolowanie można powierzyć pojedynczym, niewielkim jednostkom, takim właśnie jak „Teodor Roosevelt”, które chronią czasem nawet setki

HISTORIA WSZECHŚWIATA PIERWORODNYCH

rozsianych po Obrzeżach Światów. W późniejszych erach terytoria te staną się własnością wojowniczych władców feudalnych, ale ich szaleństwa, ze względu na odległość i małą wagę Obrzeży, ujdą uwadze rządzących centrum Galaktyki albo zostaną wręcz zignorowane.

Mamy tu jeszcze Wewnętrzną i Zewnętrzną Granicę. Zewnętrzną Granicą nazywa się terytoria rozciągające się pomiędzy skrajnymi sektorami Republiki, Demokracji, Oligarchii i Monarchii a Obrzeżami, natomiast Wewnętrzna Granica to o wiele mniejszy (ale wciąż olbrzymi) obszar w samym centrum Galaktyki, rozciągający się pomiędzy masywną czarną dziurą leżącą w jej środku, a granicami Republiki etc.

Na terytoriach Wewnętrznej Granicy rozgrywa się akcja większości tekstów, jakie napisałem o wszechświecie Pierworodnych. Lata temu znakomity pisarz R. A. Lafferty zadał znaczące pytanie: „Czy w przyszłości, gdy nad wszystkim panować będzie duch nauki, znajdzie się miejsce dla mitologii? Czy wielkie czyny będą opisywane po epicku czy tylko liniami kodu komputerowego?”. Stwierdziłem, że gotów jestem poświęcić sporą część mojego życia zawodowego, by stworzyć taką mitologię przyszłości, doszedłem też do wniosku, że takie opowieści, w których mamy wybitne postacie i barwne tło, wymagają umiejscowienia na terenach słabiej zamieszkanym, gdzie trudno o rzetelnego kronikarza, który spisałby dokładnie wszystkie fakty, za to łatwo o rządzących, którzy zrobią wszystko, aby prawda o tych wydarzeniach nie wyszła na jaw. I tak dość arbitralnie wybrałem Wewnętrzną Granicę na miejsce narodzin mojej mitologii i zaludniłem ją ludźmi o charakterystycznych nazwiskach, takich jak Catastrophe Baker, Widowmaker, Cyborg de Milo czy wiecznie młody Forever Kid. Dzięki takim zabiegom mogę snuć opowieści o wielkich bohaterach (a

czasami i antybohaterach), ale także i bardziej realistyczne historie rozgrywane się o tysiące lat świetlnych od Granic, w sercu Republiki czy Demokracji albo ich kolejnych wcieleń.

Przez dziesiątki lat wypełniałem Galaktykę treścią. Mam w niej dobrze znane gromady gwiazdne, jak Albion, Quinellus czy też im podobne oraz kilka nowych, które pojawiają się dopiero na kartach tej książki, jak na przykład Feniks czy Kasjusz. Są pojedyncze planety, niektóre nawet okazują się na tyle ważne dla opowieści, że trafiają do tytułów książek (Walpurgis III), niektóre przewijają się w kilku okresach historycznych i poświęconym im tekstach (Deluros VIII, Antares III, Binder X, Keepsake, Spica II) a wiele innych, setki (a teraz już chyba tysiące nawet) planet (a także ras, co sobie właśnie uświadomiłem) wspomniane jest jeden jedyny raz.

Mam też w tym świecie jeśli nie krainy zła, to przynajmniej nielojalną opozycję. Niektóre z tych tworów, na przykład imperium Sett, rozpoczną wojnę z ludzkością i na tym koniec. Inne, jak Bliźnięta Canphor (czyli Canphor VI i VII) zostaną podzielone i częściowo będą służyć po naszej stronie przez niemal dziesięć tysięcy lat. Ale już taki Lodin XI nie będzie tak stabilny, a jego poparcie dla ludzkości zależeć będzie od aktualnej sytuacji politycznej.

Wciąż jeszcze konstruuje mój wszechświat, rozbudowuję go politycznie i geograficznie od ponad trzydziestu pięciu lat i z każdym opowiadaniem albo powieścią staje się on coraz pełniejszy, przynajmniej dla mnie. Dajcie mi jeszcze trzy dekady, a będę świecie wierzył w każde słowo, które o nim napisałem.

Aneks trzeci

Rok Era Epoka	Tytuł
1885 A.D. 1898 A.D.	
1982 A.D.	
1983 A.D.	
1985 A.D. 1987 A.D.	
„The Hunter” (Ivory)	
„Himself” (Ivory)	
<i>Sideshow</i>	
<i>The Three-Legged Hootch Dancer</i>	
<i>The Wild Alien Tamer The Best Rootin' Tootin' Shootin'</i>	
<i>Gunslinger in the Whole Damned Galaxy</i>	
2057 A.D. „The Politician” (Ivory)	
2988 A.D. = 1 G E.	
16 G.E. Republika 264 G.E. Republika 332 G.E. Republika 346	
G.E. Republika 367 G.E. Republika 396 G.E. Republika 401 G.E.	
Republika	
„The Curator” (Ivory)	
„The Pioneers” (Birthright)	
„The Cartographers” (Birthright) <i>Walpurgis III Eros Ascending</i>	
„The Miners” (Birthright)	
<i>Eros at Zenith</i>	

- 442 G.E. Republika *Eros Descending*
- 465 G.E. Republika *Eros at Nadir*
- 522 G.E. Republika „Ali the Things You Are”
- 588 G.E. Republika „The Psychologists” (Birthright)
- 616 G.E. Republika *A Miracle of Rare Design*
- 882 G.E. Republika „The Potentate” (Ivory)
- 962 G.E. Republika „The Merchants” (Birthright)
- 1150 G.E. Republika „Cobbling Together a Solution”
- 1151 G.E. Republika „Nowhere in Particular”
- 1152 G.E. Republika „The God Biz” 1394 G.E. Republika
„Keepsakes”
- 1701 G.E. Republika „The Artist” (Ivory)
- 1813 G.E. Republika „Dawn” (Paradise)
- 1826 G.E. Republika *Purgatory*
- 1859 G.E. Republika „Noon” (Paradise)
- 1888 G.E. Republika „Midafternoon” (Paradise)
- 1902 G.E. Republika „Dusk” (Paradise)
- 1921 G.E. Republika *Inferno*
- 1966 G.E. Republika *Starship: Mutiny*
- 1967 G.E. Republika *Starship: Pirate*
- 1968 G.E. Republika *Starship: Mercenary*
- 1969 G.E. Republika *Starship: Rebel*
- 1970 G.E. Republika *Starship: Flagship*
- 2122 G.E. Demokracja „The 43 Antarean Dynasties”
- 2154 G.E. Demokracja „The Diplomats” (Birthright)
- 2275 G.E. Demokracja „The Olympians” (Birthright)
- 2469 G.E. Demokracja „The Barristers” (Birthright)

2885 G.E. Demokracja „Robots Don't Cry”
2911 G.E. Demokracja „The Medics” (Birthright)
3004 G.E. Demokracja „The Politicians” (Birthright)
3042 G.E. Demokracja „The Gambler” (Ivory)
3286 G.E. Demokracja *Santiago*
3322 G.E. Demokracja *A Hunger in the Soul*
3324 G.E. Demokracja *The Soul Eater*
3324 G.E. Demokracja „Nicobar Lane: The Soul Eater's Story”
3407 G.E. Demokracja *The Return of Santiago*
3427 G.E. Demokracja *Soothsayer*
3441 G.E. Demokracja *Oracle*
3447 G.E. Demokracja *Prophet*
3502 G.E. Demokracja „Guardian Angel”
3719 G.E. Demokracja „Hunting the Snark”
4375 G.E. Demokracja „The Graverobber” (Ivory)

4822 G.E. Oligarchia „The Administrators” (Birthright)
4839 G.E. Oligarchia *The Dark Lady*
5101 G.E. Oligarchia *The Widowmaker*
5103 G.E. Oligarchia *The Widowmaker Reborn*
5106 G.E. Oligarchia *The Widowmaker Unleashed*
5108 G.E. Oligarchia *A Gathering of Widowmakers*
5461 G.E. Oligarchia „The Media” (Birthright)
5492 G.E. Oligarchia „The Artists” (Birthright)
5521 G.E. Oligarchia „The Warlord” (Ivory)
5655 G.E. Oligarchia „The Biochemists” (Birthright)
5912 G.E. Oligarchia „The Warlords” (Birthright)

- 5993 G.E. Oligarchia „The Conspirators” (Birthright)
- 6304 G.E. Monarchia *Ivory*
- 6321 G.E. Monarchia „The Rulers” (Birthright)
- 6400 Monarchia „The Symbiotics” (Birthright)
G.E.
- 6521 G.E. Monarchia „Catastrophe Baker and the Cold
Equations”
- 6523 G.E. Monarchia *The Outpost*
- 6599 G.E. Monarchia „The Philosophers” (Birthright)
- 6746 G.E. Monarchia „The Architects” (Birthright)
- 6962 G.E. Monarchia „The Collectors” (Birthright)
- 7019 G.E. Monarchia „The Rebels” (Birthright)
- 16201 GE. Anarchia „The Archaeologists” (Birthright)
- 16673 GE. Anarchia „The Priests” (Birthright)
- 16888 GE. Anarchia „The Pacifists” (Birthright)
- 17001 GE. Anarchia „The Destroyers” (Birthright)
- 21703 G.E. „Seven Views of Olduvai Gorge”

Aneks czwarty

ZASADY GRY W BILSANGA STWORZONE PRZEZ MLKE'A RESNICKA I ALEXA WILSONA

Liczba graczy:

Dwóch.

Plansza:

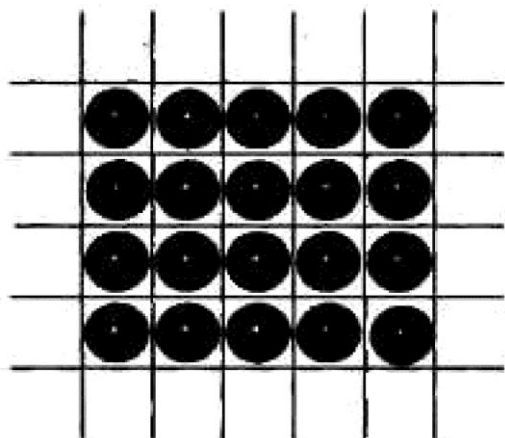
Jakakolwiek płaska powierzchnia.

Pionki:

Dwadzieścia podobnych żetonów (monet, kamyków, cukierków itd.).

Ustawienie:

Dwadzieścia żetonów, zwanych Galaktykami, układa się na płaskiej powierzchni w czterech rzędach po pięć żetonów. Kompletny zestaw Galaktyk zwany jest Znanym Wszechświatem.

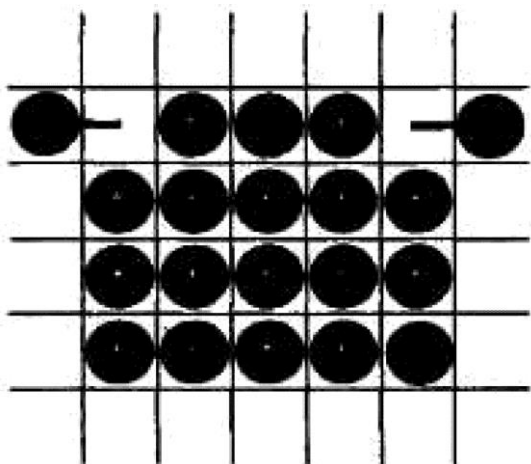
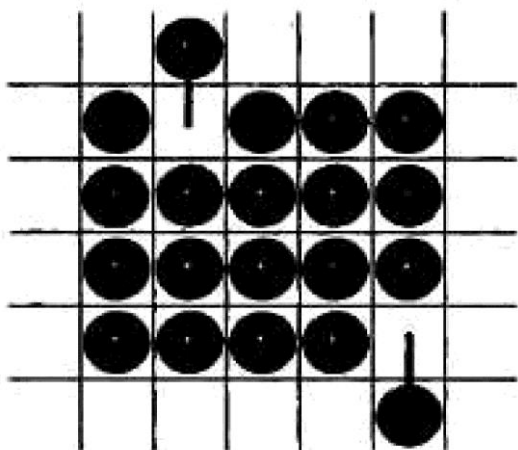


Rozgrywka:

Gdy przychodzi kolej na Gracza, porusza on czy też ona dwiema dowolnymi Galaktykami w przeciwnym kierunku albo w poziomie, albo w pionie. Gracze muszą poruszać Galaktykami w różnych kierunkach. Jeśli pierwszy Gracz wykonał ruch w poziomie, drugi musi wykonać ruch w pionie. Gracze mogą poruszać Galaktykami, zbliżając je do siebie bądź je oddalając.

Przykłady pierwszego ruchu:

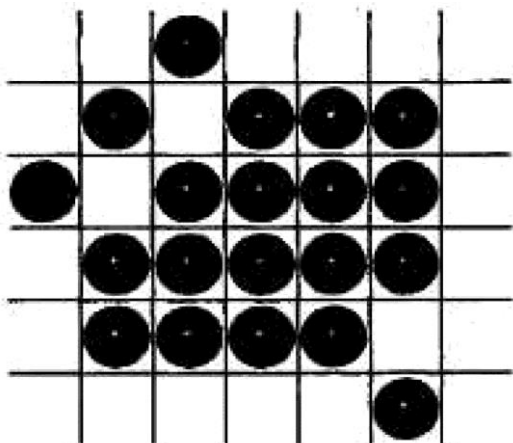
Ruchy niedozwolone:



Gracze nie mogą poruszać obiema Galaktykami, które zostały przesunięte przez poprzednika. Dopuszczalne natomiast jest przesunięcie jednej z nich i jednej nowej.

Ruch nie może oddzielić jakiegokolwiek Galaktyki od Znanego Wszechświata. Wszystkie Galaktyki muszą pozostawać w kontakcie z co najmniej jedną Galaktyką nawet po skosie.

Oto przykład prawidłowego ustawienia:



w którym następujący ruch:

●		
aa	aa	a
T a	aa	a
●●	aa	a
aa	aa	
		*
		# ^ *
		*
		A

staje się niedozwolony, ponieważ dolna Galaktyka przestała mieć połączenie ze Znanym Wszechświatem.

Kary:

Jeśli Gracz zdecyduje, że chce poruszyć Galaktyki w tej samej orientacji co jego przeciwnik, ten drugi może w ramach kary dla pierwszego poruszyć tylko jedną Galaktyką zamiast dwóch.

(Przykład: Gracz numer jeden porusza dwiema Galaktykami w poziomie. Gracz numer dwa nie może poruszyć swoimi w pionie, więc wybiera zmianę i porusza nimi w poziomie. Gracz numer jeden musi teraz wykonać ruch w pionie, ale tylko jedną Galaktyką zamiast wymaganych dwóch.)

Jeśli Gracz nie może poruszyć Galaktykami w żadnej orientacji (nie wykonując niedozwolonego ruchu opisanego powyżej), musi usunąć jedną Galaktykę ze Znanego Wszechświata. Galaktyka ta zostaje uznana za Straconą, a Gracz musi trzymać wszystkie Stracone Galaktyki przy sobie. Zdjęcie Galaktyki nie może pozostawić żadnej innej Galaktyki bez kontaktu ze Znanym Wszechświatem.

Cel:

Gra kończy się, gdy tylko jedna Galaktyka pozostanie w Znanym Wszechświecie. Gracz, który ma mniej Straconych Galaktyk, zostaje jej zwycięzcą.

Strategia:

Weteran *bilsanga* wie doskonale, jak wykorzystywać kary dla uzyskania przewagi i zmienia kierunki gry, kiedy to może przynieść sukces - nie tylko wtedy, gdy musi to zrobić - oraz uważnie wybiera Galaktyki, które musi zdjąć z planszy.

Alex Wilson (www.alexwilson.com) jest pisarzem i aktorem z północnego Ohio, który mieszka obecnie w Carrboro w Północnej Karolinie. Publikował artykuły dotyczące RPG w „Dragon Magazine” i opowiadania w „Isaac Asimov”. Aktualnie pracuje nad projektem dotyczącym wydawania audiobooków pod nazwą *Telltale Weekly*.

Aneks piąty

ZASADY GRY W TOPRENCH STWORZONE PRZEZ MIKE'A RESNICKA I MIKE'A NELSONA

Wgłębi obszaru zwanego Obrzeżami dwie wielkie stacje kosmiczne zawarły kruchy rozejm dotyczący pasa przestrzeni szerokiego zaledwie na sto czterdzieści tysięcy mil. Stacje Toprench i Tri-Yangton toczyły ze sobą od wielu stuleci wojnę o terytorium zwane Kanalem Ori, jedno z niewielu miejsc na tym odludziu, przez które tysiące frachtowców musiały przelatywać ze względu na niezwykle warunki grawitacyjne wytworzone przez pobliskie systemy gwiazdne.

W czasie obowiązywania rozejmu mechanicy obsługujący baterie broni laserowej wymyślili grę, w której wykorzystywali dziesięć luf swoich dział (ustawionych na ogień pojedynczy, rzecz jasna). Każdy z nich zaraz po rozpoczęciu wachty dokonywał przeglądu baterii. Na każdej wachcie działomistrz musiał przeprowadzić test każdej lufy, aby sprawdzić ich gotowość bojową na wypadek nagłego zakończenia kruchego rozejmu. Robił to w określonej kolejności, według pryzmatycznych barw, jakie generowały (kiedy światło przechodzi przez pryzmat, jest rozszczepiane na wiele barw), wedle starego schematu znanego jako ROYGBIV - co w języku angielskim stanowiło skrót ciągu barw: czerwonej, pomarańczowej, żółtej, zielonej, niebieskiej, indygo i fioletowej. Dodatkowo wykonywał (lub wykonywała, jako że wielu z tych mechaników było kobietami) analizę stanu artylerii przeciwnika (naocznie i dzięki skanerom), na wypadek gdyby wojna rozgorzała na nowo na jego (jej) wachcie. Każda stacja wykonywała przeglądy według własnego wzorca, jednocześnie obserwując przebieg tej procedury po drugiej stronie.

Jedynymi zmianami, jakie mogły nastąpić w tym rytuale, były odstępstwa od wzorów testowych, możliwe dzięki temu, że

każdą lufę można było przeprogramować na dowolny z wymienionych kolorów albo dodać biały do tego zestawu (kombinując wszystkie barwy), czarny (odcinając wszystkie barwy) albo ultrafioletowy (niewidzialny dla ludzkiego oka z drugiej stacji, ale wykrywalny dzięki skanerom), co dawało możliwość maksymalnie dziesięciu ustawień każdej lufy. Tworzyły one krąg i każda z nich musiała przejść test podczas wachty, a te, które okazywały się niesprawne, były natychmiast wymieniane, aby zachować stuprocentową sprawność działa. I właśnie ten proces, podczas którego kolejni mechanicy obserwowali poczynania swoich przeciwników testujących wzorce barw w kolejnych lufach, doprowadził po jakimś czasie do powstania tak znanej gry. Na początku wachty każdy mechanik ustalał wzorzec testu. Musiał go potem zapisać. Jego przeciwnik miał dwa zadania do wykonania: „przechwycić” wiązkę ultrafioletową, określając, w której lufie znajdzie się ten najważniejszy i najbardziej śmiertelny promień, i odgadnąć ustawienie pozostałych dziewięciu barw w innych lufach. Ten mechanik, który dokonał tego w mniejszej ilości ruchów, wygrywał.

Rozgrywka toczyła się bardzo długo, ale mechanicy mieli czas, wachty bowiem trwały podówczas po dwanaście godzin! 2. Gra polegała na tym, że każdy mechanik ustalał własny wzorzec testowy i starał się odgadnąć jego ustawienie przez przeciwnika (aktualnych wzorców nigdy nie używano, ponieważ w sytuacji

* Wielokrotnie trwały jeszcze dłużej ze względu na dokończenie rozgrywki w Toprench.

2 Stacja Toprench oszukiwała, umieszczając szpiega w szeregach mechaników strony przeciwnej. Edita Petrick był istotą, która mogła być mężczyzną, kobietą, nie posiadać płci, albo wykazywać równocześnie cechy obu. Edita uaktywnił się tuż przed końcem konfliktu i przekazywał wszystkie wzorce testowe na Toprench, dzięki czemu mechanicy tej stacji mogli częściej wygrywać. W późniejszym okresie dowództwo Toprench zorientowało się, że te informacje mogą być przydatne nie tylko do oszukiwania w grze i dzięki nim doprowadziło do zakończenia konfliktu.

bojowej przez każdą lufę przebiegały wszystkie barwy na przemian). Jedną z luf zawsze ustawiano na czarny (albo wyłączano, żeby nie została zakwalifikowana do wymiany), jedną na białe (czyli do stanu gotowości bojowej) i jedną na ultrafiolet (czyli śmierć), w pozostałych znajdowały się barwy ROY G BIV - w dowolnej kolejności, z tym że żadna nie mogła się powtarzać i każda musiała być użyta.

Grę nazwano Toprench, ponieważ po wielu latach grania (i oszukiwania*) ta stacja posiadała na koncie o wiele większą liczbę zwycięstw. A gdy strona zrozumiała w końcu, że wróg potrafi z tak wielką skutecznością przewidywać jej ruchy, zdecydowała się na ostateczne zakończenie walki i wycofała stację Tri- Yangton aż do gromady Abilene.

Cele gry:

1. Odgadnąć właściwą pozycję złotego żetonu.
2. Odgadnąć wzór, w jakim ustawione są barwy przeciwnika.

Materiały:

Każdy z graczy potrzebuje dwudziestu wielokolorowych żetonów. Po dwa czerwone, pomarańczowe, żółte, zielone, niebieskie, indygo, fioletowe, czarne, białe i złote.

Plansza:

Może być wykonana z rozmaitych materiałów, narysowana na kartce albo software'owa. Może mieć kształt linijki bądź kręgu. Gracz musi dysponować miejscem, w którym może ją ukryć.

Pola zapisu mogą być ustawione w jednej linii bądź wokół okręgu.

Zapis musi być prowadzony wewnątrz okręgu bądź na polach ustawionych w linii.

Rozpoczęcie gry:

Każdy z graczy ustawia swój wzorzec. Przykładowo:
|Green|Orange|Yellow|Violet|Indigo|Blue|Gold|Black|
White|Red|

(Zapisuje się tylko duże litery z powyższego wzorca.)

Przeciwnik nie może widzieć tego zapisu.

Teraz zawodnicy ustawiają domniemany wzorzec przeciwnika. Można ustawić dowolną ilość żetonów albo wszystkie na raz.

Przykład:

Runda 1

I G D | | | | | | | M I

Drugi z zawodników podaje ilość trafień obok linii zapisu. W tym wypadku będzie to zero.

Teraz ruch przysługuje drugiemu z graczy. Procedura jest identyczna. Jeśli nastąpi trafienie, przeciwnik musi pozostawić żeton na właściwym miejscu i zmienia ustawienie pozostałych zgadywanych kolorów.

Gdy odgadnięta zostanie lokalizacja złotego żetonu, gracz, który jest jego posiadaczem musi powiedzieć na głos „złoty”, a połowa zwycięstwa przypadnie w tym momencie jego przeciwnikowi. Można też grać w wersję skróconą, gdy rozgrywka kończy się na odgadnięciu pozycji złotego żetonu.

Zwycięstwo:

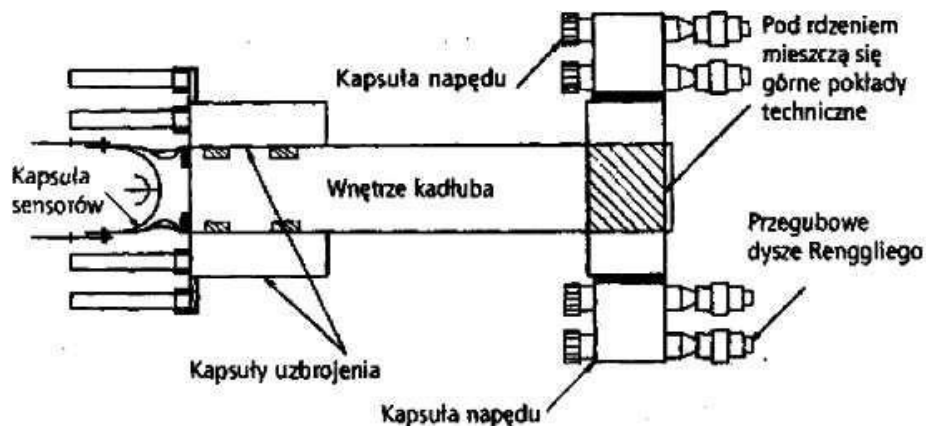
Toprench kończy się, gdy jeden z graczy odkryje lokalizację złotego żetonu i ustawi prawidłowy wzorzec testowy strony przeciwnej. Jeśli każdy z graczy osiągnie po jednym z celów, gra kończy się remisem i należy rozpocząć ją od nowa.

Mike Nelson jest pracownikiem szkolnictwa w rezerwacie Indian Nawaho. Posiada żonę i troje dzieci i nie ma na koncie żadnych publikacji, aczkolwiek liczy na nie nieustannie.

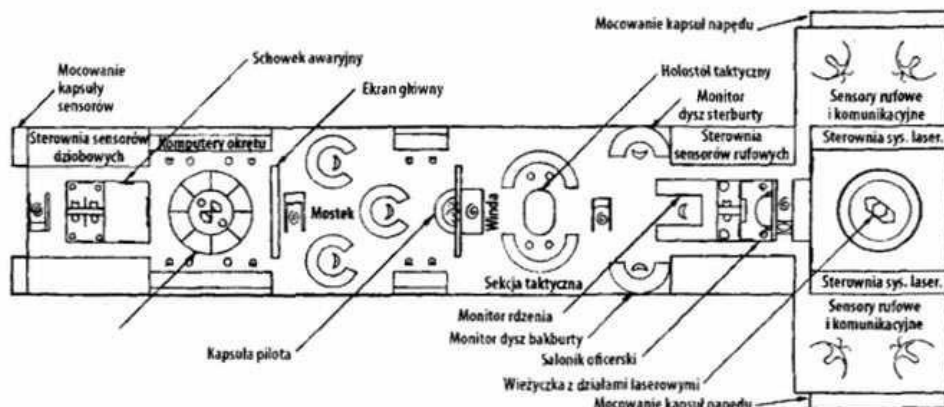
Aneks szósty

PLANY TECHNICZNE „TEODORA ROOSEVELTA” AUTOR- STWA MIKE’A RESNICKA I DEBORAH OAKES

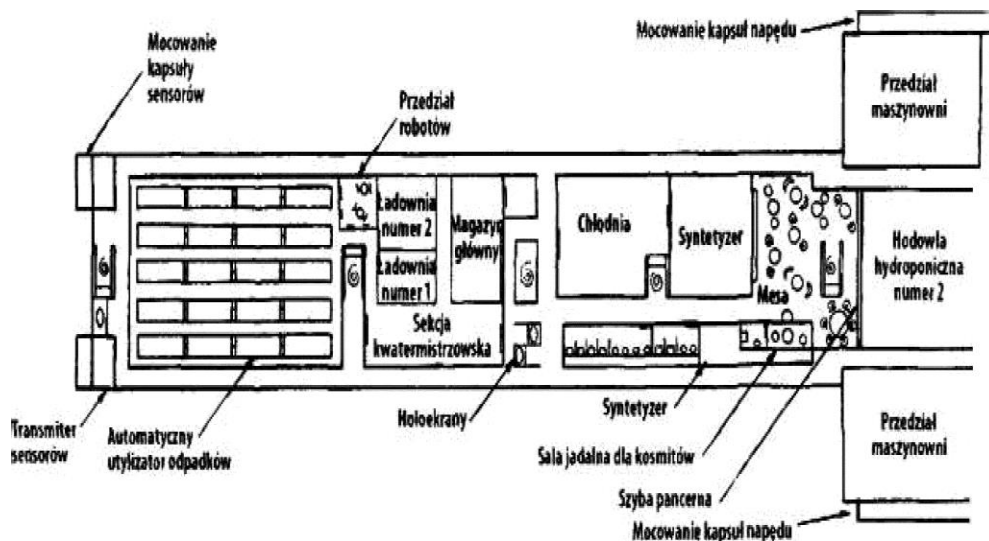
RYS 1 Przekrój statku „Teddy Roosevelt”.



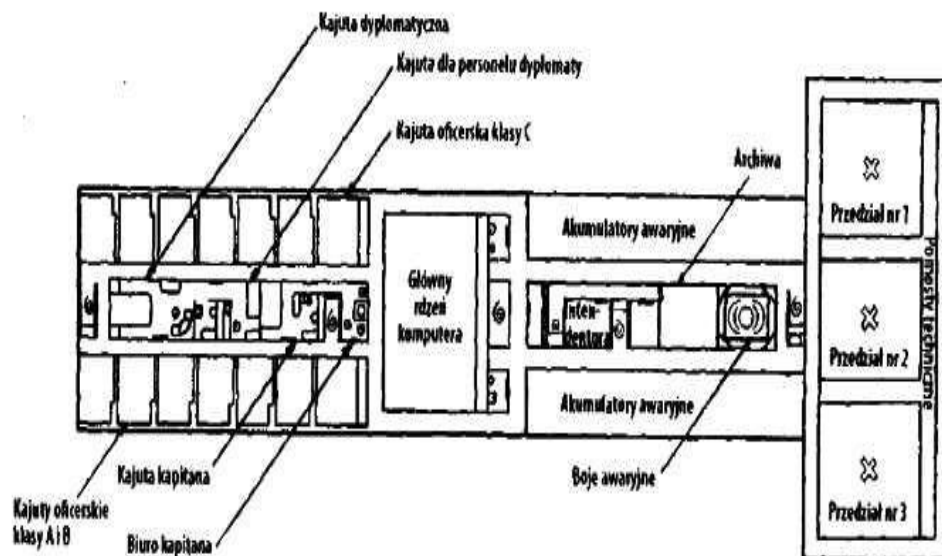
RYS 2 Przykład pierwszy - wnętrze kadłuba, sensory, mostek.



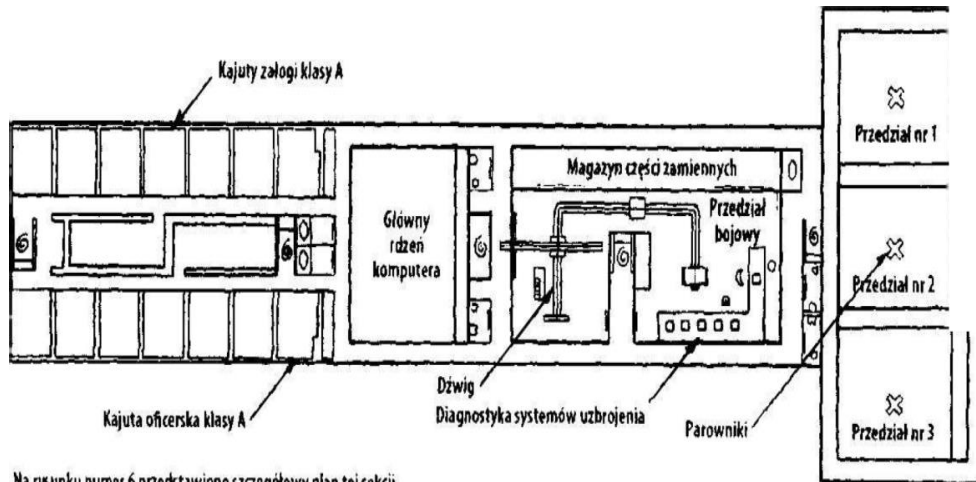
RYS 3 Przykład drugi - wnętrze kadłuba, kwatermistrzostwo, pokłady mesy.



RYS 4 Poziom trzeci - wnętrze kadłuba, sekcja intendentury, kwatery oficerskie.

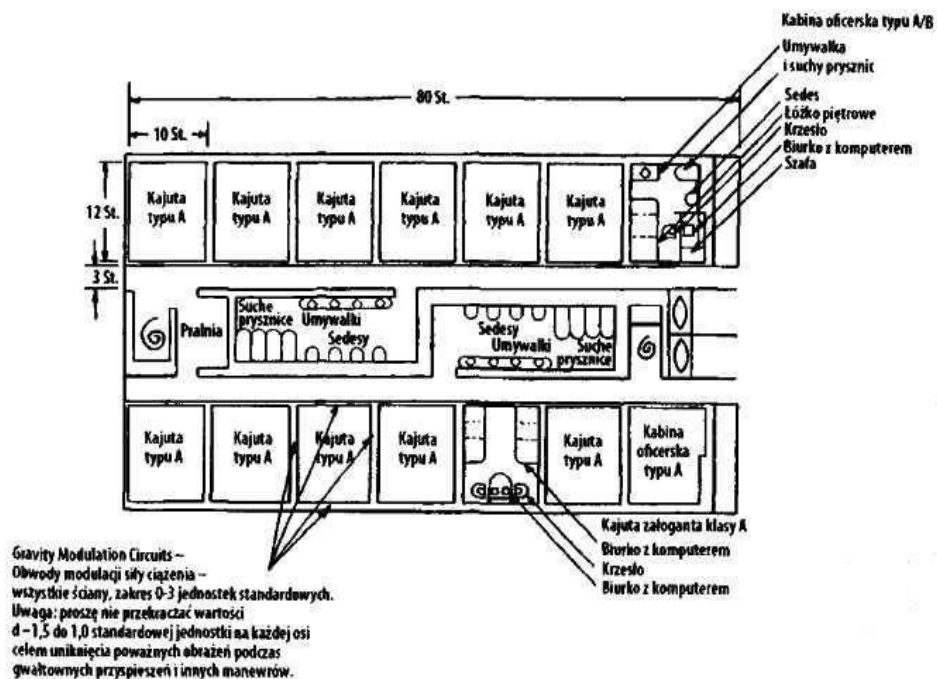


RYS 5 Poziom trzeci - wewnątrz kadłuba, przedział bojowy, kwatery załogi

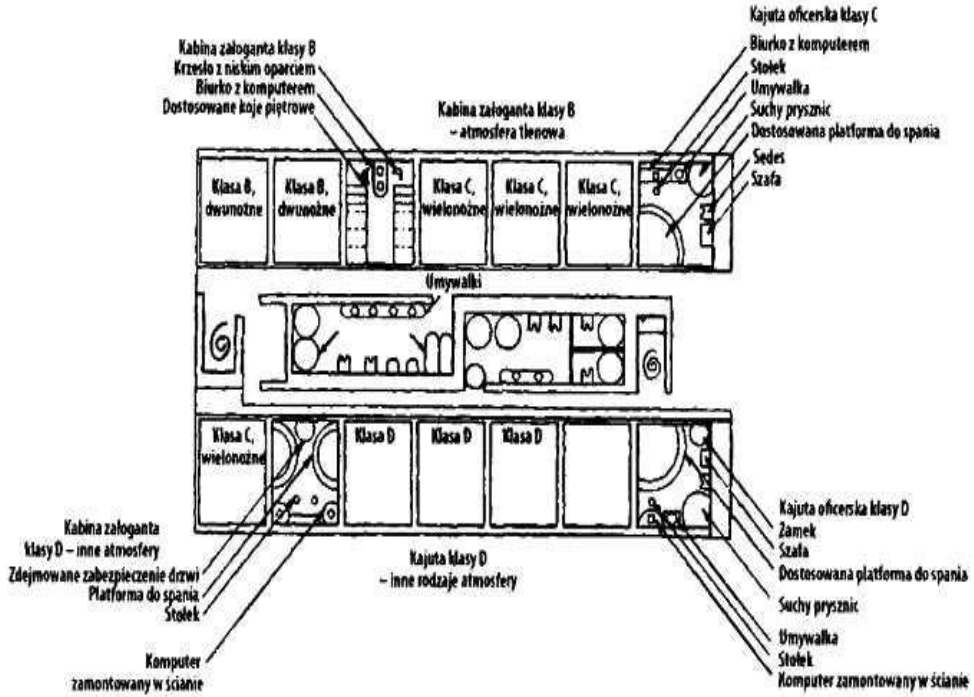


Na rysunku numer 6 przedstawiono szczegółowy plan tej sekcji

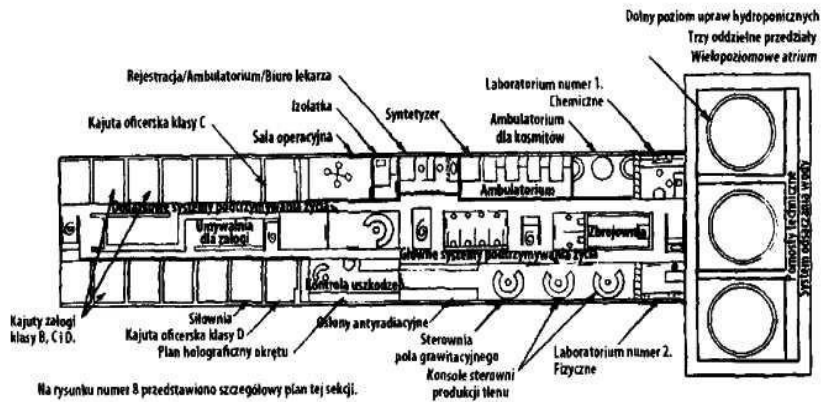
RYS 6 Kwatery załogi – klasa A – humanoidalna (dla ludzi)



RYS 7 Poziom piątą, kwatery klasy B/C/D – dla innych ras.

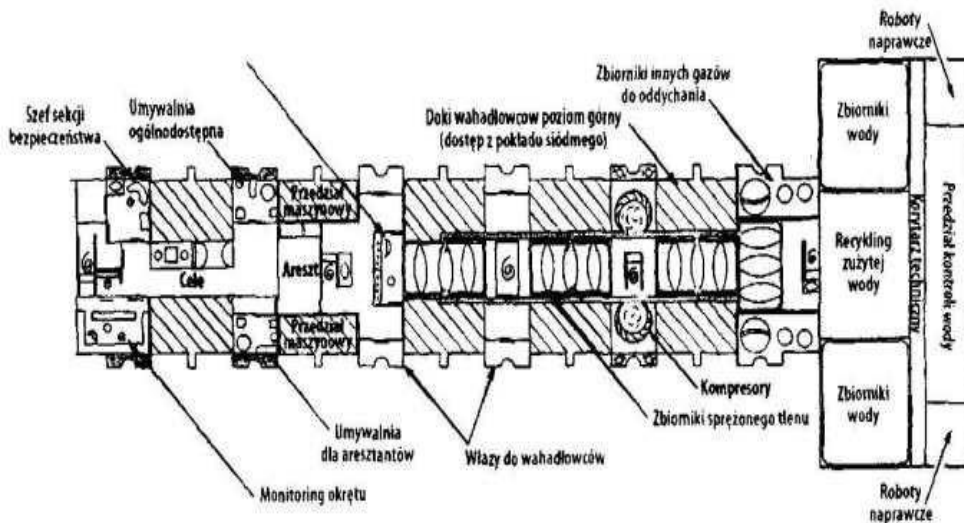


RYS 8 Wnętrze kadłuba, systemy podtrzymywania życia, kwatery załogi.

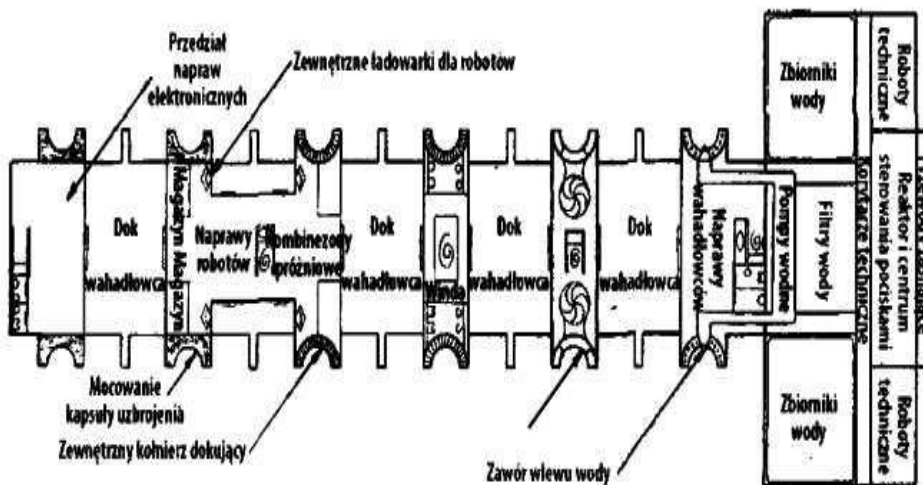


Na rysunku numer 8 przedstawiono szczegółowy plan tej sekcji.

RYS 9 Wnętrze kadłuba, sekcja bezpieczeństwa, pokład techniczny.

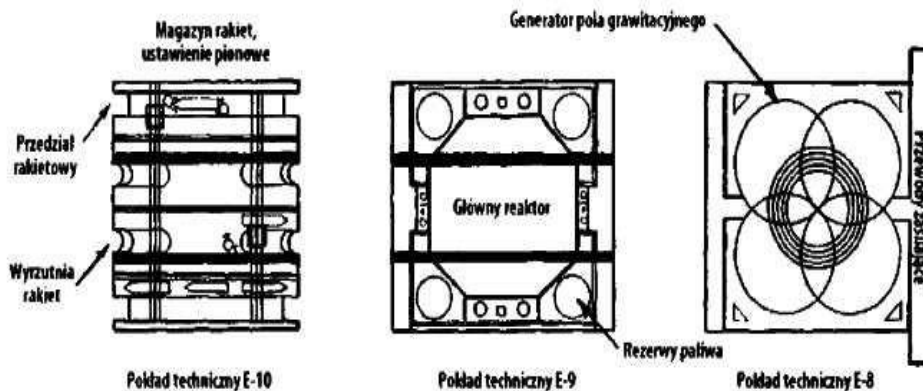


RYS 10 Pokład siódmy, wnętrze kadłuba, pokład techniczny, pokład ładunkowy.



RYS 11 Maszynownia.

Uwaga: Wszystkie pomieszczenia pokładów technicznych posiadają wysokość równą dwóm pokładom standardowym.



Uwaga: Wszystkie obwody obejści i osłon reaktora znajdują się pomiędzy pokładami E-8 i E-9

Deborah Oakes pracuje jako inżynier w branży aeronautycznej, jest też od lat miłośniczką fantastyki oraz sekretarzem i skarbnikiem szanownego stowarzyszenia Cincinnati Fantasy Group.